



# Peterson Tracie

## *Pieśń Alaski 01*

### Preludim brzasku

Lydia wychodzi za Floyda, podstarzałego wdowca. Czyni to jednak nie z własnej woli, ale w ramach umowy biznesowej zawartej przez jej ojca ze współnikiem.

Małżonek okazuje się jednak okrutnym tyranem. Jego nagła śmierć staje się dla upokarzanej przez męża i jego dzieci Lydii szansą na wyzwolenie z udręk. Wdowa nieoczekiwanie otrzymuje w spadku cały majątek, czego nie akceptują bezwzględni pasierbowie. Lydia potajemnie wyrusza na Alaskę. Bolesne wspomnienia odbierają nadzieję na to, że zazna jeszcze spokoju, szczęścia i prawdziwej miłości. Nie spodziewa się, że życie zgotuje jej wiele niespodzianek...

## Rozdział 3

### KANSAS CITY, MISSOURI

*Początek kwietnia 1870 roku*

Nie zamierzam pozwolić Lydii odziedziczyć choćby grosza z pieniędzy ojca - oznajmił Mitchell Gray. -Ona nie ma z nami nic wspólnego. Jest obcą osobą, siłą wprowadzoną do tej rodziny po śmierci naszej matki. Nic jej się nie należy.

- Ciszey - poprosiła jego młodsza siostra Evie. - Przecież ona siedzi w pokoju obok.

Lydia Gray cicho kołysała się w fotelu bujanym w salonie, w którym jeszcze kilka godzin wcześniej wystawiona była trumna z ciałem jej męża. Starła się zrobić wszystko, żeby nienawiść jego dorosłych dzieci nie zdołała jej dotknąć, ale jednocześnie miała nadzieję, że dzięki temu odsunie od siebie lęki i obawy, ku którym nieuchronnie zmierzałyby w przeciwnym razie jej myśli. Dzieci nie ukrywały, że jej nie znoszą, od chwili gdy wkroczyła do ich domu. Wyjątkiem była jedynie Evie. Ale czy mogła mieć do nich żal? Sama przekreśliłaby niemal wszystko, co wydarzyło się podczas dwunastu lat jej małżeństwa z Floydem Grayem. I nic nie mogło już zmienić nastawienia jego potomków. Kołysała się dalej.

„Mam tylko dwadzieścia osiem lat” - myślała. Dwadzieścia osiem lat, a prawie połowę dotychczasowego życia

spędziła w pełnym przemocy małżeństwie z człowiekiem, który swoje konie traktował lepiej niż żonę. *Drugą* żonę.

Lydia zerknęła na portret matki jego dzieci. Obraz olejny został przez Charlotte Gray zamówiony jako prezent bożonarodzeniowy dla męża w 1858 roku. Wręczywszy mu go rano, Charlotte szybko przeprosiła rodzinę, oddaliła się od stołu i popełniła samobójstwo, skacząc z tarasu, który znajdował się na dachu ich rezydencji. Miała trzydzieści siedem lat i zostawiła dwóch dorosłych synów, dwunastoletnią córkę Jeannette i czteroletnią Evie.

Pełne smutku spojrzenie jasnowłosej Charlotte patrzyło na nią ze ściany. Wyraz twarzy tej samotnej kobiety prześladował Lydię, odkąd po raz pierwszy weszła do tego domu - wyrażał ból, który sama doskonale знаła i rozumiała. Wydawało jej się wręcz, że łączyła je jakaś dziwna więź spajająca świat żywych i umarłych. Wiele razy przychodziła do tego pomieszczenia tylko po to, żeby kołysać się w fotelu i wpatrywać w obraz.

- Testament może od razu zostać odczytany, a kiedy już poznamy jego treść - powiedział Marston, bliźniak Mitchella - pozbędziemy się Lydii. Nie wyobrażam sobie, żeby ojciec mógł jej cokolwiek zostawić. Uważam, że powinna dostać czas do końca miesiąca, żeby załatwić swoje sprawy i odejść. Zresztą nie będzie miała wielu rzeczy na głowie. Ojciec nigdy nie zapisałby jej niczego. Wszystko należało do matki. Biżuteria, meble... służba też przecież tu zostanie.

- Więc po co czekać do końca miesiąca? - zapytała Jeannette Gray-Stone. Siostra Marstona i Mitchella bardzo źle zniosła drugie małżeństwo ojca. Nie dlatego, że aż tak tęskniła za matką, ale nie mogła się pogodzić z tym, że macocha odebrała przynależną jej pozycję pani domu - tym bardziej że była tylko kilka lat starsza od samej Jeannette.

Lydia słuchała, jak kłócili się o to, ile czasu powinni jej dać na zniknięcie z ich życia. Ustalili już, że nie może dostać niczego, co należało do ich ojca. Żadnej nagrody za przetrwanie dwunastu trudnych lat małżeństwa z człowiekiem tak okrutnym i bezwzględny. Żadnego współczucia za wszystko, co przeszła.

Znowu podniosła wzrok. Wyraz twarzy Charlotte był pełen zrozumienia - niemal kojący. Kobieta z obrazu wydawała się milcząco sugerować, że tylko śmierć mogłaby przynieść Lydii ulgę.

Lydia kołysała się więc dalej.

Na pokrytej kwiatami tapecie tańczyły cienie. Rozproszone światło wczesnego wieczoru sprawiało, że przypominały zjawy. Być może Floyd Gray powrócił, żeby dalej ją dręczyć. To by było do niego podobne.

- Niecały miesiąc to okres zdecydowanie za krótki, poza tym nie możemy zapominać, że jej ojciec zginął w tym samym wypadku powozu co nasz - Evie zwróciła się do rodzeństwa. - Nie chcecie chyba, żeby w towarzystwie zaczęto mówić, że zachowaliśmy się bezdusznie.

- Nigdy nie kochała ojca i na pewno go teraz nie opłakuje - oznajmił Mitchell.

- Ale co z jej własnym ojcem? - zapytała Evie. - Przecież jego też straciła.

Marston szybko zaproponował.

- Nigdy nie byli sobie bliscy.

- To prawda - zgodziła się Jeannette. - A poza tym unieszczęśliwiała ojca. Powtarzał mi to wielokrotnie. Pozostawała chłodna i obojętna na jego potrzeby.

Lydia zmarszczyła brwi, po czym skrzyżowała dłonie i westchnęła. Robiła co tylko było w jej mocy, żeby stać się dla Floyda idealną żoną, mimo że poślubiła go wbrew woli w wieku zaledwie szesnastu lat. Wszystko to wymyślił jej

ojciec, dla którego zaręczyny córki były zwykłym biznesowym kontraktem. Matkę Lydii przerażało to, że jej jedyne dziecko zostało wydane za mężczyznę, który pozostawał wdowcem jedynie przez dwa krótkie miesiące. Zmarła następnej zimy w wyniku zapalenia płuc, które osłabiło jej serce.

- Może powinniśmy wstrzymać się z decyzjami do czasu odczytania testamentu ojca, które ma nastąpić w poniedziałek - zasugerowała Evie.

Lydia nie wiedziała, dlaczego ta młoda kobieta w ogóle zawraca sobie tym wszystkim głowę. Siedemnastoletnia Genevieve Gray-Gadston została wydana za męża zaledwie sześć tygodni wcześniej. Jej starsze rodzeństwo nie zwracało na to jednak uwagi - w ich oczach była nadal dzieckiem i miała nim pozostać na zawsze. Sugestiom Evie nie poświęcano zbyt wiele uwagi.

- Myślę, że dodatkowy dzień czy dwa nie mają wielkiego znaczenia - odpowiedziała Jeannette.

- Niech tak będzie - oznajmił Mitchell. Słyszając to, Lydia nie mogła się nadziwić. - Odłożymy tę decyzję, ale kiedy tylko zostanie odczytany testament, przedstawimy nasze żądania w obecności adwokata.

Ustalili to wszystko przyciszonym głosem, a kiedy zapadły ostateczne decyzje, razem wkroczyli do salonu, żeby przedstawić swoje ustalenia Lydii. Nie podniosła nawet głowy, by na nich spojrzeć. Ta rodzina jej nie chciała i nie kochała, ale ona wiedziała, że już niedługo się od niej uwolni.

- Zdecydowaliśmy - oznajmił Mitchell, przedstawiając ich wspólne stanowisko - że zostaniesz tutaj aż do odczytania testamentu. W poniedziałek mamy się spotkać z adwokatem.

Lydia strzepnęła swoją czarną suknię.

- Doskonale.

- Wydaje nam się jednak - dodała Jeannette - że służące powinny już teraz zacząć pakować twoje ubrania. Tak byłoby rozsądniej.

- Wszystkie z wyjątkiem futer - przerwał Mitchell. - Te zostaną tutaj i dostaną je nasze siostry i żony. Były zdecydowanie zbyt kosztowne i jestem pewien, że ojciec nigdy by nie chciał, żeby opuściły ten dom.

Lydia nadał kołysała się w fotelu i nie patrzyła im w oczy.

- Doskonale.

- Chcielibyśmy też jak najszybciej się dowiedzieć - zaznaczył Marston - jakie masz plany i dokąd zamierzasz się przenieść. Nie warto z tym czekać do ostatniej chwili.

W ten sposób dawał jej do zrozumienia, że nie pozwolą jej zostać w rezydencji ani chwili dłużej. Nikt z rodzeństwa nigdy nie miał trudności z wydawaniem poleceń czy przekazywaniem niepomyślnych wieści. Z jakiegoś jednak powodu Mitchell i Marston wydawali się skrepowani myślą, że mogliby po prostu nakazać Lydii, aby opuściła ich dom. Któż by ich zrozumiał? Być może martwili się, co zaczną się mówić na ten temat w Kansas City? Mogli się też obawiać, że cała sprawa trafi do gazet i dziennikarze zaczną opisywać ten skandaliczny przypadek.

- Powinam już wracać do domu - oznajmiła w końcu Jeannette. - Muszę się zobaczyć z dziećmi, zanim niania położy je do łóżka. - Opuściła pokój w milczeniu.

- Chodź, Marston, podrzucę cię - powiedział Mitchell. - Zastanowimy się, w jaki sposób najlepiej podzielić interes.

Tylko Evie została w salonie. Męskie głosy rozbrzmiewały echem, dopóki bracia nie wyszli z domu. Kiedy Lydia podniosła wreszcie głowę, zobaczyła, że młodsza siostra Grayów się jej przygląda.

- Ja też powinnam już iść. Thomas wysłał po mnie powóz już jakiś czas temu. Będzie się zastanawiał, dlaczego jeszcze nie wróciłam.

- Rozumiem - powiedziała Lydia. Dopiero teraz przestała się kołysać.

Wydawało się, że Evie nie ma jeszcze ochoty iść. Dziewczyna ruszyła w stronę drzwi, ale po chwili się odwróciła.

- Co zrobisz? - zapytała. Lydia wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie zdążyłam jeszcze się nad tym zastanowić. Dalej do mnie nie dociera, że doszło do tego wypadku.

- Trudno uwierzyć, że już go nie ma - przyznała Evie. Wszystkie dzieci Floyda doświadczyły jego surowości

i twardej ręki. Niewątpliwie Evie nie stanowiła tu wyjątku. Lydia wiele razy bezradnie przyglądała się temu, jak Floyd karał najmłodszą córkę za najdrobniejsze choćby naruszenie wyznaczonych przez niego zasad.

Wstając z fotela, Lydia głęboko odetchnęła.

- Ale to prawda. Już go nie ma i nie może nas więcej skrzywdzić.

Evie mocniej zmarszczyła brwi, jakby nie mogła w to uwierzyć. Mimo to nie próbowała korygować jej słów.

- Zegnaj, Lydio. Rozumiem, że zobaczymy się w poniedziałek.

- Zdaję sobie sprawę, że jest zbyt wcześnie na niepokojenie pani takimi sprawami - oznajmił Dwight Robinson, witając się z Lydią w sobotni poranek - ale musiałem się z panią spotkać jeszcze przed odczytaniem testamentu.

Kobieta spojrzała na prawnika swojego ojca, a następnie na list, który jej podał.



- Dobrze, proszę wejść.

Za oknem dało się słyszeć uderzenie pioruna i zaczął padać rześisty deszcz. Kamerdyner zabezpieczył drzwi przed wiatrem. Lydia zaprowadziła swojego gościa do mniejszego, nie tak oficjalnego saloniku. Ledwo powstrzymała się od ziewnięcia. Przez całą noc przewracała się z boku na bok, nasłuchując kroków Floyda na korytarzu. Dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie, że nie żyje i już jej nie skrzywdzi. Ostatecznie zdołała zasnąć około czwartej nad ranem, a musiała wstać jakieś cztery godziny później.

- Proszę usiąść. Czy mam zadzwonić po napoje? - zapytała Lydia. - Jest tu dość chłodno. Może ma pan ochotę na kawę?

- Nie, dziękuję. - Uśmiechnął się do niej współczująco. - Wyobrażam sobie, że to wszystko musi być dla pani bardzo trudne.

Lydia wzruszyła ramionami.

- Nie bardziej niż inne sprawy. - Usiadła na jedwabnej sofie, a pan Robinson zajął miejsce na bogato zdobionym krześle w barokowym stylu. Był to jeden z ulubionych mebli Floyda Graya.

Robinson raz jeszcze podał jej list i tym razem Lydia go przyjęła.

- Co to jest? - zapytała, rozkładając złożone kartki, które trzymała w ręku.

- To od pani ojca. Zostawił mi ten list kilka miesięcy temu, prosząc, żebym go pani przekazał, gdyby cokolwiek mu się stało.

Lydia zmarszczyła brwi. Odkąd zmusił ją do zamążpójścia, ojciec zamienił z nią ledwo kilka słów. Usiłowała sobie wyobrazić, co takiego mógłby chcieć jej teraz powiedzieć.

- Wydaje mi się, że te słowa... cóż, przyniosą pani pewną ulgę - powiedział Robinson, przeczesując gęste wąsy. Kor-

pulentny starszy człowiek przyglądał się jej przez chwilę, po czym dodał: - Prosił mnie wcześniej, żebym przeczytał list.

- I jaka jest jego treść?

- Może go pani po prostu przeczyta, wtedy będziemy mogli omówić wszelkie pytania, które się pojawiają. Nie jest zbyt długi.

Lydia chciała to zrobić później, w zaciszu swojego alkierza, ale kiedy zorientowała się, że Robinson nie zamierza wyjść, dopóki nie wymienią uwag, skinęła głową. Rozłożyła kartki i głęboko westchnęła na widok zamaszystego pisma ojca.

*Najdroższa Córko,*

*przez długi czas moje serce dręczył ciężar błędów, które popełniłem. Przysporzyłem Ci wielu nieszczęść, zmuszając Cię, wyłącznie w imię bezpieczeństwa finansowego, do małżeństwa z mężczyzną, który - co sam wiedziałem - łatwo wpadał w gniew i był surowy.*

*Modłę się o to, byś zdołała mi wybaczyć. Tak wiele razy marzyłem, że przedstawię Ci przyczyny swojego postępowania, ale w głębi serca wiedziałem, że nie ma wytłumaczenia dla tego, co zrobiłem. Byłem chciwy i za jedyny cel stawiałem sobie zbudowanie wielkiej fortuny. Nie brałem pod uwagę tego, że osiągnąłem to kosztem ludzi, których kochałem. Wierzyłem, że z czasem moje wybory spotkają się nie tylko ze zrozumieniem, ale i z aplauzem. Teraz jednak rozumiem, że się myliłem i że byłem wobec Ciebie bardzo niesprawiedliwy.*

*Jeżeli czytasz te słowa, oznacza to, że odszedłem już z tego świata. Zostawiam Ci ten list w dwóch celach. Po pierwsze, zapisy zawarte w moim testamencie są skomplikowane i nigdy nie chciałem, żeby przysporzyły Ci zmartwień, choć tak się zapewne stanie.*

*Po drugie, powierzyłem panu Robinsonowi pieczę nad pieniędzmi, o których nikt inny nie wie. Te pieniądze przeznaczone są dla*

*Ciebie. Owa suma powinna się okazać wystarczająca, żebyś mogła wziąć rozwód albo zdecydować się na inne kroki, których będziesz pragnęła.*

W dalszej części listu powracała prośba o przebaczenie, ale Lydia była tak zaskoczona, że nie miała siły czytać dalej. Spojrzała na prawnika z niedowierzaniem i pokręciła głową.

- Nie rozumiem.

- Pani ojciec chciał dać pani możliwość przerwania tego małżeństwa. Wielokrotnie mi o tym mówił. Mieliśmy świadomość, że niezwykle trudno będzie pani uzyskać rozwód. Teraz jednak nie stanowi to już problemu.

W milczeniu złożyła kartki.

- Pewnie powinnam się cieszyć, że w końcu zrozumiał swój błąd. - Wydawało się, że to zbyt mało, zbyt późno, ale jednocześnie Lydia nie chciała sprawiać wrażenia równie bezdusznej co jej zmarły mąż.

Siedzący koło niej starszy, zwalisty mężczyzna przesunął się na krześle.

- Pani ojciec głęboko żałował decyzji o wydaniu pani za Graya. Miał nadzieję, że da się zrobić coś - cokolwiek - żeby naprawić ten błąd. Oczywiście zdaje sobie pani sprawę, że pani mąż miał ogromne wpływy. Większość ludzi bała się jego bezwzględności tak bardzo, że potrafiła jedynie poddawać się jego woli. Należał do nich także pani ojciec.

Lydia nie była jeszcze gotowa na to, by żałować ojca. Poczula, że usztywnienie gorsetu wpija jej się w talie, więc się wyprostowała.

- Wspomniał, że postanowienia zapisane w jego testamencie są skomplikowane. Czy mógłby mi pan naświetlić tę sprawę?

W tym momencie z holu dobiegł dźwięk czyichś kroków. Nikt nie zadał sobie nawet trudu, żeby zapukać, więc Lydia domyśliła się, że musi to być jedno z dzieci Floyda.

- Wygląda na to, że mamy towarzystwo - powiedziała Lydia na tyle głośno, żeby zwrócić uwagę tego, kto wszedł.

Marston zajrzał do pokoju, zdejmując kapelusz.

- Robinson? Co pana tu sprowadza? - zapytał, kompletnie ignorując Lydię.

Ta przyglądała się w milczeniu, jak jej pasierb przeszedł przez pokój i uściśnął dłoń starszego mężczyzny. Robinson wstał, wyraźnie skrepowany nagłym pojawieniem się Marstona.

- Miałem sprawy do załatwienia z panią Gray.

- Naprawdę? - Marston spojrzał na Lydię z niedowierzaniem. - A co skłoniło moją macochę do tego, by pana wezwać?

Robinson odchrząknął dość nerwowo i skoncentrował się na podłodze. Lydia była bardzo niezadowolona, że zdecydował się na taką postawę. Jej pasierb uwielbiał onieśmielać i zastraszać ludzi. Karmił się tym, właśnie tak jak teraz. Kiedy uśmiechnął się szyderczo do starszego mężczyzny, jego twarz przybrała niemal okrutny wyraz.

- Zapewne w... żałobie, którą przechodzi... przyda się jej porada prawna przyjaciela rodziny.

- Pan Robinson właśnie wychodził - przerwała Lydia. Podeszła do mężczyzny i wskazała ręką w stronę holu. - Proszę pozwolić, że odprowadzę pana do drzwi.

Marston nie zamierzał do tego dopuścić.

- Po prostu się o ciebie troszczę, Lydio. Czy masz jakieś pytania dotyczące swojej przyszłości?

Lydia spojrzała w jego bladoniebieskie oczy.

- Gdybym je miała, na pewno nie zadałabym ich właśnie tobie.

Zobaczyła, jak gniew przepływa przez ciało młodego Graya. Jeżeli Ust jej ojca mówił prawdę - a nie miała powodów, by sądzić inaczej - miała się wkrótce uwolnić od tego człowieka i jego rodzeństwa. Nie musiała się go dłużej bać.

Nie cofając się, Lydia wyprostowała ramiona.

- A teraz, jeśli pozwolisz, pan Robinson musi ruszać na kolejne ważne spotkania, a mnie boli głowa i zamierzam się położyć.

Marston nic więcej nie powiedział. Ku zaskoczeniu Lydii cofnął się i pozwolił im przejść. Czuła, jak prawnik lekko drży pod jej dotykiem. Było jej go żal, bo wiedziała, że to spotkanie wytrąciło go z równowagi.

- Ach, jeszcze jedno - powiedział Robinson, kiedy dotarli do wyjścia. Kamerdyner przyniósł mu kapelusz, a następnie odwrócił się i otworzył drzwi.

Lydia spojrzała na kamerdynera i czekała, aż wreszcie się oddali. Służba zawsze próbowała podsłuchiwać wszystkie rozmowy. Widząc, że jego usługi nie będą już potrzebne, mężczyzna sztywno się uklonił i zostawił ich samych.

- Mówił pan, że jest coś jeszcze?

- Chciałbym pani towarzyszyć podczas odczytania testamentu w poniedziałek. Jako prawnik pani ojca poczyniłem pewne ustalenia z adwokatem pana Graya. Obaj musimy być obecni podczas tego spotkania, w związku z komplikacjami, o których pisał pani ojciec.

- Rozumiem. - Lydia zerknęła przez ramię i zobaczyła, że Marston się jej przygląda. Uniosła podbródek i odezwała się na tyle głośno, żeby pasierb ją usłyszał. - Bardzo się cieszę, że będzie mi pan towarzyszył. O której mam się pana spodziewać?

- Przyjadę po panią o dziewiątej trzydzieści. Odczytanie testamentu zaplanowane jest na dziesiątą.

Lydia kiwnęła głową.

- Doskonale. Będę na pana czekała.

Kiedy tylko Robinson wyszedł, Lydia pospiesznie udała się na górę, zanim Marston zdołał ją zatrzymać. Biegła niemal do azyłu swojej sypialni i szybko zamknęła za sobą drzwi na klucz. Dopiero wtedy zdecydowała się po raz kolejny spojrzeć na list ojca.

Jeżeli zostawił jej wystarczającą sumę, doskonale wiedziała, co chciałaby zrobić. Jej jedyna żyjąca krewna, ciotka Zerelda, mieszkała na dalekiej Alasce, w maleńkim, położonym na wyspie miasteczku Sitka. Lydia od dawna marzyła o tym, żeby do niej pojechać.

„Być może wreszcie zdołam to zrobić”. W końcu rozwiązałyby to wszystkie jej problemy. Przeniesienie się w tak dalekie miejsce sprawi, że już na dobre znajdzie się poza zasięgiem mściwych pasierbów i zacznie wszystko od nowa.

Podeszła do sekretarzyka i wyjęła pióro oraz kartkę. Minie dużo czasu, zanim list dotrze do ciotki. Najlepiej wysłać go już teraz i poinformować Zereldę, co się stało. Przecież ona nic jeszcze nie wiedziała o śmierci Floyda.

Po raz pierwszy od lat Lydia poczuła iskrę nadziei. Zerknęła na drugą stronę pokoju, gdzie czekały na nią skrzypce. Natychmiast porzuciła list i podeszła do instrumentu, po czym z miłością wzięła go do rąk. Sprawdziła struny i nastroiła go, a następnie sięgnęła po smyczek i wydobyła dźwięk.

Powietrze wypełniła muzyka, która do pewnego stopnia ukoiliła wzburzone serce Lydii. Przez całe życie nie zaznała większej pociechy niż dźwięk swoich skrzypiec. Przez chwilę zatraciła się w zapadającej w pamięć melodii Mszy h-moll Bacha.

Kiedyś chciała, żeby ten utwór grano na jej pogrzebie. Teraz jednak śmierć wydawała jej się taka odległa. Przecież świat stał przed nią otworem.

## Rozdział 15

Lydię posadzono pomiędzy bliźniakami, Mitchellem i Marstonem, co wiązało się dla niej z dużym dyskomfortem. Także oni wydawali się niezadowoleni, że ich macocha miała asystować podczas odczytania testamentu i że została o to poproszona zarówno przez prawnika jej ojca, pana Robinsona, jak i przez reprezentującego interesy rodziny Grayów mecenasa Nasha Sterlinga. Prawdę mówiąc, sama Lydia również nie wykazywała entuzjazmu na myśl o upokorzeniu, które ją czekało: stanęła bowiem przed koniecznością wysłuchania ostatniej woli swego zmarłego męża.

„Dobrze, że ojciec pomyślał przynajmniej o mojej przyszłości. Mimo całego zła, które mi wyrządził, zmuszając mnie do małżeństwa, wziął pod uwagę moją sytuację i odpowiednio mnie zabezpieczył”. Lydia tak mocno zacisnęła okryte rękawiczkami dłonie, że natychmiast zaczęły ją boleć. Nie mogła jednak rozluźnić uścisku, bo gdyby to zrobiła, cała rodzina zauważyłaby, jak bardzo się trzęsie.

Pan Sterling wstał.

- Zebraliśmy się tu dziś, żeby odczytać testamenty pana Zachary'ego Rockforda, ojca Lydii Rockford-Gray, a także pana Floyda Graya, męża tejże Lydii Rockford-Gray i ojca Mitchella Graya, Marstona Graya, Jeannette Gray-Stone i Genevieve Gray-Gadston.

Rozejrzał się, jakby właśnie skończył apel, po czym skinął na pana Robinsona.

Lydia wzięła głęboki oddech, a prawnik jej ojca zaczął czytać ostatnią wolę Zachary'ego Rockforda. Wiedziała, że Marstonowi i Mitchellowi nie spodoba się, iż ojciec zostawił jej fundusz powierniczy. Dotąd bracia triumfowali, że ich macocha zostanie bez środków do życia - ta informacja na pewno przyćmi ich radość.

- Zgodnie z umową podpisaną 10 marca 1859 roku, w chwili ślubu mojej córki Lydii Rockford z Floydem Grayem, pozostawiam wszystkie swoje dobra doczesne Floydowi Grayowi.

Mitchell i Marston spojrzeli z zadowoleniem na Lydię, ale zignorowała zarówno ich reakcję, jak i słowa Robinsona. Wiedziała o zapisach zawartych w tym kontrakcie. Jej małżeństwo było wyłącznie umową handlową na zakup szesnastoletniej panny młodej przez starszego mężczyznę, którego pierwsza żona popełniła samobójstwo.

- Znajduje się tu jednak jeszcze jeden punkt - mówił dalej pan Robinson. - W wypadku, gdyby Floyd Gray zmarł przede mną, wszystkie moje dobra, w tym obligacje, dochody z firm i cały majątek przejdą na moje jedyne żyjące dziecko, czyli na moją córkę Lydię Rockford-Gray.

Lydia nie mogła zrozumieć, dlaczego ten punkt niespodziewanie się tu pojawił. Zaskoczył ją, ale to nie miało znaczenia, bo przecież jej ojciec i Floyd zginęli wskutek tego samego wypadku.

Robinson sięgnął po plik papierów.

- Mam tu podpisane i złożone pod przysięgą w obecności mojej i pana Sterlinga oraz sędziego Brewstera zeznania trzech lekarzy, które potwierdzają, jak zresztą wszyscy państwo wiecie, że Floyd Gray zmarł natychmiast w chwili wypadku, 2 kwietnia 1870 roku - prawnik zamilkł na chwi-



lę i zsunął okulary na czubek nosa. - Zakładam, że synowie pana Graya zidentyfikowali ciało ojca 2 kwietnia. Zgadza się?

Mitchell wstał.

- Owszem, ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie.

- Proszę usiąść, panie Gray - zwrócił się do niego Robinson. Pan Sterling wydawał się nieco zmieszany i nie patrzył w oczy Mitchellowi. Właśnie ten drobny, ale istotny szczegół zwrócił uwagę Lydii. Najwyraźniej coś było nie tak.

Robinson mówił dalej.

- Znaczenie tych słów, panie Gray, wkrótce stanie się jasne.

Mitchell spojrział na Marstona, a następnie usiadł.

- Dobrze, niech pan kontynuuje. Ale proszę też wziąć pod uwagę wrażliwość moich sióstr. Obciążanie ich uwagami o identyfikowaniu ciała nie wydaje mi się konieczne.

Jak na zawołanie Jeannette zaczęła szlochać. Lydii zrobiło się niedobrze. Dziewczęta kochały swojego ojca nie bardziej niż ona sama.

Pan Robinson znów podniósł papiery.

- Dysponuję analogicznym zeznaniem dotyczącym pana Rockforda, ponadto obejmuje ono także dokumenty przygotowane przez pracowników szpitala, do którego został on przewieziony po wypadku. Jak państwo wiedzą, pan Rockford zmarł dopiero 4 kwietnia. Zważywszy na tę informację i biorąc pod uwagę oczywisty fakt, że pan Rockford żył dłużej niż pan Gray - oznajmił Robinson, zdejmując okulary - Lydia Rockford-Gray pozostaje jedyną dziedziczką majątku swego ojca.

Mitchell był oburzony.

- To nie może być zgodne z prawem! - Zwrócił się do Sterlinga. - To kompletne bezprawie, prawda? Majątek Rockforda miał trafić do naszego ojca.

Wyraźnie zakłopotany Nash Sterling zmienił pozycję, nie siląc się nawet na odpowiedź.

Robinson spojrział na Mitchella przez swoje druciane okulary.

- Tak, stanowiło to część porozumienia zawartego w dniu ślubu. Tak jak mówiłem, testament zakłada jednak, że pański ojciec otrzyma majątek pana Rockforda, tylko jeśli będzie żył od niego dłużej. Zważywszy na to, że tak się nie stało i że zmarł dwa dni przed ojcem państwa macochy, zgodnie z testamentem spadkobierczynią zostaje jedyna bezpośrednia potomkini pana Rockforda, pani Lydia Rockford-Gray.

- To prawda? - zapytał Marston, wpatrując się z rosnącą irytacją w Sterlinga. - Nasz ojciec był współnikiem Rockforda w przynoszącym duże zyski interesie. Każdy z nich posiadał połowę udziałów. Czy chce mi pan powiedzieć, że choć Lydia nie miała nic wspólnego z rozwojem tej firmy, odziedziczy teraz połowę wszystkiego, na co tak ciężko pracowaliśmy?

- Wydaje mi się, że zanim wdamy się w dalszą dyskusję, należałoby najpierw poznać treść testamentu pańskiego ojca - oznajmił Dwight Robinson.

Lydię ogarnęła nagle dziwna pewność siebie. Nigdy nie miała nad pasierbami żadnej władzy, a teraz, po długich latach cierpień, jej sytuacja zmieniła się diametralnie. Teraz naprawdę odzyskała wolność i nie musiała się już poddawać ich wymaganiom i żądaniom. Wyprostowała się nieco i skinęła na Robinsona.

- Proszę kontynuować.

Marston rzucił jej gniewne spojrzenie, ale na Lydii nie zrobiło to wrażenia. W myślach już planowała swoją przyszłość. Zamierzała od razu pojechać do ciotki Zereldy do Sitki na Alasce i tam zamieszkać. Tego ranka wysłała list.

Poprosi o pomoc prawnika swojego ojca i na zawsze opuści Kansas City. Nie spakuje nawet ubrań - tych koszmarnych prowokujących strojów wybranych przez jej męża. Oprócz skrzypiec nie było niczego, co chciałyby z sobą zabrać, rozpoczynając nowe życie. Sama perspektywa przyszłości pozbawionej rozpacz i udręk sprawiła, że zakręciło jej się w głowie - Lydia ledwo powstrzymała się od głośnego chichotu. Pan Sterling zaczął czytać.

- Ja, Floyd Gray, w razie mojej śmierci niniejszym zapisuję wszystkie swoje ziemskie dobra mojemu wspólnikowi Zachary'emu Rockfordowi. Gdyby zaś żył on krócej ode mnie, mój majątek ma zostać podzielony równo między moje dzieci, jak następuje: córkom, Jeannette i Genevieve, zapisuję po połowie dóbr ich matki, w tym biżuterię, porcelanę, meble, futra i tym podobne; synom, Mitchellowi i Marstonowi, pozostawiam wszystkie firmy i przedsiębiorstwa, akq'e i obligacje, a także zawartość wszystkich kont bankowych, które zostały wyszczególnione w niniejszym dokumencie.

Mitchell i Marston uśmiechnęli się do siebie. Lydia zauważyła ich zadowolenie. Dobrze знаła pasierbów i domyślała się, że już planują, co zrobią ze swoim spadkiem.

Pan Sterling nerwowo odchrząknął i wstał.

- Ta sytuacja jest dla mnie niezwykle trudna i krępująca - zaczął. - Muszę przyznać, że nigdy dotąd nie znalazłem się w takim położeniu i mam nadzieję, że nigdy się to nie powtórzy.

Lydia nie rozumiała, o czym mówił. Chciała tylko wstać i wyjść z gabinetu. Zerknęła na Robinsona, który uspokajająco skinął do niej głową.

- Co pan opowiada? - zapytał Mitchell. - Chcę wiedzieć, czy testament Rockforda zostanie w ogóle uznany i czy interes trafi w całości w nasze ręce.

Sterling spojrział na Grayów. Na jego twarzy dało się zauważyć narastającą panikę.

- Przykro mi. Musi pan przyjąć do wiadomości, że zapisy testamentu pańskiego ojca są zgodne z prawem, a co za tym idzie, w pełni prawomocne. Sprawdziłem to już w pańskim imieniu i nic nie można zrobić.

- Może Lydia odsprzeda wam udziały - rzuciła siedząca z tyłu Evie.

Lydia usłyszała, jak mąż dziewczyny zaczął ją uciszać, a Marston rzucił siostrze gniewne spojrzenie. Następnie znów odwrócił się do prawnika.

- Co pan ma właściwie na myśli, panie Sterling?

- Sami państwo słyszeli ostatnią wolę pana Graya. - Znowu odchrząknął i sięgnął po papiery, które odłożył wcześniej na stół. - Obawiam się, że sytuacja jest inna, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Państwa ojciec wprowadził ten zapis nie tylko w ramach kontraktu małżeńskiego, który ustalił wspólnie z panem Rockfordem, ale też powtórzył go w testamencie oraz w dokumentach potwierdzających ich partnerstwo w interesach. Z tego powodu w chwili śmierci Floyda Graya cały jego majątek... wszystko... przeszło w ręce pana Rockforda, ponieważ ten żył dwa dni dłużej.

Lydia mrugnęła, słysząc te słowa. Zaczynała rozumieć, co prawnik miał na myśli. Serce zabiło jej mocniej. Zerknęła pytająco na Robinsona. W tej samej chwili Mitchell zerwał się z fotela.

- Zaraz, co to ma znaczyć? - zapytał.

- Co się dzieje? - włączyła się gwałtownie Jeannette. - O co chodzi? - Pociągnęła męża za rękaw.

Marston gniewnie spojrział na Lydię. Podobnie jak ona, doskonale rozumiał, co się stało. Mitchell nie rezygnował.

- Chce pan powiedzieć, że nasz spadek przeszedł w ręce Rockforda, a później trafił do niej? - Rzucił Lydii peł-

ne wściekłości spojrzenie, ale zamiast ugiąć się pod nimi, jak zrobiłaby to kiedyś, po prostu odpowiedziała mu tym samym.

- To niemożliwe - oznajmiła Jeannette. - Tak nie może być. - Jej piskliwy głos stawał się coraz głośniejszy. - To na pewno jakaś pomyłka.

Marston złożył ręce i rzeczowo odpowiedział:

- To nie jest żadna pomyłka.

Robinson spojrział na Marstona, który badawczo się w niego wpatrywał, po czym zwrócił się do Mitchella.

- Pański brat to rozumie. Ojciec pani Gray żył dłużej niż państwa ojciec. Wypadek pochłonął dwa życia, ale nie w tym samym momencie. Nie ma wątpliwości, że pan Rockford zmarł później niż państwa ojciec.

- Ale przed śmiercią nawet nie odzyskał przytomności - zaprotestował Mitchell. - Moim zdaniem to żadne życie.

- Z punktu widzenia prawa nie był martwy - oznajmił Robinson. - Jego śmierć nadeszła dopiero dwa dni po śmierci pana Graya, zatem automatycznie stał się spadkobiercą państwa ojca.

Sterling usiadł. Cieszył się, że może oddać głos drugiemu prawnikowi.

- Nie zgodzę się na to. Ona nie ukradnie nam spadku - rzucił Marston, wstając. - Nic dla ojca nie znaczyła. Nienawidził jej. Unieszczęśliwiła go.

Lydia zapanowała nad nerwami i słuchała w milczeniu, jak rodzeństwo Grayów kłóciło się z dwoma prawnikami. Miała ochotę się uśmiechnąć na myśl o tak przedziwnym obrocie spraw. To była naprawdę słodka zemsta. Najwyraźniej los postanowił wynagrodzić jej dotychczasowe cierpienia. Matka Lydii powiedziałaby, że Bóg w ten sposób o nią zadbał, ale Lydia nie wierzyła już, że Boga w ogóle obchodziły takie sprawy. A już szczególnie nie wierzyła,

że obchodziła Go ona sama. Gdyby tak było, musiałby się wytłumaczyć z tego, że przez dwanaście lat nie zareagował na katusze, które przechodziła.

Marston i Mitchell przeszli wraz z mężami swoich sióstr na drugą stronę pokoju, żeby omówić z prawnikami najnowsze wieści. Lydii kręciło się w głowie na myśl o tym, że miała teraz kontrolę nad majątkiem Grayów i Rockfordów. Nigdy więcej żaden Gray do niczego jej nie zmusi.

Zmarszczyła brwi, przypominając sobie potworne chwile, które do dziś nie dawały jej spokoju. Floyd był strasznym mężem, pozbawionym jakiegokolwiek empatii czy współczucia. I choć Lydia przyzwyczała się do tego, że w ogóle nie interesowało go samopoczucie żony ani nie obchodziły jej pragnienia - nigdy nie zdołała się pogodzić z tym, jak okrutnie nadużywał praw przynależnych mężowi. Kiedy dowiedziała się o wypadku, nie umiała się zdobyć na jakiegokolwiek współczucie. Gdy powiedziano jej, że został znaleziony martwy pod powozem, Lydia nie uрониła ani jednej łzy. Szok związany z odzyskaną nagle wolnością - niespodziewane przerwanie nieznośnej niedoli, która stała się jej udziałem - okazał się zbyt duży. Natychmiast straciła przytomność.

- Wszystko w porządku? - szepnęła jej do ucha Evie. - Wydajesz się blada.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała Lydia. Najmłodsza córka Floyda nigdy nie pozwalała, żeby rodzeństwo widziało ich bliskość, dlatego Lydię zaskoczył życzliwy gest dziewczyny.

- Nie odzywaj się do niej, Genevieve - warknęła Jeannette i odciągnęła siostrę.

- W takim razie sprawdzimy tę sprawę na własną rękę - oznajmił Mitchell, odwracając się od stołu, przy którym prawnicy przekazali złe wieści. - Nie pozwolimy, żeby

skradziono nam spadek. Spotkamy się ponownie w moim domu, żeby wszystko omówić.

Mitchell wypadł gwałtownie z pokoju, a Marston podszedł do Lydii.

- Jeśli umiesz ocenić, co jest dla ciebie dobre, wszystko przepiszesz na nas i będziemy to mieli z głowy. W przeciwnym wypadku nie damy ci spokoju.

Lydia wstała, przycisnęła się obok niego i zbliżyła się do Robinsona.

- Czy zechce pan odwieźć mnie do domu? To był niezwykle długi dzień i chciałabym w spokoju zastanowić się nad wszystkim, co się stało.

- Oczywiście, z przyjemnością.

Przechodząc przez pokój i kierując się ku drzwiom, czuła na sobie wzrok każdej osoby w tym pomieszczeniu. Robinson szybko ją dogonił, wziął pod rękę i zaprowadził do holu.

- Zdaje sobie pani sprawę, że nie przestaną pani dręczyć? - szepnął Robinson.

Lydia uśmiechnęła się lekko.

- Na pewno będą próbowali.

- Nie zamierzam stać z założonymi rękami i patrzeć, jak Lydia wykorzystuje naszą rodzinę - oznajmił Marston niewielkiej grupie słuchaczy zgromadzonych w salonie domu Mitchella.

- Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? - zapytała Jeannette. - Mecenas mówił, że to wszystko zgodne z prawem. Trudno mi w to uwierzyć, ale mam wrażenie, że...

- Och, zamknij się - Mitchell jak zwykle nie zamierzał wysłuchiwać niedorzeczności, które wygadywała jego sio-

stra. - Nie obchodzą mnie twoje wrażenia. Ważne jest to, że nie poddamy się bez walki. Robinson ewidentnie z radością opowie się po stronie Lydii. W końcu bez wątpienia dostanie pokaźną sumkę za udzieloną w tej sytuacji pomoc.

Marston chodził po pokoju w tę i z powrotem. Miał napiętą twarz, tak jak zwykle, kiedy odczuwał niepokój.

- Uważasz, że powinniśmy kogoś przekupić? W końcu mamy znajomości wśród sędziów. Z pewnością możemy skłonić kogoś, żeby podjął się tej sprawy w naszym imieniu.

- Ale nawet w tym wypadku - do rozmowy włączył się mąż Evie, Thomas - ona może zrobić to samo. Pieniądze pozostaną zablokowane przez całe lata. Do tego czasu zdążycie się znaleźć bez środków do życia.

Mitchell wstał i dał Marstonowi znak, żeby usiadł.

- Ja to widzę tak: musimy po prostu znaleźć sposób, żeby zająć się tym wszystkim na własną rękę. O ile wiem, Lydia nie ma żadnej rodziny i z pewnością nie zdążyła jeszcze spisać testamentu. Może jeśli zostanie... wyeliminowana, problem zniknie.

- To byłoby jeszcze lepsze wyjście - rzucił Marston z nikczemnym uśmiechem. - W takim wypadku zostawiłaby nam cały majątek.

- Właśnie to mam na myśli - odpowiedział Mitchell. Mężowie Jeannette i Evie usiłowali ukryć przerażenie,

ale nie odważyli się powiedzieć niczego, co mogłoby świadczyć o tym, że nie popierają tego pomysłu. Marston uznał, że jeśli się chwilę nad tym zastanowią, uświadomią sobie płynące z takiego rozwiązania korzyści. Wierzył, że zgodzą się na każdą decyzję, która pozwoli im się wzbogacić. Evie się obruszyła.

- Nie mogę uwierzyć, że siedzicie tu tak spokojnie i planujecie zabójstwo. Rozumiem, że chcecie odzyskać to, co



się wam należy, ale pozbawienie życia człowieka to zupełnie inna sprawa.

Marston odwrócił się do młodszej siostry.

- Masz tylko siedemnaście lat. Co ty możesz wiedzieć o życiu i śmierci? Lydia nigdy nie lubiła żadnego z nas, więc raczej nie powinnaś liczyć na to, że z własnej woli naprawi wyrządzone tej rodzinie krzywdy.

- Nigdy nie daliśmy jej powodu, żeby nas lubiła - odpowiedziała Evie.  
- Zawsze knuliście przeciw niej.

- Nie należała do naszej rodziny. - Głos Jeannette stał się gorzki i piskliwy. - W ogóle nie powinna wychodzić za ojca.

- Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek pytał ją o zdanie - odparowała Evie. - Nie chciała poślubić ojca, tak jak i my nie chcieliśmy, żeby weszła do naszej rodziny.

- Ale fakt pozostaje faktem: *wyszła* za niego - oznajmił Marston. - Absolutnie nic nie możemy już zrobić, żeby zmienić ten stan rzeczy. Ale nie możemy też stać z założonymi rękami i pozwolić, żeby ta kobieta nas zrujnowała. Czy naprawdę gotowa jesteś patrzeć, jak zabiera wszystkie futra i całą biżuterię matki? Czy chcesz, żeby Lydia wyprzedala nasze rodzinne pamiątki i wzbogaciła się na nich?

- Tak, ona naprawdę może to zrobić - Jeannette syknęła do ucha siostry. - Długo czekała na taką okazję. Uważam, że powinniśmy raz na zawsze pozbyć się jej z naszego życia.

Evie nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Zaskoczyły ją bezduszne słowa rodzeństwa. Ruszyła do drzwi salonu

i powiedziała:

- Stanowczo nie mam dłużej ochoty tego słuchać. Przejdę do sąsiedniego pokoju i poczekam tam do czasu, aż przerwiecie to szaleństwo.

- Och, na litość boską, Evie. Siadaj i skończ już z tą swoją paplaniną.

Evie spojrzała mężowi w oczy. Ten mężczyzna rzadko miał jej do powiedzenia więcej niż dwa słowa przez cały dzień. Teraz wpatrywał się w nią z chłodem, który sprawiał, że czuła w duszy pustkę. Także jej małżeństwo było wynikiem umowy, zwykłym kontraktem zaaranżowanym przez jej ojca dla poprawy interesów. W sytuacji, w której się niespodziewanie znaleźli, jej mąż mógł wiele stracić.

- Właśnie, usiądź i ucisz się - nakazał Marston. - Nie mamy teraz czasu na te twoje brednie. - On i Thomas odwrócili się w stronę pozostałych.

Evie była rozgoryczona, że w taki sposób ją lekceważyli. Robili to tylko dlatego, że wiedzieli, iż nie ośmieli się stanąć im na drodze. Głęboko westchnęła i zrobiła, co jej kazano -tak jak się spodziewali.

„Gdybym miała więcej odwagi, wymaszerowałabym z pokoju i zadziwiłabym wszystkich. - Zmarszczyła brwi i spojrzała na swoje dłonie ukryte w rękawiczkach. - Gdybym miała więcej odwagi, sprzeciwiłabym się ojcu i nie przystałabym na ślub z Thomasem Gadstonem. Przecież w ogóle mu na mnie nie zależy i z całą pewnością mnie nie kocha”.

Nie. Miłość uczyniłaby może to małżeństwo bardziej znośnym. Nawet gdyby początkowo kochał ją tylko Thomas, Evie z czasem nauczyłaby się odwzajemniać jego uczucie. Tymczasem ten związek okazał się dla nich obojga prawdziwą udręką. Na szczęście Gadston najwyraźniej nie zamierzał wypełniać obowiązków męża. Nigdy nie odwiedził jej sypialni, żeby skonsumować małżeństwo, a plotki głosiły, że nigdy tego nie zrobi. Służba szeptała często o niewyobrażalnych, bezbożnych zainteresowaniach Thomasa i chociaż Evie uważała te pogłoski za nikczemne, cieszyła się, że pozostawiono ją w spokoju.

- Masz rację. - Głęboki głos Mitchella zakłócił rozważania Evie. - Gdyby została zamordowana, wszyscy podejrzewaliby naszą rodzinę. To musi wyglądać na wypadek.

- Albo samobójstwo - zasugerował Marston.

Evie wzdrygnęła się na te słowa. Natychmiast cofnęła się pamięcią do chwili, kiedy miała cztery lata. Było Boże Narodzenie, wszyscy zdążyli już wręczyć sobie prezenty. Ona dostała piękną nową lalkę i wykonany ręcznie wiklinowy wózek dziecięcy. Była zachwycona swoją świąteczną sukienką i ślicznymi pantofelkami.

Pamiętała, że poranek upłynął szczęśliwie. Ojciec ani razu nie podniósł głosu ani ręki na żadne ze swych dzieci. Nawet Jeannette, zwykle płaczliwa i marudna, wydawała się zadowolona.

A jednak ten dzień okazał się najgorszym dniem w życiu Evie. Była odważnym dzieckiem i często w tajemnicy wymykała się na strych, gdzie przeszukiwała zapomniane kufry i skrzynie, sprawdzając, jakie skarby można w nich znaleźć. Z tamtego świątecznego poranka pamiętała wyjątkowo urocze pudło na kapelusze, w którym znalazła ubranka dla lalek, i pomyślała, że będą idealne na jej nowe dziecko.

Strych i jego ciemne zakamarki nigdy jej nie przerażały. To było jedyne spokojne miejsce w całym domu. Evie mogła tu przesiadywać całymi godzinami, bawić się i marzyć.

Ale tego dnia w swojej cudownej kryjówce nie odnalazła spokoju - zresztą odtąd jej życie się zmieniło na zawsze. Usłyszała kroki matki na podłodze strychu i szybko się schowała, żeby nikt jej nie zbeształ za to, że się tu znalazła. Mama wyszła przez niewielkie drzwiczki prowadzące na otoczony balustradą taras. To niezwykle miejsce znajdowało się na dachu ich rezydencji i żona Floyda Graya mogła tu spacerować i szukać ukojenia.

Evie wielokrotnie przyglądała się jej z ukrycia. Mama chodziła zwykle w tę i z powrotem, cicho popłakując i ocierając łzy koronkową chusteczką. Dziewczynka zawsze miała ochotę podejść do matki i ją pocieszyć, ale nigdy tego nie zrobiła. Nawet będąc dzieckiem, wiedziała, że mama czułaby się skrępowana, że jej córka wie o rozpaczach i wstydzie, które odczuwała. Dla Evie obserwowanie spacerującej po tarasie matki oznaczało pewien szczególny rodzaj więzi, który powstawał między nimi w tamtym czasie. Była pewna, że pozostałe dzieci w żaden sposób nie są w stanie takiej relacji nawiązać. Tylko ona spośród nich czworga wyżej ceniła cechy matki. To właśnie jej dusza była nierozzerwalnie związana z matką ze względu na ten ich mały wspólny sekret.

Evie przesunęła się w taką część strychu, z której mogła obserwować taras przez ozdobne owalne okno. Z całych sił pragnęła podejść do mamy i zacząć ją pocieszać. Na zewnątrz było chłodno, zdecydowanie zbyt chłodno, żeby spacerować bez płaszcza, a jednak mama nie miała nawet szala.

Dziewczynka się zaniepokoiła. Mama przestała chodzić i stała teraz przy balustradzie. Patrzyła w dal, jakby widziała przed sobą przyszłość. Nagle Evie usłyszała za plecami jakiś hałas i szybko się pochyliła. Zdażyła się ukryć dokładnie w chwili, kiedy na strych wkroczył ojciec. Ruszył pewnym krokiem w stronę drzwi prowadzących na taras, po czym wyszedł na zewnątrz i dołączył do żony. Evie znowu podkraśla się do okna, zastanawiając się, czy jak zwykle zaczną się kłócić. Ku jej zaskoczeniu jednak ojciec objął żonę. Ten widok sprawił, że dziewczynka poczuła iskrę nadziei. Może jej mama znowu nauczy się uśmiechać, może stanie się szczęśliwa.

Evie złapała się parapetu i patrzyła z wyczekiwaniem, jak ojciec podnosi jej matkę na rękę i przyciska usta do jej

ust. Wtedy, bez ostrzeżenia, podszedł na sam skraj tarasu i nie mówiąc ani słowa, wyrzucił żonę przez balustradę.

Oczy Evie gwałtownie się rozszerzyły i dziewczynka ledwo stłumiła krzyk. Ojciec tymczasem pospiesznie wrócił na strych, po czym zszedł na dół. Kompletnie oszołomiona, przez kilka chwil nie mogła się nawet ruszyć. Czy naprawdę widziała przed chwilą, jak ojciec zamordował jej matkę?

Ale może upadek nie zabił mamy. Może to tylko żart. Evie przygryzła dolną wargę i zebrała w sobie odwagę. Wtedy jednak usłyszała krzyk i wiedziała już, że wszystkie obawy okazały się słuszne. Nie zwlekając ani chwili dłużej, zbiegła ze strychu i popędziła do swojej sypialni na drugim piętrze, gdzie szybko wskoczyła do łóżka i schroniła się pod kołdrami.

A co jeśli ojciec się dowie, że wszystko widziała? Czy i ją zrzuci wtedy z dachu?

- Evie? Evie, wszystko w porządku?

Przez chwilę nie rozpoznała głosu siostry. Podniosła głowę i zorientowała się, że jest bezpieczna, że siedzi w salonie swojego brata, a wszyscy się jej przyglądają. Patrzą i czekają na jakieś wyjaśnienie tego, że nie odpowiedziała od razu.

- Ja... przepraszam - powiedziała z wahaniem. - O co pytaliście?

Jeannette zbliżyła się do niej.

- Pytałam, czy wszystko w porządku. Wydajesz się blada. Chyba nie spodziewasz się dziecka?

Evie zaskoczyło to pytanie. Roześmiałyby się, słysząc tak absurdalny pomysł, gdyby nie to, że mąż wpatrywał się w nią z niezwykle poważnym wyrazem twarzy.

- Nie sędzę, Jeannette. Po prostu jestem zmęczona. Thomas odwrócił się, a na jego ustach malował się lekki uśmiech.

- Ostatnio była zdecydowanie zbyt zajęta. Chyba wyślę ją na jakąś wycieczkę, żeby trochę odpoczęła.

Po tych słowach wszyscy znowu o niej zapomnieli. Powrócili do dyskusji o tym, co należałoby zrobić z Lydią. Evie odetchnęła z ulgą i złożyła ręce. Odtąd będzie musiała mieć się na baczności. Nigdy nikomu nie wyznała, co zobaczyła tamtego dnia na strychu - i nie zamierzała tego robić. Bała się, że coś mogłoby jej się stać. W tej rodzinie, znając zbyt wiele tajemnic, nie można było czuć się bezpiecznym.

## Rozdział 31

Lydia przeglądała biżuterię, oddzielając przedmioty, które należały do pamiątek rodzinnych Grayów, od ozdób, które podarował jej mąż. Nigdy nie lubiła żadnej z tych rzeczy. Jej zdaniem wszystkie były ostentacyjne i niegustowne. Nie pamiętała, żeby Floydem Grayem kiedykolwiek powodowała sympatia. Przeciwnie - chciał ludzi olśniewać, przytłaczać swoją potęgą. Ciężkie, wielowarstwowe naszyjniki ze złota i szafirów, rubinów i onyksów oraz diamentów i pereł miały skupiać na sobie uwagę - podobnie jak pasujące do nich długie i ciężkie kolczyki, które dyndały wyzywająco. Lydia pamiętała bóle głowy, których dostawała, kiedy je nosiła.

Inne ozdoby również budziły niesmak - tworzyły je bowiem nachalne, kompletnie absurdalne połączenia drogich kamieni. Zamawiając je, Floyd Gray silił się na kreatywność, ale wynik jego starań okazał się naprawdę żalosny. Jedna z ozdób składała się z ametystu, topazu i szmaragdów. Jubiler ułożył kamienie w dziwaczne kwiaty, które otaczały szyję grubym, złotym pnączem. Kolejny klejnot Lydia mogłaby opisać tylko jako pajęczynę srebra hojnie upstrzoną dużymi kamieniami w różnych kolorach. Ten naszyjnik przypominał z kolei absurdalną, obsadzaną klejnotami kolczugę.

„No cóż, tego na pewno nie będę potrzebowała”. Zebrała okropne ozdoby i włożyła je do szkatułek. Zamierzała

dać je Evie i Jeannette, a gdyby ich nie chciały, przekazać Mitchellowi i Marstonowi razem z całą resztą wyposażenia domu. Miała nadzieję, że odczytają ten gest jako akt dobrej woli.

Nie chciała zabierać niczego, co należało do tej rodziny ani co zostało jej podarowane przez Floyda. I z całą pewnością nie pragnęła tych dziwacznych ubrań, które kazał jej nosić. Nie, kupi kilka nowych, bardziej praktycznych kompletów przed wyjazdem z Kansas City, a resztę potraktuje jako balast przeszłości.

„Zaczynam nowe życie” - powtórzyła sobie raz jeszcze. Tak naprawdę czuła się raczej, jakby wreszcie mogła zacząć żyć po raz pierwszy. Wyobraziła sobie codzienność na Alasce u boku ciotki i zakreśliło jej się w głowie.

Nagle pukanie do drzwi przerwało marzenia i przywróciło ją do rzeczywistości. Miała wrażenie, jakby ktoś wyczuł jej szczęście i przyszedł tu, żeby położyć mu kres.

- Proszę. - Podniosła głowę i spojrzała na stojącą w drzwiach ponurą kobietę, prawie dwa razy starszą od niej. - O co chodzi, Mary?

- Przyszli Grayowie, chcą z panią porozmawiać. Lydia się ich spodziewała. W końcu była już ósma trzydzieści rano. Dziwiła się raczej, że czekali tak długo.

- Doskonale. Powiedz im, że zaraz zejdem.

Mary patrzyła na nią przez chwilę, po czym burknęła coś pod nosem i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Lydia wiedziała, że nikt ze służby za nią nie przepada. Nigdy nie miała w tym domu ani jednej osoby, której mogłaby zaufać, której byłaby gotowa powierzyć swoje troski. Wszyscy za bardzo się bali. Wiedzieli, kto im płaci, i nie zamierzali zrażać do siebie pana przez przymilanie się do żony, którą tak bardzo gardził. Nic dziwnego, że teraz byli zdezorientowani i nie wiedzieli, kto przejmie kontrolę nad pieniędzmi.



Lydia wstała i raz jeszcze przyjrzała się rozłożonej na łóżku biżuterii. Czy ma już teraz poinformować Mitchella i Marstona o swoich planach? Czy ucieszy ich to, czy raczej fakt, że macocha śmie rościć sobie pretensje do własności ich ojca, wzbudzi w nich jeszcze większy gniew?

Schodząc na dół, Lydia wiedziała, że nie może ujawnić jakichkolwiek oznak zdenerwowania czy słabości. Wyprostowała ramiona i uniosła podbródek. Miała świadomość, że trudno będzie stawić czoła synom Floyda Graya, ale wierzyła, że sobie poradzi.

Zastała Marstona i Mitchella w tym samym pokoju, w którym w dniu pogrzebu wystawiono trumnę z ciałem ich ojca. Choć zniknęły już wszystkie pamiątki po tych okropnych wydarzeniach, Lydia nadal miała przed oczami tamte chwile.

- Nie spieszyłaś się zanadto - rzucił Mitchell, patrząc na nią gniewnie.

- Pewnie wydaje ci się, że masz teraz jakąś władzę, bo pojawił się ten absurdalny, zakwestionowany przez nas testament.

- Zakwestionowany? - zapytała Lydia mocnym, pewnym głosem.

- Oczywiście, że tak. To tylko kwestia czasu, ale wygramy tę sprawę. Ojciec nigdy nie chciał, żebyś odziedziczyła cokolwiek, co do niego należało. Wiesz o tym równie dobrze jak my.

- Wiem, że wasz ojciec nigdy nawet nie brał pod uwagę, że mógłby umrzeć.

- Nie bądź taka zadowolona z siebie - powiedział Marston, zbliżając się do niej o krok. - Dopilnujemy, żeby wszystkie pomyłki zostały naprawione.

- Mimo waszych prób obrócenia tej sytuacji na własną korzyść nie muszę się tym martwić - oznajmiła Lydia. Ojciec zostawił mi wystarczająco dużo, żebym mogła zadbać o swoje potrzeby.

Przeszła przez pokój i usiadła w fotelu bujanym. Złożyła ręce, podniosła głowę i spojrzała na obu mężczyzn, którzy się do niej zbliżyli. Przez chwilę górowali nad nią tak, jakby próbowali ją zastraszyć, ale kiedy nie zareagowała, Mitchell usiadł naprzeciw niej, a Marston stanął obok.

- Jak doskonale wiesz, nie należy ci się ani nasz majątek, ani przedsiębiorstwa, niezależnie od tego, czy twój ojciec miał w nich udziały. Oczekujemy, że pójdziesz z nami do prawnika i zakończysz tę farsę.

Lydia zauważyła, że Mitchell zrobił się dość nerwowy. Drżała mu lewa powieka i bez przerwy się kręcił, jakby jego krzesło było rozgrzane do czerwoności. Tymczasem Marston złożył ręce za plecami i badawczo się jej przyglądał. Wiedziała, że szuka jakiegokolwiek oznaki słabości - luki w zbroi, którą tak starannie przywdziała. Czuła się jak zwierzyzna obserwowana przez dzikie stworzenie.

Lydia przywołała w myślach dźwięki symfonii Pastoralnej Beethovena i zdołała się uspokoić. „Nie mogą mnie już skrzywdzić. Nie zdołają odebrać mi wolności”. Głęboko odetchnęła i znowu spojrzała im w oczy.

- Jeżeli chodzi o kwestie prawne, reprezentuje mnie pan Robinson. Możecie omówić z nim tę sprawę.

- Nie. Pójdziesz z nami - oznajmił Marston, zbliżając się do niej. - Dziś.

- Och, usiądź, Marston. - Robiła, co mogła, żeby jej głos brzmiał obojętnie, ale wyobrażała sobie już ciosy, które wyraźnie chciał jej zadać.

- Nie pozwolę wam dłużej na takie zachowanie. - To stanowcze stwierdzenie dodało jej sił.

Marston przez chwilę patrzył na nią zdziwiony. Wydawał się niepewny, niemal zdezorientowany słowami, które padły przed chwilą. „Dobrze - pomyślała Lydia. - Zwierzyzna odpowiedziała na atak. Jeśli tylko dalej zdołam wytrącać ich z równowagi swoimi reakcjami, zdobędę przewagę”.

- Nie potrzebujemy pośrednictwa Robinsona - oznajmił w końcu Mitchell, który dał Marstonowi znak, żeby ten usiadł obok niego. - Pan Sterling jest dużo lepiej przygotowany do tego, by zająć się tą sprawą. Reprezentuje naszego ojca i doskonale zna interesy całej rodziny Grayów, zajmuje się tym od ponad dwudziestu lat.

- Może właśnie z tego powodu wolę mieć własnego przedstawiciela. Poproszenie w tej kwestii o pomoc pana Sterlinga - powiedziała rzeczowo - postawiłoby go w niezręcznej sytuacji.

- Ależ skąd - przerwał jej szybko Mitchell. - Pan Sterling może z łatwością reprezentować nas wszystkich. Naprawi zaistniałe błędy i sprawi, że zostanie spełniona prawdziwa wola naszego ojca.

- Nie potrafiłabym określić woli waszego ojca, nie opierając się na instrukcjach, które pozostawił w testamencie. - Lydia przechyliła głowę, jakby dokładnie analizowała tę sytuację. - Wasz ojciec był błyskotliwą osobą, poważnym człowiekiem interesu, znanym z tego, jak skutecznie wszystkim zarządzał. Czy możecie przypuszczać, że zapomniał o tej sprawie? Czy naprawdę mam uwierzyć, że wasz ojciec, a mój mąż, nie rozumiał i nie znał prawa?

- Grasz w niebezpieczną grę, Lydio - ostrzegł Marston, mrużąc oczy.

- Nie gram w żadną grę. Jak pamiętacie, byłam przy podpisaniu kontraktu między moim a waszym ojcem. Miałam w sprawie swojego ślubu tyle samo do powiedzenia co wy w kwestii warunków testamentu.

Marston zeszywniał.

- To oczywista pomyłka i doskonale o tym wiesz. Lydia pokręciła głową.

- Niestety nie pojmuję zawilości zaistniałej sytuacji. Właśnie dlatego postanowiłam poprosić pana Robinsona

o pomoc. Jestem jedynie dwudziestoosmioletnią kobietą, niewykształconą i niczego nieświadomą - na co sami często zwracaliście uwagę. Zostałam zmuszona do małżeństwa z waszym ojcem po to, żeby jego sytuacja finansowa się poprawiła. Teraz, kiedy nie żyje, nie obowiązuje mnie dłużej tamto porozumienie.

Wydawało się, że jeszcze chwila i Marston poderwie się z miejsca.

- Naszego ojca też nie powinno obowiązywać tamto porozumienie.

- I nie obowiązuje - odpowiedziała. - Prawnik zapewnia mnie jednak, że zapisy zawarte w obu testamentach muszą zostać spełnione i zamierzam potraktować jego słowa poważnie. A teraz przepraszam, mam wiele spraw do załatwienia. - Wstała i wcale się nie zdziwiła, kiedy Marston i Mitchell skoczyli gwałtownie ku niej, usiłując jej przeszkodzić.

- Nie rozwiązaliśmy jeszcze tego sporu - zaprotestował Mitchell.

Przez chwilę patrzyła na niego, po czym skinęła głową.

- Zapewne masz rację, ale w tym momencie nie mogę nic więcej zrobić. To z panem Robinsonem powinniście rozmawiać. Dokładnie przestudiował oba testamety i zasięgnął porady u najbardziej świątłych specjalistów w dziedzinie prawa. Wierzę, że skorzystalibyście, gdybyście szczegółowo przedyskutowali z nim wszystkie budzące wątpliwości kwestie.

Mężczyźni otworzyli szeroko usta. Nigdy dotąd nie widziała, żeby któremukolwiek z Grayów zabrakło słów, ale wyglądało na to, że jej reakcja kompletnie zaskoczyła Mitchella i Marstona. Zwierzyna zdołała zatem uciec i przetrwać kolejny dzień.

- Nie rozumiem, dlaczego rozważamy to tak długo - powiedział Marston. Nash Sterling zapadł się w fotelu. - Przecież już wcześniej przekupywaliśmy ludzi.

- To było, zanim zaszły zmiany w życiu politycznym miasta. Przecież zdają sobie panowie sprawę z trudności ostatnich kilku lat. Pan Gray wiecznie ciskał gromy...

- Zamilkł nagle, jakby zorientował się, że powiedział coś nieodpowiedniego. - No cóż, wiecie w każdym razie, jaką wściekłość to w nim wzbudzało. Reasumując, niewiele mogę zrobić. Nikt nie zaryzykuje gniewu ludzi, którzy znajdują się u władzy.

- Tchórze - oznajmił Mitchell.

- W każdym razie musimy się z tym liczyć - powiedział Sterling. - Możemy na jakiś czas wszystko zablokować, kazać zrewidować dokumenty i sprawdzić je pod kątem nieścisłości. Ale ostatecznie wydaje mi się, że rezultat pozostanie niezmienny.

- Dobrze. W takim razie, skoro nie da się tego przeprowadzić zgodnie z prawem - zaczął Marston - może dałoby się to zrobić inną drogą.

- Wręczenie łapówki sędziemu i przekupienie ludzi w sądzie *jest* niezgodne z prawem - zaproponował Sterling. - Co innego ma pan na myśli?

- Mój brat chyba po prostu sugeruje - wyjaśnił ostrożnie Mitchell - że ludziom zdarza się zmieniać zdanie, jeśli przedstawi się im groźbę albo ultimatum. Dysponujemy dowodami obciążającymi niemal wszystkich sędziów i prawników w tym mieście. Mamy w ręku zeznania dziesiątków potężnych ludzi, a także świadków, którzy potwierdzą pod przysięgą wszystko, czego będziemy od nich oczekiwali.

-I wierzą panowie, że po powszechnie znanych posunięciach panów ojca i po publicznym ogłoszeniu jego śmierci ludzie tak po prostu o wszystkim zapomną? - Pokręcił głową. - Robinson nie jest głupi. Zdążył już poprosić o pomoc wiele wpływowych osób. Potraktował tę sprawę poważnie i znał wszystkie jej szczegóły na długo przede mną.

- Zatem jest pan głupcem - rzucił gniewnie Marston. -To pan ponosi winę za to, że nasz ojciec nie zdołał się wydostać z tych tarapatów.

Sterling zmarszczył brwi, a jego twarz natychmiast stężała.

- Gdybym był na panów miejscu, starałbym się raczej znaleźć sposób, żeby współpracować z macochą, a nie konfliktować się z nią jeszcze bardziej. Z pewnością nie marzy o tym, żeby zarządzać fabryką produkującą trumny. Jest dość młoda i może nawet ponownie wyjść za mąż, a wtedy nie będzie się musiała martwić o swoją sytuację finansową.

- Ależ to właśnie jeden z powodów, dla których musimy tę sprawę rozwiązać natychmiast - oznajmił Mitchell. - Ona rzeczywiście może ponownie wyjść za mąż, a wtedy majątek Grayów znajdzie się pod kontrolą jej męża. Nigdy nie dostaniemy ani dolara. Kiedy już rozejdzie się wieść, że Lydia ma w ręku ogromną fortunę, mężczyźni zaczną się do niej ustawiać w kolejce.

- Tak jak mówiłem, kluczowe wydaje się zdobycie jej przychylności. Okażcie jej troskę. Wytlumaczcie, że ciężar tak dużej odpowiedzialności przysporzy jej samych zmartwień. Na początku zaproponujcie po prostu, że będziecie nadzorowali interesy w jej imieniu. Że będziecie ją o wszystkim informowali i relacjonowali sytuację.

- Może rzeczywiście warto spróbować - powiedział Mitchell, patrząc pytająco na Marstona.

Ten jednak wiedział, że to nie ma szans powodzenia. Lydia już teraz zaczęła zaznaczać swoją pozycję. Powoli, ale konsekwentnie uczyła się niezależności. Ich ojciec zmarł przecież niedawno, ale Lydia już teraz wydawała się zupełnie inną osobą.

- Powinniśmy spróbować - dodał Mitchell zachęcająco. - Evie mogłaby nam pomóc. Przecież Lydia zawsze ją lubiła.

Marston kiwnął głową. Nie chciał jeszcze się dzielić z bratem swoimi przemyśleniami na ten temat.

- To możliwe. Rozważymy tę sprawę i zastanowimy się, czy da się stworzyć jakiś plan. - Marston zauważył ulgę w ciemnoniebieskich oczach Nasha Sterlinga. Co za imbecyl! Gdyby prawidłowo wykonywał swoją pracę, nie musieliby teraz sprzątać po nim tego całego bałaganu.

Kiedy wychodzili z gabinetu, Marston nie miał ochoty wysłuchiwać narzekań swojego brata.

- Chociaż sam starałem się inwestować ostrożnie, to wszystko nie wróży dobrze mojej rodzinie. Być może zostaniemy zmuszeni do tego, żeby zrezygnować z niektórych wygód - wyznał z niepokojem Mitchell.

- Ach, proszę cię, ucisz się wreszcie - powiedział Marston, wsiadając do powozu. - Zrozum, nic się nie zmieni. Musimy po prostu znaleźć sposób, żeby odpowiedzieć na atak i wygrać. - Opuścił rondo kapelusza na oczy, jakby zamierzał spać w drodze do domu. - Lydia nie będzie nam przecież dyktowała warunków. Ona nie zdaje sobie sprawy z naszej siły i determinacji.

- Myślisz, że naprawdę zechce ponownie wyjść za mąż... po tym, co przeszła?

Marston lekko uniósł kapelusz.

- Dlaczego tak mówisz?

Mitchell wydawał się niemal zawstydzony.

- No cóż, obaj wiemy, że nasz ojciec miał twardy charakter. Może Lydia nie chce już być mężatką.

- Przecież kobiety nawet nie wiedzą, czego chcą. Naprawdę nie mają głowy do takich spraw. Znają się tylko na rozrywkach i wychowywaniu dzieci, a poza tym są kompletnie bezradne, chyba że się je odpowiednio wykształci. Ojciec próbował po prostu sprawić, żeby została zaakceptowana przez towarzystwo.

Mitchell wzruszył ramionami i opadł na skórzane obicie, a powóz włączył się w ruch uliczny.

Marston zastanawiał się nad czymś, o czym już kiedyś rozmawiał z Mitchellem.

- Gdybym ją zmusił do tego, żeby za mnie wyszła, nie mielibyśmy problemu z odzyskaniem kontroli nad pieniędzmi.

- Ale czy towarzystwo przyjmie takie rozwiązanie? Jest przecież naszą macochą.

- Trzeba by to ostrożnie rozegrać. Moglibyśmy pewnie skorzystać z pomocy dziewcząt. Rozpowiedziałyby wśród swoich znajomych z różnych kręgów, że Lydia szaleje z rozpacz i nie radzi sobie po śmierci męża. Mój ślub z nią wynikałby z chęci zapewnienia jej bezpieczeństwa i umocnienia jej pozycji.

Mitchell zachichotał.

- Ale jedno słowo Lydii rozwiałoby wszystkie te pogłoski.

Marston z zadowoleniem uśmiechnął się do brata.

- W tym celu musiałyby mieć okazję do publicznego zabrania głosu na ten temat i dzielenia się swoimi przemyśleniami.

Mitchell uniósł brwi i kiwnął głową.

- A z czasem Lydia mogłaby po prostu się zabić... jak nasza matka.



- Czemu nie? - odpowiedział Marston. - Słabe kobiety często decydują się na taki krok. - Wyrzął przez okno, a w jego sercu po raz pierwszy od dłuższego czasu pojawiła się nadzieja. - Wierzę, że ten kryzys może mimo wszystko zostać szybko zażegnany.

## Rozdział 42

Lydia czuła na sobie wzrok Dwighta Robinsona - nie musiała się nawet odwracać. Stała przy oknie w jego gabinecie i wpatrywała się w falujące ulice Kansas City.

- Odbyłem już kilka spotkań z pani pasierbami. Jak się pani zapewne domyśla, nie są zachwyceni. Zamierzają odzyskać spadek i nie cofną się przed niczym, co pozwoli choćby się zbliżyć do wytyczonego celu. - Słyszała, jak adwokat zaczął przerzucać papiery. - Złożyli wniosek o unieważnienie testamentu, ale nie sądzę, żeby mógł on pani przysporzyć jakichkolwiek problemów. Po ponownym zbadaniu sprawy każdy sędzia uzna, że dokument został sporządzony zgodnie z prawem.

Lydia odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

- Naprawdę nie chcę ich spadku. Prawdę mówiąc, nie zamierzam zatrzymać niczego, co należało do Floyda. Planuję im to jak najszybciej oddać i mieć tę sprawę za sobą.

- Ale co z pani przyszłością?

Wygladzając szarą spódnicę, Lydia przeszła na drugi koniec pokoju i usiadła w czerwonym skórzanym fotelu.

- Moja przyszłość jest dobrze zabezpieczona, mam przecież fundusz, który zostawił mi ojciec.

- A co z interesem pani ojca? - zapytał Robinson, zsuwając druciane okulary. - Przecież jest on ściśle związany z zakładem trumniarskim stworzonym przez Floyda Graya. Pani ojciec i mąż mieli w nim po połowie udziałów.

Zmarszczyła brwi.

- Nie chcę mieć nic wspólnego z tym interesem.

- Oprócz tego do rodziny Grayów należą też firma transportowa i dwie kostnice...

Lydia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Czuła się tym wszystkim przytłoczona.

- Myślę, że moglibyśmy omówić z nimi tę kwestię i dowiedzieć się, czy nie byliby skłonni odkupić pani udziałów. - Robinson sięgnął po pióro i przez chwilę trzymał je w górze. - Chciałaby pani, żebym to zrobił?

- Czy to możliwe? A czy dałoby się to zrobić bez mojej obecności?

Prawnik skinął głową.

- Mogę się wszystkim zająć. Także ponownym zbadaniem testamentu. Nie będzie pani musiała się spotykać z sędzią, chyba że uzna to pani za stosowne.

- Z pewnością nie uznam. - Lydia wyprostowała się i złożyła dłonie. - Nie chcę mieć z tą sprawą nic wspólnego ponad to, co absolutnie konieczne. Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby mógł się pan wszystkim zająć.

Prawnik zanotował kilka rzeczy, po czym odłożył pióro. Nachylił się w jej stronę i zdjął okulary.

- Czy mogę być z panią szczery?

Lydia kiwnęła głową. Czyżby do tej pory nie był z nią szczery? Rozmawiali przecież o zawiłych szczegółach jej małżeństwa z Floydem i o przyczynach, dla których ojciec postanowił wydać ją za mąż w tak młodym wieku.

- Pani Gray, boję się o panią. Zmrużyła oczy i uniosła brwi, zaskoczona.

- Słucham?

Robinson wstał, podszedł do frontu swojego biurka i oparł się o nie. Jego krępe ciało zetknęło się z blatem, a on zaczął mówić:

- Obawiam się, że pasierbowie będą gotowi pani zaszkodzić tak bardzo, jak tylko się da. Chcą za wszelką cenę wszystko odzyskać. Słyszałem różne plotki o ich dawnej działalności. Biorąc pod uwagę, jak agresywnym człowiekiem był ich ojciec, uważam, że zupełnie uzasadnione jest przypuszczenie, że mogą się posunąć do najgorszego.

Odchrząknął, jakby wahał się, czy mówić dalej.

- Ci mężczyźni są przyzwyczajeni do tego, że zawsze dostają, czego chcą.

Lydia pokręciła głową.

- Co dokładnie próbuje pan przez to powiedzieć?

- Nie chciałbym rzucać pochopnych oskarżeń ani podawać w wątpliwość ich motywów - wyjaśnił Robinson. - Ale obawiam się, że są gotowi podnieść na panią rękę.

Lydia nie zdołała ukryć zdziwienia, które dało się słyszeć w jej głosie.

- Naprawdę?

- Krążą plotki, że Gray i jego synowie eliminowali już... podobne problemy w przeszłości. Kiedy ludzie stawali im na drodze, czasem po prostu... znikali.

Wybałuszyła oczy.

- Twierdzi pan, że Floyd Gray kazał zabijać ludzi? - Wiedziała, że ta myśl nie powinna budzić w niej tak dużego zaskoczenia, ale nie potrafiła się opanować. Ten mężczyzna był niewątpliwie okrutny... ale morderstwo?

- Niczego nigdy nie udowodniono, ale pogłoski wydają się zbyt liczne, żeby je lekceważyć. Słyszałem, że Marston i Mitchell byli zamieszani w kilka sytuacji, w których zastraszano świadków występujących przeciwko ich ojcu. Niektórych ludzi pobito tak dotkliwie, że już nigdy nie doszli do siebie. Nie wiadomo, czy Grayowie dokonali tych czynów osobiście, ale gotów jestem uwierzyć, że to oni wydawali polecenia.

Lydia z trudem łapała oddech. Żołądek podchodził jej do gardła. Pokręciła głową.

- Nie miałam o tym wszystkim pojęcia.

- Proszę mnie opacznie nie zrozumieć. Zdaję sobie sprawę, że ledwo pani zna moją rodzinę, ale omówiłem pani sytuację z moją żoną Rhodą i chcielibyśmy zaproponować, żeby zamieszkała pani z nami do czasu swojego wyjazdu na Alaskę.

Lydia zaniemówiła. Ta sytuacja całkowicie ją zaskoczyła.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Proszę to przynajmniej rozważyć. Wyjedzie pani dopiero za tydzień albo dwa. Cały czas przygotowuję pani podróż do Sitki.

- Może uda się nam znaleźć sposób, żeby przyspieszyć wyjazd. Zamówiłam już nowe ubrania. Nic z moich rzeczy nie jest wystarczająco proste i solidne, żeby nadawało się do życia na Alasce.

- Bardzo bym się niepokoił, gdyby została pani w tamtym domu. Nie ma tam pani przyjaciół, a dzieci Graya miałyby do pani łatwy dostęp. Służbę zawsze można przekupić, a nawet zapłacić odpowiednią sumę, żeby kogoś skrzywdzić.

Lydia nigdy nie brała pod uwagę takiej możliwości. Tak wiele razy czuła się zagrożona za życia Floyda... Po jego śmierci odnalazła jednak wreszcie spokój. Teraz zrozumiała, jak bardzo się myliła. Dotarło do niej, że dopóki nie opuści Kansas City, nigdy nie zdoła się odciąć od przeszłości.

Była już niemal gotowa przystać na propozycję Robinsona, kiedy nagle prawnik powiedział coś, co sprawiło, że zmieniła zdanie.

- Modliliśmy się za panią i szczerze wierzymy, że to Bóg kazał nam panią zaprosić do naszego domu.

- Nie wierzę w modlitwy - powiedziała Lydia, sztywniejac. Dlaczego ludzie zawsze musieli mówić takie rzeczy? Tak jakby ostemplowanie czegoś imieniem Boga miało uczynić to bardziej oficjalnym albo nadać pozór wyższej konieczności.

Wyraz twarzy Robinsona się zmienił. Mężczyzna wydawał się kompletnie zaskoczony.

- Co pani przez to rozumie? Lydia wstała.

- Musiałam znieść zdecydowanie za wiele z rąk okrutnego i bezwzględnego męża, żebym teraz mogła się ludzi, że Bóg kiedykolwiek się o mnie troszczył. Dawno temu matka powtarzała mi często, że Bóg mnie kocha, chroni i czuwa nade mną, ale małżeństwo z Floydem temu zaprzecza. A teraz proszę wybaczyć, jestem już spóźniona na przymiarki u krawcowej.

Evie jadła właśnie podwieczorek w ulubionej herbaciarni, wysłuchując ciągłych narzekań swojej siostry, która skarżyła się, jakich spustoszeń w jej zdrowiu dokonały zapisy zawarte w testamencie.

- Odkąd się dowiedziałam o śmierci ojca, cierpię na straszliwe bóle głowy - skarżyła się Jeannette. - Czasem muszę godzinami leżeć w ciemnym pokoju, żeby doznać choćby chwilowego ukojenia.

- Przykro mi to słyszeć - powiedziała Evie z roztargnieniem.

Jeannette przyłożyła sobie dłoń do głowy.

- Czasem bolą mnie nawet włosy. Evie wzruszyła ramionami.

- Może powinnaś je ściąć.

- Co za nonsens. Czy ludzie obcinają sobie głowę tylko dlatego, że ich boli? Po prostu staram się wytłumaczyć ci, jak bardzo cierpię.

„Pewnie tak samo jak ja cierpię w tej chwili” - miała ochotę odpowiedzieć Evie. Powstrzymała się jednak. Przez parę chwil obie milczały. Jeannette wepchnęła sobie do ust kilka kawałków tarty cytrynowej, po czym dała kelnerowi znak, żeby dolał im herbaty.

- No cóż, wiem, że nasi bracia nie spoczną, dopóki ta sprawa nie zakończy się po naszej myśli - oznajmiła Jeannette, po tym jak wypłała łyk herbaty. - To wielka ulga, że robią wszystko co w ich mocy, żeby to naprawić. Nie mogę spać, bez przerwy myślę tylko o tym, że ona krąży po domu i pewnie kradnie pamiątki rodzinne, które należą do nas. Wzdrygam się na samą myśl o tym, że mogła już zabrać kieliszki do sherry, które dała matce babcia Beecham.

- Och, bądź rozsądna, Jeannette. Lydii nigdy nie obchodziły rzeczy należące do naszych rodziców.

- Tak sądzisz? Uważam, że udało jej się uspić twoją czujność. Mogła się wydawać przyjaciółką, ale przez cały czas knuła za plecami ojca.

- Knuła? A co niby chciała osiągnąć?

- Zdobyć jego majątek, ukraść pieniądze. Nigdy nie była z nim szczęśliwa, nigdy nie wydawała się zadowolona.

Evie przewróciła oczami i nachyliła się nad siostrą.

- Nasz ojciec ją bił. Została właściwie uwięziona w tym domu. Jak możesz oczekiwać, że będzie szczęśliwa?

Jeannette wybałuszyła oczy i otworzyła szeroko usta.

- Nie powinnaś źle mówić o zmarłych, to przynosi pecha.

- Zdaje się, że pech prześladowuje naszą rodzinę. - Evie odstawiła filiżankę i odłożyła serwetkę na stół. - W każdym razie nie wierzę, żeby Lydia chciała zatrzymać cokolwiek,

co należało do ojca. Poza tym ona nie pije, więc nie musisz się martwić o kieliszki do sherry.

- Jesteś strasznie naiwna. Wierzysz, że to dobra osoba, ale przecież przysporzyła nam samych trosk i zmartwień.

- Trosk i zmartwień? Tak jak wtedy, kiedy opiekowała się nami, gdy chorowałyśmy na odrę? Albo kiedy ubrudziłyśmy błotem nasze niedzielne sukienki i bałyśmy się, że ojciec zbije nas na kwaśne jabłko, jeśli to zobaczy? Zapomniałaś, jak Lydia wzięła od nas sukienki i wyczyściła je, zanim ojciec zdążył wrócić do domu?

Jeannette wytarła nos w chusteczkę.

- Zawsze go okłamywała.

- Nieprawda. Nigdy go nie okłamywała. Lydia po prostu wyczyściła nasze sukienki, zanim ojciec wrócił, a on się w ogóle nie zorientował. Nie możesz nawet przyznać, że zrobiła to bezinteresownie, że po prostu chciała nam pomóc?

- Nie zamierzam nic takiego przyznawać - odpowiedziała Jeannette. - Kierowała się wyłącznie egoistycznymi pobudkami.

Evie pokręciła głową.

- Jakie korzyści wiążą się z wyczyszczeniem dziecięcej sukienki? Lydia próbowała nam po prostu pomóc. Zawsze lubiłaś, kiedy inni dostawali za swoje, więc nie spodziewam się, że zrozumiesz jej motywacje...

Jeannette gwałtownie odetchnęła.

- Jak możesz mówić coś podobnego? Jestem twoją siostrą. Stajesz po stronie tej... tej... chciwej, wiecznie spiskującej kobiety?

- Jak może być chciwa i knuć przeciw nam, skoro majątek, który otrzymała, trafił do niej wskutek decyzji naszego ojca?

- Ale tak się nigdy nie miało stać i doskonale o tym wiesz. Nawet mój mąż niepokoi się tą sytuacją. Mówi, że



Lydia na pewno ma z tym wszystkim coś wspólnego. Być może majstrowała przy testamencie.

- Herman Stone czuje się zaniepokojony tylko dlatego, że miałas odziedziczyć sporą część pieniędzy i obligacji ojca. Naprawdę, Jeannette, nie jestem tak głupia, jak ci się wydaje.

Jeannette wyprostowała się i szybko zmieniła temat.

- Zrobiło się wyjątkowo ciepło jak na tę porę roku. Pan Stone uważa, że to może zwiastować burzę.

- Pani Stone! - zawołał jakiś głos, który dobiegał zza pleców Evie. - Jak dobrze panią widzieć. Choć muszę przyznać, że jestem nieco zdziwiona. Pani ojciec niedawno zmarł. Czy nie jest jeszcze za wcześnie na pojawianie się wśród ludzi?

Evie rozpoznała ostry, nieprzyjemny i oskarżycielski ton Merdiny Winchester. Spojrzała w górę i zobaczyła, że starszej kobiecie towarzyszyła jej wścibska przyjaciółka Rhoda Sterling, żona Nasha Sterlinga.

Najwyraźniej Jeannette nie przejęła się jej słowami.

- Obiecałyśmy naszemu drogiemu ojcu, że nie będziemy traciły czasu na żałobę. Jak widzisz, na jego prośbę zrezygnowałyśmy nawet z chodzenia w czerni. - Zamilkła na chwilę i westchnęła. - Oczywiście była to niezwykle trudna decyzja. Martwiłyśmy się, co pomyślą ludzie, ale życzenia ojca wydawały nam się zdecydowanie ważniejsze niż jakiegokolwiek plotki na nasz temat.

Merdina uniosła podbródek, a na jej twarzy malowało się pełne niechęci lekceważenie.

- A w jaki sposób wasz ojciec mógł uzyskać od was taką obietnicę? Przecież nie spodziewał się chyba, że śmierć nadejdzie tak szybko. Dlaczego w ogóle miałby omawiać z wami podobny temat?

Evie spojrzała na Jeannette, ciekawa, co odpowie na to jej siostra. Tej nigdy nie brakowało argumentów, więc i tym razem doskonale wybrnęła z sytuacji.

- Jak dobrze wiesz, nasz ojciec był praktycznym, twardo stąpającym po ziemi człowiekiem. Oczywiście nie zdawał sobie sprawy, że będzie musiał się rozstać z życiem w tak młodym wieku. Miał w końcu tylko pięćdziesiąt cztery lata. - Jeannette zamyśliła się nad swoimi słowami, a stojące obok kobiety czekały na wyjaśnienie. Evie widziała już wielokrotnie, jak jej siostra decydowała się na tę taktykę, żeby udowodnić, że panuje nad konwersacją. - Ale ponieważ cechowała go jednocześnie niezwykła mądrość, miał świadomość, że nadejdzie i jego dzień - mówiła dalej Jeannette. - Któregoś razu wezwał nas do siebie i oznajmił, że mamy nie marnować życia na opłakiwanie jego śmierci. Nie chciał, żebyśmy rozpamiętywali jego odejście, składali wieńce i nosili opaski żałobne. Zażądał, żeby zrezygnować z jakichkolwiek oficjalnych pożegnań i oddawania mu czci. I choć trudno mierzyć się z pytaniami tych, którzy nie potrafią tego zrozumieć, istotny jest fakt, że wypełniamy jego wolę. - Wytarła nos w chusteczkę, jakby miała zaraz się rozplakać, po czym dodała: - W podobny sposób Jezus wypełnił wolę Swego Ojca.

Evie miała ochotę głośno się roześmiać, ale zamiast tego pochyliła głowę. Wyglądało to tak, jakby cicho powiedziała „Amen” na koniec przemowy Jeannette.

- Widzisz, zdenerwowałaś moją siostrę. No już, już Genevieve, nie pozwól, żeby niepokoiła cię zła wola innych.

Merdina głośno parsknęła, a pani Sterling zachowała milczenie. Evie podniosła wzrok i napotkała ich surowe twarze, ale nic nie powiedziała.

Rhoda Sterling poklepała przyjaciółkę po ramieniu.

- Chodź, Merdina. Pozwólmy im oddać się... żałobie.

Evie nie umknął sarkazm jej słów. Miała ochotę zachichotać, ale Jeannette spojrzała na nią ostrzegawczo. Kiedy obie kobiety odeszły od ich stolika, siostra pochyliła się w stronę Evie i powiedziała:

- Chodźmy stąd. Nie pozwolę, żeby oceniały nas osoby tego pokroju. - Wstała i owinęła się szalem. - Ach, czy zechciałabyś zapłacić? Niestety zapomniałam torebki.

- Oczywiście - zapewniła Evie, która spodziewała się tego pytania. Jeannette Gray-Stone nigdy za nic nie płaciła. Dzięki temu mogła przeznaczać pieniądze, które dostawała od męża, na swoje sekretne słabości, takie jak wielka miłość do brandy.

## Rozdział 52

Kilka dni później w rezydencji Grayów pojawił się Dwight Robinson, który przyniósł Lydii bilety na podróż.

- To nie będzie łatwa podróż - uprzedził. - Ustaliłem z jednym z moich pracowników, że będzie pani towarzyszył w drodze na zachód, do San Francisco. Zdarzają się czasem utrudnienia na trasie, dlatego cieszę się, że nie będzie pani samotnie podróżowała pociągiem.

Lydia przyjrzała się telegramowi, który podał jej Robinson. Znajdowała się tam krótka informacja o jej statku „Newbern”, parowcu należącym do Kwatermistrzostwa.

- Poinformowano mnie - powiedział prawnik - że statek nie jest zbyt duży. Dawniej przewoził zapasy na Alaskę, teraz często zabiera na pokład małe grupy pasażerów. Dostałem telegram od przyjaciela z San Francisco, Ernesta Woodruffa, który zapewnił mnie, że zorganizuje całą podróż. Będzie czekał z biletem, ale musi pani dotrzeć do San Francisco do 25 kwietnia, kiedy wyrusza statek.

- To bardzo mało czasu - zaniepokoiła się Lydia. Z każdym wypowiedzianym przez Robinsona słowem stawała się coraz bardziej podekscytowana, czuła, że przygoda ją wzywa.

- To prawda. Musi pani wyruszyć już jutro, żeby na czas dotrzeć do Omahy i tam złapać pociąg.

- Jutro? - Lydia spojrzała na niego przerażona. Spodziewała się, że zostanie jej przynajmniej kilka tygodni na załatwienie wszystkich spraw i ostatnie przygotowania.

- Wiem, że to szybciej, niż pani sądziła, ale nic więcej nie mogłem zrobić. Naprawdę trudno o jakikolwiek transport na Alaskę. Te tereny należą do Stanów Zjednoczonych dopiero od kilku lat i rząd nadal nie podjął decyzji, co z nimi zrobić. Wielu ludzi jest zdania, że samo ich kupno było błędem.

- Moja ciotka twierdzi, że to najpiękniejsze miejsce na świecie - powiedziała Lydia, przypominając sobie niezwykle opisy z listów Zeredy. - Jestem przekonana, że Alaska okaże się z czasem dobrą inwestycją.

- Szczerze w to wątpię - odpowiedział Robinson, który po chwili się zreflektował. - Mam tylko nadzieję, że będzie tam pani szczęśliwa. Wydaje się, że to surowe i odizolowane miejsce.

- Ale mieszka tam moja ciotka, a to mi wystarczy.

- Doskonale. Mój człowiek przyjedzie po panią jutro o dziesiątej rano. Zdaży się pani przygotować do tego czasu?

Lydia pomyślała o wszystkich rzeczach, które musiała jeszcze załatwić, ale nagle uświadomiła sobie, że nie ma przecież nic ważniejszego od wyrwania się z domu Grayów i porzucenia tego okropnego miejsca.

- Będę gotowa. - Zerknęła na zegarek. - Ale teraz muszę pana przeprosić. Powinnam jak najszybciej zająć się zakupami, które, jak pan wie, są przed tą podróżą niezbędne.

- Czy mógłbym coś zasugerować?

Lydia kiwnęła głową, zastanawiając się, co takiego Robinson chce powiedzieć.

- Oczywiście, chętnie przyjmę wszelkie rady. Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

- San Francisco to duże miasto. Znajdzie tam pani wszystko, co będzie potrzebne na podróż. Radziłbym, żeby wzięła pani z sobą do pociągu jak najmniej rzeczy. Lepiej wszystko kupić już na miejscu.

Lydia rozważała przez chwilę jego słowa.

- Zamówiłam już kilka strojów.

- Myślę, że kiedy będą już gotowe, moja żona mogłaby uregulować rachunek w pani imieniu, a ja wysłałbym je po prostu do Sitki.

- To rzeczywiście dobry pomysł. Zamiast tego mogłabym na razie kupić kilka gotowych ubrań.

- Myślę, że to zdecydowanie lepsze rozwiązanie. A więc jutro rano przyjedzie po panią jeden z moich pracowników, Lytle. Weźmie z sobą wystarczającą kwotę, żeby móc pokryć wszystkie pani potrzeby. Zajmę się też wszelkimi formalnościami, które są niezbędne do tego, żeby mogła pani swobodnie korzystać ze swojego rachunku bankowego w San Francisco. Być może zechce tam pani zrobić dodatkowe zapasy na Alaskę. Wydaje mi się, że na statku bez problemu zgodzą się na takie rozwiązanie.

- Nie myślałam o zabraniu zapasów, ale ma pan rację. Powinnam pewnie kupić żywność i inne rzeczy, które się przydadzą po moim przyjeździe. - Lydia zaczęła się zastanawiać nad wszystkim, co mogłoby się okazać potrzebne. Chciała też przywieźć ciotce jakieś prezenty. Od lat nie widziała Zereldy, choć przez cały czas regularnie korespondowały.

- No cóż, jeśli to wszystko - powiedział Robinson - pójdę już. Proszę się nie martwić: ureguluję wszelkie kwestie prawne. Będę kierował całą korespondencją do Sitki, do pani ciotki. Przypuszczam, że weryfikacja testamentu zakończy się w ciągu kilku tygodni. Raczej nie ma powodów, by zakładać, że dojdzie do niepomyślnych dla nas rozstrzygnięć.

- Dziękuję... za wszystko. - Lydia lekko pochyliła głowę. - Wiem, że podczas naszego ostatniego spotkania zrobiłam panu przykrość tą uwagą o Bogu. Mam nadzieję, że

mi pan to wybaczy i zdoła odłożyć na bok wszelkie urazy. Nie chciałam zrobić panu przykrości.

- Moja droga pani Gray, nie chowam do pani urazy. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Obawiam się, że życie uczyniło mnie nieco zbyt zgorzkniałą. Ale nadzieję... nadzieję pokładałam teraz w przyszłości.

Kiedy wróciła do domu z zakupów, ku swojemu zaskoczeniu zastała wszystkie dzieci Graya zgromadzone w salonie. Panowała dość uroczysta atmosfera. Służba czekała w gotowości, a kiedy Lydia weszła do pomieszczenia, jej pasierbowie pili herbatę.

- Gdzie byłaś? - zapytał Marston, wstając. Wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę.

- Nie sądziłam, że muszę ustalać z tobą swój plan dnia. Marston zmrużył oczy, ale nagle jego wyraz twarzy całkowicie się zmienił.

- Nie musisz mówić do mnie tym tonem. Martwiliśmy się po prostu o twoje bezpieczeństwo. Musimy omówić nasze sprawy. - Machnął na służących i poczekał, aż wszyscy wyjdą, po czym ciągnął dalej. Ton jego głosu okazał się miłszy niż kiedykolwiek wcześniej. - Bardzo by nam zależało na tym, żeby poznać twoje plany na przyszłość. Czy są jakieś kwestie, w których moglibyśmy ci służyć pomocą?

Lydia pomyślała o swoich planach, o podróży na Alaskę, ale nic nie powiedziała, wybita z rytmu przez łagodny ton Marstona. Rozumiała wściekłość i nienawiść Grayów, ale kiedy któryś z nich starał się być miły, należało mieć się na baczności.

Zamiast usiąść obok pasierbów, Lydia stanęła za najbliższym krzesłem. Oparła dłonie na bogato zdobionej ramie

i spojrzała w oczy każdemu z rodzeństwa po kolei. W końcu odezwała się.

- Nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, w jaki moglibyście mi pomóc. Powinniście jednak wiedzieć, że nie mam zamiaru zatrzymać rzeczy waszej matki - powiedziała, patrząc wprost na Jeannette. - Bizuteria i futra mnie nie interesują. Jakiś czas temu ojciec założył dla mnie fundusz powierniczy i nie potrzebuję nic więcej. Niezależnie zatem od ostatecznego wyniku weryfikacji testamentu - tym razem zwróciła się w stronę Marstona i Mitchella - chciałabym, żebyście dostali zarówno ten dom, jak i całe jego wyposażenie. Rozmawiałam już z moim prawnikiem, który wszystko załatwi, kiedy tylko rozstrzygnie się sprawa testamentu.

Marston usiadł i sięgnął po filiżankę.

- A co z resztą majątku: przedsiębiorstwami, obligacjami i kontami bankowymi?

- Prawnik poradził mi, żeby te kwestie pozostawić decyzji sądu. O to też ma zadbać.

- Co zamierzasz robić w oczekiwaniu na wyrok? - zapytał Mitchell.

Lydia ostrożnie dobierała słowa.

- Prawnik przygotowuje dla mnie nowe mieszkanie. Mam nadzieję, że szybko opuszczę ten dom. Pragnę zabrać stąd tylko swoje skrzypce i kilka osobistych drobiazgów, które wniosłam do małżeństwa.

- Nie zabierasz ubrań? - zapytała zaskoczona Jeannette.

- Nie, możesz śmiało z nich korzystać - odpowiedziała Lydia, która doskonale wiedziała, że mocniej zbudowana Jeannette nigdy nie zmieści się w żadną z jej sukien.

Evie patrzyła na nią przez chwilę i uśmiechnęła się. Lydia wiedziała, że młoda kobieta dobrze ją rozumie. Nie chciała zabierać niczego, co przypominałoby jej o przeszło-



ści. Żadnych ozdób. Żadnych pamiątek po dwunastu latach strachu i bólu.

- Cieszę się, że zaczynasz się zachowywać nieco rozsądniej. To nam wszystkim wiele ułatwi. Zależy nam, żeby podzielić dobra i sprzedać ten dom tak szybko jak to możliwe - oznajmił Marston rzeczowym tonem człowieka interesu. - Co do tej drugiej kwestii, chcielibyśmy omówić twoje plany. Obaj z Mitchellem posiadamy akcje Zakładu Trumniarskiego Rockforda i Graya. Jesteśmy osobiście zainteresowani przyszłością tej firmy, podobnie jak firmy meblarskiej.

- Rozumiem, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób prawnik zamierza się zająć tą sprawą. Oczywiście możecie w każdej z chwil z nim o tym porozmawiać.

Marston odstawił filiżankę.

- Ale czy nie możemy porozmawiać o tym z tobą? - Raz jeszcze zaskoczył ją łagodnym tonem. - Lydio, wiesz, że ciężko pracowaliśmy na ten interes. Rockford i Gray produkuje najlepsze trumny w kraju. Nie możemy zepsuć sobie reputacji. To by się nie opłacało ani tobie, ani nam.

- Mój ojciec też wiele zainwestował w ten interes. Jeśli dobrze pamiętam, kiedy wychodziłam za Floyda, duża suma pieniędzy zmieniła właściciela. Ojciec już wtedy produkował trumny, tak jak wielu producentów mebli. Interes waszego ojca zaczął podupadać, więc ten układ opłacał się obu stronom. Niestety, zostałam wbrew swej woli wplątana w całą tę sprawę.

- Ty też na tym skorzystałaś... - zaczął Mitchell. Lydia podniosła rękę.

- Nie będę z tobą dyskutowała na ten temat. Powiem tylko, że wszyscy byliście świadkami nieszczęść, które musiałam znosić. Wszyscy doskonale znamy prawdę. Wy też ją znacie. Wasz ojciec był niezwykle apodyktyczny, okrutny i nieczuły. Bił was bez powodu, podobnie jak bił mnie.

- Lydia czuła, że jej gniew zaczął narastać. - Nie obchodzi mnie, co o mnie myślicie. Kiedy wyszłam za waszego ojca, byłam młodą dziewczyną i starałam się, jak tylko mogłam. Przyjeżdżając tu, czułam prawdziwe przerażenie, ale na pewno nie będę opuszczała tego domu przepelniona strachem. Zniosłam najgorsze, co może znieść kobieta. Wielokrotnie poroniłam - straciłam dzieci. Nocami leżałam, nie mogąc zasnąć i bojąc się, co przyniesie przyszłość. Teraz wyzwoliłam się wreszcie i nigdy więcej nie pozwolę sobie na to, żeby znowu stać się ofiarą.

- Prawdziwa męczennica - mruknęła Jeannette. Marston odwrócił się do siostry.

- Uciszyć się, Jeannette. Lydia ma rację. Wiele zniosła, odkąd musiała zamieszkać w tym domu.

Kiedy Marston stanął w jej obronie, Lydię zalała fala zdziwienia. Nigdy nie okazał jej jakiegokolwiek wsparcia czy akceptacji. Razem z Mitchellem całymi latami traktował ją okrutnie i agresywnie, dlatego w najśmielszych snach nie spodziewałyby się takiego gestu.

Zdając się czytać jej w myślach, Marston zwrócił się do Lydii.

- Szczególnie żałuję swojego zachowania. Niestety prawda jest taka, że chciałem się przypodobać ojcu i z tego powodu zachowywałem się w sposób niegodny prawdziwego gentlemana.

Zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc postanowiła zachować milczenie. Wszyscy pozostali wydawali się zaskoczeni słowami brata. Siedzieli w ciszy, jakby próbowali zrozumieć, czy to jakiś nowy, nieplanowany wcześniej fortel.

- Mamy nadzieję, że rozumiesz nasze położenie - powiedział Mitchell. Lydia puściła oparcie krzesła i skinęła głową.

- Wydaje mi się, że doskonale je rozumiem. Marston wstał.

- Sądzę, że już zbyt długo narzucaliśmy ci swoje towarzystwo. - Mitchell i Jeannette ruszyli za nim do drzwi, a Evie powoli dopiła herbatę i też zaczęła się zbierać.

Marston Gray naprawdę zaskoczył Lydię. Zaczął rozmowę, wysuwając jak zwykle żądania, po czym nagle przeprosił ją za dwanaście lat okrucieństwa. To dziwne: ludzie wierzą, że zwykle przeprosiny mogą przekreślić udrękę i cierpienia, które sami spowodowali.

Lydia usłyszała, że podeszła do niej Evie, więc odwróciła się w jej stronę. Dziewczyna nigdy nie była wobec niej okrutna, ale często musiała robić to, co nakazywało jej rodzeństwo.

- Przykro mi, że życie w tym domu okazało się dla ciebie tak trudne i przysporzyło ci tyle smutku.

- Mnie też jest przykro, że musiałaś to wszystko znosić. Żałuję, że dorastałaś bez miłości i czułości matki... a tym bardziej ojca. - Chciała powiedzieć, że ma świadomość, że Evie nie odnalazła bliskości także w małżeństwie, ale powstrzymała się, bo uznała, że niepotrzebnie zraniłaby pasierbicę.

Evie kiwnęła głową i wzięła Lydię za rękę.

- Mam nadzieję, że wyjedziesz stąd jak najdalej. Zasługujesz na szczęście. Modłę się, by moi bracia dali ci spokój. Mają przecież mnóstwo własnych pieniędzy. Może będą musieli nieco przekonstruować swoje życie i inaczej zaplanować przyszłość, ale szczerze mówiąc, żaden z nich szczególnie tego nie odczuje.

- Cieszę się - odpowiedziała Lydia. - Mam nadzieję, że to samo dotyczy ciebie i Jeannette.

- Och, Boże, mój mąż nawet nie wie, na co przeznaczać wszystkie swoje pieniądze, a Jeannette, choć musi się na-

uczyć nieco ograniczać wydatki, pewnie nadal będzie nosiła najmodniejsze stroje. Lydia się uśmiechnęła.

- A to zapewne wszystko, co liczy się dla Jeannette. Evie też szeroko się uśmiechnęła.

- No cóż, to i pozycja społeczna. Myślę, że jeśli w pewnym momencie okaże się, że bez pieniędzy ojca nie będzie już mile widziana pośród elity tego miasta, to uderzy w nią najbardziej. - Evie podeszła do drzwi i włożyła rękawiczki. Odwróciła się i spojrzała na macochę, jakby sobie uświadomiła, że widzi ją po raz ostatni.

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy i Lydia nie była pewna, co powinna powiedzieć. Nie chciała zdradzać żadnych szczegółów, które mogłyby utrudnić jej wyjazd następnego ranka.

- Mam nadzieję, że odnajdziesz szczęście - szepnęła w końcu.

Po twarzy Evie przemknął cień. Po chwili zniknął i dziewczyna się uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, że ty też je odnajdziesz.

W jej głosie rozbrzmiewał pożegnalny ton, który zasmucił Lydię.

Gerard Lytle okazał się miłym towarzyszem podróży. Był tylko trochę wyższy od Lydii, tęgi, umięśniony i sprawiał wrażenie dobrego rozmówcy.

- Miło mi panią poznać, pani Gray. Wiele razy marzyłem o tej podróży. - Zamilkł na chwilę i lekko spuścił wzrok. - Mam nadzieję, że nie uraziłem pani tym oświadczeniem.

Lydię wzruszyła jego troska o to, że mógłby swoją uwagą w jakikolwiek sposób naruszyć etykietę.

- Oczywiście, że nie. Cieszę się, że będzie mi pan towarzyszył. Nie miałam pewności, w jaki sposób zdołałabym odbyć tak długą podróż w samotności.

- Chciałem pojechać pociągiem na zachód, odkąd w zeszłym roku otwarto linię kolejową. - Jego ożywiony ton rozbudził entuzjazm Lydii. - Oczywiście nadal zdarzają się problemy z Indianami, ale proszę się nie obawiać. Zabrałem z sobą strzelbę i gdyby zaszła taka potrzeba, będę panią chronił, choćbym miał ryzykować własnym życiem.

- Jest pan niezwykle uprzejmy. - Lydia się uśmiechnęła i wskazała kilka swoich niewielkich pakunków. - Zabieram tylko te rzeczy. - Sięgnęła po futerał. - Dałam służbie dzień wolny.

- To też mogę od pani wziąć - zaproponował Lytle, spiesząc ku niej.

- Nie, dziękuję, nikomu nie powierzyłabym swoich skrzypiec. Były moją jedyną pociechą przez wiele lat.

- Doskonale to rozumiem - zapewnił, sięgając po inne pakunki. - Nic tak nie koi duszy jak muzyka.

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Tak, to prawda.

Wyszli z domu i Lytle pomógł Lydii wsiąść do powozu. Zabezpieczył bagaże, po czym usiadł naprzeciw niej. Wydawało się, że zdążył zauważyć, w jakim była nastroju - dlatego postanowił nie męczyć swojej towarzyszki kurtuazyjną wymianą zdań.

Lydia nie mogła się powstrzymać: spojrzała na dom, który opuszczała. Myślała o latach, które w nim zmarnowała, o czasie, kiedy była zakładniczką Floyda Graya. Gdyby miała u boku miłego, uprzejmego mężczyznę, zostałyby jej może szczęśliwe wspomnienia. Mimo że małżeństwa nie zawarła z własnej woli, kochający człowiek zdołałby pewnie odmienić jej serce. Poznałaby wielką radość i pełną pasji

miłość. Zamiast tego coś w jej wnętrzu umarło i miało już na zawsze pozostać pochowane właśnie tutaj, w rezydencji Grayów.

Jej wzrok przeniósł się w górę, ku tarasowi na dachu domu, z którego rzuciła się Charlotte Gray. Niewątpliwie pierwsza żona Floyda pragnęła ucieczki tak samo jak Lydia. Prawdopodobnie i ona była przez męża zanedbywana, i nad nią musiał się znęcać. Najwyraźniej Charlotte nie dała rady tak dłużej żyć.

„No cóż, obie zdołałyśmy uciec - pomyślała. - Obie odzyskałyśmy wolność, ale ja wkraczam na nową ścieżkę nadziei". Powóz ruszył przed siebie, a w jej myślach rozbrzmiewały tony IX symfonii Beethovena. W duszy słyszała jej słowa:

*O bracia, nie w te tony! Pełną piersią iv miłsze uderzmy, górniesze i bardziej radosne! Radości! Radości!*

„Radości! Radości!". Świat znowu stał przed nią otworem. Będzie radosna i szczęśliwa. Naprawdę szczęśliwa, po raz pierwszy w życiu.

## Rozdział 63

12 MAJA 1870 ROKU

Podróż do Sitki okazała się dla Lydii niezwykle żmudna i uciążliwa. Nigdy wcześniej nie przemierzyła takiej odległości. Z trudem znosiła niekończące się kilometry jazdy pociągiem pośród sadzy i dymu tylko po to, żeby odkryć, że podróż przez ocean jest jeszcze gorsza. Nawet teraz, kiedy „Newbern” stał już w porcie u wybrzeży Sitki, delikatne kołysanie fal przyprawiało ją o mdłości.

„Błagam, niech już pozwolą nam wysiąść na brzeg” -pomyślała, przyciskając do nosa perfumowaną chusteczkę. Słodki zapach lawendy natychmiast przyniósł jej ukojenie.

Panna Sophia Cracroft stała na pokładzie niedaleko niej, u boku swojej ciotki lady Jane Franklin, która przyjechała na Alaskę szukać pamiątek po mężu, sir Johnie Franklinie. Zmarł on dwadzieścia cztery lata wcześniej, kiedy usiłował odkryć na północnym zachodzie połączenie między Atlantykiem a Pacyfikiem. Lady Franklin, delikatna, choć jednocześnie mocnej budowy siedemdziesięciodziewięcioletnia Angielka, miała nadzieję, że dokumenty i zapiski z wyprawy męża odnajdą się w jednej z osad na dalekiej północy.

Lydia nie знаła nikogo więcej na pokładzie. Powiedziano jej, że lady Franklin woli się trzymać z dala od innych albo przebywać w towarzystwie siostrzenicy. Teraz, patrząc

ponad taflą wody na Sitkę, Lydia usiłowała się przyrzuć niewielkiej osadzie domów z bali.

- Tam, po lewej, znajduje się indiańska wioska.

Obok niej stanął jeden z oficerów. Nie pamiętała jego nazwiska, ale lekko się do niego uśmiechnęła.

- Czy Indianom dobrze się tam żyje?

- Chyba tak - odpowiedział mężczyzna. - Nazywają ten teren Ranczem. Rosjanie przejęli tę nazwę z jednej ze swoich kalifornijskich kolonii.

Lydia spojrzała w stronę długich domów z bali. Były dość duże i zakładała, że w każdym z nich może mieszkać kilka rodzin. Od plaży do trzech pierwszych budynków biegła wysoka drewniana palisada. Zerelda opowiadała jej wiele historii o Indianach z plemienia Tlingit, którzy żyli na tych terenach. Ciotka darzyła tych ludzi ogromną sympatią, choć przyznawała, że niektóre ich zwyczaje wprawiały ją w zakłopotanie.

- Wiele tutejszych budynków jest w opłakanym stanie - powiedział oficer. - Większość Rosjan wyjechała, zabierając z sobą swoje interesy, a miasteczko bardzo na tym ucierpiało. Ale nadal można tu znaleźć liczne sklepy i salony.

Lydia skinęła głową. Zerelda mówiła jej o co najmniej dwóch browarach, które produkowały alkohol dla tutejszych mieszkańców. Wyglądało na to, że choć importowanie go na Alaskę pozostawało nielegalne, wytwarzanie uznawano za dopuszczalne. Zerelda nienawidziła tego procederu, bo Indianie mieli bardzo słabą odporność na alkohol, a mimo to bardzo go pragnęli.

- Rozumiem, że ma tam pani rodzinę. Lydia kiwnęła głową.

- Moja ciotka mieszkała w Sitce, jeszcze zanim Amerykanie kupili te tereny. Jest pielęgniarką.

- Przyjechała, żeby pomagać w szpitalu wojskowym?



- Nie. Zatrudniła ją pewna niemiecka rodzina. Z tego, co wiem, żona cierpiała na napady choroby i jej mąż chciał, żeby zajmowała się nią osoba wykwalifikowana, która mogłaby pomagać, kiedy dolegliwości przykuwałyby tę kobietę do łóżka.

Podszedł do nich młody marynarz.

- Przepraszam, ale kapitan polecił przekazać pani, że szalupa jest już gotowa.

- Pora się zatem pożegnać - oznajmił towarzysz Lydii. - Pozostaniemy tu jeszcze przez krótki czas, więc może znów panią spotkam.

Lydia zorientowała się, że mężczyzna wydawał się bardzo zainteresowany jej reakcją na tę sugestię. Kiedy statek poruszył się na wodzie, znowu poczuła, że ścisnął jej się żołądek.

- Może. - Nic więcej nie dodała.

Zbierając rzeczy, Lydia odrzuciła pomoc oficera i ruszyła w stronę miejsca, w którym szalupa czekała na pasażerów. Lady Franklin i panna Cracroft już w niej siedziały. Pozwoliła stojącemu na jej pokładzie młodemu mężczyźnie wziąć jej torbę podróżną, a sama kurczowo trzymała skrzypce.

- Reszta pani rzeczy zostanie później przetransportowana na brzeg.

Lydia skinęła głową.

- Przyślę po nie kogoś.

Jeśli większy statek sprawiał, że Lydii trudno było nad sobą panować, to mniejsza łódź okazała się jeszcze gorsza. Ciągłe kołysanie przyprawiało ją o mdłości i obawiała się, że znowu źle się poczuje.

Wyprostowała się i po raz kolejny przyłożyła do nosa perfumowaną chustkę. Miała nadzieję, że szalupa niedługo przybije do brzegu. Lady Franklin szepnęła coś do siostrzenicy i po chwili młoda kobieta wyciągnęła rękę w stronę Lydii.

- Moja ciotka mówi, że miętówka powinna przynieść pani ulgę.

Lydia przyjęła ten prezent i włożyła miętówkę do ust, zaniepokojona, czy nie podrażni jej żołądka. Okazało się jednak, że cukierek natychmiast pomógł. Lydia głęboko odetchnęła i oparła się na siedzeniu, kurczowo ściskając futerał ze skrzypcami. Podróż prawie dobiegła końca. Już niedługo zobaczy Zereldę i wszystko się ułoży.

Lydia robiła teraz wszystko, żeby skupić się jedynie na wizji szczęścia, które miała nadzieję odnaleźć w Sitce. Spojrzała w dal, w stronę gór. Ośnieżone szczyty wyglądały majestatycznie, były skąpane w słońcu, które zdawało się opadać z wysoka i rozświetlać gęste lasy świerków i jodeł. Właśnie ten piękny widok opisywała jej Zerelda.

Łódź zbliżała się do niewielkiego portu, a w zasięgu wzroku pojawiły się maleńkie zielone wysepki rozrzucone wzdłuż wybrzeża. Wydawało się, że na niektórych mieszkają ludzie. Lydia zastanawiała się, jakie to uczucie, żyć z dała od wszystkich. A po chwili uświadomiła sobie, że w wielu aspektach tym właśnie stanie się dla niej codzienność w Sitce.

Była ciekawa, gdzie mieszka Zerelda. Ciotka opisała jej całą posiadłość i swój domek na Wyspie Baranowa, ale Lydia nie miała pojęcia, jak ją znaleźć. Mogła tylko liczyć na to, że ktoś, kto zna Zereldę, potrafi wskazać właściwą drogę.

Mężczyźni przycumowali niewielką szalupę, po czym zaczęli pomagać kobietom schodzić na ląd. Lydię znów opanowała fala mdłości. Nie mogła się doczekać, aż wreszcie poczuje ziemię pod stopami. Zdażyła się już przekonać, że nie jest stworzona do podróży. Zresztą i tak nie zamierzała szybko opuszczać Sitki. Chciała tu zostać, nawet gdyby bardzo jej nie odpowiadało czekające ją odosobnienie i tutejsze proste życie.

- Pani uważa, powierzchnia jest nierówna - ostrzegł siwowłosy marynarz, podając jej torbę. Skinęła głową, z trudem utrzymując równowagę. - Pewnie przez jakiś czas będzie pani trudno się utrzymać na nogach... znaczy trudno będzie chodzić. - Mężczyzna zarumienił się i szybko odwrócił.

Lydia z ulgą przyjęła fakt, że marynarz zajął się lady Franklin. Zaraz potem zdecydowała się na pierwszy krok po długiej podróży morskiej. Ruszyła ostrożnie i z niemałym zdziwieniem zauważyła, jak bardzo jest osłabiona. Miała nogi jak z waty i wydawało jej się, że całkowicie odmawiają jej posłuszeństwa. Marzyła tylko o tym, żeby gdzieś usiąść, ale najbliższa ławka znajdowała się na końcu kei.

Ludzie krążyli wokół nabrzeża. Większość z nich stanowili mężczyźni, którzy wyskakiwali z niewielkich kutrów rybackich albo szykowali się do wypłynięcia. Niektórzy zerkali na nią z zachwytem, ale mimo to koncentrowali się przede wszystkim na pracy. Lydia wpatrywała się tęsknie w grubo ciosaną ławkę. Gdyby tylko zdołała tam dotrzeć, mogłaby odpocząć.

Żeby nie myśleć o mdłościach, które ją ogarnęły, zmusiła się do obserwowania rybaków przy pracy. Zadziwiła ją lekkość, z jaką młodzi mężczyźni zeskakiwali z przycumowanych kutrów albo wskakiwali na nie. Dalej na nabrzeżu dostrzegła kilka frachtowców, na które ładowano zapasy. Marynarze zdawali się bez trudu podnosić te wszystkie ogromne skrzynie. Na ich ramionach rysowały się potężne mięśnie, ale na twarzach utrzymywał się spokój, jakby nosili lekkie jak piórko pakunki.

Lydia zrobiła kolejny krok i nagle zakreśliło się jej w głowie. Przez chwilę walczyła z bagażem, ale szybko rzuciła go na ziemię, żeby nie upuścić skrzypiec. Starła się znaleźć coś, o co mogłaby się oprzeć, ale nagle zorientowała się, że niczego takiego nie ma w pobliżu. Zamknęła oczy, mając nadzieję, że świat przestanie wirować.

- Nic pani nie jest?

Znowu otworzyła oczy. Zobaczyła obok siebie wysokiego, jasnowłosego mężczyznę. Próbowała mu odpowiedzieć, ale nie zdołała wydusić z siebie ani słowa. Zalała ją ciemność i w tej samej chwili ciepłe ręce opadły na jej ramiona.

Kjell Lindquist wpatrywał się osłupiały w kobietę, którą trzymał. Przeszedł do portu, żeby sprawdzić, czy z tym transportem przyplłynął zamówiony przez niego brzeszczot do piły, na który czekał już od jakiegoś czasu. Ale teraz... taka niespodzianka. Przesunął się lekko i wziął kobietę na ręce. Rozejrzał się, nie mając pojęcia, co robić. Jego wóz stał na skraju drogi. Pomyślał, że mógłby zabrać nieznajomą do szpitala.

- Wygląda na to, że miałeś niezły połów - zawołał Britney Roberts ze swojej łodzi „Merry Maid”.

- Po prostu całkiem niespodziewanie wpadła mi w ręce. Britney roześmiał się.

- A nie mówiłeś przypadkiem niedawno, że gdyby dobry Bóg miał dla ciebie żonę, musiałby ją rzucić w twoje ramiona?

Kiedy Kjell usłyszał te słowa, o mało nie wypuścił nieznajomej z rąk. Rzeczywiście to powiedział. Odpychając od siebie tę myśl, uznał, że to tylko przypadek, a nie zrządzenie losu. Młoda kobieta jęknęła, a on nie mógł się powstrzymać i spojrzał na nią. Miała niezwykle bladą skórę, a mimo to była bardzo ładna. Przypominała delikatną porcelanową lalkę.

Przyglądając się jej ze zdumieniem i zaniepokojeniem, kiedy tak trzymał ją w ramionach, Kjell czuł niezwykły

spokój. Coś go w tej ciemnowłosej piękności intrygowało. Nagle kobieta zaczęła się poruszać. Co miał jej powiedzieć? Jak mógł jej pomóc?

Czarne rzęsy poruszyły się i odsłoniły ciemnobrązowe oczy. Z początku nieznajoma nic nie powiedziała: była wyraźnie oszołomiona. Kjell uśmiechnął się, mając nadzieję, że złagodzi jej strach.

- Witam - powiedział łagodnie. - Przypuszczam, że pani zemdląca.

- Chyba tak. - Przyłożyła rękę do czoła. - Niezbyt dobrze znoszę podróże statkiem.

Kjell odchrząknął.

- Niestety nie pani jedna. Wielu ludzi ma z tym ogromne problemy. - Myślał, że nieznajoma poprosi, żeby ją puścił, ale ponieważ tego nie zrobiła, ruszył w stronę wozu. - Nazywam się Kjell. Kjell Lindquist.

- Chell? Cóż to za dziwne imię?

- Szwedzkie. Wymawia się je inaczej.

Zamknęła oczy i po chwili znowu je otworzyła, jakby usiłowała się skoncentrować. Pomyślał, że może znowu zemdleje, ale zamiast tego powiedziała: - Nazywam się Lydia Gray.

- Mam tu swój wóz. Czy mógłbym panią gdzieś zawieźć? - zapytał.

- Nie wiem. Nie wiem, gdzie powinnam jechać. Szeroko się uśmiechnął.

- No cóż, idę o zakład, że wolałaby pani znaleźć się jak najdalej od nabrzeża.

Kiwnęła głową.

- Mieszka tu moja ciotka, ale nie wiem niestety, gdzie dokładnie.

- Jak się nazywa? Znam tu prawie wszystkich. Wie pani, Sitka nie jest zbyt duża. - Dotarł do wozu i wspiął się na

niego, mocno trzymając Lydię. „Ona prawie nic nie waży” - pomyślał, delikatnie ją sadzając. Usiadł obok. - Czy zna pani nazwisko ciotki?

- Oczywiście. Chodzi o Zereldę Rockford.

- Och, Zee. Oczywiście, że ją znam. Niezwykła kobieta. Naprawdę wspaniała osoba. Wszyscy ją kochają. Mieszka na terenie posiadłości Saberhagenów.

Lydia uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

- Tak, to ona. Pracowała u pana Saberhagena i jego żony. Nazwał ją pan Zee? To zaskakujące.

- To ona wprowadziła ten zwyczaj. Niektóre dzieci z plemienia Tlingitów miały problemy z wymówieniem jej imienia, więc skróciła je do „Zee”.

Lydia nagle odwróciła się z przerażeniem.

- Moja torba! Skrzypce! - zamierzała już powoli zacząć schodzić z wozu, ale Kjell ją powstrzymał.

- Przyniosę je. Przepraszam, nie zauważyłem żadnych pakunków. - Zeskoczył z wozu i wrócił na nabrzeże, gdzie znalazł ciężką torbę podróżną i futerał ze skrzypcami.

Kiedy Kjell ułożył już wszystko na wozie, sięgnął po lejce i konie ruszyły.

- No dalej, chłopcy.

Pojechali na południe główną ulicą Sitki. Konie zdawały się w jakiś instynktowny sposób odgadywać drogę, dzięki temu Kjell mógł się przyjrzeć kobiecie, która siedziała koło niego. Co na Boga sprowadziło ją na Alaskę? Nie wyglądała na przygotowaną do życia w tej małej wyspiarskiej społeczności. Nie miała nawet porządnych butów.

- Dziękuję, że mi pan pomógł. Chorowałam, odkąd wyruszyłam z San Francisco. - Wprostowała się lekko, ale nadal była blada. - Myślałam, że może Zerelda po mnie wyjdzie, ale zbyt późno sobie uświadomiłam, że mój ostatni list pewnie jeszcze do niej nie dotarł.

- Prawdopodobnie przyplynał tym samym statkiem co pani - powiedział Kjell. - Ale Zee nie będzie to przeszkadzało. Jestem przekonany, że bardzo się ucieszy z pani przyjazdu.

- Skąd ta pewność? - zapytała Lydia. - Przecież nic pan o mnie nie wie.

- Zdziwiłaby się pani. Wielokrotnie słyszałem, jak Zee opowiadała o swojej ukochanej i jedynej w swoim rodzaju bratanicy. Ona traktuje panią jak córkę. - Kjell zauważył, że Lydia źle znosi kołysanie wozu. - Może przestanie pani utrzymywać wytworną postawę i oprze się o mnie? Źle się pani czuje, to żaden powód do wstydu.

Ku zaskoczeniu Kjella nie wzbraniała się. Skinęła tylko głową, zgarbiła się i oparła o jego bok.

- Przepraszam.

- Proszę nie przepraszać. Prawdę mówiąc, to ja powinienem przeprosić, że nasze drogi są tak dziurawe, a ten wóz nie ma lepszych resorów.

Lydia spojrzała na niego i pokręciła głową, zaniepokojona.

- Ale co pomyśli pańska żona, jeśli rozejdą się pogłoski, że widziano pana w takiej... takiej sytuacji?

- Nie jestem żonaty, więc raczej nie spodziewam się problemów - mrugnął do niej. - Mam nadzieję, że nie muszę się też obawiać zazdrosnych mężów, którzy chcieliby mnie zabić.

Kobieta zarumieniła się i spuściła wzrok.

- Nie, jestem wdową.

- Przykro mi - szepnął, nie wiedząc, co jeszcze dodać.

- Niepotrzebnie - odpowiedziała Lydia bez wahania. Te słowa kompletnie zaskoczyły Kjella. Zauważył w jej

głosie gorzką nienawiść. Musiała mieć okropne życie, jeśli była gotowa powiedzieć coś takiego. Może kiedyś zdecyduje się opowiedzieć mu więcej.

- Przywiozłam zapasy z San Francisco. Obawiam się, że nie jest ich mało, bo nie miałam pewności, co mogłoby się przydać cioci. Czy mogłabym skorzystać z pańskiej uprzejmości i zatrudnić pana do przewiezienia tych rzeczy do Zereldy, kiedy już zostaną wyładowane z „Newberna”?

- Chętnie to zrobię, ale nie musi mi pani płacić. Tutaj ludzie pomagają sobie bezinteresownie. Wie pani, w takich warunkach to konieczne.

- Ciotka wielokrotnie mi o tym wspominała. - Zamknęła oczy i westchnęła.

Koła wpadły w głęboką dziurę i wóz mocno się zakołysał. Lydia poszybowała w górę, jakby miała zaraz wypaść. Nie złapała Kjella za ramię, ale on zdążył ją przyciągnąć do siebie.

- Przepraszam za tę drogę. Robimy, co możemy - zapewnił.

Lydia kiwnęła głową i siedziała sztywno przez resztę podróży. Raz na niego zerknęła, a Kjell nie mógł się powstrzymać i odwzajemnił jej spojrzenie. „A niech to, ona jest naprawdę śliczna - pomyślał. - Jak wiosenny kwiat”. Musiał przyznać, że wcale nie żałował, że to właśnie jemu wpadła w ramiona przy końcu kei.

Krańcowo wyczerpana, Lydia znowu opadła na ramię Kjella. Intuicja podpowiadała jej, że nie powinna tego robić, ale była zbyt zmęczona, żeby się nad czymkolwiek zastanawiać. Mężczyźni przysporzyli jej w życiu samego bólu i cierpienia, wiecznie ją zawodzili. Mimo tych doświadczeń przy Kjellu zachowywała się jednak absolutnie swobodnie.

„Jakie to dziwne. Nigdy nie czułam się tak dobrze przy żadnym mężczyźnie. To przecież nieznajomy, a jednak nie



budzi we mnie nawet najmniejszego niepokoju. Mam wrażenie, że znam go od zawsze".

Lydia nie zwracała uwagi na okolicę. Poczła kolejne szarpnięcie w żołądku i zrozumiała, że zaraz zwymiotuje.

- Och nie, tylko nie to.

Kjell natychmiast zatrzymał wóz, a Lydia szybko się wychyliła. Mięśnie jej brzucha gwałtownie się skurczyły, wyrzucając z siebie pozostałości tego, co miała jeszcze w żołądku. Ku swojemu zawstydzeniu poczuła, że otoczyły ją ręce Kjella, który podtrzymywał ją podczas kolejnych spazmów. Czekala, aż ten koszmar się skończy, po czym głęboko odetchnęła.

- Obawiam się, że nie da się zachować wytwornie i elegancko w takiej sytuacji. Przepraszam - powiedziała głosem, który bardziej przypominał jęk.

- Proszę nie przepraszać - poprosił, delikatnie przyciągając ją do siebie. - Wielu ludzi cierpi na chorobę morską. Znałem człowieka, który przez całe tygodnie po podróży nie przestawał czuć kołysania fal.

- Mam nadzieję, że ze mną tak się nie stanie - powiedziała, lekko potrząsając głową. - Nie sądzę, żebym potrafiła się do tego przyzwyczaić.

- Będę się modlił, żeby w pani przypadku choroba minęła dużo szybciej - zapewnił łagodnie Kjell.

Nie spierała się z nim. Jeśli istniał choćby cień szansy, że Bóg się o nią troszczył, chętnie przyjąłaby jakąkolwiek pomoc, byle tylko przetrwać tę chorobę.

- Czy czuje się pani już na tyle dobrze, żebyśmy mogli ruszyć dalej? - zapytał. - Zee mieszka na tamym zboczu.

Lydia skinęła głową i próbowała dostrzec chatę, którą miała wkrótce zacząć nazywać domem. Wyglądała na niewielką. A co jeśli okaże się dla nich zbyt ciasna? Co jeśli Zerelda wcale nie miała ochoty, żeby bratanica z nią zamieszkała?

- Czy w okolicy są jakieś inne miejsca, które można wynająć? - zapytała Lydia. - W przypadku gdyby ciotka nie mogła mnie przyjąć... Zachichotał.

- Trudno będzie się pani wymknąć Zereldzie, kiedy już panią zobaczy. Poza tym nie ma tu domów, które można by wynająć.

- Po prostu nie chciałabym się jej narzucać. Może nie mieć dla mnie dość miejsca.

- Moim zdaniem znajdzie miejsce, nawet gdyby go nie miała - odpowiedział Kjell. - Ale proszę się o to nie martwić. Jeśli nie będzie chciała pani przyjąć, dziesiątki mężczyzn w miasteczku chętnie będą się starać o pani rękę, jeszcze zanim zajdzie słońce. Zerelda otrzymuje takie propozycje co najmniej dziesięć razy dziennie.

- Możliwe. Ale jeśli o mnie chodzi, proponowałiby na próżno. Nie zamierzam już nigdy wyjść za mąż.

Kjell pokręcił głową. A to, co powiedział potem, zaskoczyło Lydię.

- Ten pani mąż musiał panią naprawdę skrzywdzić. Spojrzała mu w oczy.

- Nawet pan sobie nie wyobraża jak bardzo.

## Rozdział 7

Kjell pomógł Lydii dotrzeć do chaty i zapukał. - Zee? Jesteś tam?  
Drzwi otworzyła smukła kobieta.

- Kjell, co cię tu sprowadza? - zapytała, po czym otworzyła szeroko usta, widząc kobietę u jego boku. - Liddie? To ty?

- To ja - odpowiedziała słabym głosem.

- Nie jest w zbyt dobrym stanie. Chorowała przez całą drogę. - Jak na zawołanie Lydia nagle osłabła i osunęła się, ale Kjell zdążył ją podtrzymać. Znowu wziął ją na ręce. - Chyba powinna się położyć.

- Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotów - wtrąciła się Lydia, podczas gdy się nią zajmowali.

- Ależ skąd, nie sprawiasz żadnych kłopotów. Wejdz, Kjell, wnieś ją do środka - poprosiła Zerelda. - Dostałam list, w którym pisałaś o śmierci ojca i męża. Wiedziałam, że zamierzasz przyjechać na północ, nie spodziewałam się po prostu, że zjawisz się tak szybko. Myślałam, że dopiero przygotowujesz podróż.

Lydia przyjrzała się ciotce. Inaczej ją zapamiętała. Czterdziestopięcioletnia Zerelda Rockford była bardzo nietypową kobietą. Jej włosy sięgały zaledwie ramienia, co nadawało jej twarzy kościstego wyglądu.

- O tu, może zająć ten pokój - powiedziała Zerelda, otwierając drzwi.

Kjell wszedł do środka i położył Lydię na łóżku.

- Czy mogę jakoś pomóc? Nie potrzebujesz, żebym przyniósł drewna, Zee?

- To by się na pewno przydało. Możesz też rozpaść ogień. Jest dość chłodno, musimy ogrzać Liddie.

- Naprawdę nie trzeba, poradzę sobie - zaprotestowała Lydia, kiedy ciotka zaczęła rozpinąć jej żakiet.

- Nie wyglądasz zbyt dobrze. Masz podkrążone oczy. Chyba się odwodniłaś i pewnie od dłuższego czasu nie jadłaś nic porządnego - powiedziała Zerelda. Po chwili uśmiechnęła się do bratanicy. - Wyglądasz dokładnie tak samo, jak kiedy byłaś małą dziewczynką. Nie mogę uwierzyć, że minęło tyle czasu.

- Całe wieki udreki i koszmarów - szepnęła Lydia. - A teraz jeszcze to. Odkąd wypłynęłam, nie potrafię nic utrzymać w żołądku. To już po prostu zbyt wiele.

- Wszystko już za tobą. Będę o ciebie dbała najlepiej, jak potrafię, i niedługo staniesz na nogi. Przywiozłaś skrzypce?

Lydia była tak wyczerpana, że zapomniała o swoich rzeczach.

- Tak. Możesz poprosić Kjella, żeby je przyniósł?

- Oczywiście.

- Te skrzypce były jedyną rzeczą, która pozwalała mi przetrwać najczarniejsze dni. Floyd był taki... - Słowa uwięzły jej w gardle.

Zerelda pogłaskała ją po włosach.

- Wiem. Tak mi przykro. Gdybym tylko miała cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, przekonałabym Zachary'ego, żeby wysłał cię do mnie, zamiast sprzedawać komuś za żonę. - Pokręciła głową. - Ale mimo błędów, które popełnił, nie mogę uwierzyć, że już go nie ma.

- Ojciec na pewno kierował się dobrem naszej rodziny. Uważał, że to nam pomoże. Przed śmiercią napisał mi list,

w którym za wszystko przepraszał. Nie wiem, czy potrafię mu wybaczyć, ale cieszę się, że zostawił mi wystarczająco dużo pieniędzy, żebym nie musiała się martwić o przyszłość.

Zerelda pomogła Lydii zdjąć żakiet, po czym rozpięła guzik jej spódnicy.

- Pielęgnowanie w sobie nienawiści nigdy nie pomaga ciału. Tylko szatan może na tym cokolwiek zyskać.

- W takim razie szatan zebrał obfity plon w domu Grayów. Nigdy nie poznałaś ludzi tak mściwych, ludzi, którzy nawet nie słyszeli słowa „wybaczenie”.

- Z twoich listów wylaniał się naprawdę przerażający obraz. - Zerelda stanęła w nogach łóżka. - Przytrzymaj się ramy.

Lydia z trudem oparła się o żelazną ramę, tymczasem ciotka zaczęła zdejmować jej spódnice. W tym momencie poczuła przejmujące zimno i zrozumiała, w jakim musi być stanie. Leżąc tak w samej halce i gorsecie, czuła się naga. A jeśli do pokoju wejdzie ten mężczyzna, Kjell?

Zdając się odczytywać myśli bratanicy, Zerelda podeszła do drzwi i zamknęła je, po czym z kufra stojącego przy łóżku wyjęła koszulę nocną.

- W tym powinno ci być zdecydowanie wygodniej. - Nie pytając o zgodę, rozpięła jej gorset. Lydia próbowała wstać, ale znowu zakręciło jej się w głowie.

- Pokój nie przestaje wirować mi przed oczami.

- Czasem tak bywa - uspokoiła Zerelda. - Niektórzy ludzie po prostu cierpią na chorobę lokomocyjną.

Zdjęła z bratanicy resztę ubrań, po czym włożyła jej przez głowę koszulę nocną. Lydia uświadomiła sobie, że ledwo starcza jej sił, żeby przelożyć przez nią ramiona. Opadła na poduszkę i westchnęła.

- Boże drogi! Sama skóra i kości! - zawołała jej ciotka. - Kiedy tylko położę cię do łóżka, nastawię zupę.

- Nie dam rady nic przełknąć - powiedziała Lydia, której zrobiło się niedobrze na myśl o jedzeniu.

- Musisz zjeść trochę zupy. Mam specjalny przepis, który pomaga na mdłości. Potem dostaniesz herbatę, która pomoże ci zasnąć. Zobaczysz - dodała, podnosząc się znad łóżka - niedługo będziesz zdrowa jak ryba.

Lydia wyciągnęła rękę w jej stronę.

- Przepraszam, że nie zdołałam cię wcześniej poinformować o przyjeździe. Wszystko wydarzyło się tak szybko.

- Nie przejmuj się tym. Porozmawiamy później.

- Dręczą mnie wyrzuty sumienia, że zjawiłam się tutaj niespodziewanie, nie dając ci możliwości ustosunkowania się do moich planów.

Zerelda się roześmiała.

- Głuptasie! Bardzo się cieszę, że przyjechałaś. To wspaniała wiadomość. Mój pracodawca wyjeżdża do Niemiec pod koniec lata. Jego żona zmarła kilka miesięcy temu. Chyba ci o tym pisałam.

Lydia kiwnęła głową.

- Cóż, zastanawiałam się, co jeszcze szykuje dla mnie Pan, ale teraz już wiem. - Uśmiechnęła się ciepło do bratanicy. - Bardzo się cieszę, że jesteś. To prawdziwe błogosławieństwo, że zamieszkaś tu ze mną.

- Żądam, żeby powiedział nam pan, gdzie jest Lydia -oznajmił czerwony na twarzy Mitchell Gray.

W odpowiedzi Dwight Robinson jedynie wzruszył ramionami.

- Zakładam, że gdyby pani Gray chciała was poinformować, gdzie obecnie przebywa, zostawiłaby odpowiedni adres.

- To znaczy, że się przeprowadziła? - Marston badawczo przyjrzał się prawnikowi. Wyraz twarzy starszego mężczyzny wskazywał, że nie zamierzał wyjawiać nawet tyle. Robinson szybko jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- No cóż, nie mieszka już w rezydencji, więc to chyba jasne - odpowiedział.

- A czy nadal jest w mieście? - zapytał Mitchell. - Proszę posłuchać, mamy interes, którym musimy zarządzać, a strażnik nie chce nas nawet wpuścić, twierdząc, że nie jesteśmy już potrzebni. To nasza rodzinna firma i mamy do niej prawo.

- Nie według testamentu. - Robinson spojrział na obu braci, po czym skupił się na Marstonie. - Muszą panowie zrozumieć, że nie jestem upoważniony do przekazywania jakichkolwiek informacji. Pani Gray nie zostawiła mi instrukcji, by wyjawiać, dokąd się udała.

- Ale co z kwestiami prawnymi, które jej bezpośrednio dotyczą? - nalegał Mitchell.

Marston oparł się w fotelu i starał się opanować wściekłość. Lydia nauczyła się wreszcie stawiać na swoim. Podobał mu się ten jej nowy temperament. Stanowiła dzięki temu większe wyzwanie.

- Zapewniam panów, że mogę samodzielnie zajmować się sprawami pani Gray. Upoważniła mnie do podejmowania decyzji w swoim imieniu.

Marston zmrużył oczy.

- Robinson, gra pan w niebezpieczną grę. Mamy potężnych sojuszników.

- Może kiedyś tak było, ale tylko dlatego, że wasz ojciec wszystkich zastraszał. Czasy się zmieniły. Polityka, nastroje w mieście: wszystko idzie naprzód. Dzięki nowym ustawom ludzie tacy jak wy nie zdołają już tak łatwo dręczyć i krzywdzić innych.

Mitchell uderzył pięścią w poręcz fotela.

- To oszczerstwo!

- Pani Gray musiała dużo znieść ze strony waszego ojca. Z tego, co wiem, wiele jego czynów trudno usprawiedliwić.

- Nikogo nie obchodzą takie sprawy, doskonale pan o tym wie. Jest zwykłą kobietą - oznajmił Mars ton. - Była żoną, czyli własnością mojego ojca. Kiedy odmawiała posłuszeństwa i nie wywiązywała się z obowiązków określonych w kontrakcie małżeńskim, musiał niekiedy traktować ją surowo.

- Nie tylko pański ojciec wiedział, jak wykorzystywać swoją przewagę - odpowiedział Robinson. - Na pana miejscu wstrzymałbym się od zwracania na siebie zbyt dużej uwagi. Towarzystwo może akceptować takie czyny, ale ja nie mam zamiaru. Uważam bicie kobiet i dzieci za absolutnie niedopuszczalne. Tylko niezwykle słabi mężczyźni dopuszczają się takich rzeczy.

- Nie przypominam sobie, żebym pytał pana o zdanie -oznajmił Marston. Odebrał wystarczająco dużo razów z rąk własnego ojca, żeby przyjąć wykładnię Robinsona, ale nie zamierzał przyznawać mu racji.

- Doskonale. - Prawnik zerknął w swoje papiery. -W tym momencie pani Gray chętnie podejmie odpowiednie negocjacje z waszą rodziną. Gdybym jednak uznał, że w jej najlepszym interesie leży wycofanie się z tych ustaleń, na przykład gdyby coś jej groziło, nie będę się ani chwili wahał i odwiódę ją od jej hojnych propozycji.

Marston nie potrafił dłużej powstrzymać gniewu.

- Te groźby są skandaliczne! I w dodatku sugeruje pan, że to my ją zastraszamy? Nie wygrał pan jeszcze tej sprawy, Robinson. Zgodność testamentu z przepisami prawa nie została jeszcze potwierdzona.



- Ale nie sądzę, żeby miało to długo potrwać. Wierzę, że ta sprawa zostanie rozstrzygnięta w ciągu kilku dni.

- Czy ktoś udzielił panu jakichkolwiek informacji, które by na to wskazywały? - zapytał Marston.

- Istotnie, tak się stało. - Robinson zmierzył Graya surowym spojrzeniem. - Jestem przekonany, że pański prawnik może nawet w tej chwili otrzymuje informację o spotkaniu.

To nie wróżyło niczego dobrego. Marston miał świadomość że jeśli sędzia rozstrzygnął tę sprawę tak szybko, najprawdopodobniej nie podjął decyzji korzystnej dla jego rodziny. Nic jednak nie powiedział. Nie chciał, żeby Robinson dostrzegł jego niepokój.

- Nasza dalsza rozmowa nie ma sensu - oznajmił nagle Marston.

Zaskoczony Mitchell spojrzął na brata.

- Ale nie dowiedzieliśmy się jeszcze, gdzie przebywa Lydia.

- I nie dowiemy się. Przynajmniej nie tutaj. - Marston ruszył do drzwi.

- Powiem jednak coś jeszcze. - Odwrócił się i rzucił Robinsonowi najgroźniejsze spojrzenie, jakie miał w swoim arsenale. - Zarówno pan, jak i pani Gray powinniście pamiętać, że nie przyjmujemy złych wieści bez walki. Jeszcze nie wygraliście i jeśli tylko będę miał tu cokolwiek do powiedzenia - nigdy nie wygracie.

Zerelda włożyła rękawiczki i uśmiechnęła się do Lydii.

- To idealny dzień na pracę w ogrodzie. - Martwiła się o bratanicę, która wciąż była niezwykle blada i chociaż przestała wymiotować, nadal była przejmująco szczupła. - Jest ślicznie i słonecznie, a w Sitce to prawdziwa rzadkość. Trzeba wykorzystywać takie okazje.

Lydia skinęła głową.

- Cieszę się, że zrobiło się ładnie.

- Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą. Czy jest coś, o czym chciałabyś porozmawiać?

Lydia zerknęła w stronę okna w jadalni z takim utęsknieniem, że siłą rzeczy Zerelda też musiała tam spojrzeć. Co działo się w jej umyśle? Zachowywała się, jakby wewnątrz domu trzymały ją więzienne kraty.

- To dopiero pierwszy dzień, kiedy mam siłę wstać - powiedziała. - Ale dalej czuję się bardzo osłabiona. Czy ja kiedykolwiek wydobrzeję?

- Oczywiście, że tak. Rozumiem cię, sama nienawidzę chorować. Zawsze się wtedy zastanawiam, czy w ogóle mam szansę wyzdrowieć. - Włożyła cienki skórzany fartuszek, żeby zakryć brązową spódnicę i kretonową bluzkę. - Głowa do góry, już niedługo staniesz na nogi i zaczniesz wędrować ze mną po górach.

- Mam nadzieję. - Głos Lydii wydawał się smutny.

- Słuchaj, a może posiedzisz trochę na ganku? Porządnie cię opatulimy, żebyś się nie przeziębiła. Wydaje mi się, że świeże powietrze i zmiana scenerii powinny dobrze ci zrobić.

Lydia od razu się ożywiła.

- Myślisz, że możemy tak zrobić? Zerelda się roześmiała.

- To ja tu jestem pielęgniarką. Oczywiście, że możemy! Pomogła Lydii wstać, po czym powoli zaprowadziła ją

do drzwi wejściowych. Ku swojemu zaskoczeniu po drugiej stronie zastała Kjella, który właśnie zamierzał zapukać.

- Przyszedłeś w samą porę - powiedziała. - Właśnie prowadziłam Lydię na zewnątrz, żeby mogła trochę posiedzieć na ganku. Mógłbyś jej pomóc dojść do fotela bujanego? Ja tymczasem przyniosę kilka koców.

Uśmiechnął się i wziął Lydię pod ramię. Z początku była niepewna, ale po chwili się rozluźniła. Kjell nie zmarszczył brwi ani nie dał po sobie w żaden inny sposób poznać, że zauważył jej wahanie. Zerelda pomyślała, że przecież zawsze wszystko zauważał i że najwyraźniej lepiej niż większość ludzi rozumiał nieufność, z jaką jej bratanica reagowała na mężczyzn. Zerelda naprawdę doceniała jego dobroć i uprzejmość.

Po chwili przyniosła koce. Rozbawił ją sposób, w jaki mężczyzna skakał wokół Lydii.

- Nie przesadzaj, Kjell, nic jej się nie stało. Jest po prostu trochę wymizerowana.

To rozbawiło z kolei jej bratanicę.

- A nawet bardzo wymizerowana.

- Nie widać tego - zapewnił Kjell. - Właśnie miałem powiedzieć, że wygląda pani dużo lepiej niż dwa dni temu.

Lydia milczała, jakby komplement ją zawstydził. Zerelda wykorzystała okazję, żeby opatulić bratanicę kocami i zamienić z Kjellem parę zdań o wydarzeniach ostatnich dni.

- Jakież nowe wieści? - zapytała. Mężczyzna oparł się o balustradę ganku.

- Niewiele. Z „Newberna” wreszcie wyładowano wszystkie zapasy. Dlatego przyjechałem. Jest tam mnóstwo rzeczy dla ciebie. - Odwrócił się i Zerelda dopiero teraz zauważyła jego wóz. - Zostało tego jeszcze więcej na nabrzeżu.

- Na litość boską, przywiozłaś to wszystko z sobą? Lydia skinęła głową.

- Nie wiedziałam, czego możesz potrzebować. Pomyślałam, że powinnam zabrać dużo jedzenia i innych tego typu rzeczy, ale ponieważ nie miałam pojęcia, co już masz, kupiłam po trochu wszystkiego.

- To musiało cię kosztować majątek - powiedziała Zerelda, kręcąc głową. - Ale dobrze, wykorzystamy te zapasy, nie martw się.

- Gdzie to zanieść, Zee? - zapytał melodyjnie Kjell. Każde słowo, które wychodziło z jego ust, świadczyło o jego szwedzkich korzeniach - nikt inny nie mógł mieć tak śpiewnego akcentu. Zereldzie bardzo się to podobało.

- Powinno się znaleźć trochę miejsca w szopie. Jedzenie schowamy w składziku.

- Zajmę się tym.

Zerelda zauważyła, że Lydia przygląda mu się z rezerwą. Postanowiła odłożyć na chwilę obowiązki w ogrodzie i porozmawiać z bratanicą.

- Wiesz, to dobry człowiek. Inny niż ci, których znasz. Nie wszyscy mężczyźni tacy są, pamiętaj o tym.

- Tacy? - zapytała Lydia głosem tak cichym, że ciotka ledwo ją usłyszała.

- Tacy jak twój mąż. I jego synowie.

- Skąd ta pewność? - Lydia spojrzała na Zereldę, a jej wzrok szukał odpowiedzi.

- Niektórzy mężczyźni to zbłąkane dusze i nie obchodzi ich ani Bóg, ani inni ludzie. Ale są i tacy, którzy słyszą Pana i zawsze stawiają bliźnich na pierwszym miejscu. Kjell należy do tych drugich. Nigdy nie słyszałam, żeby podniósł głos. Widziałam za to wielokrotnie, jak robił, co tylko mógł, żeby pomóc ludziom w potrzebie. Nie powinnaś się go obawiać.

- Nie jestem wobec niego nieufna. Po prostu taki już chyba mam charakter. Myślisz, że powinnam go przeprosić?

- Kjell pewnie nawet się nad tym nie zastanawia. Ale myślę, że dobrze by było, gdybyś trochę porozmawiała z nim na osobności. Poznajcie się lepiej. Zmień swoje nastawienie do mężczyzn. Nie wszyscy są tacy jak ci, których poznałaś.

- Mam nadzieję. Proszę cię, zrozum - odpowiedziała Lydia, odwracając się do Zereldy. - Nie przyjechałam tu szu-

kać męża ani miłości. Chcę po prostu zacząć wszystko od nowa. W domu Floyda nigdy nie zaznałam spokoju. - Zamyśliła się. - Pamiętam radość i zadowolenie, jakie czułam, kiedy byłam małą dziewczynką. Tylko tego teraz pragnę.

- Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz, kochanie. - Zerelda pogłaskała ją po dłoni. - W niedzielę, jeśli do tego czasu poczujesz się już lepiej, przedstawię cię w kościele moim przyjaciołom. Myślę, że bardzo ich polubisz.

Lydia pokręciła głową.

- Nie jestem szczególnie zainteresowana chodzeniem do kościoła. Floyd zawsze się starał, żeby widziano go tam co niedzielę. Uważał, że jego obecność i rzekoma dobroć umocnią jego pozycję i reputację w towarzystwie. Ponieważ siedziałam tam co tydzień, patrząc, jakie kpiny urządza sobie z instytucji kościoła, straciłam ochotę na uczestnictwo w nabożeństwach. Tym bardziej że nie wierzę, żeby Bóg w jakikolwiek sposób się o mnie troszczył.

Zerelda nie mogła zrozumieć słów, które wypowiedziała jej siostrzenica. Lydia nigdy nie złożyła takiej deklaracji w żadnym z listów, które między sobą wymieniały.

- Naprawdę sądzisz, że Bóg się o ciebie nie troszczy?

- Jestem o tym przekonana. Pozwolił mi tyle wycierpieć, że nie chcę mieć nic więcej wspólnego z kościołem i tymi religijnymi nonsensami.

- Och, Liddie, tak mi przykro. Zostałaś bardzo skrzywdzona.

Jej bratanica wzruszyła ramionami.

- Być może, ale przez te wszystkie lata na pewno nauczyłam się jednej rzeczy. Jeśli pragnę spokoju, muszę go sama wywalczyć.

- A gdybyś pragnęła miłości? - zapytała Zerelda, badawczo się w nią wpatrując.

Lydia smutno pokręciła głową.

- Z tą myślą pożegnałam się już dawno temu.

- Przykro mi, że miał pan przeze mnie tyle pracy - przeprosiła Lydia, kiedy Kjell usiadł naprzeciw niej na ganku.

- Widzę, że przesadziłam z zakupami.

- Nic się nie zmarnuje. Dokonała pani rozsądnego wyboru. Wiele z tych rzeczy przyda się w zimie. Chociaż muszę przyznać, że gdyby kupiła pani choćby jeszcze jedną rzecz, nie znaleźlibyśmy dla niej miejsca. Zerelda miała już zamiar pytać swojego dawnego pracodawcę, pana Saber-hagena, czy nie moglibyśmy wykorzystać przestrzeni znajdującej się w głównym budynku.

Lydia spojrzała w stronę pobliskiego wzgórza, gdzie stał dwupiętrowy dom, który - jak się wydawało - był w lepszym stanie niż niewielka chata Zereldy.

- Pan Saberhagen na pewno nie miałby nic przeciwko, ale chyba ja bym miał - Kjell uśmiechnął się szeroko. - Trasa pod górę z takim ładunkiem mogłaby się okazać zbyt dużym obciążeniem dla koni.

- Cieszę się, że okazało się to niepotrzebne - odpowiedziała Lydia. Z lekkim zawstydzeniem przesunęła się i podciągnęła wyżej koc. Zdecydowała się zerknąć na jasnowłosego mężczyznę i zapytać: - Czy zawsze pan tu mieszkał?

- Przez większą część życia. Urodziłem się tu. Moja matka ma rosyjskie korzenie, a ojciec był Szwedem. Przyjechał handlować futrami wydr. Rodzice matki zaprzyjaźnili się z nim i w ten sposób dali swojej jedynej córce okazję do miłości.

Lydia zastanawiała się, jak wyglądało dorastanie w tak dzikim, odizolowanym miejscu.

- To musiało być zupełnie inne życie. Tak daleko od cywilizacji i wielkich miast.

- Cóż, proszę pamiętać, że kiedyś Sitka była dużo większa. Dużo się działo, kwitł handel. Rosjanie uczynili to miejsce stolicą Alaski. Panował ciągły ruch, a miasto było pełne życia.

Przez chwilę zastanawiała się nad jego słowami, próbując to sobie wyobrazić.

- A co się stało, że to się zmieniło? Wydaje się, że teraz... no cóż... wszystko podupada. Budynki wyglądają na stare i zniszczone. Zerelda mówiła, że wiele sklepów i interesów po prostu zamknięto.

- To prawda - przytaknął Kjell. - Kiedy Ameryka kupiła te terytoria od Rosji, nastąpił ogromny *exodus*. Rosjanie chcieli wrócić do ojczyzny. Oczywiście część z nich została, ale większość sklepów sprzedano albo zamknięto. Niektórzy zabrali towary z powrotem do Rosji, a inni sprzedali je zawijającym do tego portu handlarzom.

W jego głosie usłyszała smutek i zaczęła się zastanawiać, co spotkało jego rodzinę.

- A co stało się z pana rodzicami? - odważyła się w końcu zapytać.

Kjell spojrział wprost na nią, a jego niebieskie oczy zdawały się zaglądać w duszę Lydii.

- Odeszli. qca i dziadka zabrało morze. Nigdy nie odnaleziono ich ciał. Matka zmarła z żalu zaledwie rok później.

Lydia żałowała, że poruszyła ten temat. Odwróciła wzrok i westchnęła.

- Chyba zdecydowanie wolę ciszę, która tu panuje, od hałasu i zgiełku miasta. Nigdy niczego takiego nie doświadczyłam, ale mam wrażenie, że tutejszy spokój działa kojąco.

- To prawda - zgodził się Kjell. - Też tak uważam.

- Czy to dlatego nigdy pan stąd nie wyjechał?

- Chyba tak. Po śmierci mojej matki moja żona Raisa chciała wrócić do Rosji. Była tam jej rodzina, a ona tęskniła za przyjaciółmi i znajomym otoczeniem.

Lydia zeszywniała.

- Wspomniał pan wcześniej, że nie ma żony.

- Ona nie żyje. Zachorowała i nigdy już nie wyzdrowiała. Została pochowana obok mojej matki - powiedział Kjell, lekko wzruszając ramionami. - Minęło już prawie osiem lat.

- Przykro mi. - Lydia spojrzała na swoje dłonie i próbowała wymyślić jakiś sposób, żeby zmienić ten nieprzyjemny temat rozmowy. Nie musiała się jednak długo martwić.

- Wyglądacie oboje na głodnych - powiedziała Zerelda, która wyłoniła się z drugiej strony domku. - Może zostaniesz na obiad, Kjell?

Puścił poręcz ganku.

- Niestety nie, już i tak za długo nie ma mnie w tartaku. Pora wracać do pracy. Mamy nowy brzeszczot do piły i muszę się upewnić, że wszystko dobrze pójdzie.

- W takim razie wpadnij któregoś dnia na kolację. Wiesz, że nie musisz mnie uprzedzać, po prostu przyjeźdź. Dzięki hojności i zapobiegliwości mojej bratanicy będziemy miały mnóstwo jedzenia.

Lydia poczuła, że policzki zarumieniły jej się ze wstydu, ale nie miała pewności dlaczego. Pomyślała, że po prostu nigdy nie lubiła znajdować się w centrum zainteresowania.

- Tak zrobię, Zereldo. Żaden mężczyzna nie powinien przepuszczać zbyt wielu okazji, żeby zjeść posiłek w tak pięknym towarzystwie.

- Och, idź już, bo zmienię zdanie - powiedziała Zerelda, śmiejąc się.

- Tak jest, jasnie pani - odpowiedział, zbiegając po schodkach. - Miłego dnia. *Gud vare med dig.*

- I z tobą też, Kjell - zawołała za nim Zerelda.



- Co powiedział? - zapytała Lydia, patrząc, jak skierował konia w stronę miasteczka.

- To było po szwedzku. Powiedział: „Niech Bóg będzie z wami”.

Lydia zmarszczyła brwi. Kolejne odwołanie do Boga -tego iluzorycznego sędziego, który siedział w niebie i nie robił nic, żeby wybawić Swoje dzieci od bólu i smutku. Dlaczego miałyby zabiegać o to, żeby jej towarzyszył, jeżeli dotychczas wykazywał się całkowitą obojętnością na cierpienia, których musiała doświadczać?

## Rozdział 90

Kjell nie mógł się skoncentrować na pracy. Jego tartak rozwinął się na tyle, że potrzebował nowego sprzętu, musiał nawet zatrudnić kogoś do pomocy - a mimo że miał tyle spraw na głowie, ciągle nie mógł się skupić.

Przed oczami ciągle miał twarz Lydii Gray. Jej obraz głęboko wyrył się w jego pamięci, a ciemnobrązowe oczy zdradzały ból i smutek, których nie był w stanie ogarnąć. Kjell chciał ją pocieszyć, ale Lydia, jak się zdawało, miała własne sposoby na radzenie sobie z cierpieniem. Nikomu nie pozwalała się do siebie zbliżyć. Miał wrażenie, że nawet Zereldę trzymała na dystans.

- Kjell, możemy porozmawiać?

Niski, krępy mężczyzna stanął w drzwiach małego biura. W rękach trzymał kapelusz i miał zatroskaną minę, co wskazywało na to, że nie przyszedł tu w celach towarzyskich.

- Oczywiście. - Kjell wstał i dał mężczyźnie znak, żeby wszedł. - Co się stało, Arnie?

Gość bawił się nerwowo rondem kapelusza, po czym podniósł wzrok i spojrzał na Kjella.

- Nie jestem zadowolony z tego wzrostu cen.

Kręcąc głową, Kjell usiłował sobie przypomnieć, o jakim wzroście może mówić mężczyzna.

- Nie rozumiem.

- Twoi ludzie powiedzieli mi, że tarcica, którą zamówiłem, będzie kosztowała dwadzieścia pięć dolarów ponad

to, na co się umawialiśmy. Tobie może się to wydawać niewielką różnicą, ale ja dopiero rozkręcam interes. Uważam, że to nieuczciwe, żebyś zmieniał cenę właśnie teraz.

- Ale przecież nie zmieniałem ceny - zaprotestował Kjell. - O czym ty mówisz?

Mężczyzna trochę się uspokoił, widząc, że Kjell stoi po jego stronie.

- Powiedzieli mi o tym twoi ludzie, bracia Sidorowowie. Przyjechali z częścią tarcicy i wyjaśnili, że cena została źle obliczona. Oznajmili, że będę musiał zapłacić dodatkowych pięćdziesiąt dolarów, a tylko dwadzieścia pięć, jeśli zapłacę gotówką.

- To śmieszne. Nie wysyłałem ich do ciebie z taką informacją. Poczekaj - poprosił Kjell, wstając od biurka. - Zawołam ich tu, żeby się wytłumaczyli.

Wyszedł z biura i podszedł do swojego brygadzysty Joshuy Broadstreeta, który zajmował się nowym brzeszczotem do piły.

- Josh, muszę z tobą chwilę porozmawiać. Młodszy mężczyzna podniósł wzrok.

- O co chodzi, szefie?

- Gdzie są Sidorowowie? - Kjell zerknął w stronę sklepu, ale nie zobaczył Rosjan.

- Pojechali dostarczyć kolejny ładunek dla wojska. -Josh wyprostował się i wytarł ręce w leżącą obok szmatę. -A o co chodzi?

- Wiesz coś o tym, żeby prosili pana Seymoura o dodatkowych pięćdziesiąt dolarów?

Josh zmarszczył brwi.

- Nic. Nie miałem o tym pojęcia.

- Nie mów im nic, ale kiedy wrócą, poproś, żeby do mnie przyszli.

- Jasne, szefie.

- Josh, jeszcze jedno. - Młodszy mężczyzna czekał niecierpliwie. Kjell uśmiechnął się. - Nie musisz mnie nazywać „szefem”, pamiętaj.

- Przepraszam. To z przyzwyczajenia. Kiedy pracowałem na kolei w Seattle, kazano nam tak mówić.

Kjell chichotał, wracając do biura. Lubił tego młodego człowieka, który pojawił się u niego w zeszłym miesiącu. Josh był prawdziwą złotą rączką i Kjell wiedział, że taki pracownik stanowi dla tartaku prawdziwy skarb. Kjell zwrócił się do Arniego:

- Sidorowów tu teraz nie ma, ale to nieistotne. Wiedz jedno. Nie podnosiłem ceny. Wszystko zostaje po staremu.

Starszy mężczyzna skinął głową z wyraźną ulgą.

- Dziękuję. Powiedzieli mi, że uregulują ze mną rachunek jutro, kiedy przywiozą ostatnią część ładunku, ale nie chciałem dłużej czekać.

- Dobrze zrobiłeś, przychodząc z tym do mnie. Zajmę się wszystkim. Nie mam pewności, skąd wzięło się to nieporozumienie, ale szybko je wyjaśnimy.

Podali sobie ręce i Kjell usiadł.

- Gdybyś miał jeszcze jakieś problemy, kontaktuj się bezpośrednio ze mną.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Dziękuję.

Kjell czekał kilka minut, żeby mieć pewność, że Arnie wyszedł, po czym przywołał Aakashooka i Keegaana, dwóch pracujących dla niego chłopców z plemienia Tlingitów.

- Mam do was pytanie. Pomagaliście wczoraj Anatolijowi i Iwanowi ładować drewno na wóz, prawda?

Przytaknęli. Kjell widział, że się przestraszyli, że zrobili coś złego. Chciał ich uspokoić.

- Nie wpadliście w żadne tarapaty. Zastanawiałem się po prostu, czy nie wiecie nic o podwyżce ceny drewna.

- Nie - powiedział Aakashook, patrząc na brata. - Nie mogę wiedzieć nic więcej. - Tak zwykle tłumaczył, że nie ma pojęcia o danej sprawie.

Kjell kiwnął głową. Ich angielski zdecydowanie się poprawił, odkąd zaczęli dla niego pracować. Mówili dość płynnie po rosyjsku, ale Kjell wiedział, że ich matka chciała, żeby lepiej poznali angielski, więc starał się z nimi porozumiewać tylko w tym języku. Teraz jednak zależało mu na tym, żeby czuli się swobodnie, więc przeszedł na rosyjski.

- Czy Sidorowowie mówili coś o tej dostawie? Chłopcy wymienili spojrzenia i Kjell dostrzegł, że nadal czuli się nieswojo.

- Możecie mi powiedzieć, jeśli coś jest nie tak. Trzynastoletni Keegaan, starszy z braci, odezwał się:

- Oni są dla nas niedobrzy, Kjell. Biją nas, a jeśli powiemy o nich coś złego, znowu nas uderzą.

Kjell zmarszczył brwi.

- Nie mają prawa tak postępować. Kiedy to się stało? Aakashook włączył się do rozmowy.

- Cały czas tak jest. Cały czas nam mówią, że nas zbiją, jeśli nie będziemy robili wszystkiego, co nam każą.

- No cóż, nie pozwolę, żeby to trwało dłużej. Złe się stało, że mi o tym nie powiedzieliście. Następnym razem to zrobicie, prawda?

Chłopcy obiecali, że zastosują się do jego poleceń.

- Dobrze. Niedługo zamykają bramy. Wracajcie do domu, zanim wpadniecie w tarapaty. - Kjella głęboko bulwersował fakt, że Tlingitów z Sitki zamykano każdego wieczoru w ich osadzie. Według prawa Indianie nie mogli krążyć po miasteczku od szóstej po południu. Mówiono, że to prawo wprowadzono przede wszystkim ze względu na ich bezpieczeństwo, ale Kjell wiedział, że biali uważali ich za utrapienie i znaleźli po prostu sposób na ograniczenie

ich obecności, przynajmniej na część dnia. Co noc żołnierze spędzali Indian, jakby ci byli dzikimi psami. Tlingici uciekali, niektórzy usiłowali się ukrywać, ale zwykle ich łapano. O szóstej rano bramy otwierano i znowu pozwalano im połączyć się z białą społecznością Sitki.

Choć Kjellowi przeszkadzała ta jawna niesprawiedliwość, wydawało się, że chłopcy nie zwracali na to uwagi. Nie znali innej rzeczywistości. Zaczęli się pospiesznie zbierać, boksując się dla zabawy. Ścigali się do dużych, otwartych drzwi. Kjell powoli wyszedł za nimi, przyglądając się, jak bracia pędzili przez podwórze i biegli dalej drogą. To byli dobrzy chłopcy. Zgłosili się do niego pod naciskiem dziadka, który zaciągnął u Kjella dług i chciał za wszelką cenę go spłacić. Kjell miał świadomość, że mężczyzny nie stać na drewno, i gotów był mu je po prostu dać, ale nie pozwalała na to duma starszego człowieka. Zamiast tego zaproponował, że każdego popołudnia chłopcy będą przychodzili pracować w tartaku. Ten pomysł bardzo odpowiadał ich matce, która chciała, żeby uczyli się angielskiego.

Kjell usłyszał nadjeżdżający wóz i uświadomił sobie, że to Sidorowowie. Zastanawiał się, co powiedzą, kiedy poruszy kwestię pieniędzy. Pozostawał jeszcze problem bicia chłopców: nie wiedział, jak rozwiązać tę sprawę. Obawiał się, że bracia będą próbowali się mścić na młodych Indianach.

Dwa silne konie pociągowe ciężko stapały po prowadzącej do tartaku drodze i zatrzymały się, kiedy Anatolij mocno ściągnął wodze. Iwan zeskoczył i zaczął je wyprzęgać.

- Muszę z wami porozmawiać - powiedział Kjell, patrząc to na jednego, to na drugiego z nich. - Josh zajmie się końmi. Przyjdźcie do mojego biura. - Odwrócił się i zawołał brygadzystę, zaczekał, aż młody człowiek znalazł się w zasięgu jego wzroku, po czym sam dołączył do Sidorowów.

- Muszę z nimi porozmawiać. Możesz przejąć konie?

- Jasne, sze..., znaczy Kjell. - Uśmiechnął się szeroko. -Widzisz? Poprawiam się.

Kjell zaśmiał się bez przekonania. Nie znosił konfrontacji z kimkolwiek, a szczególnie z własnymi pracownikami. Wszedł do biura.

- Rozmawiałem dziś z panem Seymourem. Podobno powiedzieliście mu, że cena tarcicy wzrośnie o pięćdziesiąt dolarów, a jeśli zapłaci gotówką, będzie musiał dopłacić tylko dwadzieścia pięć. Który z was chciałby mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - zapytał, krzyżując ręce na piersi i stając za biurkiem.

Mężczyźni byli wyraźnie niezadowoleni. Anatolij mocno zacisnął szczękę, a Iwan wyzywająco skrzyżował ręce.

- Ten człowiek kłamie - oznajmił Iwan, a jego oczy się zwięzły.

- Czyżby? A po co miałyby to robić? Może powinienem porozmawiać z innymi klientami i sprawdzić, czy nie mieli podobnych problemów?

Anatolij pokręcił głową i wyciągnął dłoń, łapiąc brata za rękę.

- Nie będziemy kłamać. To prawda. Ale niech pan zrozumie. Nie zrobiliśmy tego dla siebie.

Kjell patrzył to na jednego, to na drugiego.

- Słucham?

- Chodzi o naszą matkę. - Anatolij zerknął na Iwana, czekając na wsparcie.

- *Da*, nasza matka jest bardzo chora. Podobno może niedługo umrzeć - wyznał Iwan. Wyraz jego twarzy kompletnie się zmienił. Wyglądał teraz jak skarcone szczenię. - Potrzebujemy pieniędzy na podróż do domu.

- Dlaczego mi o tym po prostu nie powiedzieliście? Zamiast tego zaczęliście okradać moich klientów?

- Nie myśleliśmy, że ktoś się zorientuje, jeśli będziemy zabierali po trochu od różnych ludzi - powiedział Anatolij, wzruszając ramionami.

- Dwadzieścia pięć dolarów to niemała suma. Komu jeszcze to zrobiliście?

- Nie pamiętam - oznajmił Iwan.

- Aż tylu ich było? - Kjell pokręcił głową i usiadł przy biurku. - Natychmiast zwróćcie pieniądze albo poinformuję o całej sprawie wojsko.

Anatolij skoczył do przodu.

- Błagam, nie możemy nic oddać. Kupiliśmy już bilety do Rosji. Nie możemy odzyskać pieniędzy. Proszę nie mówić żołnierzom, inaczej już nigdy nie zobaczymy matki.

Kjell przez chwilę rozważał ich słowa. Zapewne mieli rację. Gdyby zgłosił tę sprawę, minęłyby miesiące, zanim bracia mogliby jechać do domu. Wbrew temu, co podpowiadał mu zdrowy rozsądek, skinął w końcu głową.

- No dobrze. - Mężczyźni uśmiechnęli się i zaczęli z entuzjazmem przytakiwać, jakby chcieli go przekonać, że podjął właściwą decyzję. - Ale dacie mi listę osób, od których wzięliście więcej pieniędzy. Muszę im wszystko wyjaśnić.

- Razem nad nią popracujemy. Może przypomnimy sobie nazwiska - zaproponował Anatolij.

Kjell postanowił na razie nic więcej nie mówić. Trudno mu było uwierzyć, że bracia oszukali tak wielu ludzi, że nie mogli od razu podać mu kilku nazwisk. Zrozumiał, że musi wziąć do domu księgi rachunkowe, sprawdzić każdy wpis i odnaleźć wszystkich pokrzywdzonych. Kto wie, ile to wszystko będzie go na dłuższą metę kosztowało. Ale pieniądze nie miały znaczenia w porównaniu z reputacją. W tej okolicy reputacja była wszystkim i Kjell nie zamierzał dopuścić do tego, żeby jego dobre imię zrujnowali ludzie pokroju braci Sidorowów.



- Wyoście się stąd. Wróćcie rano z moją listą.

- I nie wyda nas pan... żołnierzom? - zapytał Iwan z wahaniem.

- Nie, ale też nie pozwolę wam tu dłużej pracować. Nie znoszę złodziei. Idźcie już, zanim zmienię zdanie.

Mężczyźni pospiesznie wyszli, podobnie jak wcześniej dwaj indiańscy chłopcy. Kjell głośno westchnął, po czym sięgnął po księgę i ją zamknął. Zapowiadała się długa noc.

Przez chwilę myślał o propozycji Zereldy, która zapraszała go na kolację. Może powinien skorzystać? W końcu dzięki temu zobaczyłby Lydię. Księga wyglądała jednak jak wyrzut sumienia. Wiedział, że nie będzie dobrym towarzyszem, póki tego nie załatwi.

Pod koniec tygodnia Lydia czuła się już zdecydowanie lepiej. Objawy choroby morskiej całkowicie ustąpiły i mogła wreszcie rozmawiać z Zereldą o tym, co wydarzyło się w Kansas City.

Któregoś wieczoru, kiedy siedziały przy kolacji, Lydia otworzyła przed ciotką serce.

- Czuję się tu bezpiecznie. Po raz pierwszy w życiu czuję się naprawdę bezpiecznie.

Zerelda zmarszczyła brwi.

- Tak mi przykro. Młoda kobieta nie powinna być zmuszona do przyjazdu na dzikie tereny ledwo zasiedlonego terytorium, żeby doświadczyć ukojenia. Mam ogromny żal do brata, że przez niego miałaś takie życie, ale uważam, że chowanie urazy do zmarłych nie ma żadnego sensu. Myślę, że Zachary po prostu nie zdawał sobie sprawy, że swoją decyzją przysporzy ci tyle bólu.

- Nie, pewnie nie - zgodziła się Lydia. - Moja nieszczęsna matka zamartwiała się tą sytuacją tak bardzo, że umarła

z żalu. Jestem przekonana, że taka była prawdziwa przyczyna jej śmierci i że to wcale nie zapalenie płuc ją zabiło.

- Niech twoi rodzice spoczywają w pokoju.

Lydia nic nie powiedziała. Nie była przekonana, że warto zaprzętać sobie myśli tym, czy ojciec odnalazł spokój po śmierci. Samo wspomnianie chwili, kiedy błagała go o unieważnienie kontraktu i niewydawanie jej za Floyda Graya, sprawiało, że jej ciało zaczynało nagle sztywnieć.

- No cóż - powiedziała, odpychając od siebie myśli o rodzicach - na pewno nie zaznam spokoju ze strony Grayów, którzy bez wątplenia będą próbowali się na mnie mścić za to, że odebrałam im fortunę. Uzgodniłam z prawnikiem, że dopilnuje, żeby odzyskali dom i całe jego wyposażenie, ale jestem przekonana, że to im nie wystarczy. Liczyli na to, że dostaną wszystko. Nie spodoba im się, że zatrzymałam część majątku, który uznają za swój.

- To sprawi, że staną się niebezpieczni - ostrzegła Zerelda. - Mężczyźni, którzy uważają się za oszukanych, rzadko rezygnują z walki, zanim spór nie zostanie rozstrzygnięty po ich myśli.

- Właśnie dlatego wyjechałam.

- Cieszę się, że to zrobiłaś. Tak bardzo się o ciebie martwiłam! Wiele nocy spędziłam, klęcząc i modląc się o twoje wybawienie.

- Ale chyba nawet ty widzisz, że to nie pomogło, ciociu. Nie możesz oczekiwać, że uwierzę w modlitwy, skoro w tak oczywisty sposób zawiodły.

- Ależ nie zawiodły. Przecież zostałam w końcu wyzwolona - oznajmiła zdziwiona Zerelda. - Nie widzisz tego?

- Nie powiesz mi, że śmierć Floyda stanowiła jakąś boską interwencję przeprowadzoną dla mojego dobra. - Lydia pokręciła głową. - Dlaczego Bóg po prostu nie sprawił, żeby mnie pokochał? Dlaczego nie odmieni serc jego dzieci i nie zapewni mi dobrego życia w ich domu?

- Nie zawsze rozumiemy, dlaczego Bóg odpowiada na nasze modlitwy w taki, a nie inny sposób.

Lydia wstała.

- Albo dlaczego w ogóle nie odpowiada. Szczerze mówiąc, Zereldo, nie potrafię zrozumieć twojego sposobu patrzenia na Boga i jego decyzje. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałabym wyjść na dwór i pograć na skrzypcach.

Wydawało się, że ciotka chciała coś jeszcze powiedzieć, ale ostatecznie postanowiła zachować milczenie. Lydia poszła po futerał i otworzyła go. Z czułością podniosła smyczek i naciągnęła końskie włosie. Po chwili nasmarowała go kalafonią, po czym, usatysfakcjonowana, podniosła skrzypce i włożyła je sobie pod ramię.

Na dworze świat zdawał się taki spokojny. Słońce było wysoko i miało jeszcze długo pozostać na niebie, bo letnie dni stały się niezwykle długie. Lydia przeszła kawałek dróżką i stanęła: z tego miejsca widziała znajdujący się w dole port. Na tle szaroniebieskiej wody małe wysepki wyglądały jak ciemne wzgórza. Kilka kutrów rybackich płynęło przez zatokę, a w oddali majaczył przycumowany, stojący w bezruchu statek.

Lydia sprawdziła struny, szukając idealnego brzmienia. Kiedy je odnalazła, podniosła skrzypce i oparła je o ramię. Odkąd była małą dziewczynką, już sam ten gest ją uspokajał. Przykładając smyczek do strun, Lydia westchnęła. Jej dusza uniosła się na skrzydłach melodii, a hipnotyzujące dźwięki pomknęły w głąb doliny, wypełniając muzyką wszystkie zatopione w ciszy zakątki.

## Rozdział 100

LIPIEC 1870 ROKU

Dnia 27lipca statek „George S. Wright” dopłynął do Sitki. Na jego pokładzie znajdowały się listy. Lydia z niecierpliwością oczekiwała wieści od pana Robinsona. Miała nadzieję, że oba testamenty zostały już oficjalnie potwierdzone i że wreszcie będzie mogła zostawić całą tę mękę za sobą. Szczególnie teraz. Teraz, kiedy miała pewność, że nosi w sobie dziecko Floyda.

Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Nadal przytłaczała ją ta nowina, ale czuła też radość i szczęście na myśl o tym, że będzie miała dziecko - dziecko, którego Floyd i pozostali Grayowie nie zdołają skrzywdzić.

Nie powiedziała jeszcze o tym Zereldzie, ale jej ciotka była pielęgniarzką i Lydia zakładała, że pewnie zaczęła już coś podejrzewać. Planowała porozmawiać z nią tego wieczoru po kolacji. Przecież musiały się wspólnie zastanowić nad przyszłością. Miała urodzić w okolicach Bożego Narodzenia i chciała się na wszystko dobrze przygotować.

- Na to pani czeka? - zapytał naczelnik poczty, podając Lydii grubą kopertę.

- Tak sędzę. Dziękuję, panie Fuller. - Postanowiła od razu otworzyć list. Zerelda była obok w piekarni, gdzie odwiedzała koleżankę, więc Lydia usiadła niedaleko i zaczęła czytać.

*Moja droga pani Gray,  
mam nadzieję, że ten list znajdzie Panią w dobrym zdrowiu. Zapewne  
zastanawia się Pani nad decyzjami dotyczącymi majątku pani męża i  
ojca, zatem od razu przechodzę do rzeczy.*

Lydia czytała dalej. Dowiedziała się, że zapadł korzystny dla niej wyrok. Marston i Mitchell oczywiście się od niego odwołali, ale Robinson nie spodziewał się, żeby zdołali cokolwiek wskórać. Chciał jednak wiedzieć, czy Lydia nadal pragnie, żeby załatwił wszystko w taki sposób, jak ustaliła z nim, kiedy wyjeżdżała.

Zaczęła się nad tym zastanawiać. Wcześniej nie wiedziała o dziecku. A przecież miało ono takie samo prawo do majątku jak każde z Grayów. Pokręciła głową, bo nadal trudno było jej sobie wyobrazić, że nosiła w łonie potomka Floyda. Ze względu na wcześniejsze poronienia Lydia obawiała się, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci. Wieść o tym, że jednak zaszła w ciążę, stała się dla niej powodem do symbolicznego triumfu.

Czytała dalej. Robinson pisał, że zaczeka na jej ostateczną decyzję, zanim podejmie dalsze kroki. Być może powinna się raz jeszcze zastanowić nad całą tą sprawą. Miała pieniądze, które ojciec zostawił jej w funduszu powierniczym. Dysponowała też jego majątkiem i inwestycjami. Należało również pamiętać o firmie, którą zbudował wspólnie z Floydem. Jak wskazywały sprawozdania Robinsona, zakład trumniarski przynosił ogromne zyski. Czy powinna odebrać potencjalny spadek swojemu synowi lub córce?

Lydia zmarszczyła brwi. Musiała rozważyć wszystkie możliwe posunięcia. Gdyby zachowała udziały w interesie, byłaby zmuszona do - wprawdzie nieczęstych, ale za to regularnych - kontaktów z Marstonem i Mitchellem. A może istniało inne rozwiązanie? Wzięła głęboki oddech i rozejrza-

ła się wokół siebie. A gdyby zdecydowała się odebrać przedsiębiorstwo pasierbom? Przecież Robinson twierdził, że na tym etapie wszystko należało do niej. Co by się stało, gdyby poleciła prawnikowi po prostu odsunąć ich od interesu?

To by z pewnością sprawiło, że znienawidziliby ją jeszcze bardziej - ale jakie to miało znaczenie? Nie obchodziło jej zdanie Grayów. Myślała tylko o tym, żeby zapewnić swojemu dziecku dobre, spokojne życie.

- Jesteś taka zamyślona. Mam nadzieję, że nie dotarły do ciebie żadne złe wieści - powiedziała Zerelda, podchodząc do bratanicy. Trzymała koszyk wyładowany towarami z piekarni, które prezentowała z dumą, jakby zdobyła właśnie jakąś nagrodę. - Lunch na pewno będzie wspaniały. Mamy świeży chleb i przepyszne ciastka.

Lydia kiwnęła głową i schowała list do koperty. W milczeniu ruszyła za Zereldą. Na niebie zbierały się chmury i wyglądało na to, że niedługo zacznie padać. W ostatnich dniach Lydia widziała w Sitce więcej deszczu niż przez całe tygodnie w Kansas City.

- I co, dobre czy złe wieści? Rozumiem, że list przysłał twój prawnik, w końcu nikt inny nie wie, że tu jesteś.

- Tak, to od pana Robinsona. Píše, że sąd wydał korzystny dla mnie wyrok.

- To świetna wiadomość - powiedziała Zerelda, uśmiechając się. - Więc nie musisz się już o nic niepokoić.

- Nie byłabym tego taka pewna. Pan Robinson pisze, że Marston i Mitchell odwołali się od tej decyzji. Prosi, żebym jeszcze raz przemyślała wszystkie kwestie i przekazała mu swoje dyspozycje. Wtedy będzie mógł przystąpić do podziału własności, tak jak go o to prosiłam.

- Ale dlaczego? Nie zostawiłaś mu dokładnych instrukcji? - Zerelda pokręciła głową. - Czy to opóźnienie nie zaostrzy jeszcze konfliktu z dziećmi twojego zmarłego męża?

Nagle Lydia wyrzuciła to z siebie. Już od dawna chciała podzielić się tą nowiną z ciotką.

- Spodziewam się dziecka.

- No cóż, muszę przyznać, że tak podejrzewałam. Myślałam, że może już przekwitasz, skoro nie krwawiłaś, odkąd tu przyjechałaś, ale chociaż widziałam wcześniej takie przypadki, jesteś na to zdecydowanie za młoda.

- Dopiero niedawno się zorientowałam. Zauważyłam, że od jakiegoś czasu nie miałam miesiączek. Za bardzo się bałam, żeby w to uwierzyć. Zerelda zatrzymała się i spojrzała na bratanicę.

- Więc cieszysz się z tego dziecka? Lydia głęboko odetchnęła.

- Tak. - Spojrzała w brązowe oczy ciotki. - Zawsze go pragnęłam. Jak wiesz, nie pierwszy raz jestem w ciąży.

- Czujesz, jak się rusza?

Lydia skinęła głową i szeroko się uśmiechnęła.

- Jakby o mój brzuch uderzały skrzydełka motyla. Zerelda pokręciła głową z zachwytem.

- No cóż, to coś, czego nigdy sama nie zaznam, chyba że za twoim pośrednictwem. Dobrze się czujesz?

- Tak. Muszę przyznać, że teraz, kiedy wreszcie wyleczyłam się z choroby morskiej, czuję się tak dobrze jak nigdy dotąd. Mam wrażenie, że Sitka mi służy.

- To dobrze. To prawdziwe błogosławieństwo. Dzieci są darem od Boga, wiesz o tym. Tak mówi Biblia i wierzę, że to prawda.

Lydia nie chciała psuć tej chwili rozmowami o Bogu. Wzruszyła ramionami.

- W każdym razie muszę załatwić wiele spraw, zanim urodzę.

- A kiedy to nastąpi?

- Nie mam pewności, ale przypuszczam, że w okolicach Bożego Narodzenia.

Zerelda znowu ruszyła przed siebie i Lydia widziała, że jej ciotka zastanawia się nad przygotowaniem porodu. Bez wątpienia skupiała się na aspekcie medycznym. W Sitce znajdował się szpital wojskowy, ale ponieważ Zerelda była pielęgniarką, Lydia liczyła na to, że mogłaby osobiście odebrać poród.

- Mamy czas, żeby wszystko dobrze zaplanować -oznajmiła w końcu starsza kobieta. - Być może pomyślimy o rozbudowaniu naszej chaty. Zresztą jeśli pan Saberhagen sprzeda posiadłość przed wyjazdem do Niemiec, trzeba będzie się gdzieś przenieść.

- Czy mógłbym podwieźć panie do domu? - Lydia obejrzała się przez ramię i zobaczyła Kjella, który zatrzymał swoje czarne konie pociągowe i szeroko się uśmiechnął. -Może nam być trochę ciasno, ale myślę, że zmieścimy się we trójkę na ławce.

- Na pewno się zmieścimy - powiedziała Zerelda, nie dając Lydii dojść do głosu. Podała Kjellowi koszyk, po czym wsiadła na wóz tak dziarsko, jakby była młodą dziewczyną. Jej bratanica nie mogła wyjść z podziwu. Wiele kobiet w wieku jej ciotki sprawiało wrażenie starych, zniszczonych trudami życia. Ale nie Zerelda.

Kjell wyciągnął rękę w stronę Lydii, która ostrożnie postawiła stopę, żeby wspiąć się na wóz. Pozwoliła mu się złapać i niemal jęknęła, kiedy podniósł ją bez wysiłku, jak worek mąki. Po chwili usiadł między Lydią a Zereldą.

- Dla mnie to chyba najkorzystniejszy układ - rzucił radośnie, lekko popędzając konie, które ruszyły przed siebie. - Mam okazję siedzieć pomiędzy dwiema pięknymi kobietami. Niewielu mieszkających tu mężczyzn mogłoby się pochwalić takim osiągnięciem.



- W nagrodę - oznajmiła Zerelda, szeroko się uśmiechając - zaproszę cię, żebyś zjadł z nami lunch. Nie masz nic przeciwko temu, Liddie?

Lydia skinęła głową.

- Zgadza się, za całą tę jazdę do nas do domu należy mu się jakaś nagroda. - Tak naprawdę lubiła towarzystwo Kjella. Czuła się przy nim coraz swobodniej i doceniała jego kojący urok oraz pełne wrażliwości zrozumienie. Zerelda nie myliła się co do niego. Kjell Lindquist był inny od mężczyzn, których dotąd знаła.

- Na pewno słyszałyście już, że doktor Ensign i jego żona zamierzają urządzić kolejny bal - oznajmił. - Kiedy się dowiedzieli, że Lydia przegapiła pierwszy, bo rozchorowała się po przyjeździe, stanowczo zapowiedzieli, że muszą zorganizować drugi, żeby godnie powitać ją w Sitce.

- Nic o tym nie słyszałam - odpowiedziała Zerelda, zerkając na bratanicę.

- Ja też nie.

- Świetnie zatem, skoro jako pierwszy dzielę się z wami tą nowiną, liczę na to, że będziecie mi obie towarzyszyły.

Zerelda się roześmiała.

- Czuję się stanowczo za stara na bal, a Lydia jest... - nagle zamilkła, widząc niechętnie spojrzenie bratanicy.

Wydawało się, że Kjell niczego nie zauważył.

- To nonsens, Zee. Jesteś doskonałą partią. Musisz przyjść. Bal ma się odbyć za dwa tygodnie.

Kiedy zbliżali się do skrzyżowania w stronę posiadłości Saberhagenów, zaczął padać lekki deszcz.

- Idealne wycucie czasu - powiedziała Zerelda, a Kjell pospieszył konie i podjechali pod dom. - Wejdz do środka, omówimy sprawę balu.

Zeskoczyła z wozu i sięgnęła po koszyk.

- Pospieszcie się lepiej, zanim rozpada się na dobre - dodała.

Kjell wstał i zeskoczył z wozu, a Lydia poczuła się przez chwilę dziwnie samotnie. Dotyk jego ciepłego ciała sprawiał jej przyjemność. Dużo większą niż można by pomyśleć.

Zaczęła zsiadać z wozu, kiedy nagle, ku jej zaskoczeniu, Kjell złapał ją w pasie i delikatnie przeniósł na ziemię.

- Widzę, że Zee dobrze cię karmi - zauważył, kiedy ruszyli w stronę chaty, żeby schronić się na ganku.

Lydia zeszywniała.

- Czyżbyś właśnie nazwał mnie pulchną? Roześmiał się.

- Kiedy tu przyjechałaś, byłaś strasznie wychudzona. To jasne, że musiałaś trochę przybrać na wadze. Cieszę się, że wracasz do zdrowia.

Poczuła, że się zarumieniała. Gdyby tylko znał prawdziwą przyczynę tych dodatkowych kilogramów... Lydia się zastanawiała, jak by zareagował, gdyby powiedziała mu o dziecku. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym uśmiechnęła się.

- Ciocia Zerelda świetnie gotuje. Muszę przyznać, że wiele mnie nauczyła.

- Nic dziwnego. - Kjell doprowadził ją do otwartych drzwi. - Hmm, ale zapach, czyżby potrawka?

Zerelda kiwnęła głową.

- Nastawiłam ją, zanim ruszyliśmy rano do miasteczka, żeby była gotowa akurat na nasze przyjście. - Włożyła fartuch i zawołała bratanicę do siebie. - Czy mogłabyś nakryć do stołu? Kjell, przyniesiesz trochę drewna?

- Jasne, Zee. - Zanim Lydia zdołała odpowiedzieć ciotce, Kjell zdążył już wyskoczyć na dwór.

- Nasz przyjaciel powiedział, że utylam - poskarżyła się, podchodząc do szafki, żeby wyjąć talerze.

- Co takiego? - Zerelda wydawała się zszokowana i Lydia się roześmiała.

- Nie zrobił tego w ten sposób, był miły. Powiedział, że dobrze widzieć, że nie jestem już taka wychudzona.

- Mówiłaś mu o dziecku?

Lydia ostrożnie wyjęła miski i pokręciła głową.

- Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nadal nie wiem. To znaczy, zdaję sobie sprawę, że niedługo wszyscy się dowiedzą i że nie zdołam długo utrzymać tego w tajemnicy.

- No cóż, jesteś wdową, to żaden wstyd, że spodziewasz się dziecka swojego męża - zauważyła rzeczowo Zerelda, po czym dodała łagodniejszym tonem: - Jeśli się martwisz, co powiedzą ludzie, to niesłusznie. Nie zrobiłaś nic złego.

- Wiem, ale bez przerwy się zastanawiam, w jaki sposób wpłynie to na moje życie.

Zerelda postawiła potrawkę na stole.

- To pokaże przyszłość. Na pewno wpłynie, ale twoje życie i tak by się przecież zmieniło.

Lydia usłyszała kroki Kjella na ganku.

- Proszę, nie mów nic więcej. Nie czuję się jeszcze gotowa, żeby o tym rozmawiać... z nim.

- Zee. Miałaś rację. Teraz już naprawdę leje. - Kjell podszedł do kominka z naręczem drewna. - Chcesz więcej? Coś mi się wydaje, że w nocy może się zrobić bardzo chłodno.

- To wystarczy. Gdyby zabrakło, sama przyniosę. A teraz siadaj i jedz.

- Zerelda wróciła do stołu z bochenkiem chleba i masłem.

Kjell i Lydia usiedli przy stole i czekali, aż starsza kobieta do nich dołączy. Następnie mężczyzna odmówił modlitwę. Lydia czuła się nieswojo i nie spuściła głowy: zamiast tego patrzyła wprost na Kjella, kiedy ten mówił o wdzięczności za jedzenie i za ręce, które przygotowały posiłek. Zwracał się do Boga tak swobodnie, jakby mówił do niej czy do Zereldy. Kiedy zakończył modlitwę słowem „Amen”, Lydia odwróciła wzrok i odchrząknęła. Szybko zajęła się kroje-

niem chleba, podczas gdy jej ciotka zaczęła nakładać do misek potrawkę.

- A więc co nowego, Kjell?

Uśmiechnął się szeroko i sięgnął po jedzenie, które podała mu Zerelda.

- No cóż, w październiku odbędzie się spis ludności. Wygląda na to, że rząd chce wiedzieć dokładnie, ilu jeszcze ludzi tu mieszka.

Zerelda pochyliła się i postawiła miskę przed Lydią.

- I co zrobią, kiedy to policzą?

- Trudno powiedzieć. Zwykle wykorzystują spisy podczas wyborów i innych takich okazji, ale przecież nie mamy tu prawa do głosowania. Nie zostaliśmy jeszcze nawet uznani za jedno z oficjalnych terytoriów. Może będą chcieli ocenić, czy mają wystarczającą liczbę żołnierzy, żeby strzec tu prawa. Albo wprowadzić jakieś podatki, które pokryłyby nasze utrzymanie.

Zerelda i Kjell dyskutowali o spisie ludności, a Lydia jadła w ciszy. Myślała o swojej przeprowadzce do Sitki i o tym, że zostanie wliczona pomiędzy tutejszych mieszkańców. Jej dziecko jeszcze nie zdąży się do tego czasu urodzić.

Znowu zaczęła się zastanawiać nad listem Robinsona. Czy powinna poprosić prawnika, żeby wstrzymał się z działaniami do czasu porodu? Marston wspomniał kiedyś, że pieniądze Grayów powinny trafić do spadkobierców Floyda i oto spodziewała się dziecka, które miało do tego majątku wszelkie prawa.

Jakaś jej część nie chciała jednak mieć z tą rodziną nic wspólnego. A gdyby po prostu pozwoliła Robinsonowi oddać pasierbom całą fortunę? Mogłaby zostawić wszystko za sobą i nigdy więcej nie zaprzętać sobie tym głowy. Może tak właśnie powinna zrobić. Może dzięki takiej decyzji wreszcie odzyska spokój.

- A więc co o tym sądzisz, Lydio?

Zaskoczyło ją to pytanie i podniosła wzrok, uświadamiając sobie, że nie usłyszała ani słowa z rozmowy między ciotką a Kjellem.

- O... o czym?

Kjell zachichotał i puścił do niej oko.

- Zee sugerowała, że może zdołamy cię namówić, żebyś któregoś wieczoru dała nam mały koncert. Moglibyśmy zaprosić jeszcze kilka osób, które chętnie posłuchałyby muzyki.

Lydia próbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła jako gwiazda wieczoru.

- Ja... no cóż... nie wiem, czy sprawdziłabym się w takiej roli. To znaczy... moja muzyka zawsze była dla mnie... dla mnie... - Zamilkła. Jak mogła wytłumaczyć, że przez całe życie szukała pociechy i towarzystwa w strunach i kawałku drewna?

- Jestem pewien, że podobnie jak moja gra na gitarze, to zawsze było dla ciebie coś intymnego, prawda? - zapytał Kjell.

Spojrzała mu w oczy i kiwnęła głową. Znalazła w jego wzroku zrozumienie i delikatność, której nie potrafiła pojąć. Ten mężczyzna miał w sobie coś wyjątkowego - potrafił przejrzeć ją na wylot, sięgnąć poza jej ból i cierpienie. Przerazało ją to, a jednocześnie intrygowało.

## Rozdział 110

WRZESIEŃ 1870 ROKU

Evie Gray-Gadston siedziała obok siostry i razem z resztą rodzeństwa czekała na Dwighta Robinsona. Ku wyraźnemu niezadowoleniu Marstona i Mitchella prawnik Lydii poprosił ich o spotkanie. Evie dowiedziała się już od rozwścieczonych braci, że sprawy nie szły po ich myśli, i zastanawiała się, co przyniesie przyszłość.

Było jej niewygodnie w nowym kostiumie spacerowym, więc lekko się poruszyła, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Nauczyła się już, że najlepiej, o ile to możliwe, po prostu wtopić się w tłum. Udawała, że strzepuje jakiś pyłek ze spódnicy. Szare i czarne wzory na tle halki w kolorze ciemnej śliwki sprawiały, że strój wydawał się niezwykle elegancki i wytworny. Nawet Jeannette wielokrotnie chwaliła tę kreację.

- Dlaczego on każe nam czekać? - narzekała Jeannette. - Strasznie tu chłodno, to nie do zniesienia. Dlaczego jego sekretarz nie proponuje nam niczego do picia?

- Och, ucisz się wreszcie, Jeannette - warknął Mitchell, wściekle na nią patrząc. - Nie wiem nawet, po co wy dwie w ogóle zostałyście tu zaproszone. Wszystko poszłoby dużo sprawniej, gdybyście po prostu zostały w domu.

- Mnie też interesuje wynik tej rozmowy, może nawet bardziej niż ciebie. Mój mąż może wiele stracić, jeśli ta spra-

wa nie zostanie wreszcie zakończona zgodnie z naszymi oczekiwaniami.

Evie usłyszała, że otworzyły się drzwi. Odwróciła się i zobaczyła Dwighta Robinsona. W myślach dziękowała Bogu za to, że prawnik w końcu się zjawił: była wyczerpana przebywaniem w towarzystwie swojej rodziny.

- Przepraszam, że kazałem państwu czekać. W ostatniej chwili otrzymałem wiadomość z sądu i zależało mi na tym, żeby móc ją państwu przekazać. - Stał za biurkiem. - Jeśli zechcą państwo usiąść, od razu się nią podzielę.

Evie widziała, że jej bracia nie mieli szczególnej ochoty spełniać jego prośby, ale zajęli miejsca. Marston wydawał się szczególnie zaniepokojony informacją o wiadomości z sądu. Zacisnął szczękę i zmrugał oczami, czekając na słowa prawnika.

- Jak państwo wiedzą - zaczął Robinson - sąd odrzucił apelację, którą państwo wnieśli. Testament ma zostać zrealizowany w obecnej formie.

- Nasz prawnik już nam o tym mówił - powiedział Mitchell. - Sprawdza jednak inne możliwości.

- Rozmawiałem z panem Sterlingiem, który zresztą niedługo do nas dołączy. Najpierw jednak chciałem porozmawiać z państwem sam na sam. Wierzę, że wysłuchanie tego, co mam do powiedzenia, będzie w waszym najlepszym interesie.

- Proszę mówić dalej - Marston pospieszył go z wyraźną irytacją.

- Pan Sterling zgadza się ze mną co do tego, że wszystkie decyzje należą obecnie do pani Gray.

Mitchell uderzył pięścią w oparcie fotela.

- To skandal! Nie zgodzimy się na to.

- To rozbój w biały dzień. Spadek został nam skradziony - oznajmiła Jeannette. Spojrzała na siostrę, licząc na wsparcie, ale Evie zachowała milczenie.

- Proszę mi pozwolić kontynuować - powiedział Robinson, wkładając okulary. - Mam jeszcze inne wieści.

W pokoju zapadła cisza i wszystkie oczy skierowały się na prawnika. Evie przyglądała się, jak mężczyzna ostrożnie rozłożył pojedynczą kartkę papieru.

- Mam tu list od pani Gray.

- A gdzie ona w ogóle jest? - zapytał Mitchell. - Czy nie powinna być tu obecna?

- Jej obecność nie jest potrzebna, bowiem pani Gray uczyniła mnie swoim pełnomocnikiem. Sądziłem, że tę kwestię już ustaliliśmy. - Zsunął nieco okulary i rozejrzał się po pokoju, czekając na dalsze uwagi.

- Wydaje się, że jeśli ta sprawa ma zostać dziś rozstrzygnięta, tak jak sugerował pan w liście z zeszłego tygodnia, dobrze by było, gdyby się tu jednak pojawiła - powiedział Mitchell.

- Ale to nie nastąpi. Czy mam kontynuować?

- Oczywiście, ty głupcze - Marston był najwyraźniej tak samo zły jak Mitchell, ale Evie wiedziała, że będzie trzymał język za zębami, dopóki nie znajdzie sposobności do skutecznego ataku. Cały Marston: przebiegły, kiedy przychodziło do manipulowania ludźmi dla własnej przyjemności czy korzyści.

- Otrzymałem ten list kilka tygodni temu. Mitchell wyglądał na urażonego.

- I dopiero teraz dzieli się pan nim z nami? Skąd to opóźnienie?

- Nie było powodów do pośpiechu, poza tym musiałem się zająć innymi sprawami. Jak państwo wiedzą, pani Gray już wcześniej postanowiła oddać państwu dom i całe jego wyposażenie. Oczywiście musieliśmy z tym poczekać na decyzję sądu, ale teraz, kiedy już wszystko stało się jasne, ufam, że zgodzą się państwo, że pora to wreszcie zakończyć.



Marston skrzyżował ręce.

- Doskonale. Proszę kontynuować.

Robinson raz jeszcze spojrzął na kartkę, którą trzymał w dłoniach.

- Pani Gray postanowiła potraktować państwa z ogromną szczodrością i wspaniałomyślnością.

Ta uwaga nie zaskoczyła Evie. Lydia nigdy nie była mściwa. Często wstawiała się za Evie i Jeannette, choć wiedziała, że to może jej zaszkodzić.

- Nieruchomość i cały dobytek mają trafić w państwa ręce i zostać równo podzielone. Także akcje i obligacje, które przed zawarciem małżeństwa z Lydią Rockford należały do państwa ojca, zostaną wam zwrócone.

- A co z przedsiębiorstwami? - zapytał Mitchell.

- Firma meblarska Grayów i przedsiębiorstwo Rock-fordów zostały połączone i w ten sposób powstał Zakład Trumniarski Rockforda i Graya. Oprócz tego są jeszcze mniejsze interesy waszego ojca, takie jak firma transportowa i dwie kostnice. - Robinson głęboko odetchnął i przerwał na chwilę, żeby raz jeszcze zerknąć na dokument, który miał przed sobą.

Niecierpliwość Mitchella znów wzięła górę.

- No już, mówże, człowieku.

- Pani Gray zgodziła się zwrócić firmę transportową i obie kostnice państwa rodzinie. Zakład Trumniarski Rockforda i Graya pozostanie jednak pod jej kontrolą i będzie zarządzany przez dyrektorów do spraw eksploatacji, których wyznaczy na podstawie moich rad i sugestii.

- Nigdy! - Mitchell zerwał się z fotela. - Nigdy się na to nie zgodzę!

Robinson przyglądał mu się przez chwilę, po czym znowu zerknął na dokument.

- W którym miejscu skończyłem?

- Nie słyszał mnie pan? To nie do przyjęcia - oznajmił Mitchell. Nachylił się nad biurkiem Robinsona w taki sposób, że jego twarz niemal stykała się z twarzą prawnika.

- Zakład Trumniarski Rockforda i Graya nie trafi w ręce tej kobiety.

- Obawiam się, że nie ma pan tu nic do powiedzenia

- oznajmił Robinson, który zdjął okulary i wyprostował się w fotelu.

Przez chwilę przyglądał się Marstonowi i Mitchellowi.

Evie zastanawiała się, co myśli prawnik. Nie było wątpliwości, że Lydia zachowała się wobec ich rodziny bardzo hojnie. Dzieci Floyda Graya miały dostać do podziału tysiące dolarów, ale to nadal nie wystarczyło jej chciwemu rodzeństwu.

- Sądzę, że to właściwy moment, by zaprosić państwa adwokata - powiedział Robinson, wstając z fotela. Podeszedł do drzwi gabinetu i otworzył je. - Panie Sterling, czy zechciałby pan do nas dołączyć?

Do pomieszczenia wszedł Nash Sterling, który wyglądał, jakby bał się własnego cienia. Evie zobaczyła, jak jej bracia zwrócili swoje oskarżycielskie spojrzenia na nieszczęsnego człowieka, i zrobiło jej się go żal. Sterling nieśmiało skinął głową na powitanie, ale nic nie powiedział. Usiadł tak daleko od Grayów, jak to było możliwe, i zdawał się kulić ze strachu, czekając, aż Robinson zabierze głos.

- Pan Sterling i ja kontaktowaliśmy się w sprawie testamentu. Państwa prawnik nadzorował proces przygotowania odpowiednich dokumentów i przyszedł tu doradzać państwu podczas podpisywania wspomnianych papierów.

- Niczego nie zamierzam podpisywać - oznajmił Mitchell. Podeszedł sztywno do fotela i opadł na niego jak rozpieszczone dziecko, któremu nie pozwolono zjeść deseru na kolację.

- Pragnę zwrócić uwagę, że pani Gray zachowała się wobec państwa rodziny niezwykle łaskawie. Jeśli odrzucą państwo tę ofertę, poradzę jej, żeby nie składała już żadnych wspaniałomyślnych propozycji.

Marston rozłożył ręce.

- A jeśli się zgodzimy, jak szybko zostanie nam przekazany majątek? W kwietniu Lydia mówiła, że odda nam dom i całe jego wyposażenie, ale nie pozwolił pan na żadne działania i nic się nie dało zrobić.

- Przekazanie własności odbyłoby się w tym przypadku natychmiast. Właśnie dlatego jest z nami pan Sterling. Uznałem, że wszystkim dobrze zrobi, jeśli załatwimy tę sprawę szybko i polubownie.

Marston skinął głową.

- Doskonale.

Mitchell spojrział na brata zaskoczony, ale nic nie powiedział.

- Czy to oznacza, że środki dostaniemy natychmiast? -zapytała Jeannette.

- Tak, jeśli dom i wszystkie dobra zostaną sprzedane od razu - odpowiedział Robinson. - Bracia będą niewątpliwie informowali panią o tej sprawie.

- Będziemy - zapewnił Marston. - A teraz proszę mi pozwolić przeczytać papiery, które pan przygotował.

- Nie mogę uwierzyć, że na wszystko się zgodziłeś - powiedział Mitchell, który siedział z kieliszkiem brandy w gabinecie brata.

Marston pokręcił głową.

- Nic innego nie dało się w tej sytuacji zrobić. Myślisz, że siedziałem z założonymi rękami, podczas gdy Sterling

wszystkim się zajmował? Zatrudniłem innych prawników, którzy mieli badać tę sprawę i sprawdzić inne możliwości. Niestety nie da się zaprzeczyć, że o ile w jakiś sposób nie zmusimy Lydii do zmiany stanowiska, jesteście zdani na jej łaskę.

Co za ironia. Całymi latami musiała się podporządkowywać ich żądaniom i pragnieniom, a teraz sama rozdawała karty. Marston posłodził kawę i zaczął rozmyślać.

W tej sytuacji najważniejsze wydawało się odnalezienie Lydii. Robinson nadal nie chciał zdradzić, dokąd się przeniosła. Najwyraźniej nie chciał, żeby Grayowie mieli z nią jakikolwiek kontakt. To było z jego strony mądre posunięcie i Marston musiał to docenić. Robinson niewątpliwie wiedział, że bracia zrobią wszystko, co tylko się da, żeby odzyskać cały majątek ojca.

- Nawet nie omówisz ze mną tej kwestii? - zapytał Mitchell.

Marston spojrział na niego, po czym wypił duży łyk gorącej kawy. Płyn lekko parzył go w język, ale mężczyzna chętnie powitał ból.

- Zastanawiam się nad tym, jakie kroki należałoby podjąć. Powinieneś przestać pleść bzdury i też się na tym skoncentrować.

- Ale ty po prostu przyjąłeś ich ugode. Nawet nie próbowałeś walczyć.

- Oskarżenie w tonie Mitchella było wyraźne.

- A co miałem twoim zdaniem zrobić? Odrzucić tę ofertę i jeszcze bardziej opóźnić moment, w którym otrzymalibyśmy jakiegokolwiek pieniądze? Uznałem, że rozsądniej będzie wziąć to, co w tym momencie możemy dostać, a resztę odzyskać później. Zobaczysz, Lydia jeszcze się przekona, że to nie było nasze ostatnie słowo. Teraz jednak możemy swobodnie sprzedać dom i wszystkie inne dobra. Możemy

też spieniężyć obligacje albo przepisać je na siebie i mieć Jeannette i jej męża z głowy. - I co dalej?

Marston uśmiechnął się.

- Dalej będziemy realizowali nasz plan. Wciąż nie mam pewności, czy nie warto wrócić do pierwotnego pomysłu, który zakładał zmuszenie Lydii do poślubienia mnie. Oczywiście trzeba by ją do tego skłonić, ale istnieją sposoby, żeby ją przekonać.

- Teraz, kiedy uzyskała finansową niezależność, to będzie dużo trudniejsze. Nie potrzebuje nas już.

Marston odstawił filiżankę i kiwnął głową.

- Owszem, trudniejsze, co nie znaczy, że niemożliwe. Trzeba nam po prostu porządnego planu.

- Obie wyglądacie przepięknie - powiedział Kjell, kiedy Lydia i Zerelda weszły do głównego pomieszczenia domu Zee.

- Z całą pewnością nie przyjechałam do Sitki przygotowana na to, że będę co miesiąc brała udział w balach, ale Zerelda zapewniła mnie, że w tym przypadku wystarczy zwykła, prosta sukienka - wyjaśniła Lydia. - Choć miałam ją już na sobie na poprzednim balu pani Ensign.

- Wyglądasz idealnie - oznajmił Kjell. - Ten kolor bardzo do ciebie pasuje.

Dotknęła górnej części połyskującej sukni w miedzianym kolorze.

- Miałam nadzieję, że tu, na dzikich pustkowiach północy, zmartwienia związane z doborem strojów wieczorowych nareszcie znikną.

- Czyżbyś nie lubiła takich rzeczy? Przecież większość kobiet uwielbia chwalić się pięknymi sukniami na przyjęciach.

Zerelda roześmiała się i włożyła szal.

- Obawiam się, że Lydia stała się prawdziwą domatorką. Woli spokojne wieczory przy kominku z książką i kubkiem ciepłego mleka.

- Jak na mój gust brzmi to idealnie - przyznał Kjell. Zmieniłby tylko jedno: posadziłby siebie obok Lydii któregoś z tych spokojnych wieczorów w domu. Nie mógł zaprzeczyć, że coraz bardziej go pociągała. Marzył o tym, żeby lepiej ją poznać.

W drodze na bal Lydia niewiele mówiła, a kiedy już tam dotarli, szybko zniknęła - otoczyło ją całe stado chętnych do tańca oficerów z miejscowego fortu. Także Zerelda znalazła się natychmiast w centrum zainteresowania i Kjell, zanim się obejrzał, został zupełnie sam.

Przyglądał się, jak Lydia tańczyła walca z kolejnymi mężczyznami. Uśmiechała się i rozmawiała z każdym z nich, ale czuł, że tak naprawdę wcale dobrze się nie bawiła. Nadal zastanawiał się nad jej przeszłością i nad cierpieniami, które ją spotkały. Nigdy nie mówiła o niczym, co miało związek z jej nieżyjącym mężem, ale Zerelda wyznała, że jej bratanica miała trudne życie.

W pewnym momencie muzyka ucichła, a Lydia i jej partner zatrzymali się niedaleko. Kjell miał zamiar zaprosić ją do kolejnego tańca, ale ku jego zaskoczeniu podeszła do niego pierwsza.

- Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za bezczelną, ale zastanawiałam się, czy mógłbyś towarzyszyć mi na zewnątrz. Chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. - Sięgnęła po swój szal, który wisiał przy drzwiach wejściowych.

Uśmiechnął się.

-Bardzo chętnie. - Podał jej rękę, a ona oparła się na nim.

- Chyba nas pani jeszcze nie opuszcza? - zaniepokoił się jeden z oficerów, kiedy Kjell ruszył z Lydią do drzwi.

- Bez obaw, wrócimy. Pani chciałaby po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza - wydawało się, że wyjaśnienie Kjella nieco uspokoiło mężczyznę. Odsunął się i pozwolił im przejść.

Noc była chłodna, a Lydia zadrżała, kiedy wyszli na werandę. Kjell zdał sobie sprawę, że nadal trzymała wełniany szal w rękach.

- Pozwól, że ci pomogę. - Wziął go od niej i owinał jej ramiona. Robiąc to, zatrzymał na chwilę dłoń na skórze Lydii.

- Myślisz, że niedługo spadnie śnieg? - zapytała.

- Pewnie w górach, ale u nas jeszcze nie. Tutaj częściej pada deszcz niż śnieg. Zima jest zwykle dość łagodna. Czasem bywa oczywiście chłodniej, ale zazwyczaj utrzymuje się umiarkowany klimat.

Lydia kiwnęła głową.

- Przypominam sobie, że Zerelda mówiła coś podobnego. Musiałam zapomnieć. W Kansas City zimą najczęściej padał śnieg.

- Czy to duże miasto? - zapytał Kjell, mając nadzieję, że Lydia wreszcie się przed nim otworzy i zdoła opowiedzieć o swojej przeszłości.

Zastanawiała się chwilę nad jego pytaniem.

- Tak. Moim zdaniem zdecydowanie zbyt duże. Myślałam, że będę za nim tęskniła, ale wcale tak nie jest. Tutaj czuję się, jakbym... wróciła do domu. - Zaśmiała się cicho. -Odczuwam tu dziwny rodzaj spokoju, którego nigdy dotąd nie doświadczyłam. W jakiś sposób Sitka wypełnia pustkę, która stała się moim udziałem. To pewnie głupio brzmi.

- Ależ skąd - zaoponował.

- A więc odpowiedziałam na twoje pytanie. Czy zrobisz to samo? - zapytała.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się szeroko. - Co chciałabyś wiedzieć?

- Kjell. Co oznacza to imię? Skąd się wzięło?

- To szwedzkie imię. Pochodzi od słowa *kettil*, czyli kocioł albo czajnik. Dlaczego pytasz?

- Pewnie dlatego, że brzmi tak obco. - Uśmiechnęła się. - Ale ponieważ ja odpowiedziałam ci na dwa pytania, musisz pozwolić mi zadać jeszcze jedno.

Oparł się o ścianę domu i wzruszył ramionami.

- Pytaj, o cokolwiek zechcesz. Nie przeszkadza mi to. Nie mam żadnych tajemnic.

Lydia milczała kilka minut, a Kjell pomyślał już, że zmieniła zdanie. Kiedy wreszcie się odezwała, zaskoczyła go.

- Opowiedz mi o swojej żonie.

- O Raisie? No cóż, pochodziła z rosyjskiej rodziny, która osiedliła się tu i prowadziła miejscowy młyn. Poznałem ją, kiedy miała czternaście lat, a ja dwadzieścia. Z początku nie zwracałem na nią uwagi. Minęło jednak kilka lat i zacząłem ją zauważać aż zanadto. - Roześmiał się. - Była inna niż wszystkie dziewczyny, które kiedykolwiek znałem. Miała w sobie jakąś naturalną radość, która sprawiała, że wszystkim wokół niej życie wydawało się łatwiejsze. To oczywiście nie znaczy, że nie bywała smutna. Kiedy rodzice Raisy wrócili do Rosji, załamała się. Nie chciałem wtedy opuszczać Sitki. Moja matka dopiero co umarła i nie byłem jeszcze gotów żegnać się ze wszystkimi, których tu znałem. Teraz, patrząc wstecz, widzę, że zachowałem się egoistycznie. To chyba najbardziej samolubna decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłem.

- Jeśli to twoja najgorsza decyzja, dobrze ci poszło w życiu - powiedziała Lydia tak cicho, że ledwo ją usłyszał. -



Znałam samolubnych mężczyzn, uwierz mi. Nie możesz się z nimi równać.

- A jednak skrzywdziłem ją. Wiedziała, że jej miejsce jest u mojego boku, ale tęskniła za rodziną. Byli sobie bardzo bliscy. Kiedy wreszcie dojrzałem do tego, żeby zacząć się zastanawiać nad wyjazdem, Raisa zachorowała. Lekarze nigdy nie zdołali ustalić przyczyny jej choroby, ale marniała na moich oczach. Zmarła po miesiącu.

- Przykro mi. Chyba bardzo ją kochałeś. Kjell skinął głową.

- To prawda. Była wspaniałą, niezwykle słodką i łagodną kobietą. Podobną do ciebie.

Lydia odwróciła wzrok.

- Nie jestem słodka i łagodna. Mam w sobie bardzo dużo goryczy. Nie zamierzam udawać, że jest inaczej.

Kjell podszedł do niej i odwrócił Lydię w swoją stronę.

- Wiele przeszłaś. Prawie nic o tym nie wiem, ale widzę to w twoich oczach. Gdybyś kiedykolwiek chciała się tym ze mną podzielić, chętnie posłucham.

Delikatne światło sączyło się z okien domu i padało na twarz Lydii. Dostrzegł jej zdziwienie.

- Nie jestem chyba przyzwyczajona do tego, że mężczyznę w ogóle obchodzą takie opowieści, a już tym bardziej że gotów jest mnie wysłuchać.

Delikatnie wyciągnął dłoń i dotknął jej twarzy. Poczul satysfakcję, kiedy się nie cofnęła.

- Mnie obchodzą.

Lydia przez chwilę patrzyła mu w oczy, nic nie mówiąc. Zdawała się go oceniać i ważyć, czy mówił prawdę. Po chwili przygryzła dolną wargę, po czym lekko się cofnęła.

- Chyba powinniśmy już wracać - powiedziała. - Zerelda będzie się o mnie martwiła.

Kjell skinął głową. Żałował, że nie chciała zostać z nim na werandzie, ale nie próbował jej do niczego namawiać.

Zamiast tego zrobił jedyną rzecz, jaka mu przyszła do wy, żeby trochę dłużej cieszyć się jej towarzystwem.

- Zatańczysz ze mną?

Zatrzymała się na chwilę i kiwnęła głową.

-Tak.

## Rozdział 123

Gerald Lytle spojrział na pokaźną kwotę, która przed nim leżała, i głęboko odetchnął. Marston Gray wiedział, że ten człowiek desperacko potrzebuje pieniędzy, żeby spłacić długi, które zaciągnął w kasynie zaledwie tydzień wcześniej.

- Nie zamierzacie jej w żaden sposób skrzywdzić? -upewnił się Lytle, który najwyraźniej rozważał propozycję Marstona.

- Oczywiście że nie, głupcze. Jestem gentlemanem, nie zabójcą. Chcę jej po prostu podziękować za szczodrość, jaką okazała mojej rodzinie, i przeprosić za to, w jaki sposób była traktowana. Próbowałem znaleźć jej adres u Robinsona, ale on, zdaje się, uważa, że wszyscy ponosimy winę za to, jak nasz ojciec zachowywał się wobec Lydii.

- Traktował ją w straszny sposób - zgodził się Gerald. Marston nic nie powiedział, ale kiwnął głową, jakby potwierdzał słowa przedmówcy.

- Może pan być pewien, że pragnę tylko przekazać jej wyrazy uznania i dowiedzieć się, czy rzeczywiście nic jej nie jest. Nawet jeśli nie ma ochoty na korespondowanie ze mną, dla spokoju ducha chciałbym wiedzieć, co się z nią dzieje.

- Mógłby pan po prostu napisać Ust, a ja bym go wysłał w pańskim imieniu - zaproponował Gerald. - W ten sposób zrealizowałyby pan swój cel, a ja nie musiałbym nadużywać pokładanego we mnie zaufania.

Marston pokręcił głową.

- Nie. Uważam, że najlepiej zrobić tak, jak przed chwilą zaproponowałem. Chciałbym uzyskać dostęp do dokumentów, do całej korespondencji z Robinsonem. Muszę się upewnić, że nie jest w żaden sposób oszukiwana.

Mężczyzna zmarszczył brwi.

- Ależ pan Robinson ma nieskazitelną reputację.

- Ludzie popełniają błędy, nawet Robinson. - Marston podniósł wyżej pieniądze. - A zatem, zgadza się pan? - Zaczął powoli chować banknoty do kieszeni, ale Lytle wyciągnął rękę i powstrzymał go.

- Dobrze. Dziś wieczorem zostawię otwarte boczne drzwi do gabinetu. Jeśli chce pan przejrzeć korespondencję, postaram się, żeby leżała na środku biurka pana Robinsona. Proszę spisać wszystkie informacje, jakie będą pana interesowały, ale niech pan w miarę możliwości niczego nie zabiera. - Sięgnął po pieniądze i przez chwilę się w nie wpatrywał. - Nic innego nie może zostać naruszone.

Marston skinął głową i wyjął cygaro.

- Powtórzę to mojemu człowiekowi.

- Co pan przez to rozumie? To nie pan będzie przeglądał listy?

Na ustach Marstona zagościł lekki uśmiech. Odciał końcówkę cygara i pokręcił głową.

- To nie byłoby szczególnie rozsądne. Gdyby zauważył mnie jakiś zbyt spostrzegawczy policjant, trudno byłoby wyjaśnić moją obecność. Ale jeśli złapany zostanie wynajęty człowiek, może przyznać się po prostu do drobnej kradzieży i nikt się niczego nie domyśli.

Lytel głośno przełknął ślinę.

- Rozumiem.

Mężczyzna zniknął niepostrzeżenie, kiedy Marston zapalał cygaro. Gray był zadowolony z tego, jaki obrót przy-

brały sprawy. Teraz musiał po prostu znaleźć odpowiedniego człowieka, który podjąłby się tego zlecenia.

Sitka była na tyle mała, że utrzymanie tu czegokolwiek w tajemnicy nie miało szans powodzenia. Kjell przekonał się o tym już dawno, a tego dnia ta stara prawda tylko się potwierdziła. Już dwukrotnie docierały do niego pogłoski, że bracia Sidorowowie wcale nie wyjechali z miasteczka. Zastanawiał się, czy to mogła być prawda, ale czuł, że nie ma czasu na prowadzenie śledztw. W lecie załatwił wszystko z pokrzywdzonymi klientami i sytuacja wróciła do normy. Kjell nie miał do końca pewności, co powinien zrobić, jeśli Sidorowowie pozostali gdzieś w okolicy. Zażądanie od nich zwrotu pieniędzy wydawało się teraz nierealne, a ponieważ nie zagrażali już ani jemu, ani jego interesom, uznał, że nie ma sensu chować do nich urazy.

- Nad czym dumasz, kiedy dzień taki ponury?

Kjell podniósł wzrok i zobaczył stojącą dokładnie naprzeciw niego Zereldę Rockford. Nie patrzył przed siebie i mało brakowało, żeby na nią wpadł.

- Przepraszam, Zee, zamyśliłem się. Jak się masz?

- Wszystko w porządku. A co u ciebie?

To pytanie sprawiło, że pomyślał o innych pogłoskach, które ostatnio do niego docierały. Chciał poznać prawdę, a Zee zawsze chętnie odpowiadała na jego pytania.

- Czy moglibyśmy porozmawiać? - zapytał.

- Tak, mam teraz czas. Dokąd chcesz pójść? - Zerelda przełożyła koszyk z jedzeniem do drugiej ręki. - Chętnie napiłabym się kawy.

- Dobry pomysł. Ja stawiam. - Kjell wziął od niej koszyk i ruszyli w stronę Rosyjskiej Herbaciarni.

Niewielki żółty domek miał pewien szczególny urok. W pomieszczeniu, które musiało być kiedyś salonem, rozstawiono kilka stołów. Kjell znał rodzinę Puczaków, do której należało to miejsce. Gości przyjmowali na parterze, a sami mieszkali na piętrze.

Pani Puczakowa powitała ich z właściwym sobie entuzjazmem.

- Kjell, Zerelda, miło was widzieć. Siadajcie. Mam świeże *rasstegai*.

Kjell uśmiechnął się szeroko i zaczął się głaskać po brzuchu.

- Z mielonym mięsem?

- Oczywiście - odpowiedziała mocno zbudowana kobieta, promiennie się uśmiechając.

Kiedy już usiedli i dostali herbatę oraz trochę pasztecików z mielonym mięsem, Kjell odchrząknął.

- Mam nadzieję, że to, co powiem, nie urazi cię, Zee. Nie chcę się zachować niegrzecznie, ale... no cóż, znasz mnie.

Kiwnęła głową.

- Znam i nigdy nie widziałam, żebyś tak ostrożnie zaczynał konwersację.

Zachichotał.

- No cóż, chodzi o Lydię.

W jej oczach dostrzegł rozbawienie.

- Ach, dlaczego nie jestem zaskoczona? Czego takiego chciałbyś się dowiedzieć?

- Słyszałem plotki... - zaczął. - Ponieważ nie mam zaufania do takich pogłosek, postanowiłem porozmawiać z kimś, kto będzie znał prawdę.

Zerelda powoli piła kawę, nawet nie próbując się odnieść do jego słów. Kjell przesunął się nerwowo i zaczął się bawić uchem swojego kubka.

- Chodzi o to, że jesteście mi obie bardzo bliskie i czuję, że muszę się wami opiekować.

Zerelda się uśmiechnęła.

- Na Boga, człowieku, przejdź wreszcie do sedna i zadaj pytanie, które ci chodzi po głowie.

Kjell skinął głową i nachylił się w jej stronę.

- Słyszałem, że Lydia jest... że jest... - Nie mógł tego z siebie wydusić.

- W ciąży? - wyszeptała Zee.

Westchnął z ulgą, jakby zdjęła mu z barków ogromny ciężar. - Tak.

- To prawda. Lydia nosi dziecko swojego zmarłego męża. Urodzi je w okolicy Bożego Narodzenia.

Kjell zmarszczył brwi.

- Czy ona... dobrze się czuje?

- O tak, zadbałam o to. Jest równie zdrowa jak ty czy ja. Teraz trzyma się z dala od innych bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, ale i tak starają się o jej rękę całe stada mężczyzn. Przegoniłam więcej konkurentów ubiegających się o nas obie, niż byłabym w stanie zliczyć.

- Ci mężczyźni powinni uszanować waszą sytuację i dać wam spokój.

Zee się roześmiała i podniosła pasztecik do ust.

- Może ty też powinienes zacząć zabiegać o Lydię, zanim ktoś ci ją sprzątnie sprzed nosa.

Kjell poczuł, że jego twarz zrobiła się purpurowa i nie wiedział, co odpowiedzieć. Oczywiście, że chciał zabiegać o Lydię, jak to ujęła Zee, ale nie miał pojęcia, jak się za to zabrać.

- Opowiedz mi o jej życiu.

- To ona powinna to zrobić - powiedziała Zerelda, patrząc przez okno.

Obejrzał się, ale nie dostrzegł niczego, co mogłoby przykuć jej uwagę. Znowu zaczęło padać i Lincoln Street opustoszała.

- Pewnie nic się nie stanie, jeśli *zdradzą* ci trochę szczegółów - oznajmiła wreszcie Zee, opierając się na krześle. - Lydia w bardzo młodym wieku została siłą wydana za okrutnego mężczyznę. Wydaje mi się, że kontrakt małżeński zawarto jeszcze przed jej piętnastymi urodzinami. Sądziłam, że to straszny pomysł, tym bardziej że Gray był dużo starszy, ale mój brat zlekceważył wszelkie ostrzeżenia. Twierdził, że wiele kobiet wychodzi za mąż przed skończeniem dwudziestu lat, często za starszych wdowców. Mimo to podkreślałam, że to wyjątkowo zła decyzja. Lydia wzięła ślub, kiedy miała szesnaście lat, i odtąd czekały ją już tylko ból i cierpienie. Jak mi mówiła, jej męża obchodziły jedynie pieniądze i władza. Miał czworo dzieci: dwóch chłopców, którzy byli już dorośli, kiedy Lydia stała się częścią tej rodziny, a także dwie młodsze dziewczynki - dwunastoletnią i najmłodszą, czteroletnią. Dzieci traktowały macochę równie podle co ich ojciec.

- Nic dziwnego, że Lydia stała się taka zgorzkniała - powiedział Kjell w zamyśleniu.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co musiała przejść. Zresztą to nie ja powinnam ci o tym opowiadać. W każdym razie większa część jej dorosłego życia to było po prostu piekło. Lydia obwinia za to Boga, mówi, że nie chce mieć z Nim nic wspólnego. - Zee smutno pokręciła głową. - Tak naprawdę chciałyby czuć Jego bliskość i płynący z niej spokój, ale zbyt wiele razy zawodziła się w przeszłości i teraz boi się ryzykować.

- Pewnie nie będzie chciała powtórnie wyjść za mąż? - Spojrzał na Zee, żeby sprawdzić, czy zaskoczyły ją te słowa. Nie zaskoczyły.

- Myślę, że właściwy mężczyzna zdołałaby jej pokazać, że życie może wyglądać inaczej - odpowiedziała. - Chciałabym wierzyć, że to właśnie ty nim jesteś, Kjell. Masz nieskoń-



czoną cierpliwość i dobre serce. Twoja łagodność i szczerść są właśnie tym, czego Lydia potrzebuje. Ale ty należysz do Pana, a ona nie. Nie możecie być razem, dopóki istnieje między wami taka różnica. Lydia musi się na powrót zbliżyć do Boga, zanim będzie mogła się związać z tobą. W przeciwnym wypadku to się źle skończy dla was obojga.

Myśląc o Lydii, Kjell nie skupiał się wcale na sprawach duchowych.

- Ale ona spodziewa się dziecka. Potrzebuje męża, a dziecko potrzebuje ojca.

- To byłoby wspaniałe - stwierdziła Zee - ale dopóki Lydia nie zdoła zapomnieć o przeszłości, mogłaby wyrządzić wiele szkód zarówno tobie, jak i sobie samej. Tylko Bóg pomoże jej zapomnieć o tym, co ją spotkało.

Kjell zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Ale może dzięki mnie dostrzegłaby prawdę. Może właśnie dlatego stała się dla mnie kimś ważnym. Przecież Pan musiał napęłnić mnie takimi myślami w określonym celu.

Zee wyciągnęła rękę i poklepała go po dłoni.

- Kjell, wszystko jest możliwe. Nie będę przecież zaprzeczała, że wyroki Boga są nieprzeniknione. Po prostu bądź ostrożny. Widzę, że już prawie straciłeś dla niej głowę. Nie strać przy okazji swoich wartości.

- Ona jest w ciąży! - Mitchell oznajmił z niedowierzaniem.

- Kobieta z taką moralnością nie ma prawa...

- Och, ucisz się wreszcie - nakazał Marston, potrząsając głową. - Nie widzisz, że ma urodzić w grudniu? To oznacza, że nosi dziecko naszego ojca.

Mitchell gwałtownie opadł na krzesło, jakby nie mógł znieść tej informacji.

- Dlaczego nic nie powiedziała przed wyjazdem?

- Najprawdopodobniej sama jeszcze tego nie wiedziała albo nie chciała, żebyśmy wiedzieli to my. - Marston w skupieniu studiował notatki, które dostarczył mu jego człowiek. - Chciała wyjechać do Sitki, żeby zamieszkać z ciotką, i pewnie nie wiedziała, że spodziewa się dziecka.

- Być może, oczywiście, miała taką świadomość i chciała wyjechać, zanim odkryłby to ktokolwiek inny. Ale dlaczego? Co jeszcze ukrywała?

- Pojedziesz na Alaskę i sprowadzisz ją do Kansas City?

- Tak - odparł rzeczowo Marston. Mitchell się wyprostował.

- Nie będzie chciała wracać, prawda?

- Pewnie nie - przyznał Marston, siadając za biurkiem.

- Ale wróci.

- To tłumaczy też, dlaczego postanowiła jednak zachować kontrolę nad interesem.

- Co masz na myśli? Mitchell wzruszył ramionami.

- Podjęła taką decyzję ze względu na dziecko. W końcu będzie spadkobiercą Grayów.

- Nie pomyślałem o tym, ale możesz mieć rację. - Marston złączył dłonie. - Chociaż to też działa na naszą korzyść. Możemy jej wytłumaczyć, że dziecko potrzebuje rodziny, która je wesprze i zagwarantuje mu odpowiednie wykształcenie.

- Lydia nigdy się nie zgodzi, żeby którekolwiek z nas zbliżyło się do jej dziecka - powiedział Mitchell, potrząsając głową. - Nienawidzi nas. Nie zechce wrócić.

- Więc może wcale nie będzie musiała wracać. Mitchell zmrużył oczy.

- Co masz na myśli?

- Uważam, że powinienem pojechać na Alaskę i udawać zaniepokojonego pasierba. Łagodnie zacznę się do niej zalecać, komplementując ją i doceniając szczodrość, z jaką potraktowała naszą rodzinę. Powiem, że jej słodycz i dobroć odmieniły moje serce, a potem wmówię jej, że teraz to ona desperacko potrzebuje mojej pomocy. Przecież owdowiała kobieta, która została zupełnie sama na świecie, zmuszona do wychowywania dziecka bez mężczyzny, musi się mierzyć z wieloma trudnościami.

- Ale to bogata wdowa.

- To nie ma znaczenia, Mitchell. Na Boga, człowieku, jesteś przecież żonaty. Nadal nie rozumiesz emocjonalnych potrzeb swojej żony? Pieniądze niewiele znaczą dla kobiety, która martwi się o przyszłość. A teraz, kiedy w grę wchodzi dziecko, wyobrażam sobie, że jej strach jeszcze się pogłębił.

- Ale co jeśli ona nawet nie chce tego dziecka? Nie rozważyliśmy jeszcze takiej możliwości.

Marston myślał nad tym przez chwilę. Wszystko, co wiedział o Lydii Rockford-Gray, mówiło mu, że to mało prawdopodobna wersja. W ostateczności zatrzymałaby dziecko jako rodzaj trofeum, wyraz zwycięstwa nad okrutnym mężem i rodziną, która wyrządziła jej tyle krzywd.

- Jeśli nie zechce dziecka, zaproponuję, że je zabiorę i wychowam jak własne. Naprawdę, Mitchell, w całej tej sytuacji widzę więcej szans niż przeszkód. A jeśli mimo wszystko odmówi współpracy, może zginąć, jeśli o mnie chodzi.

Mitchell otworzył szeroko usta, ale nie zdołał nic z siebie wykrztusić. Marston się roześmiał.

- Nie udawaj zdziwienia. Przecież już wcześniej rozmawialiśmy o tym, żeby ją zabić. Notatki, które tu mam, wskazują, że zadbała już o dziecko. Poprosiła Robinsona, żeby przygotował testament: wszystkie jej ziemskie dobra zostaną zapisane dziecku, którym ma się opiekować jej ciotka

Zerelda Rockford. Najwyraźniej zamierza wychować dziecko, ale nawet gdyby tak się nie stało, nie chodzi nam przecież o nie czy o Lydię. Chodzi o interes i pieniądze, które nam ukradła. W tym momencie tylko to się liczy i właśnie na rozwiązaniu tego problemu należy się skoncentrować.

Lydia wyruszyła z ciotką do indiańskiej osady. Zabrały z sobą część zapasów, które przywiozła na Alaskę. Zerelda zapewniła ją, że mają wystarczająco dużo jedzenia, i wytłumaczyła bratanicy, że pośród Indian panuje straszliwa bieda.

- Są dumni, ale niezwykle ubodzy. Będziemy z nimi handlowały, w ten sposób sami zapracują na to, co dostaną - wyjaśniła Zerelda. - Myślę, że to ważne, żeby ludzie czuli się potrzebni i znali wartość swojej pracy. Nikomu nie pomożemy, jeśli po prostu damy mu wszystko na talerzu.

- Zgadza się. Widziałam, jakie szkody wyrządziło takie postępowanie w przypadku wielu naszych bogatych sąsiadów. Ich synowie nigdy nie musieli się martwić o pieniądze, więc nic nie robili i nie pracowali nad sobą.

Zerelda ze smutkiem kiwnęła głową.

- Nie możemy dłużej zaspokajać ich potrzeb, a potem oskarżać ich o brak ambicji i chęci poprawy własnej sytuacji.

Pożyczyły od znajomego bardzo łagodnego starego wałacha i niewielki, lekko rozklekotany wóz. Z przodu było miejsce tylko na jedną osobę, ale ani Lydia, ani Zerelda nie były mocnej budowy, więc bez trudu zmieściły się obie.

Kiedy tak jechały w ciszy, Lydia przypomniała sobie, co mówił Kjell tamtego wieczoru, kiedy razem tańczyli. Zastanawiała się, co jej ciotka powiedziałyby na ten temat.

- Zereldo, czy ty czasem kwestionujesz decyzje Boga?

Ciotka zachichotała.

- Kiedyś chyba zdarzało mi się to częściej. Ale ponieważ nigdy nie postanowił skonsultować się ze mną, założyłam, że nie jest mi winien żadnych wyjaśnień.

- Ale czy On nie chce, żebyśmy go rozumieli? Ciotka spojrzała na nią zdziwiona.

- Rozumieli?

- Życie. Śmierć. Przyczyny, dla których dane rzeczy się zdarzają. Gdybym lepiej rozumiała, dlaczego musiałam w przeszłości znosić taki ból i cierpienie, być może łatwiej zaufałamby teraz Bogu. Gdyby mógł mi dać chociaż tyle.

- A czy naprawdę sądzisz, że gdybyś wiedziała, dlaczego mój brat podjął taką, a nie inną decyzję i oddał cię Floydowi Grayowi, chętniej zaufałaś Bogu?

Lydia wiedziała, że brzmiało to naiwnie, zresztą może tak naprawdę po prostu sama siebie okłamywała.

- Nie wiem. Po prostu uważam, że lepiej, kiedy rozumiem, *dlaczego* coś się dzieje. Kiedy byłam mała i moja lalka wpadła do rzeki, nie mogłam się z tym pogodzić i długo nalegałam, żeby ojciec rzucił się za nią do wody. Mama wytłumaczyła mi, że to niemożliwe, bo nie umie pływać i po prostu by się utopił. Dzięki temu wszystko zrozumiałam, a wiedząc, dlaczego dana rzecz nie wchodzi w grę, potrafiłam zaakceptować to, co się stało.

Zerelda kiwnęła głową.

- Czasem dobrze jest znać przyczyny różnych wydarzeń. Ale to nie zawsze pomaga. Gdybyś wiedziała, dlaczego Bóg pozwolił ci wyjść za bezdusznego mężczyznę i stracić dzieci, których tak bardzo pragnęłaś, nie zapomniałaśbyś przecież o przeszłości.

- Nie, ale być może ta przeszłość nabrałaby jakiegokolwiek sensu. Na razie mam wrażenie, że wszystko poszło na marne.

- A co z dzieckiem, które w sobie nosisz? Lydia przyłożyła dłoń do talii.

- Co masz na myśli?

- Nie byłoby go, gdyby nie Floyd.

- Gdyby Floyd żył, z całą pewnością bym go nie urodziła. Pobiłby mnie, tak jak za każdym razem.

- Więc może Bóg miał specjalne zamiary co do tego dziecka i interweniował w jego i twoim imieniu.

Lydia przez chwilę się zastanawiała nad słowami ciotki.

- W takim razie co z pozostałymi? Czy one na to nie zasługiwały? Nie miały specjalnego przeznaczenia? Czy Bóg jest tak nieczuły, że ratuje jedno dziecko, a porzuca inne?

Zerelda zatrzymała konie.

- Dziecinko, wiem, że cierpisz, wiem, że chcesz wypełnić odpowiedziami tę pustkę, którą w sobie nosisz. Ale to nie odpowiedzi sprawią, że lepiej się poczujesz. Tylko Bóg może ci pomóc. Tylko przymierze z Nim odpowie na twoją tęsknotę.

Lydia siedziała w milczeniu i zastanawiała się nad dręczącymi ją pytaniami. Minęły bez trudu wejście do indiańskiej osady. Ranczo tętniło życiem. Bramy miały zostać zamknięte dopiero o szóstej po południu, więc na razie ruch odbywał się swobodnie, a interesy załatwiano jak każdego innego dnia. Lydia poczuła się nieswojo na widok placu targowego, na którym wisiały jelenie i dzikie kaczki, a obok suszyły się halibuty. Zapach był niezwykle ostry i obawiała się nawrotu mdłości.

Wzdłuż drogi rozłożyły towary Indianki, które czekały na sposobność do handlu. Zerelda zatrzymała wóz przed jedną z kobiet, obok której siedział puciołowaty malec, radośnie żując leżącą obok skórę.

Zsiadła z wozu i kucnęła przy kobiecie. Lydia przyglądała się, jak przez kilka minut rozmawiały. Indianka z en-

tuzjazzmem kiwała głową i pokazywała Zereldzie kosze, które miała na sprzedaż. Ciotka machnęła ręką, więc Lydia zsiadła i podeszła do nich.

- Ma wspaniałe koszyki. Jeden z tych większych byłby idealny na łóżeczko dla dziecka. Przynajmniej na początek.

Lydia przyjrzała się przedmiotowi, którego kunsztowne rzemiosło zrobiło na niej ogromne wrażenie. Koszyk był przepiękny.

- *Daax'oon sitkum* - powiedziała kobieta Zereldzie.

- To dobra cena. Wychodzi mniej więcej dwa dolary. -Zerelda wstała i podeszła do wozu. Wyjęła ciężki wełniany koc i kilka innych przedmiotów. Znowu odezwała się do Indianki, po czym rozłożyła przedmioty na ziemi. Kobieta uważnie przyglądała się każdemu z nich. Wyglądało na to, że po chwili udało im się osiągnąć porozumienie.

Zerelda odwróciła się do Lydii.

- Ustaliłam też, że dostaniemy ryby na kolację. Kobieta podeszła do stosu świeżych ryb. Wybrała dwie

duże sztuki i owinęła je w gazetę. Kiedy wróciła, Zerelda sięgnęła po zawiniątko i skinęła głową. Lydia umieściła kosz na wozie i czekała, aż ciotka dobieje targu. Zaraz potem nastąpiło kilka kolejnych transakcji z innymi kobietami, aż wreszcie wszystkie przywiezione na wozie przedmioty trafiły w ręce Indianek.

Kiedy zamierzały już wracać do domu, podbiegła do nich jedna z Tlingitek. Z podnieceniem zaczęła o czymś opowiadać, ale Lydia nie mogła zrozumieć ani jednego słowa. Zerelda zatrzymała wóz.

- Zostałyśmy zaproszone, żeby obejrzeć nowo narodzone dziecko.

Lydia ruszyła za ciotką. Weszły razem do zaciemnionego domu i minęły kilka przypominających pudełka ścianek,

które oddzielały poszczególne jego części. Żyło tu wspólnie kilka rodzin należących do jednego klanu.

Lydia zauważyła, że wiszące na jednej ze ścian drewno zostało ozdobione kartami do gry i ulotkami. Te przedmioty prawdopodobnie cieszyły się równie dużym szacunkiem co umieszczony na ścianie w Kansas City wspinały obraz olejny, który przedstawiał Charlotte Gray.

Zereldę i Lydię zaprowadzono pospiesznie do ostatniego pomieszczenia i przedstawiono im młodą kobietę, jeszcze dziewczynkę, która karmiła piersią niemowlę. Zerelda natychmiast kucnęła i zaczęła z nią rozmawiać. Indianka wydawała się zadowolona, że ją widzi - najwyraźniej świetnie się znały.

Lydia zastanawiała się, w jakim wieku może być ta młoda matka. Nie wyglądała na więcej niż trzynaście czy czternaście lat. Była niska i wydawała się bardzo szczęśliwa. Mówiła szybko i z takim ożywieniem, że Lydia nie mogła powstrzymać uśmiechu. Panował tu uroczysty nastrój. Poczowała kopnięcie własnego dziecka - tak jakby chciało się przyłączyć do świętowania narodzin.

Kiedy już pożegnały się i ruszyły do domu, poprosiła ciotkę, żeby wyjaśniła jej tutejsze zwyczaje.

- Ona wydawała się zdecydowanie za młoda, żeby być matką.

- Wychodzą tu za mąż w młodym wieku. Kiedy dziewczynka zaczyna miesiączkować, dowiadują się o tym wszyscy w osadzie. Zostaje odizolowana na kilka miesięcy w małym budynku z dala od głównego domu. Ceni się tu czystość i niewinność, dlatego podczas tego odosobnienia dziewczynka nie może się spotykać z nikim oprócz starszych kobiet i małych dzieci. Uczy się ją, że stała się kobietą gotową do małżeństwa. Ponieważ dowiadują się o tym wszyscy w osadzie, zalotnicy zwracają się do jej rodziców,



deklarując zainteresowanie i prosząc o jej rękę. Czasem z kolei rodzina po prostu finalizuje zawarte już wcześniej umowy.

- To straszne. A miałam nadzieję, że wreszcie ucieknę przed takimi praktykami - powiedziała Lydia, przypominając sobie własny kontrakt małżeński.

- Tutaj przynajmniej nie uważa się tego za dziwactwo, takie jak w naszym świecie. A jednak wiele spośród tych dziewczynek umiera podczas porodu. Ich ciała nie radzą sobie z zachodzącymi tak szybko zmianami i z nową odpowiedzialnością, jaką okazuje się rosnące w nich życie.

- Wyglądała na szczęśliwą. Myślisz, że nic jej nie będzie?

Zerelda uśmiechnęła się.

- Powiedziała, że w dziecku odrodziła się jej matka, która zmarła tuż przed jej ślubem. Kiedy okazało się, że niemal od razu zaszła w ciążę, szaman oznajmił, że to świadectwo reinkarnacji tamtej kobiety.

- I ona w to uwierzyła? - zapytała zdziwiona Lydia.

- Owszem. Jest szczęśliwa, że urodziła to dziecko, bo wraz z nim powróciła jej matka. Wierzy, że dzięki niej pozostanie dzielna i silna.

- Wydaje się, że to bardzo trudne życie, szczególnie dla kobiet - powiedziała Lydia, kręcąc głową. Trudno jej było sobie wyobrazić, że taka mała dziewczynka może stać się matką.

- Radzą sobie - oceniła Zerelda. - Robili to przez setki lat i będą dalej sobie radzili mimo naszej obecności. Rodzina jej pomoże, dziewczynce nic się nie stanie.

- Mam nadzieję, że poradzę sobie choć w połowie tak dobrze - szepnęła Lydia, przykładając dłoń do rosnącego brzucha. Myśl o porodzie przerażała ją bardziej, niż była gotowa przyznać.

## Rozdział 138

### PAŹDZIERNIK 1870 ROKU

Lydia wkrótce zaczęła budzić w miasteczku żywe zainteresowanie. Dyskutowano zarówno o tym, że znajduje się w stanie błogosławionym, jak i o jej majątku. Ona sama wolałaby z pewnością pozostać anonimową postacią, która przybyła z daleka, ale zamiast tego stała się w nowym otoczeniu niezwykle popularna. Ludzie odwiedzali ją o różnych porach - zwłaszcza starający się o jej rękę mężczyźni. Przychodzili, żeby wyznawać uczucie i nieustannie się oświadczać. Niektórzy proponowali taki układ, argumentując, że obojgu będzie na rękę, inni zaś wykazywali się większą kreatywnością. Pewien mężczyzna błagał Lydię, żeby za niego wyszła i pozwoliła mu stać się ojcem swojego dziecka: tłumaczył, że jako młody człowiek chorował na świnkę i dlatego nie może mieć własnego potomstwa.

Kjell powtarzał, że takich propozycji należało się spodziewać, a Zerelda zgadzała się z nim. Żyli w odizolowanym, dzikim miejscu, gdzie obecność i stan Lydii nie mogły pozostać niezauważone. Kobiety były w tej części świata absolutną rzadkością. A białe kobiety pojawiały się jeszcze rzadziej.

- Trudno sobie wyobrazić, że chcieliby się ze mną ożenić, skoro mnie nie znają. Przecież większość z nich nigdy ze mną nawet nie rozmawiała.

- Tak, ale jesteś bogata - zadumała się Zerelda. - A co ważniejsze, masz odpowiednią płęć: jesteś kobietą.

- Kobieta w ciąży - dodała Lydia, patrząc na swój powiększony brzuch.

- Ale to nie będzie trwało wiecznie - powiedziała Zerelda ze śmiechem. - Mężczyźni nauczyli się przymykać oko na takie rzeczy, jeśli w tle widzą inne korzyści. Poza tym jesteś całkiem ładna.

Lydia nigdy nie uważała się za ładną. Floyd wielokrotnie podkreślał, że jego pierwsza żona była zdecydowanie piękniejsza. Lydia musiała zatem żyć w cieniu smutnej Charlotte Gray, która w młodości słynęła z urody: miała jasne włosy, niebieskie oczy i niezwykle zmysłową, kobiecą sylwetkę. Ona natomiast sama była zawsze wysoka i szczupła - Floyd często narzekał na jej nadmierne wychudzenie. No cóż, teraz drobna sylwetka wydawała się ostatnią rzeczą, jaką można by jej zarzucić.

- Och, spójrz - zawołała Zerelda, wyglądając przez okno. - Kjell przyjechał w odwiedziny. Przywiózł gitarę! - Pospiesznie ruszyła do drzwi. - Byłoby wspaniale, gdybyście zagrali razem.

- Zobaczymy - powiedziała Lydia, która wolała niczego nie obiecywać. - Nastawię kawę. - Sprawdziła płomień pod kuchnią. Ostatnio obecność Kjella całkowicie wytrącała ją z równowagi. Zerelda przekonała bratanicę, że powinna oceniać mężczyznę na podstawie jego własnych czynów, a nie tego, co robił Floyd. Lydia dalej jednak nie potrafiła zrezygnować ze swojej nieufności w stosunku do wszystkich mężczyzn.

- Jesteś głodny, Kjell? - zapytała Zerelda. - Możemy podgrzać coś do jedzenia.

Zdjął kurtkę i pokręcił głową.

- Jadłem już, dziękuję.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się ucieszyłam, kiedy zobaczyłam, że przywiozłeś gitarę. Mówiłam już Lydii, że strasznie bym chciała usłyszeć, jak gracie razem.

Kjell spojrział ponad głową Zereldy na jej bratanicę, która też mu się przyglądała. Uśmiechnął się.

- To zależy tylko od niej. Jest niewątpliwie lepszym muzykiem i moje marne próby mogą jej tylko przeszkadzać.

- Grałeś dla nas przy wielu okazjach - zaprotestowała Lydia, która odwróciła się, żeby wsypać odpowiednią ilość kawy do dzbanka. - Masz talent i nie udawaj, że o tym nie wiesz.

Kjell roześmiał się i sięgnął po gitarę. Postawił instrument przy kominku i zaczął ogrzewać ręce. Zerelda poszła tymczasem powiesić jego kurtkę.

- Strasznie dziś zimno.

- No cóż, jest już październik - powiedziała Zerelda. - Mówiłam właśnie Lydii, że wełniane koce, które przywiozła, na pewno się przydadzą tej zimy. Wydaje mi się, że może się okazać mroźniejsza niż zwykle.

- Możliwe. Słyszałem dziś, że pan Saberhagen zamierza sprzedać posiadłość.

Zerelda kiwnęła głową.

- To prawda. Postanowił nie wracać już do Sitki. Na szczęście pozwolił nam zostać tu do czasu, aż sprzeda dom. Zważywszy na to, że niedługo nadejdzie zima, do wiosny nikt raczej się nie zainteresuje posiadłością.

- Nie chcę was martwić - uprzedził Kjell, który przyszedł do nich do kuchni - ale majątek Saberhagena może się okazać atrakcyjny dla wojska. Domy w tej okolicy są teraz na wagę złota, a przecież na terenie posiadłości są aż dwa, a oprócz tego jeszcze szopy.

- Tak, ale jesteśmy na tyle daleko od miasteczka, że trudno byłoby im tu chyba mieszkać.

- Och, Zee, nic nie jest daleko od miasteczka. Nie tutaj. -Uśmiechnął się i oparł o ścianę. - Powinnaś też wiedzieć, że spis ludności odbędzie się 24 października. Porucznikowi Lyle'owi będzie towarzyszyło trzech mężczyzn.

- Tylko trzech? - zdziwiła się Zerelda. - Wydaje się, że przydałoby im się do tego więcej ludzi.

- No cóż, nie zamierzają liczyć Tlingitów z Rancza.

- Dlaczego nie?

Kjell potrząsnął głową.

- Rząd uznał, że to niepotrzebne. Najwyraźniej nie mają dla nich znaczenia.

Lydia przypomniała sobie wizytę w osadzie Indian, którą odbyła z Zereldą, i postanowiła zabrać głos.

- Są ciężarem dla rządu, w każdym razie tak to widzą ludzie. Żyliście pośród Tlingitów przez długi czas, ale ja, jako osoba z zewnątrz, rozumiem takie podejście.

Zerelda i Kjell dziwnie na nią spojrzeli, a Lydia poczuła, że musi wyjaśnić swój punkt widzenia.

- Wydaje mi się, że urzędnicy uważają ich za niewykształconych i niezdolnych do przyniesienia jakichkolwiek korzyści krajowi. Nie mówią dobrze po angielsku, nie dysponują żadnymi umiejętnościami, które biali uznawaliby za użyteczne, i wydają się nadmiernie podatni na choroby i problemy z alkoholem.

- To smutne, że całą społeczność można zakwalifikować jako bezwartościową. W końcu zanim się tu pojawiliśmy, radzili sobie całkiem dobrze - odpowiedział Kjell.

Lydia miała wrażenie, że zirytowały go jej słowa, więc znowu zabrała głos:

- Nie uważam tej perspektywy za słuszną. Mam oczywiście inne zdanie. Zgadza się z Zereldą: zamykanie ich jak zwykłych przestępców wydaje się wyjątkowo okrutne. Wolałabym, żeby mogli żyć na wolności, gdziekolwiek by chcieli.

- Niestety - wtrąciła się Zerelda - wydaje się, że zdecydowanie za długo ich dyskryminowaliśmy. Doprowadziliśmy do tego, że w wielu aspektach stali się uzależnieni od kultury białych. Poza tym odebraliśmy im dużą część zwyczajów i tradycji.

- Co gorsza, ta sytuacja będzie się tylko pogarszała - dodał Kjell. - Kiedy rząd zachęci większe grupy ludności do osiedlenia się na Alasce, Tlingici zostaną zepchnięci jeszcze dalej. Władze wprowadzą nowe prawa i regulacje, może nawet zmuszą ich do przeniesienia się na zupełnie nowe obszary. Wszystko będzie zależało od tego, czy biali uznają te tereny za wystarczająco wartościowe.

- No cóż - westchnęła Zerelda - dość już tych smutnych tematów. Nic nie zdołamy tu zrobić. - Uśmiechnęła się. - Posłuchajmy trochę muzyki, Kjell. Może w czasie, kiedy Lydia będzie nalewała kawę, pokazałbyś mi, co potrafisz zagrać na tej swojej gitarze.

Kjell skinął głową i szarmancko podał ramię Zereldzie. Ta zaśmiała się i pozwoliła się zaprowadzić do fotela przy kominku. Mężczyzna podniósł gitarę, nastroił ją, a potem zaczął wydobywać z niej melodyjne tony. Lydia lubiła, kiedy grał. Muzyka dodawała jej otuchy, pozwalała się odprężyć. Nie mogła sobie wyobrazić, żeby Floyd czy któryś z jego synów potrafił spędzać czas w ten sposób. Zawsze uważał muzykę za stratę czasu i wielokrotnie groził Lydii, że odbierze jej skrzypce. Kilka razy zrealizował zresztą te groźby, wyrządzając jej tym wielką krzywdę.

Zesztywniała na samo wspomnienie o dawnym życiu. „Teraz jest inaczej - przypomniawszy sobie po chwili. - Floyd nie może mnie już skrzywdzić”. Dotknęła dłonią brzucha, w którym rozwijało się dziecko. Jej mąż spowodował śmierć poprzednich dzieci, ale tego nie zdołał zabić. Czy naprawdę stało się to dzięki interwencji Boga, jak twierdziła Zerel-

da? Czy Lydia odważy się uwierzyć, że Bóg przejmuje się nią i jej dzieckiem? A gdyby to zaakceptowała, jakiego znaczenia nabierała w tym kontekście przeszłość i inne dzieci, które utraciła? Miała mętlik w głowie.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że Kjell, grając, cały czas się w nią wpatruje. Nie potrafiła się odwrócić i odwzajemniła jego spojrzenie. Zastanawiała się, jakim okazałby się mężem.

Z całą pewnością był zupełnie innym człowiekiem niż Floyd. Nigdy nie widziała, żeby stracił cierpliwość i nawet kiedy zwierzał się jej z problemów związanych z tartakiem, pozostawał łagodny i spokojny. Floyd wściekałby się i pieklił na myśl o jakichkolwiek trudnościach. Wielokrotnie zaciekle kłócił się z Marstonem i Mitchellem, kiedy omawiali kroki, które należało podjąć w ich przedsiębiorstwie.

Kjell nadal jej się przyglądał, jakby doskonale wiedział, o czym myślała. Lydia odwróciła wzrok.

- Dołączysz do nas, Liddie? - zapytała Zerelda. - A może też zagrasz?

Lydia poczuła, że dziecko się poruszyło, jakby chciało ją zachęcić do koncertu.

- Spróbuję.

Sięgnęła po futerał i otworzyła go. Była zachwycona grą Kjella i fakt, że musiała przerwać kontemplację, głęboko ją zasmucił. Wzięła skrzypce i smyczek do ręki i zaczęła się przygotowywać, czekając, aż Kjell skończy. Kiedy tak się stało, nie mogła się powstrzymać i powiedziała:

- To było naprawdę piękne. Nigdy wcześniej nie słyszałam tej melodii. Jak się nazywa?

Wzruszył ramionami.

- Niedawno ją wymyśliłem. Jeszcze nie nadałem jej tytułu, ale możesz to zrobić, jeśli tylko masz ochotę.

Pokręciła głową.

- Nie śmiałybym. To ty powołałeś ją do życia i ty powinieneś nadać jej tytuł.

- Zastanowię się nad tym - mrugnął do niej. - Może teraz zagramy coś razem?

Lydia wymieniła kilka utworów, ale Kjell tylko się uśmiechnął.

- Po prostu zacznij, a ja postaram się dołączyć, tak jak będę umiał.

Podniosła skrzypce i zagrała. Muzyka wypełniła niewielką chatę. Lydia koncentrowała się na nutach piosenki, której nie ćwiczyła od lat. Łagodny refren osiągnął apogeum, po czym znowu zaczął spokojnie opadać. W pewnej chwili włączył się Kjell, delikatnie jej akompaniując, ale cały czas pozostając w tle. Lydia zawahała się przez chwilę, zdenerwowana, ale szybko odzyskała panowanie nad sobą. Wkrótce zatraciła się w muzyce. Jak wspaniale było grać razem z drugą osobą! Jak niesamowicie się czuła, mając świadomość, że choćby przez tę krótką chwilę jej dusza dotknęła duszy innego człowieka.

Kiedy wybrzmiały ostatnie akordy, Zerelda zaczęła z entuzjazmem klaskać.

- Nigdy nie słyszałam niczego równie pięknego. To, w jaki sposób razem gracie... no cóż, to brzmi, jakbyście robili to od zawsze. Jestem oszołomiona.

- Muszę przyznać, że ja też jestem pod ogromnym wrażeniem - powiedział Kjell, wpatrując się w Lydię.

Jego spojrzenie zdawało się otwierać jej serce i Lydia się zarumieniła, ale nie potrafiła odwrócić wzroku. Właśnie wtedy zrozumiała, że zaczyna tracić głowę dla Kjella. To uczucie wydawało się niezwykle... Miała wrażenie, jakby mknęła po lodzie. Było w tym radosne podniecenie i euforia na myśl o swobodnym opadaniu na taflę, ale gdzieś z tyłu głowy tlił się niepokój, że uderzenie może się okazać bolesne.



- Obawiam się, że potrzebuję chwili przerwy - oznajmiła i szybko odłożyła skrzypce.

- Nic ci nie jest? - zapytał Kjell, zbliżając się do niej.

- Wszystko w porządku. Po prostu muszę odpocząć. - Wyszła szybko z pokoju, nie patrząc już na niego ani razu. Bała się, że gdyby została choć chwilę dłużej, mogłaby stracić nad sobą kontrolę i wyznać mu to, co czuła.

Zerelda przyszła do jej pokoju jakąś godzinę później i zastała bratanicę siedzącą w łóżku z książką w ręku. Uznała, że Lydia wygląda na zdezorientowaną, więc zaproponowała, że jej wysłucha.

- Czasem opowiedzenie o jakimś problemie przynosi człowiekowi ulgę.

Lydia wzruszyła ramionami.

- Nie wiem nawet, od czego zacząć.

- Może na początku powiedz, dlaczego postanowiłaś dziś wieczorem od nas uciec - zaproponowała Zerelda. Usiadła na brzegu łóżka i uśmiechnęła się. - Albo zacznij od momentu, w którym pojawił się Kjell.

- Nie wiem, co o nim myśleć - przyznała Lydia. Spojrzała na Zereldę.

- Dlaczego nigdy nie wyszłaś za mąż?

Ciotka nie spodziewała się tak nagłej zmiany tematu, ale uznała, że skoro pomoże to Lydii, może opowiedzieć jej swoją historię.

- Zakochałam się kiedyś, jeszcze przed wojną secesyjną. To był wspaniały młody człowiek, pastor. Myślałam... no cóż, myślałam, że cały świat kręci się wokół niego. - Uśmiechnęła się smutno. - Miałam dwadzieścia trzy lata, a on dwadzieścia dziewięć.

- I co się stało?

- Okazało się, że nie odwzajemniał mojej miłości. - Na jej twarzy pojawił się ból.

- Skąd wiedziałaś?

Wyraźne zainteresowanie w tonie Lydii skłoniło Zerel-dę do tego, by po raz kolejny powrócić do tych bolesnych wspomnień.

- Zapytałam go wprost. Wyznałam swoje uczucia i chociaż był miły, powiedział, że nie może odwzajemnić mojej miłości. Niedługo później wyjechał. Rozgorzała gorączka złota w Kalifornii i poczuł, że Bóg wzywa go na zachód.

- Ale czy nie wyjaśnił, dlaczego nie może cię pokochać?

Zerelda pokręciła głową. Nigdy nie otrzymała żadnego wyjaśnienia oprócz łagodnych przeprosin. Mężczyzna wydawał się niemal zawstydzony, że do tego wszystkiego dopuścił - tak jakby w ogóle mógł powstrzymać Zereldę przed straceniem dla niego głowy.

Lydia zapytała łagodnie:

- Odezwał się jeszcze kiedyś do ciebie?

- Nie. Opowiadał mi o nim tylko jeden z jego krewnych. Podobno porzucił kapłaństwo i ogarnęła go gorączka złota. Nigdy się nie wzbogacił. Nic więcej o nim nie słyszałam.

- Nie miałaś o to wszystko żalu do Boga?

Ciotka uśmiechnęła się do Lydii. Już po raz drugi bratanica zadała jej podobne pytanie.

- Nie. Jak mogłabym obwiniać Boga za to, że ten mężczyzna nie odwzajemnił moich uczuć?

Lydia rozważała przez chwilę te słowa.

- No cóż, moja matka zawsze powtarzała, że Bóg wie wszystko i jest wszechmocny. Skoro nawet wtedy kochałaś Boga, dlaczego nie mógł odwzajemnić swojej miłości za pośrednictwem tego mężczyzny?

- Czyli tylko dlatego, że robimy coś dla Boga, On powinien się odwdzięczać, robiąc coś dla nas? - zapytała Zerelda.

Lydia skinęła głową.

- Dokładnie tak. Okazałaś Mu miłość i lojalność, więc dlaczego nie mógł wynagrodzić ci oddania przez miłość tamtego człowieka?

- Zakładam, że Bóg mógł zrobić, cokolwiek zechciał -odpowiedziała Zerelda. - Ale to naprawdę nie funkcjonuje w ten sposób. On już nam dał najwspanialszą i najcenniejszą miłość, jaką mógł. Zesłał Swojego Syna, który poświęcił życie za nasze grzechy. Jak mogłabym porównywać do tego moje żalosne próby miłości i wierności i żądać, żeby pobłogosławił mnie za same wysiłki, które podejmowałam?

- Ale jeśli On jest tym kochającym Bogiem, o którym ty i moja matka ciągle opowiadałyście, dlaczego nie miałyby tego zrobić?

- Dziecko, zrozum - powiedziała Zerelda. - Spodziewam się od Boga dobrych rzeczy. Wierzę, że On chce mi pomagać i robi to przez cały czas. Ale jednocześnie ufam Mu i wiem, że z jakiegoś powodu nie pozwolił mi wyjść za tamtego mężczyznę. Na pewno nie sprawdziłabym się, uganiając się całymi dniami za złotem. Nigdy nie odnalazłabym szczęścia u jego boku, szczególnie gdybym widziała, jak porzuca kapłaństwo. Poza tym nie zostałabym pielęgniarką. Na to duży wpływ miała wojna.

- Czyli powinniśmy patrzeć na życie, wszystkie jego smutki i rozczarowania, jako na błogosławieństwa w przebraniu?

- No cóż, jeśli tylko potrafimy, dlaczego nie mielibyśmy tego robić?

Lydia zmarszczyła brwi.

- Po prostu tego nie rozumiem. Jeśli Bóg naprawdę nas kocha, dlaczego nie chroni nas przed bólem i cierpieniem? Dlaczego nie... no cóż, dlaczego nie zmusza ludzi, żeby... - Zabrakło jej słów.

Zerelda zachichotała.

- Dlaczego nie zmusza ludzi, żeby robili to, co chcemy? Przecież to odebrałoby im wolną wolę, prawda?

- A jeśli są źli? Dlaczego zasługują na wolną wolę i błogosławieństwa? Bóg chyba nie kocha równie mocno dobrego i złego człowieka.

Zerelda usłyszała pełne rozpaczy wyczekiwanie w głosie Lydii i poczuła żal, że nie potrafi jej tego przekonująco wytłumaczyć.

- Wyobraź sobie, że nosisz w brzuchu bliźnięta. Rodzisz je i zaczynają rosnać. Jedno z dzieci jest naprawdę dobre, a drugie złe. To dobre okazuje ci posłuszeństwo i ciężko pracuje, żeby zyskać twoje uznanie, a złe przysparza ci ciągłych smutków i rozczarowań. Czy kochałabyś jedno bardziej od drugiego?

- No cóż, z pewnością łatwiej byłoby mi kochać dobre dziecko - powiedziała Lydia w zamyśleniu. - To z nim wolałabym spędzać czas. Poza tym chciałabym wynagrodzić mu jego wysiłki.

- To prawda, ale czy przestałabyś kochać to, które zbłądziło, nie zwracało na ciebie uwagi i nie spełniało twoich próśb?

Lydia zastanawiała się przez chwilę nad jej słowami.

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Trudno mi sobie wyobrazić, że mogłabym się odwrócić od swojego dziecka, niezależnie od tego, jakie by było. Ale trudno mi też uwierzyć, że cieszyłyby mnie czyny samolubnego, nieposłusznego dziecka.

- To samo dotyczy Boga. Nie cieszy się ze złych uczynków ludzi, ale też nie potrafi całkowicie się od nich odwrócić. Chce, żeby wszyscy zostali zbawieni i żeby nikogo nie czekało wieczne potępienie.

- A zatem mógłby ocalić nawet Floyda? I Marstona, i Mitchella? Mimo wszystkich krzywd, które mi przez lata

wyrządzili, Bóg po prostu otworzyłby przed nimi bramy raju, gdyby tylko poprosili?

Zerelda nie przeoczyła jej oskarżycielskiego tonu.

- Moja droga, któż może znać wyroki Boga? Nie jesteśmy w stanie ich pojąć. Ale jeśli znowu przypomnisz sobie analogię do własnego dziecka czy dzieci, powinnaś lepiej to rozumieć. Po prostu spróbuj patrzeć na to w ten sposób.

- Przykro mi, Zereldo, nie chciałabym zrobić ci przykrości w kwestii, która jest dla ciebie tak ważna. Jeszcze rok temu nie zaczęłabym w ogóle tej rozmowy - przyznała. -Ale pomagasz mi dostrzec, że być może, skoro myślałam się w innych sprawach w moim życiu... myślę się też w rozważaniach dotyczących Boga.

To wyznanie wypełniło serce Zereldy nadzieją. Mocno ścisnęła dłoń Lydii.

- Marzę, że poznasz miłość, prawdziwą miłość. Ona na ciebie czeka, kochanie.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziała Lydia, głęboko wzdychając.

- Naprawdę bym chciała.

- Więc uwierz. Zapomnij wreszcie o przeszłości i raz jeszcze kogoś pokochaj.

Lydia spojrzała na nią obojętnie.

- Nie mogę raz jeszcze kogoś pokochać, bo jeszcze nigdy nikogo nie obdarzyłam uczuciem.

Zerelda się uśmiechnęła.

- Więc pozwól sobie poczuć to po raz pierwszy i, miejmy nadzieję, ostatni. Kjell to dobry człowiek i wierzę, że bardzo mu na tobie zależy.

## Rozdział 150

Lydia usłyszała zbliżający się z daleka wóz i pomyślała, że to na pewno Kjell przywiózł Zereldę z miasteczka. Tego dnia jej ciotka chciała koniecznie odwiedzić kilka mieszkających na Ranczu rodzin. Mówiła, że Bóg często nakazywał jej dokądś ruszyć właśnie wtedy, kiedy jej pomoc okazywała się najbardziej potrzebna. Lydia sceptycznie odnosiła się do takich deklaracji. Nikt nigdy nie poczuł, że powinien jej przyjść z pomocą, choć tak bardzo tego potrzebowała. Żadna boska interwencja nie uchroniła jej od bólu. Właśnie z tym nie mogła się pogodzić, zastanawiając się nad swoją relacją z Bogiem: gdzie On był przez te wszystkie lata? Dlaczego przejmował się niektórymi ludźmi, a innym pozwalał cierpieć?

Odepchnęła od siebie te myśli i podeszła do drzwi. Wyniosła na dwór ostatni z dywanów i zamierzała go wytrzepać. Przez cały dzień padało, ale teraz deszcz ustał i podniosła się mgła, która powoli stąpała się ze zmierzchem. Zza zakrętu wyłonił się gniady wałach, a Lydia rozpoznała konia i zamknięty powóz naczelnika poczty. Widocznie Zereldę podwiózł jednak pan Fuller.

Dywan prawie ześlizgnął się na ziemię, więc Lydia skoncentrowała się na swoim zadaniu. Później przyjdzie czas na rozmowy. Wiedziała, że ciotka na pewno zaprosi pana Fullera na kawę albo herbatę. O tej porze roku wymagały tego przecież sąsiedzkie relacje: podstawowa życzliwość nakazywała pozwolić ludziom się ogrzać i osuszyć.

Słyszając kroki na ganku, Lydia odwróciła się szybko i uśmiechnęła.

- Nastawiłam kawę i... - gwałtownie zamilkła. Patrzyła na stojącego przed nią mężczyznę, jakby był jakimś duchem z jej przeszłości.

- Witaj, Lydio. Widzę, że zaskoczyły cię moje odwiedziny, ale chętnie napiję się kawy.

Marston Gray stał niecałe dwa metry od niej i wyglądał tak nonszalancko, jakby codziennie ją odwiedzał. Uśmiechnął się, a po chwili na jego twarzy pojawił się niepokój. Lydia nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa. Wpatrywała się w niego w osłupieniu. To nie mogło się dziać naprawdę. W jaki sposób zdołał ją odnaleźć?

- Chyba powinnaś usiąść, przecież w twoim stanie... Lydia nadal trzymała drucianą trzepaczkę. Ścisnęła ją

tak mocno, że miała wrażenie, jakby miała się zaraz rozlecieć jej w dłoni. Cofnęła się o kilka kroków i poczuła, że jej biodra dotknęły dywanu i poręczy ganku.

Marston się zbliżył, ale Lydia podniosła trzepaczkę i potrząsnęła głową. Nadal nie mogła nic powiedzieć. Po tylu miesiącach spokoju i gojenia ran sam jego widok wystarczył, żeby kompletnie wytrącić ją z równowagi. Marzyła tylko, żeby pobiec po pomoc, ale w pobliżu nie było nikogo. Miasteczko znajdowało się zbyt daleko, a Lydia nie miała pojęcia, kiedy wróci Zerelda.

Przyglądając jej się badawczo, Marston uniósł dłonie.

- Nie przyjechałem tu, żeby w jakikolwiek sposób cię skrzywdzić. Dowiedziałem się o dziecku i pomyślałem, że możesz potrzebować wsparcia od kogoś z rodziny.

Lydia zdołała wreszcie wydusić z siebie kilka słów. -Ja... mam tutaj... rodzinę. - Jej głos brzmiał obco i piskliwie.

- Wiem. Mieszka tu twoja ciotka, prawda?

- W jaki sposób mnie znalazłeś? - W tyle głowy Lydia rozważała już, czy będzie musiała znowu się przeprowadzić. Czy Zerelda zechce się przenieść razem z nią? I co się z nimi stanie, jeśli będą zmuszone wiecznie uciekać przed Grayami?

- Oczywiście dzięki twojemu prawnikowi. - Uśmiechnął się. - Martwiliśmy się o ciebie. Zniknęłaś nagle bez słowa i od wielu miesięcy nie wiedzieliśmy, czy w ogóle żyjesz.

Lydia nie mogła uwierzyć, że Robinson ją zdradził. Człowiek, który był jej prawnikiem i obrońcą? Dlaczego miałby ją nagle porzucić? Stopniowo odzyskała panowanie nad sobą. W miarę jak zniką zaskoczenie, zaczął w niej narastać gniew i strach. Nie mogła mu okazać, że się boi. Grayowie karmili się cudzym strachem. Oczywiście pierwszy szok, którego nie zdołała ukryć, na pewno jej zaszkodził, ale Lydia zamierzała odzyskać kontrolę nad sytuacją.

- Jak widzisz, nic mi nie jest. Niepotrzebnie tu przyjeżdżałeś.

- Miałem więcej niż jeden powód do przyjazdu, Lydio. Dlaczego nie powiedziałaś nam, że jesteś w ciąży? Przecież dziecko, które w sobie nosisz, także na nas nakłada obowiązki.

- Moje dziecko nie ma z wami nic wspólnego.

- Przecież mówisz o moim bracie lub siostrze. Lydia pokręciła głową.

- To dziecko jest tylko moje. Marston lekko zmrużył oczy.

- Czy twierdzisz, że to nie jest dziecko mojego ojca?

- Twierdzę, że twój ojciec nie żyje, a ono należy wyłącznie do mnie. Wyjechałam z Kansas City, żeby nigdy więcej nie mieć już z tobą do czynienia. I nic się w tej sprawie nie zmieniło.



- Lydio - powiedział łagodnie - najwyraźniej nadal jesteś zdenerwowana. Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Naprawdę się ucieszyliśmy, kiedy dowiedzieliśmy się o dziecku. Wiem, jak bardzo ojciec pragnął kolejnego potomka.

- To właśnie z winy twojego ojca doszło do wcześniejszych poronień. Jeśli tak bardzo pragnął dzieci, nie powinien mnie bić.

Marston potrząsnął głową.

- Nie powinien. Był okrutnym człowiekiem.

- Ty i twój brat jesteście równie okrutni. Nie próbuj zaprzeczać. - Lydia czuła, że dziecko zaczęło się intensywnie ruszać i modliła się, żeby jej gniew nie zdenerwował go za bardzo. Miała szybki, urywany oddech, jak dzikie zwierzę po długiej pogoni.

- Lydio, źle cię traktowaliśmy. Próbowaliśmy się przypodobać ojcu, a przecież imponowała mu tylko surowość. Nie wiem, dlaczego tak bardzo zależało nam na jego uznaniu, ale to już przeszłość. Chcemy, żebyś wróciła do domu. Pojedź ze mną do Kansas City, gdzie się tobą zajmujemy. Nie sprzedaliśmy jeszcze rezydencji. Możesz tam zamieszkać i wychowywać dziecko.

- Chyba nie mówisz poważnie. - Miała tego dość. Cała ta sytuacja była czystym szaleństwem. - Idź już. Nie powinieneś tu przyjeżdżać.

Znowu się do niej zbliżył.

- Lydio, bądź rozsądna. Przyjechałem tu bez złych intencji, w żadnym wypadku nie chciałem cię skrzywdzić. Dobroć, którą okazałaś naszej rodzinie, sprawiła, że pojąłem swoje błędy.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - zawołała Lydia, próbując się precyzyjnie obok niego. - Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Marston wyciągnął dłoń i złapał ją za nadgarstek.

- Proszę, wysłuchaj mnie.

Lydia zamarła. Spojrzała na swoją rękę, przypominając sobie wszystkie sytuacje, w których Floyd robił dokładnie to samo. Ileż razy ukrywała siniaki pod długimi rękawami, żeby nikt nie mógł dostrzec śladów przemocy?

- Puść mnie.

- Nie puszczę, dopóki się nie uspokoisz i mnie nie wysłuchasz.

Ton Marstona stał się ostrzejszy, a Lydia spojrzała na jego twarz. Nadal się uśmiechał, ale w jego oczach dostrzegła gniew. Nie dałoby się tego z niczym pomylić.

- Powiedziałeś już to, co chciałeś powiedzieć. Moja odpowiedź brzmi: nie. Nie wrócę do Kansas City. Sitka stała się teraz moim domem.

- Ale tu nie ma nawet odpowiedniej opieki medycznej - zaprotestował.

- Pomyśl o dziecku. A co gdybyś zmarła podczas porodu?

- Wtedy dziecko wychowałaby moja ciotka.

- Ale co z nami? To nasz brat albo siostra. Lydio, nie myślisz racjonalnie. Potrzebujesz porządnego lekarza. Stres związany z całą tą sytuacją najwyraźniej źle na ciebie wpłynął.

Lydia pokręciła głową.

- Czuję się doskonale. Moja ciotka jest pielęgniarką i wspaniale się mną opiekuje. - Wyprostowała się i cofnęła o krok. - A teraz mnie puść.

- Proszę cię, nie bądź taka, Lydio. Nie zmuszaj mnie do zrobienia czegokolwiek wbrew twojej woli.

- Ach, więc nareszcie wychodzi na jaw twoja prawdziwa natura. Zastanawiałam się, kiedy pojawi się cała ta podłość i brzydota.

Marston mocniej ścisnął jej nadgarstek.

Preludium brzasku

161

- Nikt nie chce cię do niczego zmuszać. Szczególnie ja, ale dla dobra twojego i dziecka zrobię, co będzie trzeba. Lydio, jestem nawet gotów się z tobą ożenić, bylebyś tylko bezpieczniej się czuła.

Te słowa zupełnie ją zaskoczyły. Wybałuszyła oczy i szeroko otworzyła usta.

- Ożenić? Czyś ty oszalał?

- Dlaczego uznajesz taką propozycję za szaleństwo? -zapytał. - Znajdą się bez wątpienia ludzie, którzy nie uwierzą, że to dziecko mojego ojca. W końcu przez cały czas trwania waszego małżeństwa nie urodziłaś mu potomków. Mogą się roznieść pogłoski, że to owoc jakiegoś niegodnego romansu. Wtedy twoja reputacja będzie zrujnowana.

- Nie w Sitce. Tutaj ludzi nie interesuje, kto jest ojcem dziecka, a nazwisko i reputacja Grayów nie robią na nikim wrażenia. Zresztą nie obchodzi mnie pozycja społeczna.

- Ale co z dzieckiem? Czy i jego reputację chcesz zrujnować?

Lydia nie mogła tego dłużej słuchać.

- Puść mnie.

- Proszę cię, nie...

- Puść mnie! - krzyknęła. - Natychmiast mnie puść! -Mówiła coraz głośniej i w pewnej chwili podniosła trze-paczkę, żeby uderzyć Marstona, ten jednak z łatwością zablokował cios i wytrącił jej przedmiot z dłoni.

- Ta pani wyraźnie chciałaby, żebyś ją puścił - Lydia usłyszała zza pleców głos Kjella.

Jego nagłe pojawienie się do tego stopnia zaskoczyło Graya, że rozluźnił uścisk. To wystarczyło, żeby Lydia uwolniła się i rzuciła w ramiona Kjella.

- Proszę, spraw, żeby on odszedł - błagała.

- Skrzywdził cię?

Kiwnęła głową, ale po chwili dodała:

- Nie... Złapał mnie mocno za nadgarstek, ale poza tym po prostu nie chciał dać mi spokoju.

Niebieskie oczy Kjella pociemniały. Opiekuńczym gestem otoczył Lydię ramieniem.

- Myślę, że powinieneś odejść. Marston pokręcił głową.

- Wydaje mi się, że nie zostaliśmy sobie przedstawieni. - Przyglądał się badawczo Kjellowi. - Lydia była żoną mojego ojca. Marston Gray.

- Słyszałem o tobie.

Lydia spuściła wzrok, żeby ukryć zdziwienie, po czym zaczęła masować nadgarstek. Nie miała pojęcia, co dokładnie Kjell słyszał o jej pasierbie, ale najwyraźniej wiedział wystarczająco wiele, żeby mieć się na baczności.

- Niestety byłem kiedyś okrutnym człowiekiem. Teraz jednak się zmieniłem. Niepokoję się, bo mam wrażenie, że od śmierci ojca Lydia nie może zaznać spokoju. Jej przyjazd tutaj stanowił tylko kolejny wyraz tej rozpacz. Zniknęła na całe miesiące i bardzo się martwiliśmy, szczególnie biorąc pod uwagę jej stan. Mamy nadzieję, że zdołamy ją namówić do powrotu do domu. Poród odbędzie się w lepszych warunkach, a rodzina zapewni jej spokój i opiekę.

- Niczego jej tu nie brakuje. Jej ciotka to oddana, kochająca kobieta, która jest zresztą pielęgniarką. Lydia pozostaje pod stałą opieką, więc nie musicie się obawiać.

- Ale na pewno potrzebne jej lepsze warunki niż te, które może zaoferować to miejsce.

Lydia spojrzała gniewnie na Marstona.

- On sugeruje, że nie jestem przy zdrowych zmysłach. To rzeczywiście zadziwiające, po dwunastu latach małżeństwa z jego potwornym ojcem i życia pośród przepęlnionych nienawiścią ludzi. A jednak nie oszalałam i nie zamierzam wracać do Kansas City. Chcę, żeby on stąd odszedł, Kjell. Natychmiast.

Porzuciła bezpieczne schronienie w ramionach Kjella i ruszyła zamaszystym krokiem do drzwi domu. Zanim weszła, zatrzymała się na chwilę i powiedziała:

- Nigdy nie powinieneś być tu przyjeżdżać, Marston. Twierdzisz, że nie jesteś już tym samym człowiekiem. No cóż, ja w każdym razie z pewnością nie jestem tą samą kobietą. Twoje groźby dawno straciły moc. Przestałam się bać.

- Musisz już iść.

Marston przyjrzał się mężczyźnie, który przyszedł jego macosze z pomocą.

- Zdaje się, że nie dosłyszałem twojego imienia. Czy Lydia nazwała cię Chill?

- To nie ma znaczenia. Jestem przyjacielem Lydii i jej ciotki, a ty nie. Sugeruję, żebyś przestał grać w swoją grę i wypłynął z Sitki najbliższym statkiem.

Temu mężczyźnie najwyraźniej bardzo zależało na Lydii. Uwadze Marstona nie uszedł sposób, w jaki trzymał ją po tym, jak rzuciła się w jego objęcia. Niewątpliwie dałoby się zakwestionować jej moralność. Być może wystarczyłoby to, żeby odebrać jej dziecko. Marston był pewien, że Lydia pojechałaby za nim absolutnie wszędzie.

- Bardzo mi przykro, że ją zdenerwowałem. Przyjechałem, żeby przeprosić i zaoferować pomoc. Nie miałem złych zamiarów.

- A więc udowodnij to i wyjedź.

- Oczywiście. - Marston zszedł z ganku i ruszył w deszczu do czekającego na niego powozu. Nie zamierzał się poddać, ale zdecydował, że na dziś już wystarczy. Lydia się dowiedziała, że przyjechał do Sitki i chce, żeby wróciła

do Kansas City. Zamierzał znaleźć jakieś miejsce, w którym mógłby się zatrzymać i zastanowić nad dalszymi posunięciami. Oczywiście peryferyjny charakter tego miasteczka mógł przysporzyć pewnych trudności.

Gdy Marston wsiadał do powozu, ogarnął go gniew. Nie mógł uwierzyć, że znalazł się człowiek, który odważył się zwrócić do niego w ten sposób. Okazał troskę, a Lydia nawet nie dopuściła do siebie myśli, że potrafiłby się zmienić.

- Oczywiście, że się nie zmienilem - mruknął, popędzając konia, który skręcił i ruszył w stronę miasteczka.

Po powrocie Marston postanowił poprosić o radę pana Fullera.

- Dziękuję za wypożyczenie powozu. Czy zechciałby mi pan polecić jakieś miejsce, w którym mógłbym się zatrzymać?

- Nie mamy tu wielu takich miejsc. Statek postoi jeszcze w porcie przez kilka dni. To na razie najlepszy wybór.

- Planowałem i tak wrócić dziś wieczorem na statek, ale miałem nadzieję, że jutro mógłbym się przenieść na ląd. Prawdopodobnie będę musiał tu spędzić kilka tygodni.

Fuller zastanawiał się przez chwilę.

- Jest tu pewien duchowny, który mieszka z córką. Czasem przyjmują gości. Mogę zapytać w pana imieniu.

Marston skinął głową.

- Byłbym bardzo wdzięczny. Wrócę rano, żeby się dowiedzieć, czy udało się panu coś załatwić.

Fuller się zgodził, a Marston ruszył na nabrzeże. Czekał na szalupę, nie zwracając uwagi na deszcz. Zastanawiał się, co w obecnej sytuacji należało zrobić. Oczywiście wiedział o dziecku, którego się spodziewała, ale konfrontacja z ciężarną Lydią zrobiła na nim ogromne wrażenie. Stała się jeszcze piękniejsza - o ile w ogóle to było jeszcze możliwe.

Marston zawsze podziwiał jej urodę, ale nie śmiał się do tego przyznać.

Odwrócił się i spojrzął w stronę miasteczka. Co za ohydne miejsce. Wszędzie tylko drewniane chaty, błoto i nędza. Gdzieś tam pojawiały się domy zbudowane przez Rosjan, charakterystyczne ze względu na żółte ściany i czerwone dachy. Uwagę Marstona przyciągnęła na chwilę tradycyjna kopuła i iglica prawosławnego kościoła. Zdziwiło go, że tu pozostała, choć przecież większość wiernych wróciła do swojej ojczyzny.

Marston zmarszczył brwi. Miał świadomość, że świetnie wychodzi mu wyszukiwanie ludzi słabych, gotowych zrobić wszystko, cokolwiek się im poleci. Z taką samą łatwością zmuszał do kradzieży, szantaży czy morderstw. Był przekonany, że znajdzie tu kogoś, kto czuje do Chilla równie silną nienawiść co ta, która go w tej chwili opanowała. Może nawet na tyle silną, że udałoby się raz na zawsze wyeliminować ten problem.

## Rozdział 160

Zee, to najlepszy placek z jagodami, jaki kiedykolwiek jadłem! - zawołał Kjell po drugiej dokładce. - Dobrze wiesz, jak przez żołądek trafić do serca mężczyzny.

- To nie ja go zrobiłam - odpowiedziała Zerelda. - To zasługa Liddie. Kjell uśmiechnął się do wyczerpanej Lydii.

- To prawdziwe arcydzieło, mówię ci. Dziękuję, że zadałaś sobie tyle trudu.

- To nie było takie trudne - wyjaśniła Lydia. - W słoikach miałyśmy akurat jagody zbierane tego lata.

- I tak jestem ci bardzo wdzięczny. To zawsze wielka przyjemność przyjeżdżać tu i cieszyć się waszym towarzystwem i tym wspianym jedzeniem. Kompletnie mnie rozpieściłyście.

Zerelda się roześmiała.

- No cóż, tego byśmy nie chciały. Co powiesz na to, żebyś w zamian za kolację coś nam zaśpiewał? Chętnie czegoś posłuchamy, kiedy będziemy zmywały naczynia.

- Jasne, Zee, chętnie zagram. - Wstał i podał Lydii rękę. - Wyglądasz dziś na zmęczoną.

- To prawda - przyznała.

Zauważył czarne sińce pod jej oczami i zmartwienie malujące się na jej twarzy.

- Chyba nie przejmujesz się tym Grayem?



- Przejmuje się, i to jak - uprzedziła ją Zerelda. - Jest tak niespokojna i przestraszona, że nawet nie chce jeździć ze mną do miasteczka.

Kjell zajął głęboko w ciemnobrązowe oczy Lydii.

- Nie musisz się nim martwić.

- Łatwo ci mówić, jesteś silnym mężczyzną - odpowiedziała. Zerelda zaczęła się w tym czasie zajmować naczyniami, więc Lydia nachyliła się w stronę Kjella. - Nie martw się tym. Nic mi nie jest, naprawdę.

Ale on wiedział, jak było. Miała to wypisane na twarzy. Widział to w jej oczach, a nawet w sposobie, w jaki chodziła: Lydia nie była już tą samą kobietą. Wyglądała, jakby na jej barki spadł ogromny ciężar - Kjell marzył o tym, żeby uwolnić ją od wszystkich trosk. Chciał, żeby Lydia miała świadomość, że będzie ją chronił i nie spocznie, póki nie znikną wszystkie zagrożenia mącące spokój jej duszy.

- Czy Lydia mówiła ci już, że kolejny mężczyzna jej się dziś oświadczył? - zawołała z kuchni Zerelda.

Kjell uniósł brwi i spojrzał na Lydię.

- Ilu to już w tym tygodniu?

- Pięciu - szepnęła tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

- Czy powinienem zrobić z tego równą szóstkę? - zażartował.

Wyprostowała się.

- Rób co chcesz. To niczego nie zmieni. Nie przyjechałam tu, żeby ponownie wyjść za mąż.

- No cóż, to z pewnością nie powstrzyma mężczyzn od składania propozycji - powiedziała Zerelda, podchodząc do drzwi wejściowych. - Siedźcie, ja zaraz wrócę. Muszę przynieść kilka rzeczy z szopy.

- Nie potrzebujesz pomocy, Zee? Mrugnęła do niego.

- Nie, wydaje mi się, że sobie poradzę.

Kjell poczuł, że się zarumienił. Zrozumiał, że celowo zostawiła go sam na sam z bratanicą. Pokręcił głową i sięgnął po gitarę. Zaczął stroić instrument, a po chwili podniósł wzrok i zobaczył, że Lydia się w niego wpatruje.

- Marston dalej jest w miasteczku, prawda? - zapytała. - Tak.

- Wiedziałam, że zostanie, ale miałam mimo wszystko nadzieję, że usłyszę inną odpowiedź.

Kjell odłożył gitarę, podszedł do fotela, na którym siedziała, i przykucnął obok.

- Liddie - powiedział, po czym zamilkł na chwilę i się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, żebym cię tak nazywał. Zee robi to tak często, że wydaje się to naturalne.

- Nie mam nic przeciwko - odpowiedziała, patrząc mu w oczy.

- Świetnie. Zrozum, nie chcę, żebyś się martwiła tym mężczyzną. To na pewno szkodzi dziecku.

- To właśnie ze względu na dziecko on nadal tu jest - odpowiedziała Lydia. - A to martwi mnie najbardziej. Nie wiem, co on knuje, ale to na pewno nic dobrego.

- Nie pozwolę mu skrzywdzić ani ciebie, ani dziecka. Lydia odwróciła się i patrzyła na płonący w kominku ogień.

- Nie znasz Grayów. Oni zawsze dostają to, czego chcą. Spiskują i zastraszają wszystkich, byle tylko zrealizować swoje cele. Nadał nie rozumiem, dlaczego pan Robinson powiedział im, gdzie jestem, ale teraz, kiedy już mnie odnaleźli, nie łudzę się, że dadzą mi spokój. Myślę, że znowu będę musiała się przeprowadzić.

Kjell położył rękę na jej ramieniu.

- Mam nadzieję, że tego nie zrobisz. Chciałbym, żebyś została.

- Odkąd tu przyjechałam i runęłam w twoje ramiona na nabrzeżu, byłeś dla mnie taki dobry! - Lydia uśmiechnęła się lekko, ale nie odwróciła się w jego stronę. - Zerel-da powiedziała mi, że jesteś prawdopodobnie najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznała, i że można na tobie polegać.

- To podobne do Zee.

- Po prostu nie chcę być ciężarem ani dla ciebie, ani dla kogokolwiek innego. - Lydia zerknęła na niego, po czym opuściła głowę. - Nie chcę, żebyś się nade mną litował.

Nie potrafił się powstrzymać od śmiechu. Lydia gwałtownie odwróciła się w jego stronę, zaskoczona, a Kjell nachylił się nad nią i objął dłońmi jej twarz. - Czuję do ciebie wiele różnych rzeczy, Lydio Gray, ale na pewno nie ma pośród nich litości.

Pochylił się i lekko pocałował ją w usta. To był szybki i delikatny pocałunek, a ona odpowiedziała uśmiechem.

- No cóż, chyba powinienem zająć się gitarą. - Wstał, zauważając, że Lydia w ogóle się nie poruszyła. Wydawała się nieco oszołomiona, ale Kjell od dawna chciał ją pocałować i w najmniejszym stopniu nie żałował swojej decyzji.

Pokręciła głową.

- Nie możesz mnie tak po prostu całować, a potem udawać, że nic się nie stało - oświadczyła.

- Niczego nie udaję - podniósł gitarę. - Ja...

- Kjell, chodź szybko!

W głosie Zereldy rozbrzmiewała panika. Szybko podał Lydii gitarę i wybiegł przed chatę.

- Co się stało, Zee?

- Przyjechał Joshua. Podobno w miasteczku wybuchł pożar. - Gwałtownie odwróciła się w jego stronę. - Chodzi o twój tartak.

Kapitan Dimpfel i jego strażacy-żołnierze z niezwykłą sprawnością zapanowali nad żywiołem. Choć remiza znajdowała się na skraju miasteczka, natychmiast zjawili się na miejscu. W osadach składających się z drewnianych domów wszyscy obawiali się ognia i Sitka nie stanowiła tu wyjątku. Wiedząc o tym, strażacy działali energicznie i z ogromnym zapalem, a w rezultacie do północy zdołali powstrzymać płomień.

Kjell badał dymiące zgliszcza. Główna część tartaku ocalała, ale jego biuro i mieszkanie spłonęły w pierwszej kolejności.

- Z pieca mogła pójść iskra - zasugerował jeden z żołnierzy.

- Nie palił się żaden z pieców - odpowiedział Kjell, kręcąc głową. - Wyszedłem około piątej trzydzieści i ponieważ wiedziałem, że prawdopodobnie wrócę dopiero późnym wieczorem, nie rozpałem w piecu.

- Zgadza się - potwierdził Joshua, który razem z Dimpfelem włączył się do rozmowy. - Właśnie tłumaczyłem kapitanowi, że wyszedłem tuż po tobie. Zostali tylko chłopcy. Próbowali skończyć oczyszczanie drewna, które im zleciłeś, a potem wrócili na Ranczo, żeby zdążyć przed zamknięciem bram.

- Czy myślisz, że chłopcy mogli spowodować pożar? -zapytał kapitan. Kjell pokręcił głową.

- Nie wiem, jak ani dlaczego mieliby to zrobić. Joshua kopnął wilgotną ziemię.

- No cóż, moim zdaniem mogło się tak stać. Wcześniej nie chciałem nic mówić, ale ostatnio przyłapałem ich na pa-

leniu papierosów. Nie da się wykluczyć, że znowu to robili i po prostu byli nieostrożni.

Kjell zmarszczył brwi i podszedł do narożnika budynku. Nie wyobrażał sobie, żeby chłopcy palili papierosy, a tym bardziej spowodowali pożar tartaku. Zresztą nie miałoby powodu, żeby przebywać akurat w jego biurze czy mieszkaniu.

Wypuścił długo wstrzymywane powietrze.

- Nadal możemy produkować tarcicę - powiedział Joshua. - Będziemy musieli trochę posprzątać, ale przynajmniej główne zapasy pozostały nienaruszone.

- Myślę, że powinniśmy znaleźć chłopców i zapytać ich, czy nie wiedzą, co się stało - dodał Kjell, kręcąc głową. - Ale nie sądzę, żeby to oni spowodowali pożar.

- Nie sądzę, żeby zrobili coś podobnego celowo - wyjaśnił Joshua - ale jeśli coś ich przestraszyło i rzucili papieros w trociny, mógł się tam tlić przez dłuższy czas, a oni nawet nie zauważyliby, że coś się dzieje. Kapitan Dimpfel powiedział, że rano wyśle ludzi do osady i sprowadzi chłopców do remizy na przesłuchanie.

- Tak, to chyba najlepszy sposób, żeby się dowiedzieć, co się stało. - Kjell chciał wrócić do biura i mieszkania, żeby sprawdzić, czy nie da się czegoś uratować, ale kapitan zasugerował, żeby poczekał do rana, kiedy światło pozwoli mu więcej zobaczyć.

- Możesz u mnie przenocować - zaproponował Joshua. - Nie ma wiele miejsca, ale to lepsze niż nic.

- Dziękuję, jestem ci bardzo wdzięczny. Chyba skorzystam z twojej propozycji i rano zobaczę, co da się zrobić. - Po raz ostatni zerknął na główne wejście do tartaku i zmarszczył brwi. Coś mu się tu nie zgadzało. Czy to naprawdę był wypadek? A może jednak ktoś maczał w tym palce? Czy Marston Gray mógł mieć coś wspólnego z pożarem?

- Nie rozumiem, jak ktoś mógł coś takiego zrobić - powiedziała Zerelda. Postanowiła przyjechać do miasteczka następnego ranka, żeby zobaczyć pozostałości po pożarze. Ku jej zaskoczeniu Lydia zdecydowała się jej towarzyszyć. Kjell pokręcił głową.

- Ja też nie rozumiem wielu rzeczy.

- Nie ma wątpliwości, że Marston Gray jest w to jakoś zamieszany - oznajmiła gorzko Lydia.

- Nie wiesz przecież, czy on ma z tym cokolwiek wspólnego - zaprotestowała Zerelda. Lydia uparcie mówiła o swoich podejrzeniach, odkąd dowiedziały się o tym wydarzeniu poprzedniego wieczoru.

- To nie wygląda na przypadek. Wydaje się logiczne, że maczał w tym palce - wyjaśniła Lydia. - W końcu Kjell, stając w mojej obronie, doprowadził go do wściekłości.

Zerelda postanowiła zmienić temat.

- Gdzie się zatrzymałeś, Kjell?

- Zeszłą noc spędziłem u Joshuy, ale postanowiłem, że dziś skleczę sobie coś tymczasowego tu, w tartaku.

- Nonsens - zaprotestowała Zerelda. - Przyjedź do nas.

- Nie, Zee, wiesz przecież, że nie zmieścimy się wszyscy w tej małej chatce. - Uśmiechnął się. - Poza tym to mogłoby zaszkodzić reputacji Liddie.

- Myślę, że moja reputacja to wytrzyma - powiedziała Lydia, wpatrując się w zwęglone szczątki. - Zresztą co z Zereldą? Przecież i jej reputacja mogłaby ucierpieć.

- Nie, Zee - Kjell uśmiechnął się szeroko. Zerelda się roześmiała.

- Ludzie przyzwyczaili się do moich dziwactw już dawno temu. Posłuchaj, może porozmawiamy z człowiekiem, który zajmuje się sprzedażą posiadłości pana Saberhage-

na? Jest szansa, że pozwoliliby ci zamieszkać na jakiś czas w głównym budynku.

- Przyszedł mi do głowy lepszy pomysł - oznajmiła Lydia z podekscytowaniem. - Dlaczego nie miałabym kupić posiadłości? Zee i ja przeniosłybyśmy się tam, a ty zamieszkałbyś w chacie.

- Nie musisz kupować całego domu tylko z powodu pożaru. Szybko przygotuję sobie jakiś pokoik w tartaku i problem zniknie.

- Ale tak naprawdę myślałam o tym od jakiegoś czasu - przyznała Lydia, patrząc na Zereldę. - Odkąd wspomniałaś, że posiadłość została wystawiona na sprzedaż, zastanawiałam się, czy nie powinnam jej kupić. Na pewno mnie na to stać, poza tym zbliża się zima i prawdopodobnie nie pojawi się wiele innych ofert.

Zerelda skinęła głową.

- Miło byłoby mieć w końcu większy dom. Główny budynek jest idealny dla młodej rodziny. Na górze są dwie spore sypialnie, oprócz tego jedna mniejsza i łazienka, a na parterze znajduje się duży salon. Większość mebli została na miejscu, są w bardzo dobrym stanie. Pan Saberhagen nie oszczędzał na żonie.

- Dobrze. A zatem postanowione. Kjell, wiem, że masz teraz mnóstwo na głowie, ale czy zechciałbyś w moim imieniu porozmawiać z agentem?  
- zapytała Lydia.

Zereldzie nie umknął błysk w oczach Kjella. Nie było rzeczy, której nie zrobiłby dla jej bratanicy. Ten mężczyzna kochał ją całym sercem i Zerelda miała pewność, że i Lydii na nim zależało. Była przekonana, że kiedy już sami to zrozumieją, powita go w rodzinie.

- Oczywiście, porozmawiam z nim, Liddie. Skoro naprawdę tego chcesz - odpowiedział.

- Dzień dobry - powitał ich nagle kapitan Dimpfel. - Cieszę się, że cię tu widzę, Kjell.

- Czy wiadomo coś nowego w sprawie pożaru? - zapytała Zerelda.

Mężczyzna pokręcił głową.

- Niezupełnie. Rano wysłałem ludzi do Rancza, żeby poszukali dwóch chłopców, których zatrudnił Kjell. Od wczoraj nikt ich nie widział. Oczywiście rodzina może kłamać.

- Dobrze znam tę rodzinę - powiedziała Zerelda. - Nie wierzę, żeby coś ukrywali, ale na wszelki wypadek sama pójde porozmawiać z ich matką.

Spojrzała na Lydię.

- Odwieźć cię najpierw do domu?

- Ja ją odwiozę, Zee - zaproponował Kjell. - Ty jedź na Ranczo. Bardzo dziękuję, że mi pomagasz. Wątpię, żeby ich rodzina chciała ze mną rozmawiać.

- Jeśli znajdzie pani chłopców, panno Rockford, proszę się upewnić, że natychmiast zjawią się na przesłuchaniu.

- Tak zrobię, kapitanie. Proszę się nie obawiać.

Lydia pozwoliła, żeby Kjell pomógł jej się wdrapać na wóz. Długa spódnica i duży brzuch nie ułatwiały tego zadania. W pewnej chwili pomyślała nawet, że wsiadanie może się okazać trudniejsze niż przejście tych kilku kilometrów do domu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Kjell, kiedy już siedziała obok niego.

- To było naprawdę wyczerpujące - powiedziała ze śmiechem.

Odwzajemnił uśmiech.

- Zaraz będziemy w domu.

- Nie powinieneś się zatrzymać po drodze u agenta i sprawdzić, jakie są możliwości kupienia posiadłości?



- To może poczekać. Nie chcę, żebyś siedziała na mrozie, poza tym wolałbym, żebyś już tylko raz musiała dziś schodzić z wozu.

Konie ruszyły w stronę chaty Zereldy. Lydia usiłowała się skupić na krajobrazie, ale myślała głównie o tym, że chciałyby jakoś pocieszyć Kjella i sprawić, żeby tak bardzo nie martwił się pożarem. Wydawało się jednak, że przyjął tę wiadomość całkiem spokojnie.

- Kjell, jak to możliwe, że jesteś... no cóż, nie wydajesz się bardzo przejęty tartakiem.

- Och, jestem bardzo przejęty - przyznał. - Straciłem trochę rzeczy, które miały dla mnie szczególną wartość, ale ostatecznie to tylko przedmioty. Martwię się głównie o chłopców. Mam nadzieję, że jeśli to oni spowodowali pożar, po prostu się do tego przyznają. Oczywiście wybaczę im, przecież nie miałbym nikomu za złe takiego wypadku.

- Ale jeśli to nie był wypadek... Jeśli ktoś... - Znowu pomyślała o Marstonie. Mógł tego dokonać, żeby zemścić się na Kjellu.

- Nic ci nie jest? - zapytał, po czym przysunął się i dotknął jej dłoni. - Liddie?

- A co jeśli zrobił to Marston? - Nie potrafiła wydusić z siebie nic więcej. Czy sprowadziła na Kjella nieszczęście? Czy to wszystko wydarzyło się z jej winy?

- Liddie, przestań. Prawie słyszę twoje myśli. Podniosła wzrok i zobaczyła, że się do niej uśmiechał.

Pokręciła głową.

- To nic zabawnego.

- Nie twierdzą tak, ale to nie ma z tobą nic wspólnego. Jeśli zrobił to Gray, to stało się tak dlatego, że stanąłem mu na drodze i kazałem się wynosić. Z żadnego innego powodu. - Kjell popędził konie, bo wjeżdżali na wzgórze. - Dojdziemy do tego, co się tak naprawdę stało, ale musisz się

uspokoić. Nie chcę, żebyś przez ten pożar zbyt wcześnie urodziła dziecko.

Chłód zaczął przenikać przez wełnianą spódnicę i kurtkę Lydii. Zanim zdążyli dojechać pod chatę, całkiem już przemarzła. Wydawało się, że Kjellowi nie przeszkadzała powolność ruchów Lydii. Chętnie jej towarzyszył i wyglądało na to, że cieszył się, idąc u jej boku.

- Może wejdę do środka i rozpalę ogień? Wyglądasz, jakbyś potrzebowała się trochę ogrzać.

Lydia kiwnęła głową.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna. - Postanowiła nie zdejmować kurtki i usiadła w swoim ulubionym fotelu bujanym przy kominku. Był niemal identyczny z tym, który pozostawiła w Kansas City.

Przyglądała się, jak Kjell układał polana na przygasającym żarze. Dołożył podpałkę i wkrótce ogień zaczął znowu płonąć. Kiedy już polana wystarczająco się rozpałiły, wyciągnął ręce, żeby je ogrzać.

Nie zastanawiając się zbyt długo, Lydia spojrzała na niego i zapytała:

- Dlaczego pocałowałeś mnie zeszłej nocy?

Kjell nie odwrócił się w jej stronę. Wpatrywał się w ogień.

- Zrobiłem tak, jak czułem. Miałem wrażenie, że nie rozumiesz do końca, jakimi darzę cię uczuciami i chyba po prostu nie chciałem, żebyś miała jakiegokolwiek wątpliwości.

Lydia zastanawiała się przez chwilę nad jego słowami. Nie zamierzała udawać, że nie rozumiała, co miał na myśli, ale też nie była pewna, czy była teraz gotowa słuchać deklaracji miłosnych Kjella.

- Pójdę po drewno, a potem muszę ruszać do tartaku -oznajmił po kilku minutach ciszy.

Chciała go zatrzymać, ale postanowiła tego nie robić. Zaczekała, aż wyszedł na dwór, po czym wstała i zbliżyła się do ognia. Co miała mu powiedzieć? I co w ogóle mogła powiedzieć? Nie była nawet pewna swoich uczuć. Poza tym musiała myśleć o dziecku. To właśnie jego dobro powinna mieć przede wszystkim na względzie.

Dobiegł do niej odgłos rąbania drewna. Podeszła do kuchennego okna, skąd mogła widzieć Kjella przy pracy. Zdjął kurtkę i na jego koszuli pojawił się wyraźny rysunek mięśni. Z każdym uderzeniem siekiery prezentował swoją siłę i sprawność. Lydia nie mogła oderwać od niego oczu. Dopiero hałas zbliżającego się wozu odciągnął ją od wysokiego mężczyzny.

Nagle ciarki przeszły jej po plecach. A co jeśli Marston przyjechał złożyć jej kolejną wizytę? Podeszła do drzwi i lekko je uchyliła, żeby wyrzucić na zewnątrz. To była Zerelda.

- Czego się dowiedziałas, Zee? - zawołał Kjell. Podeszedł do wozu, a Lydia zeszła po schodkach przed dom.

- Nikt nie widział chłopców. Wierzę im, na pewno niczego nie ukrywają. Ich matka jest przerażona, a dziadek kazał ich szukać wszystkim członkom klanu.

- Mam nadzieję, że nic im się nie stało - powiedziała Lydia. Zauważyła grymas niepokoju na twarzy Kjella. Z całych sił pragnęła go pocieszyć.

- Pan Fuller przekazuje ci to, Liddie - powiedziała Zerelda, podając jej list. - Przepraszam, że nie dał ci go wcześniej. Przyplął na ostatnim statku.

Lydia wzięła list. Okazało się, że przysłał go Robinson. Zesztywniała. Znowu poczuła gniew na myśl o tym, że prawnik zdradził Marstonowi informacje dotyczące miejsca jej pobytu. Podczas gdy Zerelda dalej rozmawiała z Kjellem, Lydia wróciła do domu i zaczęła czytać.

*Droga pani Gray,*

*piszę ten list z ogromnym niepokojem. Chciałbym Panią ostrzec, bo-  
wiem martwię się o Panią. Mój urzędnik, pan Lytle, został niedawno  
zaatakowany. Na łożu śmierci wyznał mi coś przerażającego. Okazuje się,  
że Pani pasierbowie zmusili go do zapewnienia im dostępu do naszej  
korespondencji oraz informacji dotyczących Pani aktualnego miejsca  
pobytu.*

*Nie potrafię określić, w jaki sposób Grayowie zamierzają wykorzystać  
tę informację, ale chciałem Panią uprzedzić, że wiedzą już, gdzie Pani  
przebywa. Radzę Pani mieć się na baczności i spodziewać się przyjazdu  
ich samych albo nasłanych przez nich ludzi.*

W dalszej części listu prawnik ponownie przeproszał za zaistniałe  
wydarzenie, a także pisał o swoim niepokoju związanym z nowo powstałą  
sytuacją. Westchnęła z ulgą. A jednak Robinson jej nie zdradził.  
Zasmuciło ją, że Lytle stał się ofiarą tak okrutnego ataku, ale nie potrafiła  
mu wybaczyć, że udostępnił Marstonowi i Mitchellowi informacje na jej  
temat.

Raz jeszcze przeczytała list. Zauważyła, że został wysłany niemal  
miesiąc wcześniej. Wiedzieli zatem o wszystkim przez cały ten czas.  
Wiedzieli, gdzie jest i że nosi w sobie dziecko ich ojca. Niewątpliwie  
knuli i zastanawiali się, jak do niej dotrzeć - i jak zmusić ją do powrotu.

„Ale dlaczego? Dlaczego tak bardzo interesują się tym, gdzie  
mieszkam i co robię? Dlaczego koniecznie chcą, żebym wróciła do  
Kansas City?”

## Rozdział 173

LISTOPAD 1870 ROKU

Smutne wieści o śmierci dwóch chłopców z plemienia Tlingitów nadeszły dosłownie kilka dni później. Ciało braci znalazł miejscowy rybak, który zeznał, że wyglądało to tak, jakby chłopcy zostali pobici i uduszeni. Kjell był poruszony tą wiadomością. Teraz miał pewność, że to nie Indianie podłożyli ogień. Podejrzewał natomiast, że byli świadkami tego zdarzenia i znali tożsamość prawdziwego winowajcy.

- Jadę do Swan Lake, żeby pomóc w wyrąbywaniu lodu - oznajmił Joshua. - Zawiadomisz mnie, gdyby pojawiła się tu jakaś robota, dobrze? Kjell skinął głową.

- Jeżeli pogoda się utrzyma, na początku przyszłego tygodnia pojedziemy ściąć trochę drzew.

- Dobrze. Zdecydowanie wolę zajmować się drewnem niż lodem. - Joshua przystanął na chwilę przy drzwiach. Zawahał się, ale zdecydował się odezwać. - Kjell, powinieneś o czymś wiedzieć. Widziałem dziś Sidorowów. Chyba zatrzymali się w Double-Decker.

Kjell przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Miejsce, o którym mówił, słynęło z tego, że zatrzymywało się w nim zwykle od stu do dwustu Rosjan pozbawionych środków

do życia. Jeżeli pojawiała się taka potrzeba, ludzie ci potrafili ukrywać swoich.

- Jesteś pewien? Joshua przytaknął.

- Zastanawiałem się, czy nie mogli mieć czegoś wspólnego z pożarem, a nawet ze śmiercią chłopców. Wiesz, że źle ich traktowali. Jeśli zakradli się tu, żeby podłożyć ogień, a chłopcy ich zobaczyli, to się nie mogło dobrze skończyć.

- Możesz mieć rację. - Kjell nie brał dotąd pod uwagę Sidorowów jako potencjalnych podejrzanych. Potraktował ich sprawiedliwie i naprawdę nie mieli powodów, by zwrócić się przeciw niemu.

- No nic, w każdym razie pomyślałem, że powinienś o tym wiedzieć, szefie.

Kjell nie próbował już poprawiać młodego człowieka i prosić, żeby mówił mu po imieniu.

- Dziękuję, Joshua.

- Nie widzę powodu, żeby wypłacić wam pełne wynagrodzenie - powiedział Marston braciom Sidorowom. - Nie wypełniście całego zadania.

Anatolij nachylił się, tak że ich nosy niemal się zetknęły.

- Nie zamierzasz nam zapłacić?

Marston widział, że mężczyzna próbuje go zastraszyć, ale nie przejmował się tym. Sidorowowie zostali mu poleceni ze względu na to, że często otwarcie mówili, jak bardzo nienawidzą Kjella Lindquista. Tylko dlatego uznał ich za użytecznych.

Zmrużył oczy.

- Nawet nie próbuj myśleć, że mnie przestraszysz. To niemożliwe. I nie zapominaj: wiem, co zrobiliście z chłopcami.

Młodszy mężczyzna cofnął się o krok, a jego brat stanął obok.

- Wykonaliśmy zadanie - powiedział Iwan. - To nie nasza wina, że strażacy szybko opanowali ogień. A co do chłopców, oni nic nie znaczyli. Nikogo nie obchodzi, że zniknęli, to tylko Tlingici.

Zmierzył Marstona wzrokiem, a ten pomyślał, że mężczyźni są od niego zdecydowanie więksi i bez trudu mogliby się go pozbyć. Dysponował jednak czymś, czego żaden z nich nie miał: sprawnym umysłem. Bracia składali się raczej z mięśni niż z rozumu i Marston zamierzał to wykorzystać na swoją korzyść.

- Nie jestem człowiekiem, którego łatwo onieśmielić - oznajmił, krzyżując ręce na piersi. - I zamierzam dotrzymać danego słowa. Ale nie mam też w zwyczaju płacić za spartaczoną robotę. Mogę chcieć was niedługo zatrudnić do kolejnych zleceń, które przyniosą wam więcej pieniędzy, niż sobie wyobrażacie, ale tylko jeśli udowodnicie swoją przydatność.

Wzmianka o pieniądzach wyraźnie zwróciła ich uwagę, dokładnie tak jak się spodziewał. Bracia wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a Anatolij wzruszył ramionami.

- Zrobiliśmy, co kazałeś. Pożar byłby większy, gdyby nie wtrącili się ci Indianie. Nie wiedzieliśmy, że jeszcze się tam kręca. Zaskoczyli nas i musieliśmy coś wymyślić, żeby się ich pozbyć, zanim ktoś by się o wszystkim dowiedział.

Marston skinął głową.

- Może potraktowałem was zbyt ostro. Macie rację. - Wyciągnął trochę gotówki i podał pieniądze Anatolijowi. - Na razie dostaniecie tyle, ale będziecie musieli pokazać, na co was stać.

- Co mamy zrobić? - zapytał Iwan.

Marston się uśmiechnął, bo wiedział, że połknęli haczyk.

- Skontaktuję się z wami. Za kilka dni podam wam dokładniejsze informacje. Na razie muszę wszystko zaplanować.

Zaczekał, aż Sidorowowie wyszli, po czym włożył kurtkę i ruszył do Rosyjskiej Herbaciarni, gdzie zaczął jadać obiady. Marston bacznie obserwował otaczających go ludzi, zwracał uwagę na codzienny rytm tego miasteczka. Właśnie obserwacja i skupienie na szczególe przynosiły mu zwykle korzyści i nie miał powodu sądzić, że tym razem w Sitce miałyby być inaczej.

Na ulicy dostrzegł ciotkę Lydii. Raz już się jej przedstawił i wiedział, że za nim nie przepada. Mimo to nie miał jeszcze okazji dłużej z nią rozmawiać. Być może gdyby udało mu się ją odpowiednio zmotywować, zdołałby uzyskać jej pomoc.

- Dzień dobry, panno Rockford - powiedział, podchodząc do starszej kobiety.

Zerelda dopiero po chwili zorientowała się, kim jest.

- Czego pan chce? Roześmiał się.

- Natychmiast przechodzi pani do rzeczy. To mi się podoba. Zastanawiałem się, czy zechciałaby mi pani towarzyszyć. Wybieram się właśnie na obiad.

- Nie mam ochoty przebywać w towarzystwie osoby, która skrzywdziła moją bratanicę.

- Ależ myli się pani, panno Rockford. - Uśmiechnął się do tej niezbyt ładnej kobiety. Nic dziwnego, że nie przywykła do uwagi i zainteresowania mężczyzn, a w każdym razie przystojnych mężczyzn. Pomyślał, że może zdoła wyrzucić na niej wrażenie. - Zapewniam panią, że cała ta sytuacja została opacznie zrozumiana. Chciałbym mieć możliwość wytłumaczenia się.

- Proszę bardzo.



- Strasznie tu chłodno. Może jednak zgodzi się pani na obiad?

Zerelda pokręciła głową.

- Jeśli ma pan coś do powiedzenia, proszę zrobić to tutaj. Marston miał ochotę spoliczkować tę bezczelną kobietę.

- Dobrze. Musi pani wiedzieć, że przyjechałem tu, mając na względzie wyłącznie dobro Lydii i dziecka. Grayowie zawsze troszczyli się o swoją rodzinę, a dziecko, którego spodziewa się pani bratanica, to moja siostra lub brat.

- A cierpienia, które Lydia zносиła przez dwanaście lat, stanowiły zapewne wyraz tej troski i opieki? Nie wmoi mi pan, że pańska rodzina kiedykolwiek zrobiła coś dla dobra mojej bratanicy.

- Może pani myśleć, co zechce, ale powinnyście z Lydią o czymś wiedzieć. Mój brat i ja nie pozwolimy, żeby to dziecko wychowywało się w tak dzikim miejscu. Trzeba wziąć pod uwagę jego dobro i wykształcenie. Oczywiście gdyby okazało się, że to dziewczynka, edukacja nie byłaby tak istotna, ale gdyby urodził się chłopiec, jego wychowaniem muszą zająć się mężczyźni.

Zerelda przełożyła koszyk do lewej ręki.

- Wydaje mi się, że usłyszałam już dość, żeby upewnić się, że nie ma pan na względzie dobra Lydii. Nie zamierzam zatem dłużej pana słuchać.

Marston zbliżył się do niej.

- Chciałbym, żeby zrozumiała pani jedną rzecz, panno Rockford. Jestem wpływowym człowiekiem i mam wielu przyjaciół. Nie będę siedział z założonymi rękami i patrzył, jak Lydia rujnuje życie dziecka mojego ojca.

- Czyżby groził pan, że je odbierze? - zapytała Zerelda. - Bo jeśli tak, powinien pan wiedzieć, że także Lydia ma tu wielu przyjaciół i żaden z nich nie pozwoli, żeby pan ją zastraszał i do czegokolwiek zmuszał.

- Nikomu nie grożę. Ale mogę sterować systemem prawnym obowiązującym na tych terenach. Wielu sędziów i prawników ma u mnie dług wdzięczności. Nietrudno będzie ich przekonać, że Lydia nie jest przy zdrowych zmysłach. W końcu przyjechała tu w stanie błogosławionym, ryzykując życiem nie tylko swoim, ale także dziecka.

Marston zauważył wyraźny niepokój Zereldy. Wiedziała, że może mieć rację. Relacje, które przez lata przesyłała jej Lydia w swoich listach, pokazały jej, jaką potęgą i siłą woli dysponowali Grayowie.

- Powinna pani o tym pamiętać. I pomóc bratanicy to zrozumieć.

- Nie będę niepokoiła tego biednego dziecka pustymi groźbami. - Zerelda wyprostowała ramiona i spojrzała mu prosto w oczy. - Podobnie jak pan, ja także mam w zwyczaju osiągać cele przy pomocy przyjaciół. Po pierwsze, Bóg stoi po mojej stronie i już to wystarczy, żebym zwyciężyła. Po drugie jednak, mam na tej wyspie wielu wpływowych znajomych. Wątpię, żeby długo się zastanawiali, gdybym zasugerowała im, że powinien pan zostać usunięty z tego miejsca, bo pańska obecność zagraża mojej bratanicy.

Marstona zaskoczyła jej bezpośredniość. Tej kobiety nie dało się łatwo zastraszyć.

- Doskonale, panno Rockford. Miałem nadzieję, że zdołam panią przekonać za pomocą racjonalnych argumentów, ale widzę, że jest pani równie uparta jak Lydia. Taka postawa tylko wam zaszkodzi.

Zerelda się roześmiała - jej zachowanie naprawdę zirytowało Marstona.

- Panie Gray, pańskie groźby potwierdzają tylko, że moja bratanica pisała szczerą prawdę o panu i pańskiej rodzinie. Cieszę się, że postanowiła tu przyjechać i zamieszkać ze mną, i proszę być pewnym, że zamierzam ją chronić nie-

zależnie od ryzyka, jakie się z tym wiąże. Zresztą nie tylko ja troszcę się tu o Lydię. Mieszkańcy Alaski to szczególnie ludzie i lepiej będzie, jeśli zapamięta pan to już teraz.

Ruszyła przed siebie sztywnym krokiem, ani razu na niego nie patrząc. Marston chciał zażądać, żeby zawróciła. Tak naprawdę zaś miał ochotę ją zabić za to bezczelne zachowanie. Opanowała go wściekłość, która tylko dodała mu sił. Każe im wszystkim słono za to zapłacić.

- Mam wieści - oznajmił Kjell, witając Lydię w drzwiach chaty.

- Marston wyjechał?

- Nie, to nie są aż tak dobre wieści. Ale udało się doprowadzić do końca sprzedaż posiadłości i możesz się przenieść do głównego budynku, kiedy tylko zechcesz. Poświadczenie z banku, które przedstawiłaś, wystarczyło, żeby zarezerwować to miejsce do momentu ostatecznego przekazania środków.

Lydia się uśmiechnęła.

- To świetna wiadomość. Naprawdę najlepsza, jaką mogłabym dostać. Wejdz. Zerelda powinna niedługo wrócić, strasznie się ucieszy, kiedy to usłyszy.

- Przykro mi, że nie mogłem ci przekazać tego, co naprawdę chciałaś usłyszeć. - Spojrzał na nią ze współczuciem. - Gdybym tylko znalazł jakiś sposób, żeby zmusić tego człowieka do wyjazdu... Ale na razie to niemożliwe.

- Wiem. - Lydia wygładziła kretonową bluzkę opinającą jej wystający brzuch i odetchnęła tak głęboko, jak tylko mogła. Zerelda powiedziała jej, że już niebawem dziecko opadnie niżej i dzięki temu zmniejszy się nacisk na płuca. Lydia miała nadzieję, że nastąpi to już niedługo.

- Cieszę się, że postanowiłaś zostać - powiedział Kjell, wchodząc za nią do środka. Pomógł jej usiąść w fotelu bujanym i po chwili dodał: - Wiem, że Zee też się tym cieszy.

- To wydaje się najrozsądniejsze, przynajmniej na razie

- powiedziała Lydia, kładąc dłoń na powiększonym brzuchu. - Poza tym naprawdę pokochałam to miejsce. Mam wrażenie, że jest tu jakaś siła, która pozwala odzyskać spokój duszy. Sitka w dziwny sposób oczyszcza moje wspomnienia z przeszłości. Nigdy nie sądziłam, że to będzie możliwe.

Uśmiechnął się i przysunął sobie krzesło.

- Cieszę się, że tak to odbierasz.

Lydia poczuła, że zarumieniły się jej policzki. Wpatrywała się w jego piękną twarz. Zdażyła już zaakceptować uczucia, którymi go darzyła, choć jeszcze nikomu się z nich nie zwierzyła - nawet Zereldzie. Nigdy wcześniej nie kochała, to było dla niej zupełnie nowe uczucie. Na początku nie mogła uwierzyć, że pokochała mężczyznę, ale wraz z upływem czasu zrozumiała, że miłość jest tym, czego dotąd nie było jej dane doświadczyć. Pustka, która ją dawniej przepełniała, stopniowo wypełniała się treścią. Lydia mogła dotąd tylko marzyć o takim biegu wydarzeń.

- Wpatrujesz się we mnie w taki sposób, że zaraz znowu cię pocałuję. Roześmiała się.

- Cóż za straszna kara! - Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Kjell, nigdy nie sądziłam, że odnajdę szczęście, ale tak się stało. Byłeś dla mnie taki dobry... Okazałeś się wspaniałym przyjacielem.

- Chciałbym zostać kimś więcej niż tylko przyjacielem - powiedział nieśmiało.

Lydia miała wrażenie, jakby serce przestało bić. Głośno przełknęła ślinę. Wiedziała, że lada chwila jej się oświad-

czy. Czy tego chciała? Czy mogła przyjąć jego propozycję? Ogarnął ją strach i odwróciła się.

Kjell pochylił się nad Lydią i dotknął jej twarzy. Delikatnie obrócił ją do siebie.

- Na pewno wiesz, co do ciebie czuję.

Lydia zaskoczyła ich oboje - odwróciła się gwałtownie. W ostatnich dniach stała się bardzo niezdarna, ale tym razem po prostu nie mogła dłużej siedzieć.

- Wiem - powiedziała. - Podejrzewałam to już od jakiegoś czasu. Muszę przyznać, że moje własne uczucia mnie zaskoczyły. Przyjeżdżając tu, w ogóle się nie spodziewałam. .. - Zamilkła na chwilę, po czym spojrzała na niego. Czy odważy się wymówić te słowa?

- Czego się nie spodziewałaś? - zapytał, obejmując jej ramiona.

Lydia zdobyła się na odwagę.

- Nie spodziewałam się, że się zakocham. Delikatnie dotknął jej policzka.

- A czy to właśnie się stało?

Skinęła głową, nie mogąc nic z siebie wydusić. Pod dotykiem Kjella jej serce pędziło jak oszalałe i mimo że jej powiększony brzuch stanowił barierę pomiędzy nimi, nie mogła się powstrzymać i też położyła dłoń na jego twarzy. Poczowała ciepło jego skóry.

Przyciągnął ją do siebie i namiętnie pocałował. Przywarła do niego, jakby się bała, że ta chwila przeminie zbyt szybko. Usłyszała, że westchnął, jakby ten pocałunek stanowił kulminacyjny punkt jakiejś długiej, mozolnej podróży.

- Wyjdź za mnie, Lydio. Pozwól mi się tobą zaopiekować i cię kochać.

- Całował ją po twarzy.

Te słowa natychmiast ją otrzeźwiły.

- Kjell - cofnęła się tylko trochę. - Lada chwila urodzę dziecko.

Roześmiał się.

- Nie zauważyłem.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Chodzi o to... no cóż, to dziecko jest dla mnie bardzo ważne. Nie mogę o nim zapominać, nawet dla twojej miłości.

Te słowa sprawiły, że zmarszczył brwi.

- Lydio, za kogo ty mnie masz? Naprawdę sądzisz, że jestem jednym z tych mężczyzn?

- O mężczyznach wiem bardzo niewiele, znałam tylko tych najgorszych. Wiem, że jesteś inny, Kjell, ale prześladowają mnie różne lęki. To dziecko będzie potrzebowało ojca, który pokocha je całym sercem. Możesz mu to obiecać?

Położył dłoń na jej brzuchu.

- Mogę. I obiecuję. Nie marzę o niczym innym niż o wspólnym wychowywaniu tego dziecka. Nigdy nie ośmieliłbym prosić, żebyś za mnie wyszła, gdybym czuł inaczej. Uwielbiam dzieci, marzyłem o nich z Raisą, a teraz pragnę mieć je z tobą.

Lydia wiedziała, że mówi prawdę - poczuła to gdzieś głęboko w sercu.

- Wiesz, że miałam straszne małżeństwo. Mój mąż nie należał do łagodnych, traktował mnie w okrutny sposób. Często... często mnie krzywdził.

Kjell znowu przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

- Nie jestem takim człowiekiem. Nigdy nie potrafiłbym cię tak traktować.

- A jeśli... jeśli... - Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, żeby wyjaśnić, co czuła. Jak mogła mu wytłumaczyć, że intymność ją przerażała? Jak mogła liczyć na to, że Kjell zrozumie, że nigdy w najmniejszy choćby sposób nie cieszyła się szacunkiem jako żona?

- Lydio, co próbujesz mi powiedzieć? Po prostu wyrzuć to z siebie.

Opuściła podbródek, nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

- A co jeśli nie będę mogła być dla ciebie dobrą żoną? Jeżeli nie będę umiała wyjść twoim potrzebom naprzeciw?

Objął dłońmi jej twarz, zmuszając ją, żeby spojrzała mu w oczy.

- Chyba rozumiem, co masz na myśli - szepnął. - Proszę cię, wiedz, że będę rozumiał twoje potrzeby. Nigdy nie nadużyłbym twojego zaufania. - Patrzył na nią z niezwykłą czułością. - Lydio, kochasz mnie?

Kiwnęła głową. - Tak.

- A ja kocham ciebie. Kochałem niemal od chwili, kiedy zemdlłaś i padłaś mi w ramiona. - Uśmiechnął się i pogłaskał jej policzki. - Chwilę wcześniej powiedziałem koledze, że gdyby Bóg miał dla mnie żonę, musiałby ją rzucić w moje objęcia. I nagle się pojawiłaś.

- Wierzysz, że to Bóg nas z sobą połączył? - zapytała zaciekawiona. Zerelda często mówiła o tym, w jaki sposób Bóg doprowadza do pewnych zdarzeń, żeby realizować Swoją wolę.

- Wierzę - odpowiedział. - Lydio, wiem, że boisz się ufać zarówno Bogu, jak i mnie, ale chcę, żebyś wiedziała, że chociaż ja mogę popełniać błędy i cię zawodzić, On nigdy tego nie zrobi.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziała - ale to zbyt trudne. Przecież nigdy nie było Go przy mnie przez te wszystkie trudne lata mojej młodości. Próbowałam w Niego wierzyć, modlić się, ale pozostał nieobecny.

Kjell pokręcił głową.

- Nigdy nie był nieobecny, Lydio. I nie cieszyło Go to, co się działo. Ale niezależnie od tego, czy zdawałaś sobie z tego sprawę, czy nie, nigdy nie zostawił cię z tym wszystkim samej. Był przy tobie i nadal jest. Chce nieść ci otuchę

i zbawienie i tylko On może cię tak naprawdę uleczyć z całego bólu i ran, które w tobie pozostały po tych strasznych latach.

W głębi duszy Lydia marzyła, żeby miał rację, tęskniła za nadzieją, którą jej dawał. Czy mogła zaufać Bogu, pokochać Go tak, jak według Zereldy On kochał ją?

Czuła się jak dziecko, które z zamkniętymi oczami rzuca się na siano.

- Chcę spróbować - szepnęła. - Bardzo chcę Go poznać. Ku jej zaskoczeniu oczy Kjella napelniły się łzami.

- Wystarczy, że poprosisz. Uwierz w Jezusa i ufaj, że On cię ocali, a tak się stanie.

Lydia przez chwilę się zastanawiała nad jego słowami. Przez większą część swojego życia winiła Boga za cierpienia, które ją spotykały. Czy naprawdę potrafiła zapomnieć o przeszłości i ruszyć przed siebie z odmienionym sercem i nową nadzieją? Po jej ciele rozlało się dziwne ciepło, wspaniałe uczucie, którego nigdy dotąd nie doświadczyła. Jej serce zdawało się skakać z radości. To było czyste. To było prawdziwe. Lydia spojrzała na Kjella. Ona też miała łzy w oczach.

- Wierzę, Kjell. Naprawdę wierzę.



## Rozdział 185

Och, ależ to wspaniałe wieści! - Zerelda zatańczyła z radości. Wyraźnie uszczęśliwiła ją wiadomość, że Lydia pogodziła się z Bogiem i przyjęła oświadczenia. Kjell uśmiechnął się szeroko.

- Spodziewałem się, że będziesz zadowolona. - Otoczył Lydię ramieniem. - To jeszcze nie wszystko. Oferta kupna posiadłości, którą złożyła Liddie, została przyjęta przez agenta.

- I to wam odpowiada? - zapytała Zerelda, patrząc to na bratanicę, to na Kjella.

- A dlaczego nie miałyby odpowiadać? - zapytał. Lydia z zaciekawieniem spojrzała na ciotkę.

- Właśnie, dlaczego?

- No cóż, Kjell jest mężczyzną i mogłoby to urazić jego dumę, gdyby jego żona zapłaciła za dom ze swoich pieniędzy. - Zerelda wpatrywała się w niego badawczo. - Jeżeli to ci przeszkadza, powinniście to omówić już teraz.

Pokręcił głową.

- Nie przeszkadza mi to. Bóg zawsze opiekował się mną w ten czy inny sposób. Nie posiadam niczego, czego nie dostałbym właśnie od Niego. W ogóle nie martwi mnie kupno domu. Wiem, że Lydia stała się bardzo bogata. Nie obchodzi mnie to, ale cieszę się, że jest szczęśliwa i może zaspokoić potrzeby dziecka.

Lydia uśmiechnęła się. Floyd nigdy nie zgodziłby się na takie rozwiązanie. Mógłby odebrać jej pieniądze i wtedy zdecydować się na kupno, ale w żadnym wypadku nie pozwoliłby jej podjąć samodzielnej decyzji dotyczącej ich wspólnej przyszłości.

Wzruszało ją to, jak bardzo Kjell różnił się od mężczyzn, których dotąd знаła. Skoro mógł być inny, oznaczało to, że świat nie składa się wyłącznie z okrutnych tyranów, którzy chcą tylko wykorzystywać i krzywdzić kobiety.

- Kiedy weźmiecie ślub?

- Im szybciej, tym lepiej - oznajmiła Lydia, zaskakując zarówno siebie, jak i pozostałych.

Kjell głośno się roześmiał i uściśnął jej ramiona.

- Jestem tak świetną partią, że boi się, że czmychnę. Zerelda skinęła głową, uśmiechając się.

- I słusznie. Jesteś najlepszym mężczyzną w Sitce.

- Tak, ale nie widzę świata poza Liddie. Nie musi się martwić o to, że zniknę.

- Przede wszystkim zależy mi na tym, żeby zdążyć ze ślubem, zanim urodzi się dziecko. Chciałabym, żeby nosiło nazwisko Lindquist - wyjaśniła Lydia.

- I tak będzie - odpowiedział Kjell. - Weźmiemy ślub już jutro, jeśli tylko okaże się to możliwe. Rosyjski ksiądz musi nam wystarczyć, bo nie mamy innych duchownych w Sitce. Potem będziemy mogli wszyscy przenieść się do głównego budynku. Zdażymy, jeszcze zanim pogorszy się pogoda.

- Och, najlepiej, żebyście przenieśli się we dwoje - zaprotestowała Zerelda. - Młoda para potrzebuje prywatności, a ja przez te wszystkie lata bardzo przywiązałam się do swojej chaty.

- Wiem o tym - powiedział Kjell. - Ale wolałbym, żebyś była w pobliżu także z innych powodów. Nie chciałbym,

żeby Liddie została sama, szczególnie kiedy Gray dalej przebywa w miasteczku. Zresztą ty też powinnaś mieć towarzystwo. Marston stanowi realne zagrożenie i nie dopuszczę, żeby coś wam się stało.

- Myślisz, że odważy się znowu tu przyjść? - zapytała Lydia. Od czasu tamtego incydentu Marston nie pojawił się nigdy w okolicy chaty.

- Myślę, że jest zdolny do wszystkiego. Nie zamierzam ryzykować, że się tu pojawi, kiedy będę w pracy, a ty zostaniesz sama. A we dwie zdołałybyście powstrzymać małą armię.

- Głównie dzięki Zereldzie - powiedziała Lydia z uśmiechem. - To przeciwnik, którego nie można lekceważyć.

Jej ciotka roześmiała się.

- No cóż, w przeszłości zabiłam wystarczającą liczbę groźnych zwierząt. Co prawda żadne z nich nie miało dwóch nóg, ale pewnie wszystko przede mną. Zwykle ludzie są skłonni dążyć do ugody, kiedy tylko zobaczą moją strzelbę.

Kjell skinął głową.

- Właśnie dlatego chcę, żebyśmy wszyscy mieszkali pod jednym dachem. Przynajmniej do czasu wyjazdu Graya. Zgodzisz się, Zee?

Mina Zereldy przekonała Lydię, że jej ciotka w pełni rozumie powagę sytuacji.

- Zrobię, jak zechcesz, Kjell. Wszystko dla bezpieczeństwa Liddie.

Tej nocy Lydia nie mogła zasnąć. Myślała o tym, jakie stanie się jej życie po jutrzejszym dniu. Miała ponownie wyjść za mąż i bała się przyszłości. Czy podjęła właściwą decyzję?

Powoli przewróciła się na drugi bok, usiłując przesunąć poduszki i znaleźć pozycję, w której nie będą ją tak bardzo

bolały plecy. Przez chwilę miała ochotę się pomodlić, ale na samą tę myśl nadal czuła się nieswojo.

- Nie wiem, co powinnam powiedzieć - szepnęła. -Wiem tylko, że marzę o tym, żebyśmy ja i moje dziecko byli bezpieczni. Kjell i Zerelda też. - Zastanawiała się przez chwilę. - Chcę Cię lepiej poznać, Panie. Wiem, że w tej chwili moja wiara jest jeszcze słaba, ale Zerelda twierdzi, że z czasem urośnie.

Zadrżała na myśl o Marstonie.

- Chciałabym, żebyś doprowadził do tego, by odszedł. Żebyś odesłał go do Kansas City i sprawił, żeby zrozumiał, że nie może mnie zmusić do powrotu. On mnie przeraża, Panie. Nic na to nie poradzę. - Dotknęła dłonią nabrzmiałego brzucha. - Boję się o moje dziecko.

Przez chwilę milczała. Modlitwa wydawała jej się czymś zupełnie obcym. Czy Bóg w ogóle jej słuchał? Czy naprawdę słyszał prośby nic nieznaczących ludzi? Zmarszczyła brwi i zamknęła oczy. Chciała się czuć tak pewna swojej wiary jak Zerelda czy Kjell, ale nie wiedziała, jak to osiągnąć. Czy powinna zrobić coś jeszcze?

Następnego ranka Lydia obudziła się podekscytowana. Przez moment nie pamiętała dlaczego, ale po chwili przypomniała sobie oświadczyzny Kjella. Dziś mieli wziąć ślub! Głęboko odetchnęła i ostrożnie wstała z łóżka. Zaczęła przeglądać swoje ubrania, choć wiedziała, że nie ma zbyt dużego wyboru: prosta, granatowa spódnica lub druga brązowa - obie zostały uszyte tak, żeby pasować do jej powiększonej przez ciążę figury. Zerelda zrobiła też dla niej kilka plisowanych bluzek.

„To nie do końca przypomina elegancką suknię, którą miałam na sobie, wychodząc za Floyda - rozmyślała. - Ale

przecież tamto małżeństwo nie należało do udanych, więc najwyraźniej ubranie nie pomogło".

Lydia wybrała najlepszą białą bluzkę, włożyła granatową spódnicę i ułożyła włosy. Upięła proste brązowe kosmyki w zwykły kok. Nie miała do dyspozycji dużego lustra, w którym mogłaby obejrzeć swoje odbicie, więc pozostawało jej mieć nadzieję, że wszystkie te wysiłki okażą się wystarczające. Wiedziała, że Kjell uzna ją za piękną niezależnie od tego, co miała na sobie, i ta myśl napędzała jej serce wielką radością. Floyd nigdy nie uważał jej za ładną, ale Kjell patrzył na nią w taki sposób, że nie mogła wątpić w jego podziw i uznanie.

- Jesteś wreszcie - powiedziała Zerelda, kiedy Lydia wyszła z sypialni.

- Bałam się, że zmieniłaś już zdanie. Prześlicznie wyglądasz.

- Właśnie myślałam o tym, jak bardzo różny będzie ten ślub od tego, który brałam jako szesnastolatka. Żadnych drogich sukni czy gór kwiatów. I żadnej pretensjonalności, nic na siłę.

Zerelda skinęła głową i wzięła Lydię za rękę.

- Nic, tylko człowiek, który kocha cię z całego serca. Jestem bardzo szczęśliwa, że to się dzieje, Liddie. Nie wyobrażam sobie lepiej dobranej pary.

- Ufam, że masz rację. Nadal się boję. - Zamilkła na chwilę i pomyślała o tym, jak trudno przychodziła jej modlitwa. - Zeszłej nocy próbowałam się modlić, ale to wszystko jest dla mnie nowe. Chciałabym mieć twoją wiarę, ale nie znam Boga zbyt dobrze.

- To przyjdzie w odpowiednim czasie. Po prostu Mu zaufaj, a On ci się objawi. Czytaj Jego Słowo. Wiem, że Kjell każdego ranka poświęca trochę czasu, żeby studiować Biblię, i jestem przekonana, że gdybyś go poprosiła, czytałby ją i tobie. Moglibyście nawet omawiać wspólnie znaczenie

poszczególnych wersów i to, czego Bóg nas uczy za ich pośrednictwem.

- Chciałabym tego. Chcę się nauczyć. Naprawdę pragnę tego z całego serca. Dużo myślałam o tym, co mówiłaś o Bogu. Trudno tak po prostu zapomnieć o przeszłości, ale próbuję to zrobić. Próbuję z całych sił odnaleźć w sobie przebaczenie, ale to nie jest łatwe.

- Pamiętaj tylko, że przebaczenie to sposób na to, żeby wyzwolić się z ograniczeń, które nakładają na ciebie inni. Przebaczenie prowadzi do wolności.

Usłyszały nadjeżdżający wóz i uśmiechnęły się.

- To na pewno Kjell - powiedziała Zerelda, pochylając się nad bratanicą i całując ją w policzek. - Zobaczmy, czy udało mu się wszystko załatwić.

Pół godziny później Lydia i Kjell stanęli przed prawosławnym księdzem. Jego córka i Zerelda były świadkami ślubu, razem z dwoma starszymi mężczyznami, którzy mieszkali w domu duchownego.

Ceremonia nie trwała długo, a kiedy Lydia odwróciła się w stronę Kjella, miała wrażenie, że zemdleje ze szczęścia. Przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował. Mimo że to była tylko chwila, pod Lydią ugięły się nogi, tak jak wtedy, kiedy zrobił to po raz pierwszy.

- Gratuluję - powiedziała Zerelda, obejmując Kjella. - Teraz już oficjalnie stałeś się członkiem rodziny.

- I bardzo mnie to cieszy, Zee. Nie wyobrażam sobie lepszej.

Kiedy ceremonia i wszystkie formalności dobiegły końca, Kjell zapłacił kapłanowi i ruszył w stronę drzwi.

- Chodźmy. Przygotowałem dla ciebie niespodziankę. Lydia pozwoliła, żeby Zerelda pomogła jej włożyć

plaszcz, po czym ruszyła za mężem na korytarz. Nagle zatrzymała się tak gwałtownie, że ciotka na nią wpadła. Zobaczyła Kjella i Marstona Graya, stojących tuż obok siebie.

- A czemuż to zawdzięczam tę wizytę? - zapytał Marston. - Nie sądziłem, że wiecie, że się tu zatrzymałem.

- Nie wiedzieliśmy - odpowiedział Kjell. Odwrócił się i spojrzał na Lydię i Zereldę. - Nie przyszliśmy tu, żeby cię odwiedzić.

- Nie? A co to za okazja? Lydia zbliżyła się do niego.

- Nasz ślub. Kjell i ja wzięliśmy ślub, więc rozumiesz już chyba, że możesz wracać do Kansas City pewny, że moje dziecko będzie miało ojca. Nie musisz się dłużej niepokoić.

- Wyszłaś za męża? - Marston wydawał się oszołomiony. Przez chwilę przyglądał się Kjellowi, po czym znowu spojrzał na Lydię. - Wyszłaś za niego?

-Tak.

Marston nie potrafił ukryć gniewu. Lydia patrzyła, jak kilka razy zaciskał i rozluźniał szczękę. Odezwał się dopiero po chwili

- To niczego nie zmienia. To dziecko nadal jest Grayem. Kjell dotknął ramienia żony.

- To dziecko jest Lindquistem.

Lydia uśmiechnęła się do męża. Spokój na twarzy Kjella dodał jej sił. Marston nie mógł jej już skrzywdzić. Nie kiedy on stał u jej boku.

- Jeszcze zobaczymy - odpowiedział Marston. - Istnieją paragrafy, które rozstrzygają takie przypadki, i zamierzam je wyegzekwować.

- Niech pan robi, co pan uważa, panie Gray, ale proszę robić to jak najdalej od Sitki - wtrąciła się Zerelda, mijając go. - Tutaj rządzi wojsko, a tak się składa, że miejscowe władze nie cenią za bardzo ani pana, ani pańskich szantaży. Najlepiej pan zrobi, inwestując w bilet na najbliższy statek do domu.

Kjell ruszył w milczeniu za Zereldą, a Lydia szła u jego boku. Nawet nie spojrzała na Marstona. Przeraziła ją myśl,

że doprowadzony do wściekłości Gray potrafił czynić wszystkich wokół siebie równie nieszczęśliwymi co on.

- A więc co to za niespodzianka? - zapytała Zerelda.

- Umówiłem się z panią DuPont, że poda nam uroczysty posiłek weselny - powiedział Kjell z uśmiechem. Wydawało się, że zdążył już zapomnieć o incydencie z Marstonem. - Czeka na nas na rogu.

Lydia się cieszyła, że nie muszą się jeszcze wspinać na wóz. Przejazdźki stały się dla niej niezwykle uciążliwe i przyrzekła sobie, że następnym razem pojedzie do miasteczka dopiero po Bożym Narodzeniu, już po porodzie. Kurczowo trzymała się ramienia Kjella i pozwoliła mu się prowadzić, przez cały czas modląc się, żeby Bóg wysłał Marstona Graya tak daleko, jak to tylko możliwe.

Pomagając Lydii zsiąść z wozu, Kjell czuł się naprawdę spełniony. Czekał na nich nowy dom i chociaż musiał jeszcze przewieźć swoje rzeczy z miasteczka, wiedział, że będą tam szczęśliwi.

- Przygotowałam dla was niespodziankę - oznajmiła Zerelda. - Wzięłam sprawy w swoje ręce, ale mam nadzieję, że nie będziecie mi tego mieli za złe.

Kjell spojrzał na nią z zaciekawieniem.

- Co takiego wymyśliłaś, Zee?

- Tylko to. - Weszła po schodkach na werandę i zapukała. Drzwi wejściowe otworzyły się i zobaczyli Joshuę oraz kilku innych dobrych kolegów Kjella.

- Przewieźliśmy tu twoje rzeczy. Wszystkie rzeczy Lydii też tu są - oznajmił Joshua.

- I na tę jedną noc będziecie mieli to miejsce tylko dla siebie - dodała Zerelda. - Jadę do miasteczka i spędzę noc



u koleżanki, skoro nie chcecie, żebym została sama w chacie. Młoda para musi mieć choć trochę prywatności.

Lydia się zarumieniła, a Kjell prawie się roześmiał. Powstrzymał się jednak z obawy, że jego żona mogłaby to źle odebrać. W jej stanie prywatność nie wydawała się tak istotna, ale mimo to nie zamieniłby tego prezentu na nic innego. Nie mógł się doczekać, aż będzie miał Lydię tylko dla siebie.

- Zee, to naprawdę wspaniały podarunek.

- Spodziewałam się, że może ci przypaść do gustu. A teraz chodźcie, chłopcy.

Przyjaciele Kjella ruszyli za nią ścieżką w kierunku chaty. Joshua zaczął coś nucić, ale Kjell nie potrafił rozpoznać melodii. Odwrócił się do Lydii.

- Witaj w domu, żono. Uśmiechnęła się.

- Witaj w domu, mężu.

Weszli do środka. Kjell był pod wrażeniem zapobiegliwości Zereldy. Pomyślała nawet o tym, żeby rozpaścić ogień w kominku. Na piecyku dusiła się potrawka, której niesamowity aromat wypełniał całe pomieszczenie. Obok stał dzbanek kawy.

- Wygląda na to, że przemyślała każdy szczegół.

- Cała Zerelda - powiedziała Lydia, przykładając dłoń do pleców. - Widziałam rano, jak przygotowywała potrawkę, ale nie zastanawiałam się nad tym zbyt długo. - Ziewnęła. - Pewnie poprosiła twoich kolegów, żeby przenieśli ją razem z moimi rzeczami.

- Chodź, usiądź. Musisz odpocząć. - Kjell zaprowadził Lydię do jej ulubionego fotela bujanego. Najwyraźniej Zerelda uznała, że powinna oddać go bratanicy.

- Przykro mi, że nie będziesz miał... no cóż... prawdziwej nocy poślubnej. - Lydia zarumieniła się i odwróciła wzrok.

Kjell łagodnie się roześmiał i klęknął przy niej.

- A kto powiedział, że nie będę jej miał?

Spojrzała na niego zaniepokojona, a oczy rozszerzyły jej się ze strachu.

- Ale... dziecko... Dotknął jej dłoni.

- Liddie, nigdy bym cię nie skrzywdził. Chodziło mi po prostu o to, że będziemy razem, a to mi wystarczy. Mogę cię przytulać, dotykać twojej miękkiej skóry, czuć smak twoich słodkich pocałunków. To coś wyjątkowego.

Zaczął jej zdejmować buty. Cierpliwie je rozwiązał, po czym zajął się masowaniem jej stóp. Lydia cicho jęknęła i zamknęła oczy.

- To wspaniałe uczucie - szepnęła.

- Spodziewałem się, że ci to pomoże. Pamiętałem, jak się skarżyłaś, że bolą cię nogi.

Spojrzała mu w oczy.

- Pamiętasz wiele rzeczy. Kjell uśmiechnął się szeroko.

- Tylko te dobre. A ty zawsze jesteś jedną z nich.

## GRUDZIEŃ 1870 ROKU

Grudzień przyniósł zimne wiatry i śnieg. Nadal nie było wiadomo, kto zabił chłopców z plemienia Tlingitów ani kto podłożył ogień pod tartak Kjella. Wydawało się, że w związku ze zbliżającymi się świętami wszyscy zdążyli już zapomnieć o tych wydarzeniach. Szkody wyrządzone własności Kjella okazały się minimalne i nie dotknęły reszty miasteczka, a chłopcy byli Indianami, nie zaś białymi - te dwa argumenty wystarczyły, żeby osłabić zainteresowanie lokalnych władz. Kjell nie zamierzał się jednak poddać i ca-

ły czas próbował ustalić, co się tak naprawdę wydarzyło. Chciał, żeby sprawcy zostali ukarani: czuł, że jest to winny chłopcom.

Przyniósł na biurko kubek kawy i spojrzął na zegarek. Wrócił do domu, żeby zająć się księgami rachunkowymi, a Lydia tymczasem postanowiła się zdrzemnąć. Do porodu było coraz mniej czasu - fakt ten nie pozwalał jej spać w nocy.

Kjell cieszył się, że Liddie wolała zostawać w domu, zamiast jeździć do miasteczka, bo Marston nadal nie wyjechał. Miał nadzieję, że do tego czasu Gray zdąży już zniknąć. Jego przedłużająca się obecność niepokoiła Kjella. Na co on czekał? Istniała tylko jedna możliwa odpowiedź: na narodziny dziecka.

Czy naprawdę Gray spróbuje odebrać im dziecko, tak jak zapowiadał? Kjell rozmawiał z jednym z dwóch prawników, którzy mieszkali w miasteczku, i mężczyzna zapewnił go, że Marston nie miał na to wielkich szans. Przynajmniej w świetle prawa. To jeszcze bardziej niepokoiło Kjella. Z opowieści Lydii i zachowań samego Graya wiedział, że ten człowiek nigdy nie czuł się zobowiązany do przestrzegania jakichkolwiek zasad.

Ktoś zapukał do drzwi, więc szybko poszedł je otworzyć, żeby Lydia się nie obudziła. Naprzeciw niego stał Joshua, który wyglądał na zaniepokojonego.

- Co się stało?

- Pomyślałem, że powinienem przyjść i powiedzieć ci o czymś, co przed chwilą słyszałem.

- Wejdz, ale mów po cichu - poprosił Kjell. - Lydia śpi. Joshua skinął głową i zdjął czapkę.

- Wyrąbywałem dziś lód i akurat pracowało tam ze mną paru ludzi z Double-Decker.

Kjell podszedł do piecyka i sięgnął po dzbanek.

- Kawy?

Joshua kiwnął głową, a Kjell podał mu kubek.

- Mów dalej.

- Wygląda na to, że wiedzieli o Sidorowach i konflikcie, który bracia z tobą mieli. Jeden z nich mówił, że gdyby to jego wynajęto do podłożenia ognia, z tartaku nie zostałyby nawet jedna belka.

Kjell zmrużył oczy.

- Gdyby to jego wynajęto... Czyżby sugerował, że Sidorowowie zostali przez kogoś zatrudnieni? Że nie zrobili tego, żeby się zemścić?

- Na to wygląda. Nie wiem, kto mógł im zapłacić za coś takiego, ale uznałem, że powinieneś wiedzieć, że masz tu gdzieś wroga. Skoro już raz się to zdarzyło, może się powtórzyć.

- A co z chłopcami?

- Nikt o nich nie mówił, ale to wszystko układa się w całość. Jeśli bracia Sidorowowie zostali wynajęci do podpalenia tartaku i trafili przypadkiem na chłopców, mieli powód, żeby ich zabić. Przecież tylko oni mogli ich zdradzić.

Kjell zacisnął szczękę, starając się opanować gniew, który w nim narastał. Był pewien, że to Gray wynajął Sidorowów, ale nie miał pojęcia, jak zdoła to udowodnić.

- Muszę już iść - powiedział Joshua, odstawiając kubek. - Przykro mi, że przynoszę takie wieści.

Na górze otworzyły się drzwi sypialni i Lydia zaczęła schodzić po schodach.

- Ani słowa przy niej na ten temat - poprosił Joshuę. Młody człowiek skinął głową i ruszył do drzwi. Lydia

była właśnie w połowie schodów, kiedy odwrócił się do Kjella.

- Więc widzimy się w poniedziałek w tartaku.

- Tak, zgadza się - odpowiedział Kjell.

- Do widzenia, pani Lindquist.

- Do widzenia, Joshua. - Kiedy zamknęły się drzwi, spojrzała pytająco na męża. - Co go tu sprowadziło podczas takich mrozów?

- Nic ważnego - mruknął Kjell i odwrócił się od niej. Nie chciał, żeby zauważyła jego niepokój.

- Wyglądasz na zdenerwowanego - powiedziała, podchodząc i dotykając jego ramienia. - Jakieś złe wieści?

- Nie! - stracił nad sobą panowanie. Odsunął się i poszedł nalać sobie kawy. - Po prostu o tym zapomnij.

Dopiero kiedy wypił duży łyk kawy, spojrzał w jej stronę. Zobaczył strach w oczach żony i wtedy zrozumiał swój błąd. Odstawił kubek i podszedł do niej. Ku jego zaskoczeniu odwróciła się, jakby chciała uchronić siebie i dziecko przed uderzeniami.

- Liddie, przepraszam.

Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy zobaczył, jak skuliła się w kącie. Czy naprawdę mogła myśleć, że potrafiłby ją w jakikolwiek sposób skrzywdzić? Musiał z sobą walczyć, żeby jej nie dotknąć - bał się, że zaczęłyby się opierać.

- Liddie, nie musisz się mnie bać. Przepraszam, że odezwałem się do ciebie tak ostro. Joshua przyniósł mi wieści, których się nie spodziewałem, ale nie powinnaś się niepokoić. Proszę, wybac mi.

Lydia odwróciła się i Kjell prawie się rozplakał na widok jej łez.

- Och, kochanie, tak mi przykro. - Zaczęła łkać, a on zaryzykował i ją objął. Nie opierała się ani go nie odepchnęła. - Przepraszam, Lydio, strasznie cię przepraszam.

Płakała cicho w jego ramionach. Kjell czuł się jak głupiec. Ta kobieta nie zaufała dotąd żadnemu mężczyźnie, a on już zdążył ją zawieść.

Po kilku minutach delikatnie unióś jej twarz i spojrzeli sobie w oczy.

- Lydio, nigdy nie musisz się mnie bać. Nie zawsze potrafię panować nad swoimi nastrojami, ale nigdy bym cię nie skrzywdził ani nie uderzył. Musisz mi wierzyć. Nie jestem Floydem. Nie jestem taki jak on.

Kiwnęła głową.

- Wiem. Po prostu się przestraszyłam.

- Wiem i to mnie przeraża. - Zaczesał włosy Lydii do tyłu i pocałował ją w czoło. - Zamierzam cię chronić i kochać. Przysięgałem to, masz moje słowo. Nigdy nie podniosę na ciebie ręki. Proszę, uwierz mi.

Spojrzała mu w oczy i lekko kiwnęła głową.

- Wierzę.

## Rozdział 199

Dnia 12 grudnia Lydię obudził potężny skurcz. Łóżko było wilgotne, więc tuż po przebudzeniu ogarnęło ją przejmujące zimno. Ostrożnie usiadła i powoli otrząsając się ze snu, zrozumiała nagle, że zaczęła rodzić.

Kjell wyszedł już do pracy, ale Zerelda na pewno była w pobliżu - prawdopodobnie pracowała gdzieś na dole. Kiedy tylko ustąpił ból, Lydia wstała i powoli ruszyła do drzwi.

- Zereldo?

- Jestem w kuchni, gotuję. Kjell mówił, że od wieków nie jadł piernika. Nie wiem, czy pamiętasz, ale twoja babcia szczyciła się właśnie tym przepisem.

- Zereldo, wydaje mi się, że dziecko się do nas zbliża. Zapanowała martwa cisza, a po chwili zastąpił ją odgłos

szybkich kroków. Ciotka znalazła się na górze dokładnie w chwili, kiedy Lydię ogarnął kolejny skurcz. Zerelda złapała bratanicę i przytrzymała ją.

- Jak często pojawiają się skurcze? - zapytała.

- Nie wiem. - Lydia dyszała i zwijała się z bólu. Dlaczego musiała tak cierpieć? Z trudem łapała oddech. - Obudził mnie... ból... a łóżko... było wilgotne.

- Odeszły ci wody. Kiedy miałaś poprzedni skurcz? Lydia nic nie powiedziała, czekając, aż ucisk zelżeje.

Wyprostowała się.

- Dosłownie chwilę przed tym, zanim cię tu zawołałam.

Zerelda zmarszczyła brwi.

- Są bardzo częste. Możliwe, że rodziłaś przez większą część nocy i po prostu tego nie czułaś. No już, zdejmijmy z ciebie tę mokrą koszulę, a ja zmienię prześcieradła.

Posadziła Lydię w fotelu, pospiesznie ściągnęła prześcieradła z łóżka i sprawdziła materac.

- Płyn jest przezroczysty, to dobrze. Cieszę się, że ułożyłam ręczniki na twojej pościeli - powiedziała. - Dzięki temu materac jest prawie suchy. Po prostu odwróć go na drugą stronę.

Lydia nie odpowiedziała, bo znowu zalał ją ból. Nacisk, który czuła, był tak silny, że krzyknęła, a Zerelda natychmiast skoncentrowała się na niej.

- Nie ma już czasu. Chyba powinnaś położyć się na moim łóżku. - Zerelda próbowała pomóc bratanicy wstać, ale ból okazał się zbyt silny.

Lydia jęknęła.

- Nie dam rady. Nie mogę się ruszać. Bardzo mnie boli.

- Zostań tu - nakazała Zerelda.

W rekordowym tempie przekreśliła materac i zmieniła pościel. Następnie wzięła kilka ręczników, które położyła na prześcieradła, po czym bez ostrzeżenia przeniosła Lydię na łóżko.

- Zobaczmy, na jakim jesteś etapie. - Szybko sprawdziła pozycję dziecka. - Boże drogi! Wyszła już główka. Zaraz przyjdzie na świat!

Lydia, nie mogąc powstrzymać się od krzyku, ścisnęła ręczniki, czując gwałtowną potrzebę parcia.

- Nie... nie możesz... go wyciągnąć? Zerelda się roześmiała.

- A więc to chłopiec? - Pokręciła głową. - Musi wyjść w naturalny sposób, to najlepsze dla was obojga. Słuchaj, muszę przynieść torbę z niezbędnymi rzeczami. Jest w mo-



im pokoju. Za chwilę wrócę. Jeśli będziesz musiała przeć, rób to bez wahania, tylko nie wstawaj.

Lydia miała ochotę się roześmiać. Wstać? Ból był tak ogromny, że ledwo sobie wyobrażała oddychanie, a co dopiero wstawanie. Zgodnie z obietnicą Zerelda wróciła po chwili, dokładnie w momencie, kiedy nadszedł kolejny skurcz. Lydia krzyknęła, bo ból zaczął narastać.

- Nadchodzi! - zawołała Zerelda, przyjmując odpowiednią pozycję.

Lydię znowu ogarnęła gwałtowna potrzeba parcia. Nagle odnalazła w sobie siłę, której by się w ogóle nie spodziewała. Poczula, że dziecko wyslizguje się z jej ciała. Nie mogła się nadziwić, że ból ustąpił niemal natychmiast. Zamknęła oczy i po chwili spowila ją ciemność.

Poczula delikatne dotknięcie na policzku i jeszcze jakiś inny dźwięk. Otworzyła oczy i zobaczyła Zereldę, która wpatrywała się w nią, uśmiechnięta od ucha do ucha.

- Nie słyszysz płaczu swojego syna? Nie jest zachwycony, że jego mama postanowiła uciąć sobie drzemkę akurat w dniu jego urodzin.

- Syn? - Lydia słabo się uśmiechnęła. - Wiedziałam, że to chłopiec.

- Jak go nazwiecie?

- Dalton. To imię podoba się nam obojgu.

Zerelda umieściła maleńkie niemowlę w ramionach Lydii.

- Dobrze brzmi. Proszę, Dalton. Poznaj mamę.

Lydia spojrzała w najbardziej niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Ciemnowłose dziecko o zapłakanej twarzyczce odwzajemniło jej spojrzenie i po chwili znowu zaczęło łkać. Pod wpływem instynktu zaczęła je delikatnie kołysać.

Pomyślała o innych dzieciach, które straciła, a potem o Floydzie. Dalton był owocem przemocy, a nie miłości. Je-

go ojciec był okrutnym i bezwzględnym człowiekiem, ale Kjell - jego tata - pokocha dziecko całym sercem. Co do tego Lydia nie miała wątpliwości.

- No już, już, maleńki. Wszystko będzie dobrze. Dziecko uspokoiło się na dźwięk jej głosu i przyłożyło

główkę do jej piersi. Zerelda roześmiała się.

- Jest głodny, Liddie. Musisz mu pomóc.

Lydia przypomniała sobie, co Zerelda mówiła jej o karmieniu piersią. Ostrożnie zsunęła koszulę i zbliżyła Daltona. Kiedy wczepił się w nią, aż się uniosła ze zdziwienia. Zobaczyła, że ciotka przygląda im się ze zdumieniem i podziwem.

- Co za niesamowite uczucie - powiedziała Lydia, potrząsając głową.

Zerelda się uśmiechnęła i nachyliła nad bratanicą, po czym pocałowała ją w policzek.

- To cudowne. Zrobiłaś coś wspaniałego, Liddie. Mogłaś znienawidzić to dziecko ze względu na to, kim był jego ojciec, ale postanowiłaś postąpić inaczej. Jestem z ciebie dumna.

- Nie można go winić za okrucieństwa, których dopuścił się Floyd - powiedziała Lydia, nadal zafascynowana maleńką istotą. - Myślałam właśnie o wszystkich pozostałych dzieciach, które straciłam. Trudno mi sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby wszystkie znalazły się tu teraz ze mną. - Delikatnie pogłaskała Daltona po głowie. - Jest cudowny.

Pełen niepokoju Kjell ruszył do domu o dziesiątej trzydzięci. Dręczyło go przecucie, że coś jest nie w porządku. Przez cały ranek nie potrafił oderwać myśli od Lydii i od domu. W końcu uznał, że uspokoi się i skoncentruje na

pracy, dopiero kiedy sam się przekona, że nic złego się nie dzieje. Wiedział, że Lydia uzna go za niemądrego, ale zamierzał jej powiedzieć, że po prostu wrócił na obiad. Wczesna pora nie miała znaczenia.

Zatrzymał wóz pod domem. Zeskoczył z niego i pospiesznie wbiegł po schodkach na werandę. W środku panowała dziwna cisza. Żadnego dźwięku, który świadczyłby o obecności Zee. Poszedł do kuchni i zauważył, że nic się nie gotuje. Na blacie stała miska i różne składniki. Wszystko to wyglądało tak, jakby coś nagle oderwało Zereldę od zajęć.

Ogarnął go jeszcze większy niepokój. A co jeśli niespodziewanie pojawił się Gray? A może stało się coś złego?

- Zee? Liddie? - zawołał. Ruszył do salonu, ale pokój okazał się pusty.

- Zee! Lydia! - Teraz naprawdę musiał je odnaleźć. Wrócił do drzwi wejściowych i zauważył, że buty i płaszcze znajdują się na swoim miejscu. Są w domu albo musiały go opuszczać w niesamowitym pośpiechu.

Pobiegł na górę i w tej samej chwili u szczytu schodów pojawiła się Zerelda.

- Gdzie jest Liddie? Nic jej się nie stało? Dlaczego nie odpowiadałaś, kiedy krzyczałem?

Zee szeroko się uśmiechnęła.

- Uspokój się. Liddie leży w łóżku i ma się całkiem nieźle. Na pewno chętnie cię przyjmie.

- Zamartwiałem się. Przez cały ranek czułem, że coś jest nie tak, a kiedy wróciłem do domu, nikogo nie zastałem... no nic... widocznie... - Nie dokończył i zamiast tego głęboko odetchnął. - Ale nic jej nie jest.

- Najlepiej sam zobacz. Myślę, że czeka cię wspaniała niespodzianka. Patrzył na nią przez chwilę i dopiero teraz dostrzegł błysk w jej oku.

- Dziecko?

Zerelda roześmiała się.

- Idź już.

Kiedy Zee wepchnęła go do pokoju, otworzył szeroko usta: miał przed sobą Lydię karmiącą niemowlę.

- To chłopiec, Kjell - powiedziała, uśmiechając się mimo zmęczenia. - Och, cieszę się, że przyjechałeś. Modliłam się o to.

Usiadł przy niej na łóżku i potrząsnął głową ze zdumienia.

- Nie mogłem przestać o tobie myśleć. Za każdym razem, kiedy próbowałem skupić się na pracy, wracałem myślami do ciebie. Martwiłem się, że coś się stało. Bałem się, że... Zresztą nieważne. Och, Liddie - westchnął i pochylił się w stronę żony, po czym pocałował ją w usta.

Kiedy się cofnął, zobaczył na jej twarzy taką radość, że miał wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mu z piersi przez całe to szczęście, które czuł w tej chwili. Dokładnie przyjrzał się dziecku, które tymczasem zdążyło zasnąć.

- Jest taki maleńki.

- Zerelda mówi, że to idealny wzrost. Poza tym jest zdrowy i ma wszystkie palce u rąk i nóg - powiedziała ze śmiechem. - Wiem to, bo sama liczyłam.

Kjell zachichotał.

- Kochałbym go, nawet gdyby niektórych mu brakowało.

- Pójdę przygotować nam coś do jedzenia - oznajmiła Zerelda. - Liddie nie zdążyła nawet zjeść śniadania. Obudziła się już w trakcie porodu i wszystko potoczyło się bardzo szybko. Myślę, że wszystkim nam przydałby się porządny posiłek.

Kiedy wyszła, Kjell położył się obok Lydii, uważając, żeby jego buty nie dotknęły łóżka. Objął żonę ramionami i długo przytulał.

- Kocham cię, Liddie. Tak bardzo cię kocham.

- Wiem. Dostrzegam tę miłość w przejawach, których nawet nie znałam, zanim za ciebie nie wyszłam - odpowiedziała cicho. - Zanim pojawiłeś się w moim życiu, nie wiedziałam, jak to jest, kiedy się naprawdę kocha drugą osobę. Każdego dnia czuję do ciebie coraz większą miłość... i czasem mnie to przeraża.

Kjell spojrział jej w oczy.

- Nie bój się. Bóg jest naszym Ojcem i ma nas w Swojej opiece. Nie musimy się bać.

Skinęła głową i nachyliła się w jego stronę, po czym przyłożyła swoje usta do jego ust. Kjell zatracił się na chwilę i zaczął ją całować z namiętnością, jakiej się w ogóle nie spodziewał. Wydawało się, że zaskoczył także Lydię. Pokręciła głową i szeroko się uśmiechnęła.

- Jesteś w tym naprawdę dobry. Roześmiał się.

- Zamierzam dużo ćwiczyć i być jeszcze lepszy.

Marston Gray rozpuścił pogłoski o swoim wyjeździe. Wyprowadził się od prawosławnego duchownego i przeniósł do małej chatki oddalonej od miasteczka. To miejsce znaleźli mu Sidorowowie i kupili je za pieniądze Marstona. Kosztowało go to pięćdziesiąt dolarów, ale nadal miał sporo gotówki - przynajmniej na tyle, żeby zrealizować plan dotyczący Lydii i dziecka.

Napisał do brata list, w którym poprosił, żeby Mitchell doprowadził do usunięcia z biura Robinsona wszystkich informacji o Lydii. Najbardziej oczywistym sposobem, który pozwalał skutecznie ukryć taką kradzież, wydawało się podpalenie - być może przy okazji prawnik mógłby „przy-

padkiem" zginąć w pożarze. W ten sposób nie byłoby żadnych podejrzeń.

W dalszej części listu wyjaśniał Mitchellowi, że uważa ten krok za najistotniejszy dla całego przedsięwzięcia. Gdyby Robinson zginął, nikt by się nie dowiedział, ani gdzie przebywa Lydia, ani że jest w ciąży. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o nowinie, która dotarła do niego zaledwie trzy dni wcześniej. Urodziła syna. Graya.

Marston wypił łyk brandy, po czym wrócił do listu. Poinformował brata, że wszystko jest na najlepszej drodze. Być może Lydia z nim nie wróci, ale zamierzał przywieźć jej dziecko.

Odłożył pióro i zaczął zastanawiać się nad przyszłością, wyliczając, co jeszcze trzeba zrobić. Postanowił poczekać do nowego roku. To miało dać dziecku czas, żeby trochę urosło, a Lydii - żeby zmniejszyła czujność. Z pewnością dotarły już do nich wieści, że wyjechał. Specjalnie zostawił dla nich list u prawosławnego księdza, prosząc, żeby przekazał go, kiedy już wypłynie.

Oczywiście statek wyruszył bez Marstona na pokładzie, ale ksiądz o tym nie wiedział. A ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie, Gray liczył na to, że duchowny nie będzie miał czasu na zastanawianie się, dlaczego jego gość wyjechał w takim pośpiechu.

- Wzywałeś nas? - zapytał Anatolij. Stał z Iwanem w drzwiach maleńkiego pokoju Marstona.

- Tak. Dołóżcie do ognia, a ja zaraz przyjdę. - Upewnił się, że atrament wysechł, po czym złożył kartki. Schował list do kieszeni płaszcza i ruszył do Sidorowów. Nadszedł czas, żeby podzielić się z nimi swoim planem i omówić kolejne posunięcia.

Boże Narodzenie w domu Lindquistów okazało się czasem prostym i pełnym radości. Kjell podarował żonie piękny naszyjnik ze srebra, który należał kiedyś do jego matki. Zerelda uszyła im obojgu nowe swetry, a mały Dalton dostał śliczny kocyk.

Lydia martwiła się, że nie ma dla nich prezentów. Zarówno jej ciotka, jak i mąż zapewniali, że dziecko, które urodziła, jest wystarczającym błogosławieństwem.

Rozumiała ich doskonale. Dalton stał się dla niej małym, niezwykle cennym darem. Dziecko dawało jej tyle radości i nadziei, że wreszcie zaczęła zapominać straszną przeszłość. Marston wyjechał - zostawił nawet list, w którym pisał, że życzy im wszystkiego dobrego. Lydia nie wierzyła w jego życzliwość i dobrą wolę, ale cieszyła się, że w końcu zniknął. W jej życiu zapanowały nareszcie błogie szczęście i spokój.

- Wszystkiego dobrego w nowym roku - powiedziała Zerelda, dołączając do Lydii w salonie. - Widzę, że znowu pada śnieg.

- Tak, zauważyłam to już wcześniej. Piękne, grube płatki.

- To się pewnie długo nie utrzyma, ale kto wie. Pomyślałam, że pojedę na Ranczo i odwiedzę Tlingitów. Czy chciałabyś, żebym przywiozła ci coś z miasteczka?

- Gdybyś dostała jakieś owoce, byłoby wspaniale. To jedyna rzecz, której brakuje mi z dawnego życia w Missouri.

- Zrobię, co będę mogła, ale na pewno nie znajdę świeżych, w najlepszym razie z puszki albo suszone.

- Nic nie szkodzi, byle to były owoce. - Lydia zerknęła na kołyskę, w której spał jej syn. - Poza tym mamy wszystko, czego nam trzeba.

- Kjell wykonał kawał dobrej roboty z tym łózczykiem. - Zerelda delikatnie nim zakołysała. - Nigdy nie widziałam, żeby coś chodziło tak lekko. Ten twój mąż ma do tego dryg.

Lydia uśmiechnęła się do Zee.

- Też mi się tak wydaje. W ogóle jest niemal doskonały. Te słowa rozbawiły Zereldę.

- Chyba za wcześnie, żeby to ocenić, chociaż znam go od lat.

- No cóż, dla mnie jest idealny. Teraz już wiem, co traciłam przez te wszystkie lata.

- Tylko nie rozmyślaj za dużo o przeszłości - ostrzegła Zerelda.

Lydia pokręciła głową.

- Nie zamierzam. Cieszę się, że wspomnienia stopniowo blakną. Za każdym razem, kiedy biorę Daltona na ręce, każdego dnia, kiedy się nim opiekuję, wydaje mi się, że odbudowuje jakąś utraconą część mnie.

- No cóż, obawiam się, że takie uczucia mogą poznawać jedynie za twoim pośrednictwem. - Wypowiedziane w zamyśleniu słowa Zereldy sprawiły, że Lydia zmarszczyła brwi, ale ciotka szybko ją upomniała. - Nie żałuj mnie. Jestem szczęśliwa. Cieszę się pracą, do której powołał mnie Bóg. Dzięki temu, że żyję sama, mogę bardziej się skupiać na innych. Nie żałuję tego.

- Mam nadzieję, że nie - odpowiedziała Lydia. - Nie chciałabym, żebyś czuła się samotna czy niekochana. Wiem, że nigdy bym nie przetrwała małżeństwa z Floydem, gdyby nie twoje listy i cała miłość, którą mi okazałaś.

Zerelda delikatnie dotknęła twarzy Lydii.

- Jesteś dla mnie bardziej córką niż bratanicą i to daje mi dużo szczęścia. Nawet teraz czuję się tak dumna, jak może się czuć tylko matka i babcia. Okazałaś się dla mnie



prawdziwym błogosławieństwem i nie mogę się doczekać nowego roku, który wspólnie przeżyjemy. Lydia skinęła głową.

- Czuję to samo. Zły czas jest już za nami. Teraz możemy wreszcie patrzeć w przyszłość z radością i nadzieją.

## Rozdział 210

LUTY 1871 ROKU

To będzie naprawdę potężna burza - oznajmiła Zerelda, przyglądając się chmurom, które gromadziły się na horyzoncie. - Zabezpieczę resztę okiennic.

- Mam nadzieję, że Kjell zdąży dotrzeć do domu, zanim pojawią się grzmoty - powiedziała Lydia. - Nie chciałabym, żeby taka pogoda zastała go w drodze.

- Och, on zna to miejsce lepiej ode mnie. Nie będzie ryzykował.

- Tak, ale próbuje też zdążyć z przygotowaniem tego zamówienia na tarcicę, które złożyło wojsko. Może nawet nie zwróci uwagi na to, co dzieje się za oknem.

Zerelda włożyła płaszcz.

- Jestem przekonana, że Joshua mu o tym przypomni. Zresztą Kjell nigdy nie podejmował w pracy zbędnego ryzyka.

Otworzyła drzwi i usłyszały głośny jęk wiatru w koronach drzew.

- Zaraz wrócę.

Lydia zadrżała. Nie podobał jej się dźwięk nadchodzącej burzy. A co jeśli Kjellowi stanie się coś w drodze do domu? Zerknęła na wiszący na ścianie zegar z kukułką. Jej mąż powinien już wrócić. Co go zatrzymało?

Postanowiła zająć się czymś, żeby zagłuszyć narastający w jej sercu niepokój: usiadła w fotelu bujanym i zaczęła robić na drutach. Pracowały z Zereldą nad nowym kocykiem dla Daltona.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do środka wpadł podmuch porywistego wiatru, który przyniósł z sobą Zereldę. Lydia podskoczyła, a ogień w kominku zaczął dziko tańczyć. Uspokoił się, dopiero kiedy ciotka zdołała zamknąć za sobą drzwi.

- Na zewnątrz zrobiło się strasznie zimno - oznajmiła, otrzepując włosy. - Na litość boską, nie czuję rąk.

- Chodź się ogrzać - poprosiła Lydia. - Na razie nic więcej nie zrobimy.

Starsza kobieta kiwnęła głową i stanęła przy ogniu, nawet nie zdejmując płaszcza.

- Mam nadzieję, że nie czeka nas bardzo ostra zima. Czasem się tu zdarzają. Któregoś roku mieliśmy sześćdziesiąt centymetrów śniegu i wydawało się, że opadom nie było końca.

- W Kansas City często zdarzały się burze lodowe. Śnieżne też, ale te lodowe były dużo gorsze. Wszystko przyginało wtedy do ziemi. Nawet konie traciły równowagę.

- Cieszę się, że tutaj nie musimy mieć z takimi rzeczami do czynienia. Niekiedy pojawiają się mgły lodowe i grad, ale zwykle w rozsądnych dawkach. - Przysunęła ręce do ognia. - Całe szczęście, że Kjell zostawił na werandzie zapas drewna. Chyba powinnam przynieść trochę, zanim zacznie padać deszcz albo śnieg.

- Kjell może to zrobić, kiedy wróci.

- Ale już niedługo zacznie padać, a wiatr wieje tak mocno, że weranda nie osłoni drewna.

Lydia skinęła głową.

- W takim razie pomogę ci. Jeśli obie się za to weźmiemy, pójdzie dużo szybciej.

- A potem usiądziemy i napijemy się czegoś ciepłego, może też spróbujemy tych ciasteczek, które wcześniej upiekłaś.

Ruszyły do pracy. Wiatr był bezlitosny i Lydii wydawało się, że zaraz przewróci ją na ziemię. Chwiała się pod górą drewna, pochylona tak nisko, jak tylko mogła, żeby ochronić się przed lodowatym powietrzem.

W pewnym momencie Zerelda zatrzymała się na chwilę i nadstawiła ucha. Lydia pytająco spojrzała na ciotkę.

- Chyba słyszałam konia.

Jej bratanica roześmiała się i sięgnęła po kolejny kawałek drewna.

- Ledwo słyszę, co mówisz. Nie wiem, jak cokolwiek dociera do ciebie przy takim huku, ale cieszę się, bo to znaczy, że Kjell niedługo dotrze do domu.

- Albo to po prostu nasz mały wałach narzeka w swojej mizernej stajni. Chodź, chyba mamy już dość drewna. Nastawię kawę. - Zerelda przepuściła Lydię i weszła za nią do środka. Zabezpieczyła drzwi i zaczęła zdejmować płaszcz. - Boże, z jaką radością wsunę się dziś wieczorem pod kołdrę.

Jej bratanica roześmiała się i ułożyła resztę drewna przy kominku.

- Ja też. - Otrzeпаła ręce. - Mogę ci pomóc w kuchni?

- Nie, nie trzeba. Dołożę do ognia i nastawię kawę. Ty wracaj do swojej robótki. Przy takiej pogodzie Dalton będzie potrzebował wszystkich kocyków, jakie uda nam się utkać.

Lydia znowu usiadła w fotelu i zaczęła pracować. Lubiała czuć na kolanach ciepło kocyka. Ogień stopniowo rozgrzewał jej ciało. Wiedziała, że Kjell już niedługo wróci i wszystko będzie dobrze.

- Słyszałam dziś w mieście, że prezbiterianie mają tu przysłać misjonarzy - powiedziała Zerelda, kiedy wróciła

z kuchni. - Bardzo się cieszę, bo zamierzają otworzyć szkołę dla Indian i zbudować tu kościół.

- To wspaniale - odpowiedziała Lydia. - Wiem, jak bardzo martwisz się o Tlingitów i ich dzieci.

Zerelda usiadła przy ogniu obok bratanicy.

- Edukacja jest bardzo ważna, a niewielu białych ma odpowiednie przygotowanie, żeby uczyć Indian. Tlingitów traktowano często naprawdę okropnie... Nie dziwię się tym, którzy uciekają na drugą stronę wyspy. Mam tylko nadzieję, że wojsko zostawi ich w spokoju.

- Pewnie tak, jeśli oni zostawią w spokoju wojsko.

- To nie działa w ten sposób. Z jakiegoś powodu myśl o tym, że Indianie będą żyli swobodnie na wolności, bardzo przeszkadza rządowi. Widziałam to samo zjawisko w Oregonie. Wolą zamykać ich jak zwierzęta. Tworzą rezerwaty i otaczają je palisadami, obiecując lepsze życie, ale potem okazuje się, że w oczach Indian wcale nie jest ono lepsze.

- Ale czy oni nie są niebezpieczni? W Kansas City często słyszałam historie o powstaniach Indian. Wyglądało na to, że na równinach i na zachodzie pojawiało się mnóstwo problemów.

- W każdym ludzie i plemienu można znaleźć zarówno dobro, jak i zło - odpowiedziała Zerelda. - Ale z mojego doświadczenia wynika, że biali przypisują sobie prawo do określania wszystkich granic. Ustalają zasady, według których ludzie powinni żyć i pracować, decydują, jakie kto ma nosić ubrania i jaką religię wyznawać. Nie wierzą, że możemy żyć w pokoju obok siebie.

Lydia przeciągnęła się, ziewnęła i znowu spojrzała na zegarek. Dochodziła już siódma.

Zerelda dostrzegła jej zniecierpliwienie.

- Niedługo przyjedzie. Jeżeli się nie pomyliłam, to musiał być on. Nie zostawiłby koni na zewnątrz przy takiej

pogodzie, więc na pewno potrzebuje czasu, żeby się nimi zająć i wprowadzić je do stajni. Nie martw się.

Ale pół godziny później Kjell nadal się nie pojawił. Lydia piła kawę, którą podała jej ciotka, i coraz bardziej się niepokoila.

- Gdzie on może być?

Deszcz uderzał teraz w ściany domu, a wiatr szalał coraz bardziej. Lydia zastanawiała się, czy Kjell nie postanowił przeczekać burzy. Ale jeśli taka pogoda utrzyma się do rana?

- Przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł, Liddie. Nie możesz... - Zerelda zamilkła. - Chyba dziecko zaczęło płakać.

Po chwili płacz Daltona dotarł do uszu Lydii.

- Masz naprawdę świetny słuch, Zereldo. - Odstawiła kawę i wstała. - Pewnie znowu zgłodniał...

Nagle coś trzasnęło na werandzie. Zerelda zerwała się na równe nogi, a Lydia zamarła. Jej ciotka natychmiast ruszyła po winchestera, który wisiał przy drzwiach.

- To może być jakieś dzikie zwierzę, które szuka schronienia - powiedziała Zerelda.

- Nie wychodź. Jeśli to zwierzę, nie powinnaś z nim teraz walczyć, szczególnie przy tej burzy - poprosiła Lydia. Dalton zaczął głośniejsz płakać, więc ruszyła w stronę schodów.

- To może być zwykła gałąź, która się złamała i uderzyła w werandę. Muszę to przynajmniej sprawdzić. Nie martw się o mnie - uspokoiła ją Zerelda. - Umiem o siebie zadbać, robię to od wielu lat.

Lydia skinęła głową.

- Zapomniałam, jaka jesteś sprawna i samodzielna. Ale proszę cię, uważaj.

Zacząła wchodzić po schodach, a tymczasem Zerelda otworzyła drzwi. Do środka wpadło zimne powietrze,

więc Lydia pospiesznie wbiegła na górę i wślizgnęła się do sypialni. Zostawiła uchylone drzwi i szybko zapaliła jedną z lamp.

Dalton uspokoił się, kiedy tylko zaczęła do niego szeptać i pieszczotliwie przemawiać.

- Nie martw się, kochanie. Mama jest z tobą.

Nagle jednak jej uwagę zwróciły hałasy dochodzące z dołu. Zerelda na kogoś krzyczała. Lydia podeszła do drzwi i zaczęła nasłuchiwać. Dobiegały do niej coraz głośniejsze okrzyki jakichś mężczyzn i ostre polecenie Zereldy, żeby natychmiast wyszli, bo w przeciwnym wypadku ich zastrzeli.

Lydia zakryła usta rękami i cicho wyszła na korytarz. Co się działo? Nagle usłyszała strzał i jakieś wrzaski. Chciała pobiec na pomoc, ale nie mogła się ruszyć. Co robić?

Rewolwer!

Kjell trzymał rewolwer w sypialni. Zamierzała po niego pójść i ruszyć ciotce na ratunek, ale zdążyła zrobić zaledwie dwa kroki, kiedy rozległ się kolejny strzał, a po nim krzyk Zereldy. Lydii wydawało się, że ma nogi z ołowiu. Jeden z mężczyzn zawołał nagle:

- Bierz dziecko. Bierz je, natychmiast!

Lydia oddychała płytko, pobiegła do sypialni i zatrzasnęła za sobą drzwi. Rozpaczliwie próbowała je zablokować, ale nie było w nich żadnego zamka. Pomyślała, że spróbuje zabarykadować drzwi komodą, ta jednak okazała za ciężka. Zdołała ją przesunąć zaledwie o kilka centymetrów.

Słyszała, jak ktoś gwałtownie otwierał i zamykał drzwi kolejnych pokojów. Serce podeszło jej do gardła. Co się działo? Dlaczego przyszli po Daltona? Nagle w jej głowie pojawiła się potworna myśl: Marston. To na pewno on za tym wszystkim stał. Chciał odebrać jej dziecko, żeby zdobyć nad nią kontrolę i zmusić ją do powrotu do Kansas.

Raz jeszcze spróbowała przesunąć komodę. Znalazła w sobie siły, których się nie spodziewała i przepchnęła mebel tak daleko, jak tylko mogła. Zasłaniał on teraz część drzwi, przynajmniej na jakiś czas uniemożliwiając ich otwarcie. Lydia podbiegła po pistolet, ale go nie znalazła. Kjell musiał przełożyć broń w inne miejsce. Ale gdzie? Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo w tej samej chwili ktoś zaczął walić w drzwi. Komoda powoli się przesunęła. Nadzieja stopniowo zniknęła.

Lydia gorączkowo szukała jakiejś drogi ucieczki. Jediną szansą było okno. Podbiegła, żeby je otworzyć, zastanawiając się, czy na śliskim dachu zdoła ochronić siebie i Daltona.

Przez chwilę walczyła z oknem. Kiedy wreszcie zdołała je otworzyć na tyle, żeby móc uciec razem z dzieckiem, poczuła ulgę. Gwałtownie uderzyła w nią fala deszczu i wiatru, ale nie zwracała na to uwagi. Podbiegła do łóżka i chwyciła kocyk.

Zdażyła właśnie wrócić do kołyski, kiedy drzwi wreszcie ustąpiły i komoda została zepchnięta na bok. Do pokoju wpadł wielki mężczyzna.

- Oddawaj dziecko - nakazał. Miał mocny rosyjski akcent, a jego niebieskie oczy przeszywały ją na wylot.

- Kim jesteś? Czego chcesz?

- Dziecka. - Wskazał na kołyskę. - Chcę dziecka.

- Nie! - krzyknęła Lydia, stając mu na drodze. Słyszając przerażenie w głosie mamy, Dalton zaczął popłakiwać.

- Otul go w coś ciepłego i oddaj.

Wtedy Lydia wpadła w kompletną histerię. Nie miało dla niej znaczenia, czy mężczyzna ją zabije - odebranie jej dziecka miałoby ten sam efekt.

- Słuchaj. - Zrobiła krok do przodu. - Niezależnie od tego, ile płaci wam Marston Gray, zapłacę podwójnie. Nie, potrójnie.



Po wyrazie twarzy mężczyzny poznała, że uderzyła w czuły punkt. Szybko zaczęła mówić dalej.

- Nie ma tylu pieniędzy co ja. Mogę ci dać tyle, ile tylko zechcesz.

Mężczyzna zdawał się zastanawiać nad tym przez chwilę, po czym się roześmiał.

- Anatolij! - zawołał jakiś głos z dołu. - Idziesz? Zabiłem tę kobietę. Zająłeś się tą drugą?

Lydia zrozumiała, że plan Marstona był jeszcze bardziej potworny, niż dotąd sądziła. Wcale nie zamierzał zmusić jej do powrotu do Kansas City. Planował zabrać dziecko, a ją zamordować. W ten sposób nie mogłaby mu zaszkodzić. Nie byłoby żadnych oskarżeń ani kłopotów.

- Przynieś wreszcie tego dzieciaka. - Natarczywy ton dobiegający z dołu sprawił, że mężczyzna wyjął nagle rewolwer.

- Rób, co mówię. Pożegnaj się z synem.

- Nie możecie tego zrobić. Nie wolno wam! - Łkała. Łzy ściekały jej po policzkach. - To tylko niemowlę. Jeśli go teraz zabierzecie, umrze z zimna w tej burzy.

Mężczyzna odbezpieczył rewolwer.

- Twój czas się skończył.

Lydia zobaczyła, że nie skierował broni w jej stronę, ale w stronę Daltona. Skoczyła, osłaniając dziecko. Rozległ się strzał i poczuła, jakby coś uderzyło ją z całej siły w ramię. Usłyszała drugi strzał i zaczęła ją piec szyja. Zachwiała się i złapała narzutę, upadając na podłogę.

Próbowała coś powiedzieć, ale żadne słowa nie wydostawały się już z jej ust. Spojrzała w górę na bezlitosną twarz mężczyzny, ale mogła tylko patrzeć, jak podnosił Daltona z kołyski. Trzymał dziecko niepewnie, jakby nie wiedział, co dalej robić.

W pokoju zaczęło robić się coraz ciemniej. Lydia opuściła wzrok i zobaczyła, że cała jej bluzka była we krwi. Umierała. Umierała, a ten człowiek odbierał jej dziecko.

Zalała ją ciemność. „Kjell”.

## Rozdział 19

Kjell czuł, jak wyczerpanie i chłód przenikają mu kości.

Wreszcie dotarł do domu. Konie mozolnie parły przed siebie w lodowatym deszczu. Miał wielką ochotę porzucić je i pobiec w stronę schronienia, ale nie potrafił zdobyć się na takie okrucieństwo. Konie służyły mu wiernie przez ponad pięć lat i liczyły na niego tak samo, jak on liczył na nie. Musiał zająć się zwierzętami - dopiero wtedy będzie mógł poczuć ciepło Lydii.

Zamierzał właśnie skierować wóz w stronę stajni, kiedy zauważył, że drzwi wejściowe domu są otwarte na oścież. Zatrzymał konie i czekał przez chwilę, jakby ktoś miał zaraz wyjść na werandę. Nikt się jednak nie ukazał. Coś było nie tak. Kjell natychmiast to wyczuł. Sięgnął pod ławkę na wozie i wyciągnął rewolwer. Nosił go z sobą, odkąd się dowiedział, że Sidorowowie zostali wynajęci do podpalenia tartaku.

Ostrożnie podszedł do drzwi domu i próbował zajrzeć do środka. Nie mógł nikogo zobaczyć ani usłyszeć. Przystąpił próg i natychmiast zauważył nogę kobiety. Zerelda!

Zapominając o ostrożności, podbiegł do miejsca, w którym leżała. Na podłodze wokół jej głowy dostrzegł plamy krwi. Kjell przykucnął i delikatnie odwrócił ją, żeby sprawdzić, jak poważna jest rana. Zerelda jęknęła i z trudem otworzyła oczy.

- Zee, co się stało?

Przez chwilę patrzyła na niego w osłupieniu.

- Słyszysz mnie, Zee? Co się stało? - Poklepał ją po ręce, mając nadzieję, że dotyk ją otrzeźwi.

Mrugnęła kilka razy.

- Nie wiem. Było jakieś zamieszanie i... - Pokręciła głową.

- Odpoczywaj. - Skoczył i podbiegł do kuchennej szafki: wiedział, że znajdzie tam czyste ścierki do naczyń. Wziął kilka, wrócił do Zereldy i przyłożył je do rany na jej czole.

- Wygląda na to, że ktoś uderzył cię mocno w głowę. Jest tu dość brzydkie rozcięcie i mnóstwo krwi.

- Rozcięcia głowy zawsze mocno krwawią. Nic mi nie będzie.

Kjell rozejrzał się w koło. Zastanawiał się, gdzie mogą być Lydia i Dalton.

- Co z Liddie? Pobiegła po pomoc?

- Nie wiem. - Nagle Zerelda otworzyła szeroko oczy. - Dwóch mężczyzn. Wdarli się do środka. Walczyliśmy i strzeliłam.

- I co się potem stało? Gdzie była wtedy Lydia?

- Nie wiem. Ja... straciłam przytomność. - Wykrzywiła twarz. - Chcieli zabrać Daltona.

Kjell poderwał się gwałtownie i nic więcej nie mówiąc, wbiegł po schodach na górę. Tylko jeden człowiek mógł wykraść dziecko. Lydia nigdy by na to nie pozwoliła, więc prawdopodobnie zabrał także i ją.

Drzwi sypialni były otwarte. Kjell zauważył, że komoda została przesunięta.

- Lydia? Liddie?

Przez otwarte okno wpadał wiatr i deszcz, co dało Kjellowi nadzieję. Może zdołała uciec. Pokój był pusty. Podbiegł do okna i otworzył je na oścież. Wystawił głowę, ale nic nie mógł dostrzec.

- Lydia! - zawołał, starając się przekrzyczeć burzę. Serce waliło mu jak młotem, a klatkę piersiową miał

ściśniętą. Gdzie ona była? Czy zabrał ją Gray? Cofnął się i zamknął okno. Otarł twarz i odwrócił się, żeby zbadać pokój - i wtedy ją zauważył. Lydia leżała bez ruchu między łóżkiem a kołyską, cała we krwi.

Nie miał czasu na jakiegokolwiek reakcje na ten przerażający widok. Natychmiast wziął ją w ramiona i zniósł na dół. Zamierzał zabrać żonę i Zee na wóz i jak najszybciej zawieźć je do szpitala. Doktor Ensign będzie wiedział, co robić.

Zerelda siedziała już na krześle. Przykładała ręczniki do głowy, ale odzyskała przytomność. Kiedy zobaczyła, że Lydia leży bez ruchu w ramionach Kjella, na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

- O Boże. Nie żyje?

- Żyje, ale może umrzeć, jeśli natychmiast nie zorganizujemy pomocy. Położę ją na tyle wozu, a potem wrócę po ciebie.

- Przyniosę koce - powiedziała Zerelda, usiłując wstać.

- Koce są nieważne. Po prostu idź za mną, jeśli dasz radę. - Kjell ruszył w stronę otwartych drzwi wejściowych. - Jeśli nie, wrócę po ciebie.

- Dam sobie radę. Wezmę lampę.

Burza nieco się uspokoiła i chociaż nadal padał deszcz, wiatr nareszcie ustał. Kjell położył Lydię na mokrej podłodze wozu i odwrócił się, żeby pomóc Zereldzie wsiąść.

- Zajmuj się nią najlepiej, jak tylko możesz, Zee. Wziął lampę i usiłował osłonić ją przed deszczem, ale

płomień natychmiast zgasł.

- Niewiele widzę w tej ciemności, ale zrobię, co będę mógł.

- Kjell, a co z dzieckiem? Co z Daltonem? Gdzie on jest?

Dziecko! Kjell tak bardzo się przejął Lydią, że zapomniał o dziecku. Odstawił lampę i popędził do domu. Nasłuchiwał jakiegokolwiek odgłosu niemowlęcia.

Panowała ogłuszająca cisza. Kjell wpadł do wszystkich pokoi na górze, potem zbiegł na dół i przeszukał pozostałe pomieszczenia. Nie znalazł Daltona.

Wybiegł z domu, wskoczył na wóz i chwycił lejce.

- Nie ma go. - Kjell niemal zapomniał odciągnąć hamulec, popędzając konie. Zerknął przez ramię, ale niewiele widział. - Dalton zniknął.

- Nie ma go? - zawołała Zerelda. - Jak to możliwe? Kjell zacisnął zęby. Jego zdaniem istniało tylko jedno

wytłumaczenie, ale nie zamierzał teraz streszczać Zereldzie swojej teorii.

- Zajmij się Lydią - nakazał.

Jazda do miasteczka trwała całą wieczność. Koła ślizgały się w błotnistych koleinach. W niektórych miejscach grunt stał się tak grząski, że wóz mógł się cały zapaść, ale jakimś cudem za każdym razem udawało im się przejechać.

Kjell wjechał w ostatni zakręt nieco szybciej, niż powinien, i poczuł, jak wóz się odchyła. Odmówił cichą modlitwę i szybko ściągnął konie na tyle, żeby zwolniły i żeby wóz się wyprostował. Udało się. Przed sobą widział już światła szpitala, przed którym stało kilku ludzi w mundurach.

- Pomocy! - krzyknął. Deszcz wreszcie ustał, ale temperatura spadała. Kjell bał się, że Zee i Lydia mogły do tego czasu całkiem przemarznąć.

Żołnierze pospiesznie zbliżyli się do wozu i rozpoznali Kjella.

- Co się stało? - zawołał jeden z nich.

- Moja żona i jej ciotka zostały zranione. Ktoś włamał się do naszego domu. - Cofnął się na tył wozu. - Potrzebują lekarza!

Żołnierze pomogli Zereldzie zsiąść. Widząc, że kobieta może iść, dowódca rozkazał jednemu z szeregowców, żeby doprowadził ją do budynku. Następnie odwrócił się, chcąc pomóc znieść Lydię z wozu, ale Kjell go odepchnął.

- Zaniosę ją. Prowadź.

Kiedy dotarli do drzwi, czekała już na nich pani Ensign, żona doktora. Wskazała im drogę.

- Zabrali Zereldę do ambulatorium. Proszę za mną.

Ruszyli szybko zachodnim korytarzem, a dwóch sanitariuszy szło za nimi z długimi noszami. Zgodnie z poleceniem lekarza postawili je na środku pomieszczenia. Pani Ensign szybko przykryła nosze prześcieradłem i dała znak Kjellowi.

Najdelikatniej jak potrafił, położył Lydię i cofnął się. To był straszny widok. Krew pokrywała całą szyję i bluzkę jego żony. Miała twarz w kolorze prześcieradła, na którym leżała, a jej oddech ledwo dawało się usłyszeć.

Dołączył do nich doktor Ensign, który zwrócił się do sanitariuszy:

- Oczyszćcie rany panny Rockford, a ja tymczasem zajmę się panią Lindquist.

Mężczyźni skinęli głowami i natychmiast podeszli do Zereldy. Kjell znowu skoncentrował się na Lydii, a lekarz zaczął ostrożnie zsuwać materiał.

- Przynieś nożyczki. - Jego żona zrobiła, o co prosił, a on tymczasem zerknął szybko na Kjella. - Ty też jesteś ranny?

Kjell prześledził wzrok lekarza i spojrzał na swoją klatkę piersiową. Była pokryta krwią i mokra od deszczu.

- Nie. Nic mi nie jest. Nie zastali mnie w domu.

- A co właściwie się stało?

- Nie wiem. Kiedy wróciłem, znalazłem obie ranne. Zee pamięta, że do środka wpadli jacyś mężczyźni. Chcieli zabrać dziecko.

- Dziecko? A gdzie ono teraz jest?
- Kjell pokręcił głową. Nagle zakręciło mu się w głowie.
- Nie wiem. Ktoś je uprowadził.
- Uprowadził? Musisz się mylić - lekarz zapytał niedowierzająco.
- Nie myślę się. Ktokolwiek skrzywdził Lydię, zabrał też mojego syna.
- Z twarzy Kjella ściekała woda. Wytarł ją rękawem.
- Proszę dać mu suche ubrania - powiedział doktor do sanitariusza. - Kjell, musisz się przebrać, bo w przeciwnym razie dostaniesz zapalenia płuc.
- Nie wyjdę stąd. Przebiorę się tutaj.
- Doktor dał znak sanitariuszowi i odwrócił się w stronę Lydii. Kjell nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Usiłował się modlić, ale nie znajdował odpowiednich słów. Próbował skupić się na czymś innym niż widok zakrwawionej żony.
- Pomieszczenie było chłodne i sterylne. Znajdowało się tu wszystko, czego doktor mógł potrzebować do tego, żeby nieść pomoc chorym. Pod ścianą stała przeszklona gablotka ze starannie ułożonymi buteleczkami. Na półkach z boku także panował porządek. Był to prawdopodobnie najczystszy pokój w Sitce.
- Kjell spojrzał na Lydię i zalała go rozpacz.
- Czy ona... przeżyje?
- Nie wiem. Straciła dużo krwi. Ale mróz pomógł ją zatamować. - Zdjął jej bluzkę i gorset i rozcinał właśnie halkę. - Wiesz, że została postrzelona?
- Domyślałem się, chociaż nie miałem pewności - przyznał Kjell. Sanitariusz znowu pojawił się w drzwiach ze stosem suchych ubrań.
- Schowaj się za tamtą zasłoną i zdejmij te rzeczy - nakazał lekarz.



Kjell szybko zastosował się do jego poleceń. Kiedy wyszedł z za parawanu, miał na sobie tylko spodnie. Ściskając koszulę w ręce, podszedł z powrotem do noszy i skończył się ubierać już obok Lydii.

- Rana w jej ramieniu nie jest taka groźna. Kula tylko ją drasnęła. - Doktor Ensign dał znak swojemu pomocnikowi. - Przytrzymaj ten opatrunek, a ja tymczasem obejrzę pozostałe rany.

Kjell zauważył, że ta na szyi znowu zaczęła krwawić. Doktor szybko ją oczyścił i zbadał.

- Rana zaczyna rozmarzać. Kjell, musisz stąd wyjść. Zaczekaj na zewnątrz.

- Nie zostawię jej. Jeśli ma umrzeć, będę u jej boku.

- Dobrze. Ale stań dalej, tam. - Wskazał głową drzwi. Niedaleko blatu stało krzesło. Kjell usiadł i przyglądał

się, czekając, podczas gdy wszyscy krzżeli się po pomieszczeniu. Każdy członek zespołu doskonale znał swoje obowiązki.

Kiedy lekarz przyłożył skalpel do szyi Lydii, Kjell niemal poderwał się z krzesła. Po chwili jednak zdołał się opanować. Zdał sobie sprawę, że doktor Ensign wie przecież, co robi i stara się tylko ratować Lydii życie.

A gdyby mu się nie udało? Gdyby zmarła tak samo jak Raisa? Nie miał pewności, czy zdoła przetrwać kolejny taki cios. Wtedy pomyślał o Daltonie. Nie wiedział, gdzie znajduje się dziecko. Chciał jechać i szukać syna, ale nie mógł opuścić Lydii. Ktokolwiek zabrał niemowlę, zrobił to na rozkaz Marstona - tego był pewien. A jeśli Gray miał Daltona, można było przypuszczać, że go nie skrzywdzi. Kjell uznał, że na razie lepiej zostać przy żonie.

Nie zdawał sobie sprawy, że dołączyła do niego Zerelda - zauważył to, dopiero kiedy dotknęła jego ramienia. Sa-

nitariusz postawił jej krzesło obok, a ona wyciągnęła dłoń i wzięła Kjella za rękę.

- Powinniśmy się pomodlić - szepnęła. Skinął głową, ale czuł kompletną bezradność.

- Nie znajduję odpowiednich słów, Zee.

Zerelda, której zabandażowano głowę, pochyliła się.

- Wierzę, że Bóg wie, co dzieje się w twoim sercu.

## Rozdział 227

Evie Gray-Gadston spojrzała na swojego męża, który stał po drugiej stronie pokoju. Otaczali go znajomi i współpracownicy, więc w ogóle nie zwracał uwagi na młodą żonę. Evie starannie ukrywała swoje uczucia, żeby nikt nie zauważył, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Jej ślub odbył się prawie dwanaście miesięcy temu - 20 lutego przypadała pierwsza rocznica. Miała nadzieję, że z czasem mąż bardziej się nią zainteresuje. Jak dotąd tak się niestety nie stało.

Bardziej zajmowały go interesy niż Evie. W rzeczywistości, choć w ciągu ostatniego roku Thomas Gadston skonsumował wiele intratnych kontraktów, nie zdołał jeszcze skonsumować swojego małżeństwa.

Osiemnastoletnia dziewczyna nie wiedziała, czy powinna się tym cieszyć, czy raczej smucić. Nigdy nie chciała wychodzić za tego dwadzieścia lat starszego mężczyznę, z którym zupełnie nic jej nie łączyło. Thomas ignorował ją już od pierwszej nocy, kiedy wprowadziła się do rezydencji Gadstonów jako jego żona. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby oprowadzić ją po domu - to zadanie pozostawił swojej gospodyni.

Sypialnia Evie, wyposażona we wszystko, o czym mogłaby zamarzyć młoda kobieta, nigdy nie była odwiedzana przez jej męża. Evie spędziła tu wiele długich, samotnych wieczorów, podczas gdy Thomas zajmował się interesami w pomieszczeniach na dole. Raz nawet zdecydowała się

poruszyć z nim tę kwestię, ale odprawił ją z wyrzutem: „Jesteś moja i mogę robić, co zechcę - oznajmił. - A jeśli postanowię zachować twoją niewinność i cnotę, to musisz się podporządkować mojej woli”.

- To wspaniałe przyjęcie, nie sądzisz? - zapytała Jeannette, podchodząc do Evie.

- Pewnie tak. Mężczyźni wydają się niezainteresowani omawianiem czegokolwiek poza interesami i polityką, natomiast kobiety stoją beczynnie, plotkując o rodzinnych skandalach.

Jeannette zmarszczyła brwi.

- Naprawdę cię nie rozumiem. Masz wszystko, o czym można zamarzyć. Mieszkasz w przepięknym domu, jednym z najwspanialszych w Kansas City. Wyszłaś za mężczyznę, którego uznawano za najlepszą partię w sześciu stanach. - Zachichotała i zerknęła przez ramię na Thomasa. - I nadal jest bez wątpienia najprzystojniejszy.

- Może to ty powinnaś za niego wyjść - rzuciła Evie, przewracając oczami.

- Tak jak powiedziałam, nie rozumiem cię. Spójrz na siebie. Nosisz najmodniejsze kreacje, wykonane z najdroższego jedwabiu. Dosłownie skapuje z ciebie złoto i drogocenne kamienie...

- I jestem nieszczęśliwa. - Evie bawiła się jednym z pierścionków. - Thomas nigdy ze mną nie rozmawia. Nie okazuje mi czułości czy choćby minimum zainteresowania.

- Chciałabym być na twoim miejscu. Pan Stone już zapowiada, że chciałby kolejnego dziecka, a przecież Jerrad nie ma jeszcze roku. Na Boga, wydawałoby się, że każdemu wystarczałoby dwóch synów.

Evie się odwróciła.

- Baw się dobrze, Jeannette. - Nie chciała, żeby jej siostra zauważyła, jak bardzo zaboląły ją te słowa. Evie marzyła o dzieciach, za to jej siostra traktowała je jak przekleństwo.

- Genevieve, słyszałam, że właśnie wróciłaś z Europy. Jak minęła ci podróż?

Evie podniosła głowę i zobaczyła, że nagle otoczyło ją kilka żon biznesmenów, znajomych jej męża. Pytanie zadała pani Benedict, wyjątkowo męcząca kobieta.

- Stary Kontynent wydał mi się wyjątkowo urokliwy - odpowiedziała z wyćwiczoną swobodą.

- Pływałaś po Renie? - zapytała pani DeHart. - My robiliśmy to zeszłej wiosny, było naprawdę cudownie.

- Żałuję, ale nie. Pojechaliśmy w Alpy.

Kobiety dalej zasypywały ją pytaniami. W pewnej chwili włączyła się nawet Jeannette.

- Pan Stone zapowiada, że zrobi wielki objazd po Europie, kiedy dzieci trochę podrosną.

- Och, z dziećmi bardzo trudno się podróżuje - wtrąciła się pani Benedict. - Ja zdecydowanie wolę zostawiać je w domu. Przecież wystarczy im dobra niańka.

Evie nie mogła tego dłużej słuchać. Rozejrzała się po pokoju, szukając Thomasa, ale nigdzie go nie widziała. Na pewno zabrał swoich znajomych do innego gabinetu na cygara i brandy. Westchnęła. Opuszczenie sali pod byle jakim pretekstem nie wchodziło w grę, jeśli jej męża nie było w pobliżu i nie mógł pełnić funkcji gospodarza.

- Przepraszam na chwilę - powiedziała. - Muszę się zająć pozostałymi gośćmi.

Oddaliła się pospiesznie, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować. Evie ucieszyła się, kiedy znowu zaczęła grać niewielka orkiestra, którą wynajął Thomas. Kilka par natychmiast ruszyło do walca: tańczyli w rytm melodii *Nad pięknym, modrym Dunajem*. Ten wspaniały utwór Evie usłyszała po raz pierwszy w Wiedniu. Zamówiła go specjalnie na tę okazję. Liczyła, że będzie miała okazję zatańczyć, zamiast krążyć tu samotnie. Ale przynajmniej mogła cieszyć się muzyką.

- Czy zaszczyci mnie pani tańcem?

Podniosła wzrok i zobaczyła jednego z sekretarzy Thomasa. Trayton Payne był wysokim, szczupłym mężczyzną, niewiele starszym od Evie. Uśmiechnęła się.

- Z wielką przyjemnością. To jeden z moich ulubionych utworów.

Poprowadził ją, ostrożnie utrzymując odpowiedni, bardzo oficjalny dystans. Evie dała się pochłonać tańcowi, jakby sama była częścią muzyki. Zatraciła się na chwilę w pięknie tego walca.

- Jeżeli mogę być tak śmiały, smutno pani dziś wygląda. Czy nic pani nie jest?

Spojrzała na Payne'a zaskoczona.

- Wszystko w porządku, dziękuję, że pan pyta. Jestem jednak zaskoczona, że nie poszedł pan wraz z pozostałymi mężczyznami do biblioteki, żeby poruszać sprośne tematy i pić bardziej męskie napoje.

Uśmiechnął się, przesywając Evie wzrokiem. Zauważyła, że miał ciemne oczy.

- Chciałem spędzić z panią trochę czasu, odkąd tu dziś przyszedłem.

Evie nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

- Dlaczego ze mną? Przecież to Thomas panu płaci. Zachichotał i lekko przyciągnął ją do siebie.

- A dlaczego nie z panią? Jest pani dużo bardziej intrygująca. Odważyłbym się nawet powiedzieć, że jest pani najpiękniejszą kobietą na tej sali.

Ta uwaga była kompletnie nie na miejscu w ustach człowieka na jego stanowisku, ale Evie nie potrafiła się na niego gniewać. Jego pochlebstwo trafiło na podatny grunt. Spuściła wzrok i uśmiechnęła się. Co jej szkodziło chwilę z nim poflirtować?

- Obserwuję panią na wszystkich spotkaniach i przyjęciach, na których pojawia się pani u boku męża, i widzę, jak on panią zaniedbuje.

- Mój mąż jest człowiekiem bardzo zajęтым - odpowiedziała. - A ja umiem znaleźć sobie własne rozrywki.

- A czy ja mógłbym stać się jedną z tych rozrywek? Przynajmniej na dzisiejszą noc?

- Przecież tańczymy, czyż nie? - Patrzył na nią w taki sposób, że poczuła, jak po plecach przebiegły jej ciarki. W jego wzroku łączyły się podziw i pożądanie. Serce Evie zabiło szybciej. A może wynikało to po prostu z tempa walca?

Kiedy ucichły ostatnie akordy i pary musiały się rozdzielić, a następnie ukłonić się sobie, poczuła, że ugięły się pod nią nogi. Wiedziała, że wiele ryzykuje, ale nie obchodziło jej to. Dobrze się bawiła i choć raz czuła, że ktoś jej pożąda.

- Chodźmy. Czy mógłbym przynieść pani coś do picia? Wydaje się pani dość... no cóż... zdyszana. - Uśmiechnął się szeroko.

Evie wiedziała, że powinna odmówić, ale zauważyła, że nikt na nich nie patrzy, więc zgodziła się. Mężczyzna zaprowadził ją do małej alkowy i poprosił, żeby usiadła.

- Zaraz wrócę - obiecał.

Odprowadziła go wzrokiem. Niewątpliwie wyglądał wspaniale. Być może Thomasa uważano przed ich ślubem za najlepszą partię w Kansas City, ale ten mężczyzna miał w sobie urok i siłę, której mąż Evie mógł mu tylko pozazdrościć.

Kiedy wrócił, przyrzekła sobie, że wypije jednego drinka, a potem pożegna się i wróci do pozostałych gości. Pół godziny później nadal próbowała zrealizować pierwotne postanowienie.

- Dlaczego się mnie pani boi? Evie pokręciła głową.

- Nie boję się. Po prostu nie zapominam, że jestem gospodynią tego przyjęcia. Ludzie zaczną plotkować, jeśli pozwolę panu zająć jeszcze więcej mojego czasu.

Lekko się zaśmiał.

- Niech plotkują. Tak naprawdę, gdyby była pani odważną i nieustraszoną kobietą, za jaką panią uważam, poszłaby pani ze mną na spacer i dałaby im prawdziwy temat do rozmów.

Podobał jej się sposób, w jaki na nią patrzył. Spojrzenie Traytona sprawiało, że czuła się ładna i pociągająca. Thomas nigdy nie pozwolił jej się tak poczuć.

- Ja... ja... nie mogę - wyjąkała, próbując zebrać myśli.

- Nie może pani czy nie chce? - Wyciągnął dłoń i delikatnie dotknął policzka Evie.

- Chyba po prostu nie powinnam - odpowiedziała, drżąc pod dotykiem dłoni Traytona, które nagle znalazły się na jej szyi.

Wydawało się, że oczy Payne'a pociemniały z rozbawienia, a jego znaczący uśmiech sprawił, że miała jeszcze większą ochotę ulec prośbie.

- Wielu rzeczy nie powinniśmy robić - szepnął jej do ucha - ale większość z nich dzieje się sama, niezależnie od naszej woli. A może wymkniemy się, żeby trochę odetchnąć? Tak się składa, że wiem, że na drugim piętrze znajduje się wspianały salonik. Bardzo ustronny salonik.

Evie zauważyła męża w drugim pokoju. Właśnie wyszedł z biblioteki, zatopiony w rozmowie z jednym ze swoich współników. Nawet się nie rozejrzył po pomieszczeniu. Poczowała gniew. Dlaczego Thomas nie okazywał jej żadnego zainteresowania?

Skoncentrowała się z powrotem na Paynie i lekko skinęła głową.

- Może na chwilę.



## Rozdział 233

Kjell powoli się budził. Lydia nadal nie odzyskała przytomności. Lekarz zrobił wszystko, co mógł, i położył ją w jednej z pustych szpitalnych sal. Zerelda leżała zaledwie kilka łóżek dalej. Kjell przespał całą noc w fotelu stojącym obok łóżka żony, a ilekroć się obudził, modlił się, żeby Bóg ją uratował.

Wyciągnął dłoń i delikatnie pogłaskał włosy Lydii.

- Witaj, kochanie.

Uspokoilo go, że nadal równo oddychała. Doktor Ensign nie wierzył w to, że Lydia wydobrzeje. Tak naprawdę nie sądził nawet, że przeżyje noc, ale oto dalej leżała tu i oddychała.

Kjell dotknął jej chłodnej dłoni i delikatnie ją pogłaskał.

- Zee dobrze się czuje. Jej rany nie były zbyt poważne. Na jakiś czas straciła przytomność, ale lekarz twierdzi, że nic jej nie będzie. Śpi w drugiej części sali. - Mówił cicho, żeby nie obudzić Zereldy. Zerknął w jej stronę, żeby sprawdzić, czy jej nie przeszkadza, po czym powiedział: - To była długa noc.

Zorientował się, że słońce już wzeszło, i sięgnął po zegarek. Zrobiło się wystarczająco jasno, żeby mógł zobaczyć, że dochodziła ósma. Powinien już być w pracy. Tarcica dla wojska miała zostać przygotowana na dziś.

Musiał się skontaktować z Joshuą, który teraz pewnie uwijał się w tartaku. Biedny człowiek nie miał pojęcia, dla-

czego jego szef się nie pojawił. Kjell wstał, przeciągnął się i zauważył, że szyja i plecy rozbolały go od długich godzin spędzonych w fotelu. Doktor Ensign zaproponował, żeby zajął jedno z pustych łóżek, ale on nie chciał się oddalać od Lydii. Gdyby go wołała, mógłby nie usłyszeć.

Kjell skinął na sanitariusza i wyjaśnił mu sytuację.

- Muszę przekazać coś Joshui Broadstreetowi w tartaku. Czy ktoś mógłby mu zawieźć wiadomość?

- Pójdę sprawdzić, czy da się to załatwić - odpowiedział mężczyzna. Wyszedł bez słowa i w tej samej chwili obudziła się Zerelda.

- Co z nią? - zapytała natychmiast. Kjell podszedł do Zee i pokręcił głową.

- Nie wiem. Przez całą noc się nie poruszyła. Ale nadal oddycha.

Zerelda dotknęła zabandażowanej głowy.

- Ktokolwiek to był, z całą pewnością nieźle mnie rąbnął. Sanitariusz wrócił z szeregowcem w niebieskim mundurze. Mężczyzna dość oficjalnie skinął do Kjella.

- Kapitan kazał panu pomóc - oznajmił młody człowiek. - Powiedział też, że chciałby z panem porozmawiać, kiedy to będzie możliwe.

- Dziękuję. Muszę przekazać wiadomość Joshui Broadstreetowi, który przebywa teraz na terenie tartaku. Proszę mu powiedzieć, że moja żona i jej ciotka zostały zeszłej nocy ranne i że jesteśmy tutaj, w szpitalu. Niech zgłosi się do mnie, kiedy tylko będzie mógł.

- Tak jest. Coś jeszcze?

- Proszę powiedzieć kapitanowi, że może tu do nas przyjść.

- Tak jest.

Młody szeregowiec obrócił się na pięcie i wymaszerował z pokoju. Kjell spojrzał znowu na Lydię. Sanitariusz

właśnie sprawdzał jej opatrunki, więc Kjell natychmiast porzucił Zee i podszedł do żony.

- Jak to wygląda?

- Krwawienie ustało. To dobrze. Straciła mnóstwo krwi i trudno powiedzieć, czy jej ciało zniesie ten szok. Na szczęście nie wdała się na razie infekcja, ale czas pokaże.

Kjell skinął głową.

- Szanse są niewielkie, prawda?

- Nie wygląda to dobrze. - Sanitariusz opatrzył rany. -A teraz powinienem wrócić do doktora Ensigna.

- Wszystko w rękach Boga, Kjell. Musimy Mu zaufać. Odwrócił się, zaskoczony, że Zerelda pojawiła się nagle u jego boku.

- Nie mogę jej stracić. Po prostu nie mogę, Zee. Otoczyła go ramieniem.

- Tylko Bóg może podejmować takie decyzje. Musimy wierzyć, że On wie, co robi. Chodź ze mną na chwilę.

Kjell pozwolił jej się zaprowadzić na drugi koniec sali. Zerelda miała poważny wyraz twarzy.

- Co z Daltonem, Kjell?

- Przypuszczam, że Marston Gray zlecił ten napad i porwanie. To samo powiedziałem wczoraj władzom i wierzę, że tak właśnie się stało. Nie zdziwiłbym się, gdyby i Sidorowowie mieli z tym coś wspólnego. Niedawno dowiedziałem się, że to prawdopodobnie oni odpowiadają za pożar w tartaku.

Zerelda zmarszczyła brwi i zerknęła w stronę łóżka Lydii.

- Nie możemy rozmawiać o Daltonie przy niej. Przecież nawet w tym stanie może nas słyszeć. Jeśli dotrze do niej, że dziecko zniknęło, może stracić nadzieję i ostatecznie się poddać.

- Kjell?

Odwrócił się i zobaczył kapitana Briara, z którym rozmawiał zeszłej nocy.

- Czy są jakieś nowe wieści?

- Na razie nie. Musimy porozmawiać z panną Rockford, jeśli jej stan na to pozwala.

- Oczywiście - odpowiedziała Zerelda. - Chętnie pomogę, jak tylko będę mogła. Obawiam się tylko, że pamiętam niewiele więcej niż wczoraj.

- Nie szkodzi. Może usiądziemy, żeby nie nadwyreżała pani sił - zaproponował kapitan.

Zerelda wróciła do łóżka i usiadła. Kjell przyniósł dwa krzesła. Wcześniej nie słyszał, co Zee mówiła kapitanowi, i miał nadzieję, że ciotka Lydii rzuci trochę światła na tożsamość sprawców. Najwyraźniej kapitan liczył na to samo.

Oficer nachylił się.

- Czy mogłaby pani opisać mężczyznę, który panią uderzył? Jego wzrost, kolor włosów, ubiór... wszystko, co mogłoby jakoś pomóc.

- No cóż, pamiętam tego, który pierwszy wpadł do domu. Był zdecydowanie wyższy ode mnie, może parędziesiąt centymetrów. Miał jasne włosy w kolorze kukurydzy. - Zamilkła na chwilę. - Ach tak, miał jeszcze mocny rosyjski akcent.

- Anatolij Sidorów - wymamrotał Kjell.

- Słucham? - zapytał kapitan.

- Właśnie opisała Anatolija Sidorowa. Jego brat jest nieco niższy i ma ciemniejsze, złotobrzowe włosy.

- Zna pani tego Anatolija? Zerelda pokręciła głową.

- Nigdy nie poznałam ani jego samego, ani jego brata.

- Ale rozpoznałaby go pani, gdyby zobaczyła go raz jeszcze?

Kjell patrzył na Zereldę i czekał na jej odpowiedź. Był przekonany, że za napisać odpowiadali właśnie Sidorowo-

wie. Powinien był oddać ich w ręce wojska już wtedy, kiedy przyłapał ich na kradzieży.

- Chyba tak - odpowiedziała Zerelda. - Nie zdążyłam dobrze się przyjrzeć drugiemu mężczyźnie. Albo po prostu kompletnie zapomniałam, jak wyglądał. Kiedy pierwszy z nich ruszył na górę po dziecko, próbowałam go zatrzymać. Właśnie wtedy drugi uderzył mnie od tyłu. Później obudził mnie Kjell. Nie pamiętam nic więcej. - Spojrzała na Kjella ze współczuciem. - Przykro mi.

- To wystarczy, Zee. Jestem przekonany, że to Sidorowowie. Tylko oni mieli motyw. Oni również podpalili mój tartak. Musieli działać na zlecenie.

- Szefie? Wzywał mnie pan?

Podniósł wzrok i zobaczył Joshuę, który stał w drzwiach pomieszczenia.

- Wejdz. Tak, wzywałem cię, ale teraz potrzebuję, żebyś opowiedział kapitanowi wszystko, co słyszałeś o tym, że Sidorowom zapłacono za podłożenie ognia pod tartak.

Kjell zauważył, że do sali wkroczył doktor Ensign, więc przeprosił ich i poszedł zapytać o stan Lydii. Lekarz dał mu znak, żeby poczekał, aż skończy badać jego żonę. Po czasie, który wydawał się Kjellowi wiecznością, doktor podszedł do niego.

- Nie wygląda to dobrze - oznajmił, kręcąc głową. - Jest niezwykle osłabiona i nie ma z nią żadnego kontaktu. Widać, że się poddała.

Kjell zerknął szybko na bladą, pozbawioną życia twarz Lydii i zrozumiał, że doktor się nie myli. Jeśli była przytomna, kiedy Sidorowowie zabierali Daltona, musiała wiedzieć, że za wszystkim stoi Marston Gray. A mając świadomość, jak bardzo on i jego rodzina dręczyli ją w przeszłości, Lydia sądziła prawdopodobnie, że nie ma żadnych szans na odzyskanie syna. Zapewne uwierzyła, że straciła Daltona na zawsze.

- Musimy odnaleźć dziecko - szepnął Kjell. - To jedyna nadzieja. Jedyna szansa, żeby skłonić ją do walki.

- Może jeśli powiesz żonie, jak bardzo jej potrzebujesz... - poradził doktor Ensign. - Tylko nie wspominaj, że dziecko zniknęło.

- Zee też to przed chwilą sugerowała. Zrobię, co będę mógł. - Zobaczył niepokój na twarzy lekarza. - Proszę, zrób wszystko, co trzeba, żeby ją ratować. Niezależnie od tego, ile to będzie kosztowało.

Lekarz dotknął jego ramienia.

- Kjell, możesz być pewien, że robimy wszystko, co tylko w naszej mocy. Niestety musimy się liczyć z pewnymi ograniczeniami. To małe miasteczko, nie mamy tu porządnego szpitala i prawdziwej sali operacyjnej. Dysponujemy za to sprawnym zespołem i wszyscy wiedzą, co mają robić. Będziemy o nią walczyli.

Thomas Gadston uśmiechnął się szeroko i wręczył Traytonowi Payne'owi gruby plik banknotów.

- Rozumiem, że odniosłeś wczoraj sukces. Kiedy wróciłem, nie zauważyłem nigdzie Genevieve.

Trayton skinął głową i wziął pieniądze.

- Owszem. Uwiodłem ją, a ona chętnie poddała się mojemu urokowi.

- Wspaniale. To chyba moja najlepsza inwestycja od lat. Nie wiem, czemu wcześniej na to nie wpadłem.

Trayton schował pieniądze do kieszeni i wzruszył ramionami.

- Nie rozumiem tego, ale cieszę się, że mogłem pomóc.

- Nie oczekuję, że zrozumiesz. Nikogo nie powinno obchodzić, dlaczego podejmuję takie, a nie inne decyzje.

W każdym razie nie mam cierpliwości do małżeńskich gier. Nigdy nie zamierzałem się żenić. Zrobiłem to tylko po to, żeby poprawić swoją sytuację materialną. Niestety i to przepadło, kiedy Gray postanowił zginąć w wypadku. Teraz Genevieve w ogóle się dla mnie nie liczy.

- Więc dlaczego się pan z nią nie rozwiedzie? Wystarczyłoby oskarżyć ją o niewierność i mieć ją z głowy.

Gadston miał pochmurną minę.

- Moja rodzina nigdy by się na to nie zgodziła. Rozwód wywołałby skandal, a ja zostałbym wydziedziczony. W puli znajduje się zdecydowanie zbyt duża suma, żeby tak po prostu zrezygnować z małżeństwa. Pozwolę Genevieve realizować jej zainteresowania, a sam będę realizował własne.

- I powiedział jej pan o tym? - zapytał zaskoczony Trayton. Większość mężczyzn nigdy nie zniosłaby tego, żeby ich żony wzięły kochanka, ale Gadston wydawał się temu sprzyjać.

Gadston się roześmiał.

- Oczywiście, że nie. Najzabawniejsze będzie obserwowanie, jak moja żona chyłkiem się wymyka i za wszelką cenę usiłuje ukryć przede mną romans. Jej poczucie winy dostarczy mi wspaniałej rozrywki. Szczególnie jeśli zdarzy się, że zrobisz jej dziecko.

- Słucham?

Te słowa zaskoczyły Traytona do tego stopnia, że zastanawiał się, czy dobrze usłyszał. Przyglądał się Gadstonowi, szukając w jego zachowaniu wskazówki, która pozwalałaby sądzić, że żartował - ale niczego takiego nie dostrzegł. Starszy mężczyzna usiadł za biurkiem.

- Omówimy to innym razem. Teraz muszę się zająć pracą. Ty zresztą też. Masz tu dane, które musisz przekazać panu McCarthy'emu w związku ze sprawą torów kolejowych.

Trayton sięgnął po księgę rachunkową, którą podał mu Gadston, i przez chwilę trzymał ją w powietrzu. Zaniepokoiła go wzmianka o dziecku i chciał wyjaśnić tę sprawę. Mężczyzna zachowywał się jednak zupełnie beztrzesko.

- Rób, co w twojej mocy, żeby ją uszczęśliwić - nakazał, jakby czytał sekretarzowi w myślach. - Jeżeli będą wyniki, podwyższę ci pensję.

Trayton Payne wyszedł z rezydencji Gadstonów i ledwo zwrócił uwagę na grad, kierując się w stronę osłoniętego powozu. Podał stangretowi odpowiedni adres i oparł się na siedzeniu, rozmyślając o tym, co właśnie usłyszał. Zawsze przyjmował ze spokojem ekscentryczne zachowania bogatych ludzi. Niewiele sytuacji czy próśb było w stanie go zszokować. A jednak nigdy nie widział, żeby mężczyzna z równą nonszalancją oddawał własną żonę innemu.

Nie miało to jednak znaczenia. Trayton traktował to wszystko wyłącznie jako środek na drodze do celu. Sam zamierzał któregoś dnia stać się jednym z tych bogatych ekscentryków. Już dawno temu poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, aby zarobić pieniądze, które pozwolą mu dotrzeć na szczyt. Władza i majątek były dla niego najważniejsze i zamierzał pławić się w jednym i drugim. Jeśli miało to oznaczać spłodzenie kilkorga dzieci na boku tylko po to, żeby uszczęśliwić jakiegoś starego bogacza - niech i tak będzie.

Uśmiechnął się i założył ręce za głowę. „Zresztą Evie Gadston z pewnością nie należy do kobiet o nieprzyjemnej aparycji”.

Z okien swojej sypialni Evie patrzyła, jak Trayton Payne wychodził z jej domu. Dręczyło ją poczucie winy. Pozwoli-



ła, żeby zabrał ją z przyjęcia - a na domiar złego znaleźli się z dala od wszystkich.

„Pozwoliłaś mu na wiele więcej” - upomniała samą siebie, siedząc przed lustrem. Sięgnęła po szczotkę i mocno rozczesała złote loki. Wciąż przypominała sobie, jak dała mu się objąć. Pocałował ją. Nie tak jak Thomas, który obdarzał ją szybkimi cmoknięciami, wyłącznie z poczucia obowiązku. Kiedy usta Traytona dotknęły jej ust, zapomniała o wszystkim - liczył się tylko on.

Spojrzała na swoje odbicie i zmarszczyła brwi.

- To było złe i nie może się więcej powtórzyć.

A właściwie dlaczego nie? Towarzystwo nie gardziło przecież mężczyznami, którzy brali sobie kochanki, więc dlaczego ludzie mieliby tak ostro oceniać żony pragnące podobnych doznań? Kto mógł się o tym wszystkim dowiedzieć, jeśli zachowaliby dyskrecję?

Gdyby tylko Thomas okazał jej choćby odrobinę miłości, wszystko by się zmieniło. Evie nie chciała za niego wychodzić, ale przyjęła ten kontrakt z postanowieniem, że będzie dobrą i wierną żoną. Przede wszystkim wierną. Ale już po roku pożycia małżeńskiego marzyła, żeby doświadczyć czegoś poza letargiem. Pojechała do Europy w nadziei, że odmienią się tam jej umysł i serce. Zwiedzała muzea i galerie, chodziła na wspaniałe przyjęcia, na których prezentowano najnowsze kreacje i najmodniejsze potrawy, łechcące oko i podniebienie. Wydawała ogromne sumy na wszelkiego rodzaju rozrywki, ale dalej nie czuła satysfakcji. Czego jej brakowało?

Zeszłej nocy Trayton Payne nieco naświetlił jej tę kwestię. A nawet pozwolił jej odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziała już, że nie zapomni o potrzebach swojego serca, kupując błyskotki. Trayton obudził w niej głód, który dotąd udawało jej się tłumić.

- Co mam robić? - zapytała, patrząc w swoje odbicie.

Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była utrata dobrego imienia - nie chciała się wyzbyć godności ani narazić na szwank prestiżu rodziny. Dotąd Grayowie sami wystarczająco dobrze sobie z tym radzili i nie zamierzała przykładać do tego ręki. Thomas cieszył się powszechnym szacunkiem. Nie chciała mu zaszkodzić ani zrobić z niego pośmiewiska.

Odłożyła szczotkę i dalej wpatrywała się w lustro. Przez chwilę wyobrażała sobie, jak się starzeje, a na jej skórze pojawiają się kolejne zmarszczki. Przed oczami stała jej matka. Charlotte Gray zmarła w dość młodym wieku, a mimo to upływ czasu zdążył naznaczyć jej twarz.

Mimo że Evie była wtedy mała, wyczuwała smutek matki. A później nastąpił ten straszny dzień, kiedy Charlotte Gray zginęła. Evie chciała opowiedzieć wszystkim, co tak naprawdę się wydarzyło, ale za bardzo się bała. Bała się, że ojciec także ją zrzuci z dachu. Że i tak nikt jej nie uwierzy. Że pamięć płatała jej figle.

„Całe życie się bałam” - powiedziała, potrząsając głową. Nawet ślub wzięła w strachu. Evie wiedziała, że gdyby w jakikolwiek sposób spróbowała się sprzeciwić decyzji ojca, bardzo by na tym ucierpiała. Floyd Gray potrafił karać i krzywdzić ludzi. Czyż nie nauczyła się tego, obserwując, jak traktował jej matkę, a później Lydię?

Znowu zalała ją fala gniewu. „Dlaczego miałabym pozwolić im się skrzywdzić? Dlaczego mam się przejmować, co pomyślą albo zrobią inni?”.

Po raz kolejny przypomniawszy sobie o Traytonie, a dręczące ją wyrzuty sumienia nieco ustąpiły. W końcu tylko go pocałowała. Nic więcej się nie wydarzyło. Był dla niej delikatny. Sprawił, że poczuła się piękna. Dzięki niemu wreszcie wróciła do prawdziwego życia. Co w tym złego? Co takiego złego mogło się stać od kilku pocałunków?

## Rozdział 243

Jeśli ona uwierzy, że na zawsze utraciła Daltona, może już nigdy do nas nie wrócić - powiedział Kjell do Zereldy. Dokładnie przemyślał tę sprawę i wiedział, że musi zrobić wszystko, żeby odzyskać dziecko. - Nie chcę jej opuszczać, ale nie wiem, co innego mi pozostało. Jeśli przeschukam wyspę i dalej nie odnajdę naszego syna, pojedę do Kansas City i skonfrontuję się z Marstonem Grayem.

- Ta rodzina to samo zło - powiedziała Zerelda. - Jeśli to oni odpowiadają za... no cóż... mam nadzieję, że doprowadzisz do tego, żeby trafili do więzienia.

Kjell też miał taką nadzieję, choć dręczyły go liczne wątpliwości. Liddie zawsze mówiła, że Grayowie to potężni ludzie, którzy zwykle stawiają na swoim. Sięgnął po kurtkę i po raz ostatni spojrzął na nieprzytomną żonę. Wyglądała tak delikatnie i krucho...

- Niedługo wrócę. Przeszukam okolicę domu i zobaczę, czy nie trafię na jakieś ślady. Wiem, że wojsko też wysłało ludzi na poszukiwania.

- Mam nadzieję, że tym razem lepiej się sprawdzą - głos Zereldy brzmiał niepewnie. - W końcu nie zdołali odnaleźć zabójców tych dwóch młodych Tlingitów.

- Wiem, ale tym razem chodzi o atak na białych. To straszne, ale istnieje szansa, że w związku z tym bardziej się zaangażują w śledztwo. Szczególnie że zostało uprowadzone małe dziecko.

Kjell zszedł na dół i ku swojemu zaskoczeniu w drzwiach natknął się na grupę oficerów, którym towarzyszył doktor Ensign.

- Właśnie do ciebie szliśmy. Kjell rozpoznał ich dowódcę.

- Trafiliście na jakieś ślady? Odnaleźliście mojego syna?

- Nie odnaleźliśmy go - zaczął kapitan Briar - ale mamy nowe wieści. Odkryliśmy ślady, które prowadzą nad wodę. Wydaje nam się, że napastnicy uciekli łodzią. - Dał znak jednemu ze swoich ludzi. - Znalaziono kocyk. Widziałeś już ten przedmiot?

Kjell natychmiast go rozpoznał: mimo pokrywającego go błota nie miał wątpliwości, że to kocyk, który Zerelda podarowała Daltonowi na Boże Narodzenie.

- Tak. Należy do mojego syna. Ciotka Lydii zrobiła go dla Daltona i dała go nam na święta.

- A to? - Kapitan wziął od mężczyzny drugi przedmiot i pokazał go Kjellowi. - Znaleźliśmy ten nóż niedaleko kocyka.

- Należy do Anatolija Sidorowa - odpowiedział. - Widziałem go tysiące razy. Wyrzeźbił rączkę, a na ostrzu znajdziecie jego inicjały.

Kapitan skinął głową i oddał nóż żołnierzowi.

- Tak sądziliśmy. Inicjały istotnie się tam znajdują. To wystarczający dowód na to, że Anatolij Sidorów był zamieszany w atak.

Kjell zacisnął dłonie.

- A jeśli on jest w to zamieszany, to i jego brat Iwan. Zawsze pracują razem.

- Kazałem moim ludziom przeszukać Double-Decker, ale nie znaleźli śladu po braciach. Powiedziano nam, że Sidor owo wie wynieśli się kilka tygodni wcześniej. Jakiś człowiek twierdził, że zamieszkali z kimś na zachodnim krańcu wyspy. Wysłaliśmy tam ludzi, żeby zbadali ten trop.

- Ja też pojedę - zaproponował Kjell.

- Lepiej nie - odpowiedział kapitan Briar. - Zostaw to nam. Wierz mi, Kjell, przetrząsamy całą wyspę.

- Jest jeszcze coś, o czym powinniście wiedzieć. - Zastanawiał się przez chwilę. Musiał wytłumaczyć kapitanowi, jaką rolę odegrał w tej sprawie Marston Gray. A przynajmniej o co go podejrzewał. - Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Dwadzieścia minut później kapitan Briar podrapał się po nadgarstku i zaczął się zastanawiać nad wszystkim, o czym dowiedział się od Kjella.

- Jeśli masz rację i ten Gray rzeczywiście zabrał twojego syna, musimy powiadomić władze w Kansas City. Powinniśmy wysłać telegram z Seattle albo San Francisco. Jeśli się pospieszymy, możemy nawet zmusić go do odwrotu. Porozmawiam z generałem Tidballem. Ponieważ to on tu dowodzi, musimy go o wszystkim informować na bieżąco.

- Róbcie, co tylko trzeba. Niezależnie od kosztów. - Kjell spojrzał mężczyźnie w oczy. - Ten człowiek nie ma żadnych skrupułów, nic go nie powstrzyma. Stanowi zagrożenie dla całego swojego otoczenia, ale przede wszystkim dla mojego syna. Spodziewałbym się po nim, że prędzej zabije dziecko niż odda je Lydii.

- Wierzę ci, Kjell. Pozwól mi porozmawiać z generałem. Zdecydujemy, w jaki sposób powinniśmy się skontaktować z Kansas City. A tymczasem dalej będziemy przeczesywali wyspę.

Kjell skinął głową i głośno westchnął. Oto kolejna sytuacja, w której czuł się całkowicie bezradny i musiał po prostu czekać. Nie mógł pomóc żonie i nie mógł uczestniczyć w poszukiwaniach syna. Wiedział, że jeśli nie znajdzie sobie szybko jakiegoś zajęcia, po prostu oszaleje.

Zerelda wzięła Lydię za rękę i delikatnie ją pogłaskała.

- Liddie, chciałabym, żebyś się obudziła. Tęsknimy za tobą, kochanie. Wiem, że wiele wycierpiałaś, ale potrzebujemy cię. Dalton cię potrzebuje.

Nie wiedziała, czy mówić dalej. Patrząc na bratanicę, Zerelda nie mogła dostrzec jakiegokolwiek znaku, który wskazywałby na to, że ją słyszała czy rozumiała. Starła się nie tracić nadziei, że Lydia przeżyje, ale czuła, że jej wiara zaczyna słabnąć.

„Och, Ojczy - modliła się cicho. - Nie chcę się poddawać. Wiem, że masz moc uzdrawiania tych, którzy znajdują się na krawędzi życia i śmierci. Błagam cię, pomóż Liddie. Sprowadź ją z powrotem do nas, Ojczy. - Po jej twarzy płynęły łzy. - Proszę”.

Usłyszała, że otworzyły się drzwi, więc otarła policzki i odwróciła się. To był lekarz. Skinął do niej i natychmiast podszedł do Lydi.

- Zauważyłaś jakiegokolwiek zmiany? - zapytał.

- Nie. Mówiłam do niej, ale nie widzę żadnej reakcji, żadnego znaku, który wskazywałby, że mnie słyszy.

Doktor Ensign zmarszczył brwi, ale nadal badał pacjentkę.

- Miałem nadzieję, że do tego momentu zdąży już odzyskać przytomność.

Zerelda wiedziała, że im dłużej pacjent pozostawał nieprzytomny, tym bardziej malały szanse na to, że kiedykolwiek się obudzi. I choć od ataku nie minęło tak dużo czasu, lepiej by było, gdyby Lydia zaczęła już reagować na bodźce i się budzić.

- Wydaje się rozpalona. - Lekarz sprawdził jej oddech. - Oby nie dostała zapalenia płuc.

- Będę się nią zajmować - powiedziała Zerelda. - Mogę ją odwracać.  
Doktor Ensign skinął głową.

- Tylko nie przesadz. Ty też dopiero zdrowiejesz. Za godzinę przyśle sanitariusza, żeby sprawdził jej stan.

Kiedy lekarz wychodził, natknął się akurat na Kjella, który porozmawiał z nim przez chwilę, po czym dołączył do Zereldy.

- Muszę z tobą porozmawiać.

Zerelda ścisnęła dłoń Lydii i pochyliła się.

- Niedługo wrócę, Liddie. Odpoczywaj.

Z wyrazu twarzy Kjella wywnioskowała, że przyniósł złe wieści. Wyprostowała ramiona i głęboko odetchnęła.

- Co się stało?

- Nad wodą znaleźli jego kocyk. Wygląda na to, że Sidorowowie zabrali Daltona w czasie burzy i ruszyli z nim na spotkanie z Grayem, który prawdopodobnie czekał na nich na większej łodzi.

- Myślisz, że opuścił już wyspę?

- Tak sądzę. Gray nie miał tu wielu przyjaciół. Jakiś człowiek w Double-Decker twierdził, że Sidorowowie wyprowadzili się i zamieszkali z kimś w zachodniej części wyspy. Wojsko wysłało tam ludzi, ale wątpię, żeby mogli cokolwiek znaleźć.

- Jesteś więc przekonany, że za to wszystko odpowiadają Marston i Sidorowowie?

- Tak. Szczególnie teraz, kiedy kapitan Briar pokazał mi nóż Anatolija. Podobno upuścił go razem z kocykiem Daltona gdzieś nad wodą. Nie ma drugiego podobnego noża. Zresztą jestem przekonany, że Sidorowowie zostali wynajęci do podpalenia mojego tartaku. Tylko Gray mógł na tym zyskać. Miał mi za złe, że stanąłem mu na drodze i ożeniłem się z Lydią.

Zereldzie nagle zakręciło się w głowie i złapała Kjella za ramię.

- Chyba powinnam usiąść.

- Przepraszam, Zee. Nie pomyślałem. - Zaprowadził ją do łóżka i pomógł jej się położyć.

- W takim razie teraz możemy tylko czekać? - To było raczej stwierdzenie niż pytanie. Zerelda wiedziała, że niewiele więcej da się zrobić. Poza tym nie chciała opuszczać Lydii.

- I właśnie z tym nie potrafię się pogodzić - powiedział Kjell. - Czuję, że powinienem działać. - Zerknął na drugą stronę sali, gdzie spała jego żona. - Nie mogę jej pomóc i nie mogę pomóc Daltonowi. Zaproponowałem, że pojedę szukać Graya, ale wojsko nie chce, żebym się w to włączał. Uważają, że mają całe śledztwo pod kontrolą. Ale lepiej bym się czuł, gdybym też w nim uczestniczył.

- Możemy w nim uczestniczyć przez modlitwę - zasugerowała. - Wiem, że wydaje ci się to niewystarczające, ale to bardzo istotne. Jezus obiecał nam, że zawsze będziemy mogli przedstawiać Mu swoje prośby. Zresztą Bóg i tak je zna.

- Modliłem się, Zee. Najlepiej jak potrafiłem. Nie znajduję odpowiednich słów.

- Ale Bóg i tak zrozumie. Słyszy wszystkie niewypowiedziane porywy naszych serc. Wie, czego pragniemy, nawet jeśli nie umiemy tego wyrazić.

Kjell westchnął i usiadł na krześle obok jej łóżka.

- Czy ciebie nigdy nie ogarniają wątpliwości? Uśmiechnęła się.

- Oczywiście, że ogarniają. Ale wiem, że nikt nigdy nie pokocha mnie bardziej niż Bóg. Ufam Mu, nawet kiedy Go nie rozumiem. Chociaż oczywiście chciałabym, żeby częściej patrzył na różne sprawy tak samo jak ja.

Te słowa sprawiły, że Kjell lekko się uśmiechnął.



- Ja też. Szczególnie kiedy chodzi o Lydię.

- Cieszę się, że tak bardzo ją kochasz. Ona na to zasługuje. Miała takie trudne życie, a zawsze pragnęła tylko miłości. Przez ostatnie miesiące dałeś jej dużo szczęścia.

- Chcę tylko dalej móc ją kochać. Chcę żyć u jej boku, mieć z nią więcej dzieci. Ale nie wyobrażam sobie, żeby kiedykolwiek zaznała szczęścia, jeśli nie odnajdziemy Daltona.

- Musimy się zatem modlić, żeby Dalton do nas powrócił. Tylko Bóg wie, gdzie on teraz jest i kto się nim zajmuje. Tylko Bóg może go sprowadzić z powrotem.

Następnego ranka Kjella obudził odgłos uderzających o szyby kropli deszczu. Tym razem skorzystał z propozycji doktora Ensigna i rozstawił sobie łóżko polowe obok Lydii, żeby być jak najbliżej żony. W nocy wielokrotnie się budził i sprawdzał jej stan - musiał mieć pewność, że oddychała, że nadal była z nimi.

Opuścił nogi, usiadł na łóżku i zaczął się zastanawiać, co przyniosą następne godziny. Czy właśnie dziś Lydia odzyska przytomność?

Dotknął jej dłoni.

- Proszę cię, kochanie, obudź się. Nie potrafię bez ciebie żyć. Nie sądziłem, że będzie mi bez ciebie tak trudno. - Zsunął się z łóżka i ukląkł przy żonie. - Wczoraj pojechałem do domu i nic nie było takie samo. I nigdy nie będzie, jeśli nie wrócisz. Musisz wyzdrowieć.

Łzy zalały mu twarz. Kjell pocałował dłoń żony.

- Kocham cię ponad wszystko, Liddie - powiedział. Klęcząc u jej boku, modlił się tak żarliwie jak nigdy dotąd. Z całych sił błagał Boga, żeby ocalił Lydię. W myślach

prosił też o odnalezienie Daltona, bo zdawał sobie sprawę, że matka i syn byli z sobą tak silnie związani, że każde z nich cierpiałyby, gdyby zabrakło tego drugiego.

Poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia. Myślał, że to Zee, ale kiedy otworzył oczy i podniósł głowę, zobaczył doktora Ensigna.

- Jak się masz, Kjell? Wstał i potarł się po karku.

- Czuję się całkowicie bezradny.

- Ja też. Chciałbym móc zrobić coś więcej, ale pozostaje nam tylko oczekiwanie. - Lekarz podszedł do Lydii. Położył rękę na jej czole i uśmiechnął się.

- Gorączka ustąpiła. Nie jest już rozpalona tak jak wczoraj. - Przez chwilę wsłuchiwał się w jej serce i płuca, po czym skinął głową. - Płuca wydają się czyste, a serce wygląda na mocne. Kjell, być może najgorsze już za nami. Znowu zaczęła walczyć o życie.

Właśnie to Kjell pragnął usłyszeć. Ale nadal dręczyły go wątpliwości.

- Dlaczego więc się nie budzi? Lekarz pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie. Nigdy nie da się do końca przewidzieć, jak zachowa się ludzkie ciało. Kiedy już myślisz, że wszystko masz pod kontrolą, nagle pojawia się kolejny symptom czy problem. Poza tym wiele zależy od pacjenta.

Doktor Ensign zakończył badanie, a następnie dał Kjellowi znak, żeby wyszedł z nim z sali.

- Kapitan Briar czeka na dole. Powiedział, że chciałby z tobą porozmawiać, kiedy będziesz miał czas.

- Mówił, czy znaleźli Sidorowów albo Daltona?

- Nie. Pojawił się chwilę przed tym, jak tu przyszedłem, i zapowiadał, że poczeka na dole w moim gabinecie. Moja

żona zrobiła ci kawę. Kiedy skończysz z nim rozmawiać, przyjdź do nas na śniadanie.

Kjell ruszył na dół i wszedł do niewielkiego gabinetu. W środku czekał kapitan Briar, który stał w dość oficjalnej pozie przy oknie.

- Chciałeś się ze mną widzieć?

Mężczyzna odwrócił się i skinął głową. Miał poważny wyraz twarzy.

- Proszę, usiądź.

Kjell czuł się tak, jakby wokół jego szyi powoli zaciskała się pętla. Oparł się o najbliższe krzesło, ale nie zdecydował się usiąść.

- O co chodzi? Widzę, że coś się stało.

- Owszem. Obawiam się, że sprawy nie wyglądają najlepiej. Moi ludzie odnaleźli chatę, w której ukrywali się Si-dorowowie. Jest nad wodą i... - Zamknął usta, jakby nie potrafił powiedzieć nic więcej.

- Mów. Muszę wiedzieć, co znaleźliście.

Kapitan Briar odchrząknął i wahał się jeszcze przez chwilę.

- Znaleźliśmy Anatolija Sidorowa. Jego ciało zostało wyrzucone na brzeg razem ze szczątkami niewielkiej łodzi i innymi rzeczami.

- Jakimi innymi rzeczami?

- Były tam ubrania. Dziecięce.

- Nie. Mylisz się. Kapitan podszedł do Kjella.

- Nie odnaleźliśmy dziecka, ale przypuszczamy... to znaczy... ponieważ łódka została zniszczona... no cóż, to tylko kwestia czasu.

- Kwestia czasu? Co masz na myśli? - Kjell słyszał przerażenie w swoim głosie i z góry znał odpowiedź na te pytania.

- Sądźmy, że oni wszyscy utonęli w czasie burzy - odpowiedział kapitan Briar, który chwycił swojego rozmówcę za ramię. - Ponieważ ciało Anatolija zostało wyrzucone na brzeg, mamy nadzieję, że to samo stanie się z pozostałymi szczątkami.

Kjell potrząsnął głową.

- Mylisz się. Musisz się mylić. Mój syn nie mógł umrzeć.

- Przykro mi. Nie sądzę, żeby zdołał to przeżyć. Nawet jeśli Sidorowowie zamierzali go zabrać do Graya, tak jak sugerowałeś, najwidoczniej pokonała ich burza. Sam wiesz, że to była jedna z najgorszych burz, z jakimi mieliśmy tu do czynienia. Musieli się roztrzaskać o skały.

Kjell opadł na krzesło i ukrył głowę w dłoniach. Jak kiedykolwiek zdoła powiedzieć Lydii, że jej syn nie żyje? Gdyby był z Grayem, istniałaby przynajmniej nadzieja, że żyje i można go odzyskać.

Zadrżały mu ramiona i zaczął łkać. „Boże? Gdzie jesteś? Dlaczego nas to spotkało? Jak mamy przetrwać?”.

Kapitan stał u boku Kjella, trzymając rękę na jego ramieniu. Nic nie mówił, nie próbował go pocieszać - nie znajdował odpowiednich słów. Zresztą nic, co mógłby powiedzieć, nie nadałoby jakiegokolwiek sensu temu, co się wydarzyło.

Kjell pomyślał o małym chłopczyku i o swojej miłości do tego dziecka. „Mimo że to nie moja krew, Dalton jest przecież moim synem”.

Zerelda czekała przed gabinetem. Kiedy Kjell wyszedł, zrozumiała, że nie przyniósł dobrych wieści. Jego zaczerwienione oczy wskazywały na to, że wydarzyło się najgorsze.

- Znaleźli Daltona? - zapytała zbyt przerażona, żeby zadać pytanie, które chodziło jej po głowie.

Kjell objął ją, a później posadził na drewnianym krześle. Usiadł obok.

- Nie. Jeszcze nie.

Nadzieja odżyła w sercu Zereldy.

- To dlaczego jesteś taki smutny? Myślałam, że...

- Znaleźli Anatolija Sidorowa i... i... szczątki.

- Szczątki?

Kjell spojrział jej w oczy i kiwnął głową.

- Burza roztrzaskała łódź. Na brzeg wypłynęły jej szczątki, a także ciało Anatolija. Znaleziono też kilka rzeczy, które należały do Daltona.

Przyłożyła rękę do ust i pokręciła głową z niedowierzaniem. W głębi serca wiedziała, co Kjell usiłował jej powiedzieć, ale nie potrafiła sobie wyobrazić, że to mogła być prawda.

- Kapitan Briar uważa, że z czasem znajdą się też ciała Iwana i Daltona. Sądzi, że wszyscy utonęli.

Oczy Zereldy napęłniły się łzami. Kobieta dalej kręciła głową. Nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Dalton nie mógł przecież umrzeć. Po prostu nie mógł.

Kjell przyciągnął ją do siebie i mocno przytulił. Wtedy się poddała. Zaczęła cicho łkać w jego ramionach. „Boże, błagam cię, spraw, żeby to nie była prawda. To tylko dziecko. Błagam cię, Boże”.

## Rozdział 254

Evie zeszła na dół. Planowała wziąć udział w spotkaniu Stowarzyszenia Sierot i Wdów Kansas City, gdzie wspólnie z innymi paniami z towarzystwa miała się przy wykwintnym poczęstunku zastanawiać, jak najlepiej pomóc potrzebującym.

Wezwała powóz i pozwoliła kamerdynerowi podać sobie płaszcz. Zapinała właśnie guziki, kiedy Thomas, przechodząc przez hol, zauważył ją.

- Moja droga, dokąd się wybierasz w to chłodne popołudnie?

- Idę na spotkanie dla wdów i sierot. Pamiętasz? Mówiłam ci o tym dziś rano przy śniadaniu.

Przez chwilę rozważał jej słowa.

- Rzeczywiście. - Skinął do niej, wyraźnie niezainteresowany, po czym zwrócił się do kamerdynera: - Miles, nie zapomnij sprowadzić mi powozu na jedenastą.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedział mężczyzna, oschle kiwając głową.

Evie włożyła rękawiczki.

- Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, że będę w domu później, po drugiej.

- Doskonale, proszę pani. - Otworzył jej drzwi. - Czy mam odprowadzić panią do powozu?

- Nie, dziękuję, Miles. Poradzę sobie.

Kiedy wyszła, poczuła na twarzy podmuch zimnego powietrza i odruchowo osłoniła się płaszczem. Stangret

otworzył drzwi powozu i pomógł jej wsiąść. Usiadła na skórzanej kanapie, nie podnosząc głowy, i nawet w środku nie zdecydowała się na opuszczenie kołnierza. Służący zamknął drzwi.

- Mogę cię rozgrzać - szepnął jakiś głos.

Zaskoczona podniosła głowę i naprzeciw siebie zobaczyła Traytona Payne'a, który błyskawicznie zajął miejsce obok niej. Powóz tymczasem ruszył.

- Co ty tu robisz? - Powaga na jego twarzy ustąpiła miejsca rozbawieniu. Przyciągnął ją do siebie.

- A jak myślisz? - Uniemożliwił jakąkolwiek odpowiedź, całując ją w usta.

Z początku Evie próbowała go odepchnąć, ale Trayton na to nie pozwolił. Objął ją tylko mocniej i zaczął obsypywać pocałunkami jej twarz i ucho.

- Tęskniłem za tobą - szepnął.

- Przestań - poprosiła, chociaż nie zabrzmiało to szczególnie przekonująco.

- Tak naprawdę wcale nie chcesz, żebym przestał - odpowiedział rzeczowo.

Evie wiedziała, że Trayton ma rację. Najgorsze było to, że doskonale zdawał sobie sprawę, co czuła. Nie chciała, żeby przestawał. Była zachwycona jego dotykem, uwagą, którą jej poświęcał.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. - Delikatnie dotknął kosmyka jej włosów. - Najpiękniejszą i najbardziej inteligentną. Większość kobiet nie może się poszczycić obiema tymi cechami. Niektóre nie mają żadnej z nich. To niesamowite, że w tobie łączą się oba te przymioty.

- Dlaczego tu jesteś? - zapytała tak cicho, że ledwie było ją słyszeć.

- Słyszałem, że masz dziś wyjść. Wślizgnąłem się do powozu, kiedy stangret był czymś zajęty. - Rozluźnił nie

co uścisk i szeroko się uśmiechnął. - Nie cieszysz się, że to zrobiłem?  
Nie wyrwała się z jego objęć. Przez chwilę zamierzała skłamać, ale po chwili pokręciła głową.

- Żałuję tylko, że nie mogę odpowiedzieć na twoje zainteresowanie. -  
Natychmiast odwróciła wzrok, rozumiejąc, że już i tak powiedziała za dużo. Zawstydzona, pospiesznie zmieniła temat, ale dokonała złego wyboru.

- Strasznie dziś zimno.

- Mogę cię rozgrzać - powiedział, chichocząc. Trayton sięgnął po koc i powoli go rozłożył, nachylając się, żeby starannie ją opatulić.

Bliskość jego ciała sprawiła, że Evie zadrżała. To było czyste szaleństwo. Miała męża i mimo że Thomas nie okazywał jej żadnego zainteresowania ani czułości, ludzie z towarzystwa i tak krzywo patrzyli na cudzołóstwo. Oczywiście nie w przypadku mężczyzn - dotyczyło to wyłącznie kobiet. Kobieta mogła być równie samotna i spragniona miłości jak ona, a mimo to jej romans z innym mężczyzną wywołałby skandal. Poddano by ją ostracyzmowi, została by odrzucona - a jej jedyną winą byłoby to, że chciała się czuć kochana. No cóż, może nie jedyną.

- Mam wrażenie, że błądzisz myślami gdzieś daleko. Muszę się bardziej starać, żebyś skupiała się na mnie - powiedział Trayton, obejmując ją.

Jakaś mała jej część chciała z nim walczyć - odmówić i poprosić, żeby dał jej spokój. Ale jedno spojrzenie w te ciemne oczy wystarczyło, żeby Evie straciła nadzieję. Została uwiedziona i czuła się bezradna. Nie potrafiła się powstrzymać.

- Mam wspaniały pomysł. Thomas zamierza mnie wysłać do Chicago w interesach. Pojedziesz ze mną? Mogę służyć ci za przyzwoitkę i dzięki temu będziemy razem, nie martwiąc się o czujne oczy i długie języki.



Umysł Evie w jednej chwili zalały tysiące myśli.

- Jak wyjaśniłabym mężowi wyjazd do Chicago?

- Przecież uwielbiasz podróżować i czujesz się znudzona. Jest zima i chciałybyś mieć jakąś rozrywkę. Jeśli dobrze to rozegramy, zapytasz go w mojej obecności, a ja - niby przypadkiem - zasugeruję, żebyś pojechała ze mną.

- Sama nie wiem. - Evie przyłożyła rękę do głowy. To wszystko posuwało się naprzód zdecydowanie za szybko.

- Och, Evie, zasługujesz na dużo więcej niż to, co daje ci Thomas. Widzę, jak cię ignoruje. Widzę smutek w twoich oczach, kiedy mija cię, nawet nie podnosząc wzroku.

- Naprawdę? - zapytała z niedowierzaniem. Pogłaskał jej policzek.

- Tak. Widzę to i dużo więcej. Jego nie obchodzi przecież nikt i nic poza pieniędzmi. W ogóle nie rozumie twoich potrzeb.

- I myślisz, że ty je rozumiesz? Uśmiechnął się szeroko.

- Wydaje mi się, że ty możesz to ocenić najlepiej. Na przykład, czy to odpowiada na twoje potrzeby? - Znowu ją pocałował.

Evie zadrżała pod jego dotykiem. Przyciągnął ją do siebie, a ona mu nie przeszkodziła. Wtulona w jego ramiona, przestała myśleć racjonalnie. Była tylko ta chwila i Trayton. Nic innego się nie liczyło.

Kjell szedł przed siebie po Lincoln Street i zastanawiał się rozpaczliwie, jak powiedzieć Lydii o tym, co spotkało Daltona. Jego żona nadal nie odzyskała przytomności, ale lekarz dostrzegał kolejne znaki, które wskazywały, że niedługo się obudzi. Żołnierze nie odnaleźli już żadnych szczątków

łodzi ani ciała Iwana czy dziecka, ale byli przekonani, że zostali oni raz na zawsze utraceni. Kapitan Briar nie widział potrzeby wysyłania telegramów do władz Kansas City, bo żadne dowody nie potwierdzały udziału Marstona Graya w tych tragicznych wydarzeniach.

Zaczął padać lekki deszcz, a Kjell ruszył z powrotem w stronę szpitala. Niebo było ciemnopopielate i wyglądało na to, że taka pogoda utrzyma się przez cały dzień. Gęste, szare chmury pogłębiły tylko smutek Kjella

- Tutaj jesteś - powiedziała Zerelda, kiedy wszedł do szpitala. - Udało ci się załatwić wszystko w tartaku?

Kjell powiedział jej wcześniej, że idzie do tartaku wystawić kilka faktur, ale tak naprawdę nawet tam nie dotarł.

- Straciłem poczucie czasu i w końcu tam nie poszedłem - przyznał. - Co lekarz powiedział o twojej ranie?

- Mówił, że mam twardą głowę i że nic mi nie będzie. - Wzięła go za rękę. - Pojadę do domu i przygotuję porządną kolację. O której zamierzasz wrócić?

Rozejrzał się i pokręcił głową.

- Nie wiem, Zee. Nie lubię zostawiać Lydii.

- Wiem. Po prostu przyjedź na kolację, a potem tutaj wrócisz.

Kjell spojrzał w stronę schodów.

- Może tak zrobię.

Zerelda wyciągnęła dłoń i złapała go za ramię.

- Co się dzieje? Pokręcił głową.

- Nie wiem, jak powiedzieć Lydii o Daltonie. - Kjell spojrzał jej w oczy. - Po prostu nie wierzę, że on nie żyje. Wojsko nie odnalazło żadnego rozstrzygającego dowodu. Jestem przekonany, że za tym wszystkim stoi Gray.

- Ale jak mógłbyś to udowodnić? - zapytała Zee. - Jak uparcie trwać przy nadziei, skoro nie ma dowodu na to, że Dalton jeszcze żyje?

- Właśnie dlatego musimy się upewnić.

- W jaki sposób?

Kjell wyprostował ramiona.

- Nie mam pewności, ale...

- Kjell! Zerelda! - Doktor Ensign zawołał ich ze szczytu schodów. - Chodzi o Lydię. Ona właśnie się budzi.

Kjell wbiegł po schodach, przeskakując kolejne stopnie. Kompletnie zapomniał o Zereldzie, minął lekarza i wpadł do sali. Zobaczył kręcącą się na łóżku Lydię i natychmiast znalazł się u jej boku.

- Liddie? Kochanie, jestem tu. Mów do mnie - poprosił. Lydia powoli otworzyła oczy i kilka razy zamrugła.

Spojrzała na niego zdziwiona, wyraźnie zdezorientowana.

- Wody - wychrypiała.

Kjell sięgnął po dzbanek i nalał jej szklanekę.

- Proszę, pomogę ci. - Otoczył jej głowę ramieniem i lekko ją uniósł, żeby mogła się napić. Skrzywiła się z bólu, ale nic nie powiedziała.

Po chwili dołączyli do nich Zerelda i doktor Ensign. Kiedy Kjell opuścił Lydię z powrotem, zaczęła przenosić wzrok od jednego z nich do drugiego.

- Gdzie... gdzie jestem?

- W szpitalu - odpowiedział lekarz, podchodząc do niej. - Jak się czujesz?

- Boli mnie - powiedziała, dotykając miejsca, w którym ramię łączyło się z jej szyją. - Co się stało?

Kjell i doktor Ensign wymienili spojrzenia. Kjell poczuł niepokój.

- Co pamiętasz? - zapytał. Lydia pokręciła głową.

- Niczego nie pamiętam.

Na jej twarzy pojawił się grymas, ale Kjell nie miał pewności, czy wynikał on z dezorientacji, czy z bólu. Wyciągnął dłoń i wziął Lydię z rękę.

- Wszystko w porządku, Liddie. Na razie niczego nie musisz sobie przypominać.

Spojrzała na ich splecione dłonie i przeniosła wzrok na twarz Kjella.

- Kim jesteś?

Kjell spojrzał na Zereldę, a potem na lekarza. Poczł, że serce mu się ścisnęło.

- Jak to... przecież wiesz, kim jestem.

Lydia wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem odwróciła się w stronę Zereldy i doktora Ensigna.

- Nie znam żadnego z was. Lekarz zmarszczył brwi.

- Nie znasz swojej ciotki... męża?

- Męża? - Lydia przyglądała się Kjellowi. - Jesteś moim mężem?

- Tak. - Kjell ledwo mógł coś z siebie wydusić. Zerelda podeszła bliżej.

- Kochanie, nie pamiętasz, kim jesteś?

Lydia zdawała się przez chwilę rozważać to pytanie, po czym pokręciła głową.

- Nie. - Zmarszczyła brwi i wyrwała dłoń z uścisku Kjella. - Nie mam pojęcia. - Usiłowała się podnieść na łóżku.

- Nie rób tego - ostrzegł doktor Ensign. - Rozerwiesz szwy i znowu zaczniesz krwawić.

- Nie chcę tu być. Nie wiem, co się stało. - W głosie Lydii pojawił się strach. - Co mi jest?

- Była burza i zostałam ranna - wytłumaczył łagodnie lekarz. - Przywieziono cię do szpitala. Obrażenia i szok, który przeżyłaś, musiały spowodować chwilową utratę pamięci. Nie bój się, to się czasem zdarza.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Doktor Ensign. Opiekowałem się tobą. Wydawało się, że przyjęła tę informację i kiwnęła głową,

po czym przeniosła wzrok na Zereldę.

- A ty... jesteś moją ciotką?
- Tak, chociaż stałaś się dla mnie raczej córką.
- A gdzie jest moja matka?

Zerelda przygryzła dolną wargę i zerknęła na lekarza. Kjell zobaczył, że mężczyzna kiwnął głową, zachęcając ją do odpowiedzi.

- Twoja matka zmarła dawno temu.
- Nie żyje? - zapytała Lydia, zakrywając dłonią oczy. -Dlaczego nic nie pamiętam?

- Nie martw się, dziecko. Widziałem już takie przypadki. Z czasem wszystko minie. A teraz musisz odpoczywać. - Doktor Ensign dał Zereldzie i Kjellowi znak, żeby poszli za nim. - Zaraz przyślę sanitariusza, żeby przyniósł ci coś na uspokojenie.

Lydia nie odpowiedziała. Wpatrywała się w Kjella, który czuł na sobie jej wzrok, kiedy wychodził z sali. Chciał jednocześnie szlochać z rozpaczy i krzyczeć z radości. Lydia żyła i odzyskała przytomność. To cud, że w ogóle przeżyła napad. Ale straciła pamięć. Nie poznawała go, nie zdawała sobie sprawy, że go kochała ani że on kochał ją.

Szli w milczeniu do gabinetu doktora Ensigna. Kiedy już usiedli, lekarz zabrał głos dopiero po kilku minutach.

- Umysł ludzki jest niezwykle delikatnym mechanizmem - wyjaśnił. - Czasem nie radzi sobie z szokiem. Okoliczności napadu, nie wspominając już o utracie krwi, wystarczą, żeby mózg... no cóż, przestał funkcjonować tak jak wcześniej. Niewiele wiemy o tym, jak działa ludzki umysł, ale - tak jak mówiłem - widziałem już takie przypadki.

- Co można w tej sytuacji zrobić? - zapytał Kjell.
- Nic. Musimy uważać, żeby nie spotkały jej kolejne wstrząsy. Nie możemy się niecierpliwić tym, że ona niczego nie pamięta ani siłą wprowadzać w nią wiedzy o przeszłości.

Kjell wpatrywał się w deski drewnianej podłogi. Czuł się tak, jakby był na łodzi, która nagle zaczęła tonąć. Woda wdzierała się na pokład i miała zaraz ją zatopić, a on nie wiedział, jak to powstrzymać - jak to wszystko naprawić.

- Musimy szczególnie uważać na jedną rzecz - mówił dalej lekarz. - Nie należy wspominać o dziecku. Obawiam się, że w tak delikatnym stanie sprawiłoby to, że w ogóle postradałaby zmysły. Wątpię, żeby zdołała teraz znieść prawdę.

Zerelda skinęła głową i wzięła Kjella za rękę.

- Może powinniśmy potraktować to jako ukryte błogosławieństwo. To da nam i Lydii czas.

Kjell nie potrafił dłużej panować nad gniewem.

- Czas na co? Jaką w ogóle możemy dać jej nadzieję? Twarz starszej kobiety złagodniała.

- Czas na uleczenie ran. Nie da się wykluczyć, że Lydia nigdy nie przypomni sobie o nas czy o dziecku, ale ma szansę poznać nas na nowo. Dotąd żyła ze wspomnieniami o niezwykle bolesnej przeszłości. Może to lepiej, że nie będzie już jej pamiętała. Może to dar od Boga.

- Co to za dar? Pozwala, żeby zostało jej odebrane nie tylko dziecko, ale jeszcze pamięć. - Kjell nie mógł powstrzymać goryczy. Wstał. - Nie jestem w stanie tu dłużej siedzieć.

Wypadł z pokoju i szybko wyszedł ze szpitala. Nie miał pojęcia, dokąd iść, ale na razie musiał dokądś uciec. Jego obecność nie dodawała Lydii otuchy. Znowu nie mógł w żaden sposób pomóc.

Lydia usiłowała odzyskać kontrolę nad własnym umysłem. Niezależnie od tego, jak bardzo się starała, nie wracały do

niej żadne wspomnienia. Czowała się samotna i przestraszona. Rany sprawiły, że była osłabiona i obolała, ale pustka, która panowała w jej umyśle, całkowicie ją przytłoczyła.

- Kim jestem? Dlaczego niczego nie pamiętam?

Do pokoju weszła kobieta, która kazała nazywać się Ze-reldą. Podchodząc do łóżka, uśmiechnęła się.

- Nie przeszkadzam ci?

Lydia wpatrywała się w nią, usiłując przypomnieć sobie cokolwiek związanego z osobą, na którą właśnie patrzyła.

- Czy mogę posiedzieć tu i porozmawiać z tobą kilka minut?

- Tak. Oczywiście.

- Wiem, że jesteś teraz zdezorientowana, pewnie też przestraszona. Ja na pewno bym się tak czuła, gdybym nie pamiętała, kim jestem i kim są wszyscy wokół mnie.

- To przerażające. Mam świadomość, że powinnam pamiętać to wszystko, że powinnam cię rozpoznawać... ale nie mogę.

Kobieta miała tak współczujący wyraz twarzy, że Lydia natychmiast poczuła spokój. Ta osoba najwyraźniej bardzo się o nią martwiła - tyle jeszcze potrafiła wyczuć.

- Opowiedz mi o mojej przeszłości. O mnie i o sobie.

- No cóż, jestem twoją ciotką. Nazywam się Zerelda Rockford, niektórzy mówią na mnie Zee. Jestem siostrą twojego ojca.

- A co się stało z moim ojcem?

Lydia wyczuła, że to pytanie wybiło kobietę z rytmu.

- Czy on też zmarł? Tak jak moja matka? Zerelda skinęła głową.

- Tak. Prawie rok temu.

- W jaki sposób?

Kobieta znowu przestąpiła z nogi na nogę i wydawała się ważyć słowa.

- Doszło do wypadku powozu. Został ranny i niedługo potem zmarł. Wkrótce przeniosłaś się tu i zamieszkałaś ze mną. Pamiętasz cokolwiek z przeprowadzki?

Lydia zastanawiała się przez chwilę.

- Nie. Nic nie przychodzi mi do głowy.

- No cóż, w każdym razie jesteś teraz w Sitce na Alasce. Mieszkamy na wyspie, na północnym zachodzie. To prawdziwe odludzie. Zgodnie ze standardami większości amerykańskich miast Sitka to tylko niewielka osada, ale jak na normy panujące na Alasce, jest naprawdę duża.

- Mam jeszcze jakąś rodzinę oprócz ciebie?

Zerelda nie zdołała ukryć zaskoczenia. Lydia domyśliła się, że chodzi o mężczyznę, który był tu wcześniej.

- Wiem, że jestem żoną tego... tego... mężczyzny.

- Tak, Kjella Lindquista. - Lydia zobaczyła, jak twarz kobiety się rozświetliła. - To dobry człowiek i bardzo go kochałaś. Stanowiliście idealną parę.

- A więc byliśmy szczęśliwi?

- Och tak, bardzo szczęśliwi i zakochani - roześmiała się Zerelda. - Jesteście małżeństwem dość krótko, dopiero od listopada zeszłego roku. Kjell martwił się tak bardzo, że nie chciał ani na moment odejść od twojego boku.

Lydia zastanawiała się nad tym przez chwilę. Ten mężczyzna wyglądał na bardzo dobrego człowieka i patrzył na nią z prawdziwą troską. Najwyraźniej naprawdę ją kochał, skoro spędził tyle czasu, czuwając w szpitalu.

- Jak się poznaliśmy?

Zereldę najwyraźniej rozbawiło to pytanie.

- Kiedy tu przyплыnęłaś, byłaś wyczerpana. Podróż sprawiła... że miałaś chorobę morską... i... no cóż, nie miałaś na nic siły. Przeszłaś kawałek nabrzeżem, po czym nagle zemdlałaś, wpadając w ramiona Kjella. Kiedy odzyskałaś przytomność, wytłumaczyłaś, kim jesteś i powie-



działał mu, że mnie szukasz. Kjell mnie znał i zawiózł cię do mojej chaty.

Lydia próbowała chłonąć te informacje, ale to było dla niej za dużo. Zamiast ją uspokajać, wszystko to pogłębiało tylko jej frustrację. Dlaczego nic nie pamiętała?

- Powinnam chyba trochę odpocząć. Zerelda pogłaskała ją po dłoni.

- Tak, to na pewno dobrze ci zrobi. Pamiętaj tylko, że cię kocham, Liddie. Kocham cię całym sercem i nigdy nie przestanę. Z Bożą pomocą uda nam się z tego wszystkiego wyjść.

Lydia skinęła głową.

- Na pewno masz rację. - Ale kiedy jej ciotka wyszła, ogarnęły ją wątpliwości. A jeśli nigdy nie przypomni sobie przeszłości? Czy kiedykolwiek powrócą do niej wspomnienia o mężu i o ich miłości?

A gdyby ich nie odzyskała, czy mogła dalej być jego żoną?

## Rozdział 24

Ostatecznie to nie Evie ani Trayton zasugerowali podróż do Chicago - zrobił to sam Thomas. Evie nie mogła uwierzyć, kiedy jej mąż poruszył ten temat.

- Moja droga, ostatnio wydajesz się dość melancholijna - oznajmił, kiedy podniosła głowę znad książki. Trayton i Thomas weszli właśnie do biblioteki, jakby mieli jakieś ważne sprawy do załatwienia.

- Nic mi nie jest - odpowiedziała, nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby dodać.

- No cóż, przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł. Wysłałam Traytona do Chicago. Myślę, że dobrze by ci zrobiło, gdybyś z nim pojechała. W tym cudownym mieście znajdziesz całą masę rozrywek. Kilkudniowa podróż na pewno ci nie zaszkodzi, a gdyby Trayton dotrzymywał ci towarzystwa, nie musiałbym się martwić o twoje bezpieczeństwo.

Evie zerknęła na sekretarza swojego męża i poczuła, że serce zabiło jej mocniej. A on uśmiechał się znacząco, jakby miał świadomość, że nie potrafiła mu się oprzeć.

- Trayton zapewnił mnie, że taki układ by mu nie przeszkadzał. To dobry człowiek, prawdopodobnie najlepszy ze wszystkich moich pracowników.

Evie głośno przełknęła ślinę. Nie mogła nic z siebie wykrztusić. Patrzyła zdezorientowana to na męża, to na jego sekretarza. Nadal czuła dotyk ust Traytona na swoich ustach i zapach jego wody kolońskiej.

Młody mężczyzna spojrzał jej w oczy z nieskrywaną namiętnością. Evie miała ochotę się odwrócić, ale nie mogła.

Thomas skoncentrował się tymczasem na stercie dokumentów.

- Zajmę się wszystkimi przygotowaniem. Dopilnuję, żeby towarzyszyły ci też dwie z twoich służących. A teraz uciekaj, kochanie, i zajmij się pakowaniem.

Jego głos przerwał marzenia o Traytonie i Evie wstała.

- Nie sędzę... chyba... nie powinnam jechać. Moja siostra źle się ostatnio czuła i muszę zostać blisko domu, na wypadek gdyby mnie potrzebowała. - Evie wiedziała, że Jeannette po prostu się przeziębiła, ale uznała to za dobrą wymówkę.

- Nonsens - odpowiedział Thomas, nie zadając sobie nawet trudu, żeby podnieść głowę znad papierów. - Twojej siostrze nic nie jest, a ty wrócisz najpóźniej za dwa tygodnie. A teraz idź się pakować.

Evie przeszła przez pokój, jakby była pod wpływem jakiegoś uroku. Czuła się bezradna i nie umiała nic zrobić, żeby odzyskać kontrolę nad całą sytuacją. Kiedy mijala Traytona, mężczyzna wyciągnął dłoń i dotknął jej palców. Odsunęła rękę jak oparzona, a on uśmiechnął się rozbawiony.

Ta sytuacja zdawała się absurdalna. Evie była gotowa poprosić męża o zgodę na wyjazd z Traytonem do Chicago, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego taka propozycja wyszła od samego Thomasa. Dlaczego w ogóle wspomniał o wyjeździe? Czy naprawdę wyglądała na melancholijną? A nawet gdyby tak było, odkąd to Thomas zwracał na takie rzeczy uwagę?

Przeszedł ją dreszcz na myśl o tym, że znajdzie się sam na sam z Traytonem. Jakaś jej część bardzo tego pragnęła, inna zaś niepokoiła się o moralny aspekt tej podróży. Religia nie była najważniejszym elementem wychowania, które

odebrała, ale mimo to czuła, że cudzołóstwo jest grzechem. Tak naprawdę jednak nie była co do tego przekonana. Od dziecka żyła w rzeczywistości, w której jej ojciec i bracia narzucali własne reguły, a moralności nigdy nie uważano w jej domu za istotny czynnik - chyba że przynosiła korzyści finansowe.

Rozkładając dużą walizkę, Evie zdała sobie sprawę, że nie wie, kiedy mają wyjechać. Thomas nakazał jej tylko się spakować i nie powiedział nic więcej. Głęboko odetchnęła i wróciła do biblioteki. Miała nadzieję, że tym razem Tray-ton zachowa się rozsądniej i ją zignoruje.

Zamierzała właśnie otworzyć drzwi, kiedy zatrzymała się, słysząc gromki śmiech swojego męża.

- Jeśli ją zapłodnisz - oznajmił Thomas - dam ci premię w wysokości tysiąca dolarów.

Wybałuszyła oczy, a Thomas mówił dalej:

- Już i tak krąży zbyt wiele pogłosek na mój temat, a dziecko - albo najlepiej dwójka - uciszyłoby wszelkie takie plotki.

- Ale dlaczego nie zajmie się pan tym samodzielnie? -zapytał Trayton.

Thomas znowu się roześmiał.

- Bo nie jestem zainteresowany... nią. Ożeniłem się z Genevieve tylko ze względu na majątek jej ojca i na koneksje, które się z tym wiązały. Kiedy Gray zginął, zupełnie straciła dla mnie wartość. Nie mogę się z nią rozwieść, bo ryzykowałbym utratę własnego spadku. Gram więc dalej w tę grę. Zapewniłem jej doskonale warunki życia, a teraz, z twoją pomocą, otrzyma miłosne uniesienia, których tak bardzo pragnie. Dalej będę ci dobrze płacił, ale te pieniądze muszą zagwarantować też twoje milczenie i dyskrecję.

- Ależ oczywiście - odpowiedział Trayton. - Nie ośmieliłbym się narazić na szwank państwa reputacji.

Evie nie mogła dłużej słuchać tej rozmowy. Cofnęła się. Nigdy w życiu nie czuła się do tego stopnia zdradzona, wykorzystana. Traytonowi nie zależało na niej. Odgrywał po prostu swoją rolę. Jej własny mąż wynajął go, żeby ją uwiódł.

Wbiegając po schodach, prawie przewróciła gospodynię. Nawet jej nie przeprosiła, tylko pomknęła dalej, żeby schronić się w zaciszu swojej sypialni. Zatrzasnęła za sobą drzwi i poczuła, że do oczu napłynęły jej ciepłe, szczypiące łzy.

„Co za bezczelność! Jak on śmie robić mi coś takiego? Jak oni mogą?“. Rzuciła się na łóżko.

To było straszne, niesprawiedliwe i okrutne. Niemal oddała duszę i ciało człowiekowi, którego obchodziły wyłącznie pieniądze jej męża. Zrobiło jej się niedobrze. „Jak mogłam się okazać tak głupia? Jak mogłam dać się do tego stopnia oszukać Traytonowi Payne'owi?“.

Nienawidziła się. Nienawidziła się za to, że samotność i tęsknota za miłością niemal odebrały jej rozsądek. Uderzając pięściami w materac, Evie miała ochotę krzyczeć. Powstrzymała się jednak. Wiedziała, że nie może się z niczym zdradzić. Czuła zbyt duży wstyd.

Kiedy nadszedł wieczór, nie zeszła na kolację. Zamiast tego poprosiła służącą, żeby pomogła jej się przebrać i położyć do łóżka.

- Powiedz panu Gadstonowi, że źle się poczułam. Przekaż mu, że nie będę mogła jechać do Chicago.

- Oczywiście, proszę pani - powiedziała dziewczyna, głęboko się kłaniając.

Evie szybko się przebrała i kiedy służąca wyszła, zamknęła się w sypialni na klucz, tak żeby nikt - a w szczególności podstępny Trayton - nie mógł wejść do jej pokoju.

Długo leżała, nie mogąc się uspokoić, zastanawiając się, co powinna zrobić. Wiele razy chciała poprosić Thomasa,

żeby oddał jej wolność - żeby unieważnił ich małżeństwo ze względu na to, że nigdy nie zostało skonsumowane. Wiedziała jednak, że nigdy by się na to nie zgodził. Żaden mężczyzna nie chciałby przyznać, że nie wywiązał się z obowiązków męża. Ale teraz Evie miała w ręku coś, czym mogła go szantażować. A gdyby wyjawiała jego tajemnice całemu światu i wyznała wszystkim, w jaki sposób spiskował z Traytonem?

Ale gdyby Trayton skłamał? Gdyby po prostu ją wyśmiał i nazwał szaloną? Evie pokręciła głową. Thomas z całą pewnością słono by mu zapłacił za to, żeby trzymał język za zębami.

„Jestem w pułapce. Naprawdę jestem w pułapce. - Ogarnęła ją rozpacz, oddychała z coraz większym trudem. - Co ja mam teraz zrobić?”.

## Rozdział 25

MARZEC 1871 ROKU

To piękny dom - oznajmiła Lydia. - Cieszę się, że czułaś się już z nami wystarczająco swobodnie, żeby wrócić tu ze szpitala - powiedziała Zerelda. - Zresztą pewnie po spędzeniu tam ponad miesiąca każde miejsce wydaje się przyjemniejsze.

Kjell patrzył, jak jego żona ogląda ich wspólny dom. Obeszła salon, przyglądając się rozmaitym bibelotom - niektóre z tych rzeczy kupiła sama po przybyciu do Sitki, ale większość należała do Zereldy.

Lydia podeszła do fotela stojącego przy kominku i dotknęła dłonią jego oparcia.

- Zawsze lubiłam fotele bujane.

Ta uwaga zaskoczyła wszystkich. Nawet Lydia podniosła głowę, wstrząśnięta swoimi słowami.

- Nie mam pojęcia, skąd to wiem, ale taka myśl nagle przyszła mi do głowy. Jestem przekonana, że to prawda. -Wydawała się podekscytowana, a Kjell nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- To prawda - zapewnił. - Zawsze lubiłaś kołysać się na nim przy kominku, patrząc w ogień.

Znowu się uśmiechnęła.

- Co jeszcze lubię? Zerelda roześmiała się.

- No cóż, może wspomnienia powrócą, kiedy zaczniesz normalnie żyć. Lubisz naprawdę wiele rzeczy.

- Co najchętniej jadam? - zapytała Lydia, patrząc to na ciotkę, to na męża.

- Zawsze uwielbiałaś brzoskwinie. Tutaj rzadko można je dostać, bo zbyt szybko się psują na statku. Ale czasem piekłam ci placek z brzoskwiniami z puszki i twierdziłaś, że jest wyśmienity.

- Brzoskwinie - powtórzyła Lydia, jakby rozważała prawdziwość tych słów.

- Poza tym lubisz pieczeń z sarniny - dodał Kjell - i świeży chleb.

- To prawda - powiedziała Zerelda. - Uwielbiasz go jeść, kiedy jest jeszcze ciepły, prosto z pieca.

- Nie mogę się doczekać, aż odzyskam pamięć. Doktor Ensign zapewniał mnie, że nie widzi powodu, dla którego wspomnienia nie miałyby stopniowo powrócić.

Kjell przyglądał się, jak jego żona krążyła po pokoju. W pewnym momencie stanęła i spojrzała na futerał ze skrzypcami. Wpatrywała się w niego przez chwilę, przekrzywiając głowę. Wszyscy milczeli. Kjell wiedział, jak ważne jest, żeby samodzielnie spróbowała przypomnieć sobie ukochany instrument.

- To moje?

- Tak - odpowiedziała Zerelda. Podeszła do bratanicy. -Od dziecka grałaś na skrzypcach.

Lydia odwróciła się i spojrzała na ciotkę.

- Myślisz, że sobie coś przypomnę, jeśli spróbuję zagrać?

- To na pewno możliwe.

Lydia uklękła i sięgnęła po futerał, ale po chwili zamarła - ostatecznie nie dotknęła nawet instrumentu i wstała.

- Chyba z tym zaczekam. Tak bardzo się cieszę, że przypomniałam sobie fotel bujany... Nie chciałabym zepsuć tego momentu tym, że nie będę pamiętała, jak zagrać.



Kjell uznał, że to rozsądna decyzja. Zastanawiał się, czy do Lydii powróci jej pasja. Wiedział, że muzyka często odnajduje ludzi w niespodziewany sposób, że jest jak most łączący serce z umysłem, pozwalający wyrazić to, czego nie mogą wyrazić słowa.

- Chcesz zobaczyć, co jest na górze? Mamy tam dwie sypialnie.

Lydia skinęła głową.

- Tak, pokaż mi.

Zerelda poszła przodem. Bratanica ruszyła za nią, z zaciekawieniem dotykając wypolerowanej drewnianej poręczy. Kjell szedł w milczeniu ostatni, modląc się, żeby jego żona odnalazła w tym domu spokój.

- Moja sypialnia jest pierwsza - oznajmiła Zerelda. - A w sąsiednim pomieszczeniu znajduje się łazienka. Widzisz, tu stoi niewielka wanna, a tu piec na drewno z dużym pojemnikiem na wodę. Możesz ją nagrzewać i się kąpać.

Lydia wydawała się zachwycona. Kjell pomyślał nawet, że od razu zechce wziąć kąpiel. Wyglądała, jakby właśnie zamierzała to zasugerować, ale Zerelda poprowadziła ją dalej.

- A to pokój, w którym zwykle szyłyśmy i robiłyśmy na drutach.

Lydia weszła do środka. Kjell zastanawiał się, czy jego żona przypomni sobie, że w przyszłości mieli tu urządzić sypialnię Daltona. Odwróciła się zdziwiona i zapytała:

- To ja umiem robić na drutach? - Kjell odetchnął z ulgą.

- Uczyłaś się - wyjaśniła Zerelda. - Ostatnio pokazywałam ci, jak to się robi. - Ruszyła dalej korytarzem. - A ten pokój to wasza sypialnia.

Kjell zauważył, że Lydia zawahała się, zanim weszła. Przez ostatnie tygodnie robił wszystko, żeby jego żona mo-

gła lepiej go poznać - w pewnym sensie na nowo się do niej zalecał. Żartowali i dużo rozmawiali, szczególnie o przeszłości Kjella i życiu w Sitce.

Teraz, kiedy wrócili do domu - tego samego domu, w którym została postrzelona - zastanawiał się, jakie wspomnienia do niej powrócą. Schował wszystkie przedmioty, które mogłyby przypomnieć jej o dziecku. Zgromadził ubranka i kołyskę w jednej z dużych szop i postanowił, że gdyby Lydia je przypadkiem znalazła, udawałby, że nie wie, skąd się tam wzięły. Przerazała go myśl o tym, że musiałby jej wyznać prawdę. W jaki sposób mogłaby jej pomóc świadomość, że miała kiedyś dziecko, ale je utraciła?

- To bardzo ładny pokój - powiedziała Lydia, rozglądając się. - Podoba mi się, jest naprawdę duży.

- Pamiętasz, opowiadałam ci, że razem z Kjellem kupiliście ten dom od człowieka, u którego pracowałam. Pan Saberhagen nie szczędził wydatków na żonę. Zostawił tu większość mebli, kiedy wyjechał do Niemiec.

Lydia kiwnęła głową i dotknęła drewnianego wezglowia łóżka. Kjell pomyślał, że pewnie próbowała sobie wyobrazić, jak tu dawniej leżała - może nawet u jego boku. Podeszła do okna i odsłoniła zasłonę.

- Śliczny widok. Rozumiem, dlaczego chciałam tu zamieszkać.

- No cóż, dziś jest akurat wyjątkowa pogoda jak na tę porę roku. Od dawna nie mieliśmy tak słonecznego dnia, ale masz raq'ę - powiedziała Zerelda. - Widok nie ma sobie równych. To jeden z powodów, dla których pan Saberhagen wybudował dom właśnie tutaj. Widać stąd wodę, a po drugiej stronie piękną panoramę gór.

- Bardzo mi się podoba kominek, te niebiesko-białe kafle są prześliczne. - Wskazała na białe gzymsy. - Świetnie współgrają z malowanym drewnem.

- Pan Saberhagen sprowadził je z Holandii. Tam urodziła się i wychowała jego matka.

- Jak tu ładnie! - Lydia rozglądała się z zachwytem po pokoju.

Kjell milczał, odkąd weszli na górę. Ciągłe przypominał sobie rozmowę, którą odbył z Lydią zaledwie kilka dni wcześniej. Powiedziała mu wtedy, że zamierza być dobrą żoną - i że wyczuw<sup>r</sup>a w nim wyjątkową dobroć i miłość. zaproponował, żeby na początku mieszkali w osobnych pokojach, także ze względu na to, że nadal nie odzyskała sił. Była mu za to bardzo wdzięczna i dodała, że jest przekonana, że niedługo odzyska pamięć i znowu będzie swobodnie dzieliła z nim sypialnię.

Nie umiał pogodzić się z myślą, że mieszka tak blisko Lydii - a jednocześnie tak daleko od niej. Kjell zdawał sobie sprawę, że czekają go chwile pełne smutku, kiedy będzie dręczyło go pytanie, co się stało z Daltonem, a także momenty gniewu, pełne straszliwych wspomnień o tym, co się wydarzyło. Zerelda zastanawiała się, czy nie lepiej, żeby wróciła do chaty - wtedy on i Lydia mieliby cały dom dla siebie. Poprosił jednak, żeby została, i sam postanowił się przeprowadzić do jej niewielkiego domu. Przeniesienie się tam okazało się jedną z najtrudniejszych i najbardziej przygnębiających rzeczy, jakie kiedykolwiek robił. Mimo to był przekonany, że to właściwa decyzja. Jego żona potrzebowała czasu, a gdyby ją bez przerwy widywał, mógłby czuć pokusę, żeby przyspieszać proces jej powolnego dochodzenia do siebie.

- Wszystko tu wydaje się takie jasne i radosne - powiedziała Lydia. - Świeże i czyste.

- Kjell włożył w to mnóstwo pracy, kiedy leżałaś w szpitalu - wyjaśniła Zerelda. - Chciał, żeby dom wyglądał ładnie na twój powrót.

Lydia spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Bardzo ci dziękuję.

Och, jak bardzo chciał wziąć ją w ramiona i pocałować! Marzył o tym, żeby głaskać jej długie, brązowe włosy i powtarzać, że wszystko będzie dobrze - ale oczywiście nie mógł zrobić żadnej z tych rzeczy. Cofnął się o krok, powiększając jeszcze dystans, który ich dzielił.

- Nie ma za co. Cieszę się, że mogłem to zrobić - powiedział. - Zrobiłbym dla ciebie wszystko.

Po tygodniach rozważań Evie postanowiła, że będzie nalegała na rozwód. Zamierzała zaproponować Thomasowi unieważnienie małżeństwa, choć spodziewała się, że nigdy nie zechce on przyznać się do tego, że nie dopełnił swych powinności. Wiedziała, że rozwód jest ostatnią rzeczą, o jakiej myślał - i że jego rodzina stanowczo by się sprzeciwiła takiemu rozwiązaniu. Sądziła jednak, że może rodzice nie wydziedziczyliby go, gdyby zwróciła się do nich osobiście i wytłumaczyła, że jest to wyłącznie jej decyzja, a Thomas nie ponosi tu żadnej winy.

Evie zastanawiała się długo nad wszystkimi aspektami tej sprawy i ostatecznie doszła do wniosku, że nie wspomni o Traytonie. Sama myśl o tym człowieku wzbudzała w niej gniew, który z trudem potrafiła opanować. Unikanie tego mężczyzny okazało się równie trudne co odganianie komarów w lecie. Wydawało się, że Payne na stałe przebywa w ich domu i bez przerwy szuka okazji, żeby znaleźć się z nią sam na sam. Ostatnio Evie po raz kolejny zatriumfowała, kiedy udało jej się wymknąć schodami dla służby, po tym jak Trayton poszedł za nią do kuchni.

W końcu jednak Payne wyjechał. Słyszała, jak Thomas mówił, że jego sekretarz wróci najwcześniej za miesiąc

ten stan rzeczy bardzo jej odpowiadał. Dzięki temu miała dużo czasu, żeby omówić wszystko z mężem, a może nawet znaleźć dla siebie niewielki dom.

Evie zaczęła starannie wybierać garderobę. Zdecydowała się ostatecznie na suknię w śliwkowo-różowe paski, której górną, delikatnie plisowaną część pokrywały wspaniałe wzory wyszyte czarną, jedwabną nicią. Była to jedna z jej najnowszych kreacji i kosztowała fortunę, ale Evie wiedziała, że Thomasa stać na taki wydatek. Należało jej się dużo więcej niż zwykła sukienka.

Zeszła na dół i ruszyła w stronę dużego salonu muzycznego. To właśnie tutaj tańczyła z Traytonem tamtego pamiętnego wieczoru. To wspomnienie wydawało jej się bardzo odległe - tak jakby działo się to w innej rzeczywistości. W ciągu tych kilku krótkich tygodni zdążyła bardzo dojrzeć.

Z pokoju muzycznego można było się dostać do biura Thomasa. Drugie wejście prowadziło z głównego korytarza, ale Evie celowo wybrała tę drogę, żeby na powrót rozniecić w sobie gniew. Spojrzała na niewielką alkowę, w której Trayton po raz pierwszy usiłował ją uwieść. Właśnie tutaj namówił ją, żeby poszła z nim na górę.

Wyprostowała ramiona. Czowała się teraz gotowa na konfrontację z Thomasem. Zamierzała postępować stanowczo, ale rozsądnie. Wyciągnęła rękę, żeby otworzyć drzwi, i nagle usłyszała głosy swoich braci. Kompletnie ją to zaskoczyło, bo sądziła, że Marston dalej podróżuje.

- Ach, Evie. Świetnie, że do nas dołączyłaś - powiedział Thomas, uśmiechając się z kpiącą miną.

Skinęła głową.

- Nie wiedziałam, że są tu moi bracia.

- Ależ ty wydorosłałaś - powiedział Marston, podchodząc do niej. - No proszę. Stałaś się naprawdę piękną kobietą.

Zmarszczyła brwi.

- Takie pochlebstwa są do ciebie niepodobne, Marston. -Pozwoliła mu się objąć. - Witaj w domu. Gdzie byłeś?

- No cóż, to długa opowieść. Ale cieszę się, że już wróciłem, bo muszę omówić z tobą pewną bardzo istotną sprawę.

- Ze mną? - spojrzała na Mitchella, a później na Thomasa. - Co takiego mógłbyś chcieć ze mną omówić?

Nagle usłyszała płacz dziecka. Zmarszczyła brwi i zaczęła się ze zdziwieniem rozglądać.

Marston wziął ją za rękę i wyprowadził z pokoju.

- Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. - Ruszyli przed siebie korytarzem i podeszli do starszej, ubranej na czarno kobiety. Marston dał jej znak, a ona wstała, nachyliła się nad dziecięcym wózkiem i wyjęła płaczące dziecko.

- O co tu chodzi? Czyje to dziecko?

Kobieta podała niemowlę Marstonowi, a ten szeroko się uśmiechnął.

- Evie, to twój mały braciszek, Dalton. Dalton Gray.

## Rozdział 279

KWIECIEŃ 1871 ROKU

Postanowiłem wynająć detektywa. Chcę sprawdzić, czy Marston Gray nie ma jednak Daltona w swoich rękach -powiedział Kjell, kiedy wjeżdżali z Zereldą do miasteczka. Na niebie gromadziły się chmury, zbierało się na deszcz.

- Jak zamierzasz znaleźć detektywa? - zapytała.

- Niedługo po napadzie wysłałem Ust do biura burmistrza Kansas City. Zorientowałem się, że wojsko uznało tę sprawę za zamkniętą i stwierdziło, że Iwan i Dalton zginęli. Ale nie mogłem spocząć, wiedząc, że Gray może mieć mojego syna. Wyjaśniłem w liście, że to niezwykle istotna sprawa, która wymaga dokładnego zbadania. Poprosiłem, żeby polecono mi porządną agencję detektywistyczną, zajmującą się takimi zleceniami. Ostatnio dostałem odpowiedź, w której podano mi nazwę takiej agencji. Zamierzam tam teraz napisać i spróbować ich wynająć.

- I co im powiesz? O co dokładnie poprosisz?

- Powiem prawdę. Wytlumaczę, że choć zdaję sobie sprawę, że Gray ma ogromne wpływy, chodzi w tym przypadku o próbę zabójstwa i uprowadzenie dziecka. Odwołam się do ich próżności i wyjaśnię, że doprowadzenie do pojmania sprawcy z pewnością umocni pozycję agencji, a to z kolei zapewni im nowe sprawy.

Zerelda zastanawiała się przez chwilę nad tym, co powiedział.

- A co jeśli agencją zarządza akurat ktoś, kto sprzyja Grayom?

- Lydia opowiadała mi, że Grayowie zaczęli stopniowo tracić wpływy i przestali się cieszyć względami władz Kansas City. Mówiła, że tłumaczył jej to prawnik, pan Robinson. Miała dzięki temu nadzieję, że zdoła uciec i zacząć wszystko od nowa, a oni nie staną jej na drodze.

- Wiesz, kim jest jej prawnik? Dlaczego to nie do niego zwróciłeś się z pytaniem o agencję detektywistyczną? Na pewno zna takie miejsca.

- Napisałem do niego, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi. Nie wiem, czy ten człowiek jeszcze żyje i czy dalej mieszka w Kansas City. Lydia nic o tym nie wspominała. Ale wiem, że Robinson zajmował się jakimiś sprawami w jej imieniu. Zakładam, że prędzej czy później skontaktuje się z nami on sam albo jego pracownicy.

Zerelda dała mu znak.

- Powinnam tu wysiąść. Mam się zaraz spotkać z nowymi misjonarzami, wielebnym Johnem Bradym i panną Fanny Kellogg. Podobno nie mogą się doczekać pracy z Tlingitami. Prosili, żebym pomogła im nawiązać kontakt z Indianami.

Kjell zatrzymał wóz i wysiadł, żeby pomóc Zereldzie.

- Zee, czy myślisz, że Liddie czuje się lepiej? Spędzasz z nią mnóstwo czasu. Zauważyłaś jakieś znaki, które wskazywałyby, że zaczyna odzyskiwać pamięć?

Spojrzała na niego z matczynym współczuciem.

- Mam takie wrażenie, Kjell. Czasem zadaje mi pytania, które zdają się sugerować, że coś sobie przypomniła.

- A co z muzyką? Czy zaczęła... zaczęła grać? Zerelda pokręciła głową.

- Raz próbowała, ale trzymała skrzypce przez kilka minut, po czym je odłożyła. Nie martw się. Wierzę, że Bóg



przywróci jej pamięć w odpowiednim momencie. Mówiłam ci już wcześniej, jakie mam zdanie na ten temat. Może to lepiej, że Lydia nie wie, co się wydarzyło - szczególnie jeżeli nie uda nam się odzyskać Daltona. Jeśli się okaże, że nie jest z Grayem, będziemy musieli przyjąć do wiadomości, że utonął w czasie tamtej burzy.

- Ale nigdy nie odkryto żadnych śladów, które by na to wskazywały. Nie odnaleziono też ciała Iwana.

- Kjell, wiesz doskonale, że wielu ludzi, którzy utonęli, znika już na zawsze. Wynajmij tego detektywa i zobacz, na co trafi. To powinno nas uspokoić.

Zacisnął zęby. Nic nie zdoła go uspokoić. Już zawsze będzie czuł, że zawiódł Lydię i Daltona. Gdyby nie pracował wtedy do późna, nie zatrzymałaby go burza i nie doszłoby do tego wszystkiego.

Lydia siedziała w pokoju i próbowała zapanować nad poszczególnymi częściami koszuli, którą przy pomocy Zerel-dy szyła właśnie dla Kjella. Lubiła robić dla niego takie rzeczy. Tak bardzo się o nią troszczył... Jego delikatne zaloty sprawiały Lydii ogromną przyjemność. Tak naprawdę do tego stopnia doceniała łagodność i empatię tego człowieka, że czuła, iż nadszedł czas, by ponownie stała się dla niego prawdziwą żoną. Na samą tę myśl robiła się jednocześnie nerwowa i szczęśliwa. Czuła, że może mu zaufać. W głębi serca wiedziała, że musiała go kiedyś mocno kochać. Męczyła ją już rozpaczliwa walka o odzyskanie własnej tożsamości. Zerelda wspaniale się nią zajmowała i starała się pomóc jej odnaleźć wspomnienia, ale Lydia tęskniła za Kjellem i nie chciała temu dłużej zaprzeczać.

Pracując nad koszulą, zastanawiała się, w jaki sposób najlepiej zaprosić go z powrotem do ich domu. Czy powin-

na powiedzieć otwarcie, że chciałyby, żeby wrócił? A może lepiej zapytać, co o tym sądzi, i dowiedzieć się, czy takie rozwiązanie będzie mu odpowiadało?

Uśmiechnęła się. Oczywiście, że będzie mu odpowiadało! Wielokrotnie wyznawał jej miłość i mówił o swojej tęsknocie za ich wspólnym życiem. Nie miała wątpliwości co do tego, że ją kochał, i wiedziała, że odwzajemnia jego uczucie.

Na dworze zaczął padać deszcz. Miarowe uderzenia kropeł o szybę wzbudziły nagle jej niepokój. Lydia odłożyła robótkę i wstała. Narastało w niej dziwne uczucie przypominające panikę. Coś ścisnęło ją w klatce piersiowej i miała wrażenie, że na jej szyi zaczyna się powoli zaciskać pętla.

Przez kilka minut chodziła nerwowo w tę i z powrotem, ale niepokój nie ustępował. Lydia pomyślała, że może jej przejdzie, jeśli pójdzie do sypialni. Ale kiedy tylko przestąpiła próg, jej uwagę natychmiast przykuło okno i najdalszy kąt pokoju, w którym stała komoda.

Coś się tu nie zgadzało - nie wiedziała jednak co. Stała bez ruchu, sparaliżowana ze strachu. Zaświtało jej w głowie, że została ranna w tę samą noc, kiedy szalała burza. Być może to po prostu ta myśl wzbudzała w niej niepokój.

„Ale przecież to zwykły deszcz, nie ma w nim niczego szczególnego”.

Lydia podeszła do okna i dotknęła szyby. Przez jej umysł przemknął trudny do uchwycenia, rozmyty obraz. Tamtej nocy stała tu i chciała otworzyć okno. Ale dlaczego? Po co ktoś miałby otwierać okno w czasie burzy?

Cofnęła się i zbiegła na dół. Może to lepiej, że niczego nie pamiętała. Czowała, że coś bardzo złego czai się w jej wspomnieniach.

Dołożyła do ognia. Płomienie chciwie pochłonęły polana, które wrzuciła do kominka, i wkrótce pomieszczenie stało się jaśniejsze i dużo radośniejsze. Lydia usiadła na

swoim fotelu i zaczęła się kołysać. Nuciała jakąś melodię, choć nie miała pojęcia, skąd ją zna.

Kjell mówił, że muzyka była dla niej bardzo ważna. Lydia spojrzała na futerał ze skrzypcami i zmarszczyła brwi. Ilekroć podnosiła instrument, czuła wyłącznie frustrację i rozczarowanie. Chciała zagrać, ale nie wiedziała jak.

- To niesprawiedliwe - powiedziała głośno, patrząc na sufit. Zerelda radziła, żeby starała się rozmawiać z Bogiem w momentach, w których czuła się szczególnie przytłoczona. - Słyszysz mnie, Boże? - Nie zadała tego pytania z gniewem, ale raczej z desperacją w głosie. Trudno było jej sobie wyobrazić, że Pan Wszechświata miał czas zajmować się jej sprawami, ale ciotka zapewniała ją, że tak właśnie jest. Co niedzielę wspólnie czytali Biblię, a Kjell odmawiał modlitwę. Lydia czuła, że Bóg istnieje i troszczy się o nią - ale niewiele więcej rozumiała.

- Chciałabym odzyskać pamięć. Och, Ojczy, dlaczego nie mogę poznać prawdy? - Po policzkach zaczęły jej płynąć łzy. Kołysała się w fotelu. - Chcę się tylko dowiedzieć, kim jestem.

Nie przestawała się kołysać i słyszała rytmiczne uderzenia fotela o podłogę. Łzy zalały jej całą twarz. Lydia wpatrywała się w ogień i zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdoła wypełnić pustkę w swojej głowie.

- Liddie?

Odwróciła się zaskoczona. To był Kjell. Zobaczył, że płakała, i podbiegł do niej, przestraszony.

- Co się stało? - Dostrzegła w jego oczach lęk.

- Nie wiem. Nagle po prostu się przestraszyłam. Nie mam pojęcia dlaczego. To głupie - przyznała.

Kjell wyjął chusteczkę i klęknął przy niej. Delikatnie otarł jej łzy.

- Nie ma w tym nic głupiego. Przecież wiele przeszłaś.

- Chciałabym po prostu wszystko sobie przypomnieć. Pracowałam na górze i kiedy deszcz zaczął uderzać w szyby... nie wiem, po prostu mnie to przeraziło. Przez chwilę wydawało mi się, że przypominałam sobie, jak otwieram okno w, czasie burzy. Ale ten obraz natychmiast zniknął i żadne inne wspomnienie do mnie nie powróciło. Nadal jestem roztrzęsiona.

Wstał i przyciągnął ją do siebie. Przez kilka minut obejmował żonę w milczeniu. Ciepło jego uścisku sprawiło, że Lydia poczuła się bezpieczna i zrozumiała, że nadeszła właściwa pora. Czas poprosić, żeby do niej wrócił.

- Kjell - szepnęła. - Wróc do domu. Cofnął się i spojrzał jej w oczy.

- Co mówisz?

- Chcę, żebyś tu był... przy mnie. Żebyśmy mieszkali razem. Czuję się dużo lepiej, kiedy jesteś w pobliżu. To wspaniale, że tak cierpliwie na mnie czekałeś, ale nie chcę, żeby to dłużej trwało.

Delikatnie dotknął jej twarzy.

- Lydio, marzę o tym ponad wszystko, ale wolałbym nie robić tego tylko dlatego, że się boisz.

- To coś więcej - zapewniła. Podniosła ręce i otoczyła ramionami jego szyję. - Postanowiłam cię o to poprosić, jeszcze zanim zaczął padać deszcz. - Uśmiechnęła się. - Zastanawiałam się tylko, jak ci to powiedzieć, żeby nie zabrzmiało to zbyt bezpośrednio.

Kjell roześmiał się.

- Bądź tak bezpośrednia, jak tylko chcesz, moja droga żono.

- W takim razie może zajmiesz się kominkiem w naszej sypialni?

- Coś z nim jest nie tak? Kiwnęła głową z uśmiechem.

- Tak. Potrzeba mu ognia.

Evie zaczęła pieszczotliwie przemawiać do Daltona i pomachała grzechotką przed jego twarzą.

- Zobacz. Zobacz, jaka śliczna.

Chłopczyk próbował w nieskoordynowany sposób chwycić zabawkę, a Evie pomogła mu złapać na chwilę przedmiot. Dalton ścisnął go w małych rączkach, po czym pomachał i zrzucił grzechotkę na podłogę.

Wzięła go na ręce i pogłaskała chłopca po ciemnobrązowych włosach. Pomyślała, że jest bardzo podobny do Lydii, i przypomniała sobie smutną historię, którą opowiedział jej brat. Marstonowi udało się w końcu odnaleźć ich macochę, ale kiedy dotarł wreszcie na miejsce, okazało się, że Lydia umarła, wydając Daltona na świat.

- Biedne maleństwo - szepnęła Evie, całując niemowlę w policzek.

Zgodziła się wziąć swojego maleńkiego przyrodniego brata i wychować go jak własne dziecko, ale bez przerwy myślała o macosze. To właśnie Lydia sprawiła, że Evie zrezygnowała ze starania się o rozwód. Postanowiła skupić się na wychowaniu Daltona także ze względu na jego nieżyjącą mamę.

Evie zawsze lubiła Lydię i uwielbiała spędzać z nią czas, bo macocha zastępowała jej matkę, którą tak wcześnie utraciła. Jednak Jeannette wielokrotnie jej groziła: „Nawet nie waż się jej pokochać. Jeżeli to zrobisz, to będzie znaczyło, że nienawidzisz naszej matki i zdradzasz ją”.

Pod wpływem tych ciągłych szantaży w sercu małej Evie toczyła się ciągła walka. Czy jej starsza siostra mogła mieć rację? Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego sympatia do Lydii miałyby oznaczać nienawiść do ich matki.

Evie zmarszczyła brwi, starając się zapomnieć o przeszłości. Zamiast tego skupiła się na dziecku, które trzymała

na rękach. Dalton nie mógł jej wynagrodzić braku miłości, którego w swoim życiu doświadczyła, ale przynajmniej miała się kim opiekować - kimś, kto naprawdę jej teraz potrzebował.

- Och, moje kochane maleństwo. Twoje życie zaczęło się w tak smutny sposób... Ale obiecuję ci, że stanę się dla ciebie naprawdę dobrą mamą. - Pocałowała go w nos, a chłopiec wyciągnął rączkę, żeby dotknąć jej twarzy. Evie roześmiała się i zaczęła wirować, trzymając Daltona wysoko w górze. -Zobaczysz. Będzie nam razem dobrze. Będę cię kochała tak mocno, jak kochałaby cię Lydia, gdyby tylko żyła.

- Pani Gadston, przyszedł pani brat - oznajmił Miles. Evie odwróciła się i opuściła dziecko, a Marston wszedł do pokoju.

- Co cię tu sprowadza?

- Chciałem zobaczyć mojego braciszka. - Podeszedł do niej. W ręce trzymał małe pudełko. - Przyniosłem mu prezent.

- To bardzo miło z twojej strony. Może masz ochotę go potrzymać? Marston pokręcił głową.

- Nie, nie trzeba. W tym wieku on mnie mało interesuje, ale kiedy podrośnie... no cóż, wtedy wszystko się zmieni.

Evie zdziwiły te słowa, ale nic nie powiedziała. Zamiast tego pocałowała Daltona w policzek, po czym przyłożyła senne dziecko do ramienia.

- Zastanawiam się...

- Nad czym?

- Czy nie powinniśmy sprowadzić ciała Lydii z powrotem do Kansas City i pochować jej w rodzinnym grobowcu? Któregoś dnia Dalton mógłby chcieć odwiedzić jej grób.

- To byłoby całkowicie pozbawione sensu. Zrobiłbym to oczywiście, gdyby koszty takiej operacji stanowiły jedyny problem. Ale ciotce Lydii zależało na tym, żeby pochować

bratanicę w Sitce. Nie chciałem jeszcze bardziej zasmucać tej kobiety  
- w końcu już i tak miałem jej zabrać Daltona.

Evie myślała nad tym przez chwilę, ale w tym momencie przyszła niania - nadeszła pora drzemki Daltona. Dziecko zaczynało już powoli zasypiać. Evie niechętnie oddała niemowlę kobiecie.

- No cóż, w takim razie pewnie podjąłeś właściwą decyzję. Gdyby Dalton chciał kiedyś zobaczyć miejsce, w którym została pochowana jego mama, możemy zawsze pojechać do Sitki.

Marston wzruszył ramionami.

- Owszem, chociaż wątpię, żeby mu na tym zależało. -Wydawało się, że Marston stara się zmienić temat. - Cieszę się, że tak dobrze ci idzie opieka nad nim. Nie miałem pewności, czy taki układ będzie ci odpowiadał, ale ponieważ wiedziałem, że Jeannette ma ręce pełne roboty z własną dwójką, nie powiedziałem jej nawet o dziecku.

- Nie powiedziałeś Jeannette? Nie rozumiem dlaczego. - Evie zauważyła, że Marston zmarszczył brwi, więc nie naciskała dłużej. - Napijesz się czegoś?

- Nie, muszę już iść. Mam dziś jeszcze kilka spotkań. -Podszedł do niej. - Ważne, żebyśmy nikomu nie mówili, że Dalton tu jest. Mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy i zachowasz to dla siebie.

Potrząsnęła głową.

- Ale dlaczego? To nie ma żadnego sensu. Złapał ją za ramiona i mocno ścisnął.

- Może dla ciebie nie ma, ale w tej kwestii musisz się podporządkować mojej woli.

Evie zmarszczyła brwi. Wiedziała, że jej brat coś knuje, ale nie umiała określić, o co chodzi.

- Czy to ma coś wspólnego z testamentem i spadkiem Lydii?

Marston zdawał się rozważać przez chwilę jej pytanie.

- Tak. Po części tak. Istnieją też inne przyczyny, których na razie nie mogę ci wyjawiać. Powinnaś wiedzieć tylko tyle, że nie możemy nikomu o tym mówić. Tu naprawdę chodzi o dobro Daltona.

Evie mu nie wierzyła. Wydawało jej się, że brat nie jest z nią szczery. Ale dlaczego miałby ukrywać przed nią prawdę? Co by szkodziło, gdyby ludzie dowiedzieli się o Daltonie?

- Muszę już iść - powiedział. - Mam nadzieję, że spodoba ci się prezent. Specjalnie sprowadziłem go z Chicago. Nasz mały braciszek zasługuje na same najlepsze rzeczy.

Evie zaczęła, aż pod jej dom podjechał powóz Marstona, i dopiero wtedy otworzyła pudełko. W środku znajdował się srebrny puchar, na którym zostało wygrawerowane nazwisko Dalton Gray oraz data urodzenia chłopca. Nic dziwnego, że Marston sprowadził prezent z Chicago: skoro chciał za wszelką cenę utrzymać tożsamość dziecka w tajemnicy, nie mógł ryzykować i zamówić pucharu u miejscowego handlarza.

Zaczęła obracać przedmiot, żeby obejrzeć go ze wszystkich stron. To była rodzinna tradycja Grayów. Taki prezent upamiętniał narodziny każdego z nich, a Jeannette wprowadziła ten sam zwyczaj w swoim domu.

Evie marzyła o tym, żeby uczcić w ten sposób przyście na świat własnego dziecka. Poczowała, że znowu zaczęła narastać w niej stara, dobrze znana tęsknota za miłością, więc natychmiast się opanowała. Odłożyła podarunek do pudełka, głęboko odetchnęła i uniosła podbródek.



## Rozdział 289

MAJ 1871 ROKU

Mijały kolejne dni, a opieka nad Daltonem przynosiła Evie coraz większą radość. Mimo to młoda kobieta czuła w sercu narastającą pustkę. Thomas prawie się do niej nie odzywał. Czasem znikał z domu na całe tygodnie. Nie miała pojęcia, czy do tego stopnia pochłaniają go interesy, czy po prostu wziął sobie kochankę. Do tego dochodził jeszcze sformułowany przez Marstona kategoriyczny zakaz mówienia komukolwiek o Daltonie. Jej brat obiecał, że z czasem wszystko wytłumaczy, i twierdził, że na razie Evie musi mu zaufać. W ogóle tego nie rozumiała, ale zgodziła się, bo wiedziała, że w przeciwnym wypadku odebrałby jej Daltona. Im cieplej się robiło, tym bardziej pogłębiał się jej smutek. Marzyła o tym, żeby móc chodzić z dzieckiem na długie spacerzy, a nawet chwalić się nim przed swoimi płytkimi przyjaciółkami. Zamiast tego została niemal uwięziona we własnym domu. Co prawda mogła na jakiś czas zostawić chłopca pod opieką niani i wyjść, ale martwiła się, że przypadkiem wymknie jej się coś na temat dziecka i o wszystkim dowie się jej brat.

Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że gorliwość, z jaką Marston kazał jej trzymać istnienie Daltona w tajemnicy, była mocno podejrzana. Próbowwała rozmawiać o tym z Thomasem przy tych rzadkich okazjach, kiedy jej mąż prze-

bywał akurat w domu, ale on nie chciał mieć z tą sprawą nic wspólnego. „To wewnętrzny problem twojej rodziny. Pozwól braciom się tym zająć”.

Evie postanowiła pójść do ogrodu. Zaczęła oglądać pnące róże i zauważyła, że pojawiły się już na nich pierwsze pąki. Wiedziała, że niedługo obsypią się przepięknymi kwiatami. Delikatnie dotknęła jednego z kwiatów i westchnęła.

- Starasz się mnie za wszelką cenę unikać i nie potrafisz zrozumieć dlaczego.

Evie podniosła głowę i zobaczyła Traytona Payne'a. Odsunęła się.

- Proszę, zostaw mnie.

- Evie, musimy porozmawiać.

Użył jej rodzinnego przydomka i zirytował ją fakt, że pozwalał sobie na taką zażyłość.

- Nie nazywaj mnie tak. - Zaczęła szybko iść przed siebie, ale Trayton ruszył za nią po starannie przystrzyżonym trawniku.

W końcu stanęła w cieniu dużych dębów.

- Czego ode mnie chcesz?

- Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie.

Evie pokręciła głową. Postanowiła rozmawiać z nim otwarcie.

- Wiem o umowie, jaką zawarłeś z moim mężem. Nie jestem zainteresowana takim układem.

Wydawało się, że jej deklaracja nie zrobiła na Traytonie wrażenia.

- Cieszę się, że o tym wiesz. Nienawidziłem wykorzystywania jego prośby do tego, żeby móc się do ciebie zbliżyć. Mam nadzieję, że znasz mnie wystarczająco dobrze i nie sądzisz, że interesowałem się tobą wyłącznie ze względu na tę umowę.

- Dlaczego miałabym wierzyć w cokolwiek, co wychodzi z twoich ust? - Zmrużyła oczy. - Jesteś pozbawiony jakiegokolwiek uczciwości czy honoru. - Zbliżył się do niej o krok, więc wyciągnęła rękę. - Nie podchodź.

- Evie... Genevieve, nie jestem pozbawiony honoru. Zależy mi na tobie. Thomas prosił, żebym się tobą zajmował, ale wykorzystywałem jego żądania, żeby się do ciebie zbliżyć. Dzięki temu mogłem swobodnie się do ciebie zalecać. Z jego błogosławieństwem.

- Jestem mężatką. Nie masz prawa się do mnie zalecać.

- Evie potrzęsnęła głową. Jej gniew narastał. - To, że nie masz szacunku dla instytucji małżeństwa, sprawia, że i ja nie potrafię cię szanować.

- Evie, to niesprawiedliwe. - Przysunął się, nie zwracając uwagi na jej wyciągnięte dłonie. Pochwycił ją, kiedy się cofała. - Proszę, wysłuchaj mnie.

- Nie interesuje mnie nic, co mógłbyś powiedzieć.

- Evie, jesteś samotna. Wiem o tym. To dziecko nie sprawiło przecież, że zniknęły twoje potrzeby i pragnienia. Dziecko nie może przytulać cię w nocy i łagodzić twoich lęków. To zadanie męża, a nie niemowlęcia.

- No cóż, ty tym bardziej nie spełniasz tych kryteriów.

- Poczowała, że jej plecy dotknęły pnia drzewa. Nie mogła się dalej cofnąć.

Trayton uśmiechnął się i otoczył ją ramionami.

- Evie, grałem w tę grę tylko po to, żeby móc być blisko ciebie. Chcę ci pomóc. Chciałbym cię uszczęśliwić.

Żałowała, że nie potrafi myśleć dość szybko. Nigdy nie umiała reagować szybkimi ripostami ani odpowiadać z dowcipnym sarkazmem. Przez chwilę patrzyła na Traytona. Nie potrafiła zaprzeczyć, że w tym mężczyźnie było coś niezwykle pociągającego, jakiś szczególny powab.

- Evie, jesteś dla mnie bardzo ważna.

- Jeśli to prawda - odpowiedziała cicho - powinieneś mnie zostawić.  
Pokręcił głową.

- Nie mogę tego zrobić. - Próbował ją pocałować, ale odwróciła głowę. - Nie opieraj się. Sama wiesz, że darzysz mnie takim samym uczuciem jak ja ciebie. Należysz do mnie.

Te słowa wzbudziły w Evie ogromną wściekłość i sprawiły, że czar ostatecznie prysł. Korzystając z chwili jego nieuwagi, odepchnęła Traytona. Mężczyzna potknął się, a ona przemknęła obok niego.

- Nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Pobiegła do domu. Miała tego wszystkiego dość. Przez jej umysł pędziły dziesiątki myśli. Zastanawiała się, czy nie poprosić Thomasa, żeby wysłał ją gdzieś z Daltonem - dzięki temu zaczęłyby wreszcie żyć normalnie i pokazywać się z dzieckiem w miejscach publicznych. Może zgodziłby się kupić dla niej dom gdzieś daleko stąd, choćby w Chicago. Wiedziała, że Thomasa na to stać. Chciała mu nawet zaproponować takie rozwiązanie na stałe. Zależało jej wyłącznie na tym, żeby wyjechać z Kansas City i zostawić swoje trudne małżeństwo i całe to szaleństwo za sobą.

Przez otwarte drzwi balkonowe weszła do pokoju muzycznego. Poczula słodki, uderzający do głowy zapach bzu. Zatrzymała się na chwilę i głęboko odetchnęła, rozglądając się za mężem. Nie było sensu dłużej czekać - uznała, że pora przeprowadzić z nim wreszcie rozmowę, którą od tak dawna planowała. Zamierzała powiedzieć mu wprost, że wie wszystko o Traytonie.

Evie ruszyła pewnym krokiem w kierunku gabinetu Thomasa, z którego dobiegały głosy. Nagle jednak stanęła. Usłyszała słowa Marstona:

- Do dziś nie miałem o tym pojęcia. Właśnie się dowiedziałem.

- Powinieneś być wszystko sprawdzić i zachować większą ostrożność - oznajmił Mitchell.

Zmarszczyła brwi i przysunęła się do ściany przy samych drzwiach. Jej mąż powiedział:

- To nie musi nam w żaden sposób zaszkodzić. Oni wierzą, że dziecko nie żyje, prawda?

- Ale Lydia żyje. I nie spocznie, dopóki nie dowie się, co się stało z Daltonem i czy rzeczywiście utonął.

Evie musiała zakryć usta dłonią, żeby nie krzyknąć. Lydia żyła? O czym oni mówili?

- Sitka znajduje się bardzo daleko stąd, a Alaska to bardzo prymitywny obszar. Nie wyobrażam sobie, żeby przyjechała do Kansas City tylko po to, żeby upewnić się, czy nie masz jej dziecka - dodał Thomas. - Pomyśl tylko, ile trudu musiałyby sobie zadać.

- Nie znasz jej tak dobrze jak my - zaproponował zdecydowanie Mitchell.

- Mitchell ma rację. Spodziewałbym się tego po niej. Myślałem, że ludzie, których zatrudniłem, pozbyli się jej raz na zawsze, tak jak im kazałem. Mogłem przewidzieć, że coś spartacza. Nie potrafili nawet podpalić tartaku. Właśnie dlatego kazałem wszystkim zachować w tajemnicy istnienie tego dziecka. Gdyby ktokolwiek przysłał tu przedstawicieli władz, nie mogliby się dowiedzieć, że ukrywamy niemowlę.

Evie nie wierzyła w to, co słyszała. Jej brat usiłował zamordować Lydię. Uprowadził jej dziecko i wrócił do Kansas City, jakby nic się nie stało. Nic dziwnego, że nie chciał, żeby pokazywała się z Daltonem w miejscach publicznych. Wszystko nabrało teraz sensu.

Nie chciała słyszeć nic więcej. Pospiesznie się oddaliła i weszła na górę. Nadal nie mogła w to uwierzyć. W swoim okrutnym egoizmie Marston posunął się nawet do tego,

że wykradł Daltona matce. Próbował zabić Lydię, tak jak ojciec zabił ich matkę. Evie pogrążyła się w smutku. Czy Grayowie nie przestaną krzywdzić niewinnych ludzi wokół siebie?

Było piękne, spokojne popołudnie, a Lydia szła u boku swojego męża. Na prośbę Zereldy poszli szukać czekoladowych lilii. Kjell dał jej znak.

- Widzisz tamte zielone łądygi z ciemnoczerwonymi kwiatami?

- Wyglądają na brązowe - powiedziała Lydia, zbliżając się. - A więc o to właśnie chodzi?

- Tak. Tlingici nazywają ją *koox*. Zresztą ta roślina ma wiele nazw. Niektórzy określają ją jako lilię z Kamczatki, a nawet dziki ryż. - Kjell przykucnął. - Kiedy delikatnie zerwiesz kwiat, znajdziesz pod nim cebulkę z białymi ziarnami. To właśnie ryż. - Zademontrował. - Musisz uważać, żeby nie pękła, bo wtedy ryż mógłby się wysypać. Ja zwykle podkładam pod łądygi szmatkę i liczę na to, że uda mi się zachować wszystkie ziarna.

Mimo że ziemia była wilgotna, łądyga stawiała przez chwilę opór. Wreszcie jednak Kjełłowi udało się ją wyciągnąć i cebulka wyszła z tego cało.

- Zwycięstwo! - oznajmił z dumą.

Lydia natychmiast poszła w jego ślady i zaczęła zbierać rośliny. Miejsce, w którym się znajdowali, zacięniały ogromne świerki i cedry. Ziemia była błotnista - właśnie w takich miejscach rósł zwykle dziki ryż. Lydia cieszyła się, że za namową Kjella i Zereldy włożyła solidne botki. Nawet teraz czuła, jak wilgoć podłoża przenikała przez skórę butów.

- Jest tu tyle roślin, które można wykorzystać... - powiedziała. - Oczywiście jeśli wie się, czego szukać. Ja bym po prostu pomyślała, że to ładne kwiaty, i nawet nie przyszłoby mi do głowy, że ich cebulki zawierają coś, co da się zjeść.

- Tlingici nauczyli się wykorzystywać dużą część roślinności tej wyspy. Moja matka zbierała ryż i mieszała go z rabarbarem, który też tu dziko rośnie. Kiedy zmieszało się go z odrobiną cukru i cynamonu, powstawał naprawdę przepyszny smakołyk. Założę się, że Zerelda też umie przygotować takie danie.

- Zee to wspaniała osoba. To dobrze, że lepiej ją poznałam.

- Cieszy się w Sitce dużym szacunkiem. Ludzie wiedzą tu, że zawsze mogą liczyć na jej pomoc. To doskonała położna. W swoim czasie pomogła przyjść n świat wielu dzieciom.

Lydia spojrzała na niego nieśmiało.

- Chyba chciałabym kiedyś mieć własne dziecko. Na twarzy Kjella pojawiło się ogromne zaskoczenie. Roześmiała się.

- Chyba byłam zbyt bezpośrednia.

- Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam. - Odwrócił wzrok i znowu skoncentrował się na ryżu.

Lydia wyczuła jednak jego niepokój.

- Rozmawialiśmy już kiedyś o dzieciach?

- Oczywiście. Mam nadzieję, że któregoś dnia będziemy ich mieli wiele, ale...

- Ale co? - Lydia zmarszczyła brwi. - Co się stało? Kjell potrząsnął głową.

- Nic, kochanie. - Uśmiechnął się. - Po prostu chcę mieć pewność, że zagoją się wszystkie twoje rany. Lekarz mówił, że do czasu, aż całkowicie wyzdrowiejesz, powinnaś

się oszczędzać. Cięża i urodzenie dziecka za bardzo by cię obciążęły.

- Pewnie masz rację. A mimo to naprawdę pragnę dziecka. Czasem mi się to śni. To dziwne, ale te sny wydają się takie prawdziwe... - Lydia wstała, ale na jej twarzy pojawił się grymas. Poczowała gwałtowny ból w szyi i ramieniu.

- Nic ci nie jest? - zapytał Kjell. - Możemy już ruszać do domu. Musisz na siebie uważać.

- Tak, chyba powinniśmy już wracać. - Lydia nie chciała przyznawać, jak łatwo się męczyła.

Kjell skinął głową i zgromadził cały ryż, który udało im się zebrać.

- Chyba wyszliśmy na zbyt długo.

- Ale było naprawdę miło - powiedziała Lydia, kiedy do niej podszedł.

- Kocham ciszę i spokój, jakie tu panują..

Otoczył ją ramieniem.

- A ja kocham ciebie.

- Wiem. I jestem ci wdzięczna za tę miłość. - Lydia zamilkła na chwilę i spojrzała mu głęboko w oczy. - Powiedziałbyś mi prawdę, gdybym cię o to poprosiła?

Kjell zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Zdaję sobie sprawę, że ty i Zerelda wiecie o mojej przeszłości dużo więcej, niż mi mówicie. Pamiętam, że lekarz kazał mi się oszczędzać i cierpliwie czekać, wyleczy moje ciało i umysł. Ale Kjell, nie ukrywałbyś niczego przede mną, prawda?

Wpatrywała się w niego badawczo, kiedy zastanawiał się nad jej pytaniem. Widziała jego wahanie.

- Pamiętasz wersy, o których rozmawialiśmy dziś rano? Lydia skinęła głową, przypominając sobie poranne modlitwy.

- Te o zapominaniu przeszłości.



- Wybrałem je, bo uznałem, że Bóg każe mi się tym z tobą podzielić. Przeszłość zajmuje istotne miejsce w naszym życiu, ale terażniejszość jest o wiele ważniejsza. Liczy się przede wszystkim bycie tu i teraz, otwarcie serca na to, co naprawdę cenne i wartościowe.

- Ale ty zachowałeś wszystkie wspomnienia, więc łatwiej ci to osądzić. - Lydia ruszyła w stronę domu, a Kjell szybko ją dogonił.

- To nie takie proste - powiedział - ale stopniowo zacząłem wszystko lepiej rozumieć. W Biblii znajdziesz mnóstwo fragmentów, które mówią o zapominaniu przeszłości. Przeszłości nie da się zmienić ani poprawić. Nie możemy jej ulepszyć ani ukształtować tak, żeby bardziej odpowiadała naszej obecnej perspektywie. Wierzę, że Bóg chce, żebyśmy odłożyli ją na bok, tak jakby zmarła i musiała zostać pogrzebana. Kiedy już ktoś umrze, nie możesz go przywrócić do życia. Odchodzi na zawsze. W ten sam sposób odchodzi przeszłość, nawet jeśli chcesz ją rozpamiętywać.

- Bardzo trudno jest nie wiedzieć, kim się tak naprawdę jest. Każdego dnia muszę się konfrontować z tym stanem rzeczy. Zdajesz sobie sprawę, ile spośród naszych reakcji opiera się wyłącznie na doświadczeniu? Wydaje mi się, że niemal wszystkie. A ja nie mam doświadczeń związanych z większością rzeczy, z którymi się stykam.

Na jego twarzy pojawiło się współczucie. Z ogromną czułością dotknął twarzy Lydii.

- Często wydaje mi się, że to ty masz więcej szczęścia od nas. Możesz zapomnieć o całym smutku i bólu, którego doświadczyłaś, i zacząć wszystko od nowa. Możesz podejmować decyzje i planować przyszłość wyłącznie na podstawie tego, w jaki sposób postrzegasz je w danej chwili. Uważam, że to naprawdę cenne... chociaż oczywiście rozumiem, że często cię to przytłacza.

Lydia zamyśliła się.

- Dotąd nie patrzyłam na to w ten sposób. Skupiałam się tylko na poczuciu straty, na tym, że niczego nie pamiętam i czuję się całkowicie zagubiona. Ale wiem, że mam ciebie i Zereldę. - Uśmiechnęła się. - Oboje okazaliście mi tyle miłości! Myślę, że gdybym nie odzyskała pamięci, uda mi się w końcu odłożyć wszystko na bok i cieszyć się tym, co mam. Naprawdę staram się to zrobić.

Kjell skinął głową.

- Wiem. I świetnie ci idzie. - Delikatnie ją pocałował. - Nikt nie mógłby liczyć na więcej.

## Rozdział 28

Naprawdę uwielbiam tę porę roku - powiedziała Lydia. Razem z Zereldą przygotowywały właśnie ziemię w ogrodzie. - Wszystko wydaje się takie świeże i pełne życia.

- Wiosna trwa tu dość krótko - wyjaśniła Zerelda - ale jeśli postępuje się rozsądnie i dużo się pracuje, można wykorzystać te coraz dłuższe dni, żeby posadzić mnóstwo roślin, które zawsze się później przydają. A w lecie dojrzeją wszystkie jagody i pójdziemy je zbierać. To świetna zabawa, choć bywa też niebezpieczna. Jagody lubią zbierać także niedźwiedzie. Trzeba pamiętać, że nigdy nie jest się w lesie samemu. Poza tym nie wolno dotykać białych jagód. Są trujące.

Lydia kiwnęła głową.

- Zapamiętam to. - Po chwili zmarszczyła brwi. - No cóż, taką mam przynajmniej nadzieję. Pewnie mówiłam tak o wielu innych rzeczach, których teraz nie potrafię sobie przypomnieć.

- Może z czasem ci się to uda. - Ciotka dodała jej otuchy. - Lekarz mówił, że jest na to szansa. Widział ludzi, którzy odzyskiwali pamięć, którą stracili na jakiś czas w wyniku traumy. Nie trać nadziei.

- Jeżeli Bóg jest wszechmogący, dlaczego nie oddaje mi wspomnień?

To pytanie zaskoczyło starszą kobietę. Lydia widziała, że Zerelda chciała jej odpowiedzieć, ale zawahała się. W końcu jej ciotka oparła się na motyce i odpowiedziała.

- Zawsze mamy ochotę zapytać Boga o wiele rzeczy. Dlaczego nie pomaga od razu, kiedy ludzie chorują? Dlaczego mamy wrażenie, że sprzyja jednym kosztem drugich? Dlaczego pozwala na złą pogodę, zło i śmierć? Nie zamierzam udawać, że znam odpowiedzi na wszystkie te pytania, Liddie. Ale wierzę, że On może nagiąć wszystko do Swojej woli i że któregoś dnia to zrobi.

- A do tego czasu będę musiała się zadowolić moim nowym życiem - westchnęła Lydia. - Naprawdę chcę wierzyć, chcę Mu ufać. Ale to takie trudne. Ostatnio Kjell mówił mi, że najlepiej zostawić przeszłość za sobą. Przypomniał mi ten wers z trzeciego rozdziału Listu do Filipian: „Ale to jedno czynię: zapominając o tym, co za mną, a wyęszczając siły ku temu, co przede mną”. Czytałam ten fragment wielokrotnie.

- Tak często, że aż go zapamiętałaś - zauważyła Zerelda. - Widzisz, już wypełniasz głowę rzeczami, które będą ci pomagały. - Uśmiechnęła się. - Rozmyślanie nad słowem Bożym to coś wspaniałego. Ma ogromne znaczenie, to przecież nasz spadek.

To ostatnie słowo przeniknęło do myśli Lydii i uderzyło ją. Spadek. Coś w tym wyrazie przykuło jej uwagę -ale co?

- Spadek - szepnęła.

Zerelda zdążyła już tymczasem wrócić do pracy. Podniosła głowę.

- Co mówiłaś?

- Spadek - powtórzyła Lydia. - Z jakiegoś powodu to słowo wydaje mi się istotne. - Zamknęła oczy, tak jakby miało jej to pomóc. - Dlaczego?

- Och, no cóż... może dlatego, że ojciec zostawił ci spadek. Dzięki temu postanowiłaś tu przyjechać. Wzięłaś część pieniędzy i przeniosłaś się na Alaskę.

Lydia zaczęła rozważać słowa Zereldy. Próbowwała przywołać jakiegokolwiek wspomnienie z tym związane, ale nic nie przyszło jej do głowy.

- Czy mój ojciec był bogaty?

- Tak. Chyba tak. Zachowywał ostrożność w interesach i umiał ograniczać wydatki. Zależało mu chyba na tym, żeby zostawić ci coś po śmierci.

- Mieszkałam z nim? - zapytała Lydia. - Mówiłaś, że mam dwadzieścia dziewięć lat. Czy byłam starą panną, która została przy ojcu? Postanowiłam opiekować się nim po śmierci matki? - Ale zanim zdążyła zadać kolejne pytanie, poczuła mocny ból głowy. Zaczęła masować skronie. -Zresztą nieważne. Muszę się teraz przejść. Nie mogę dłużej o tym myśleć.

- Pitkae i Nicoli przywieźli nowe bale, tak jak prosiłaś. Poza tym przyjechał kapitan Briar, chce z tobą porozmawiać - oznajmił Joshua.

Kjell podniósł głowę. Nie słyszał ani nie widział żadnych przedstawicieli władz, odkąd wojsko postanowiło zamknąć sprawę napadu na Lydię. Szybko odłożył przyrząd, za pomocą którego zdejmował korę z bali, po czym poszedł do biura, żeby się dowiedzieć, czego chciał od niego ten człowiek.

- Kapitanie, nie spodziewałem się tu pana - powiedział, wyciągając rękę.

- Wiem - Briar uściśnił jego dłoń. - Ale sytuacja się zmieniła.

Kjella zalała fala strachu.

- Co się stało?

- Schwytaliśmy Iwana Sidorowa. Żyje.

- A co z dzieckiem? - zapytał z niepokojem Kjell.

- Nie odnaleźliśmy go - odpowiedział kapitan. - Ale możliwe, że dowiemy się, gdzie jest.

- Proszę mi o wszystkim opowiedzieć. Kapitan lekko się uśmiechnął.

- Pomyśleliśmy, że możesz zechcieć uczestniczyć w przesłuchaniu.

- Iwan jest tutaj? - zapytał Kjell z niedowierzaniem.

- Tak. Aresztowali go we Wrangle. Ktoś zorientował się, kim jest Sidorów, i rozpoznał to nazwisko. Skontaktowali się z nami i sprowadziliśmy go tutaj.

Kjell szybko ruszył w stronę drzwi.

- Nie traćmy czasu.

Miejsce, w którym uwięzili Iwana, znajdowało się niedaleko, ale Kjellowi wydawało się, że przemierzyli długie kilometry. Kiedy wreszcie dołączył do kilku mężczyzn siedzących przy dużym stole, jego umysł zaczęły zasypywać setki pytań. Wtedy wprowadzono Iwana Sidorowa. Miał skute ręce i nogi, więc poruszał się z trudem.

Iwan bardzo schudł. Jego niegdyś umięśnione ciało przypominało teraz szkielet. Miał puste spojrzenie. Kiedy napotkał wzrok Kjella, nawet nie mrugnął.

Kjella opanowało tak gwałtowne pragnienie pobicia tego człowieka, że niemal zerwał się z krzesła i przebiegł przez pomieszczenie. Chciał go ukarać za wszystko, co zrobił. Ścisnął jednak oparcie drewnianego krzesła i pozostał na miejscu. Jedyne, co mógł teraz zrobić, to skoncentrowanie się na przesłuchaniu.

- Panie Sidorów, tak jak już mówiliśmy, jest pan tu po to, żeby odpowiedzieć na pytania dotyczące napadu, do któ-

rego doszło w lutym - jego ofiarami były Lydia Lindquist oraz jej ciotka Zerelda Rockford - a także porwania Daltona Lindquista.

Kjell uważnie przyglądał się mężczyźnie.

- Będę zeznawał - oznajmił Iwan. - Ale pod jednym warunkiem. Chcę wrócić do domu, do Rosji. Inaczej nic nie powiem.

- Powiesz - zagroził Kjell, którego oczy się zwężyły. - Dopilnuję tego.

Iwan po raz pierwszy okazał jakiegokolwiek emocje. Na jego twarzy pojawił się strach i mężczyzna zwrócił się do kapitana.

- Jeśli pozwolicie, żeby mnie skrzywdził, nigdy wam nic nie powiem.

Briar spojrział na Kjella.

- Bardzo byśmy prosili, żebyś pozwolił nam prowadzić śledztwo. Zaprosiliśmy cię tu, bo wiemy, że zwykle potrafisz nad sobą panować. Czy będziesz mógł zastosować się do naszych zasad?

Kjell skinął głową i opadł na krzesło.

- Będę mógł. I to zrobię.

- Doskonale. - Kapitan dał znak mężczyźnie, który siedział po jego lewej stronie, a ten podał mu stertę papierów.

- Panie Sidorów, możemy panu zaproponować jedynie następujące rozwiązanie: jeżeli powie nam pan wszystko, co wie, oszczędzimy pańskie życie. W razie odmowy zostanie pan osądzony, a wyrok zostanie natychmiast wykonany.

- To niesprawiedliwe - powiedział Iwan. - Chcę wrócić do Rosji. Z więzienia przecież tego nie zrobię.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim złamał pan prawo.

- Briar spojrział na mężczyznę nieugiętym, surowym wzrokiem. - Już to omawialiśmy. Mamy wystarczającą liczbę dowodów, żeby pana obciążyć. Wiemy, że brał pan udział

w tym przestępstwie. Wystarczy, że uznamy pana za winnego i powiesimy.

Kjell przyglądał się, jak Iwan nerwowo rozważał swoją sytuację. Nie ulegało wątpliwości, że mężczyzna zdaje sobie sprawę z przegranej. Nie miał innej szansy na uratowanie życia. Kjell mocno zacisnął zęby i gniewnie wpatrywał się w Sidorowa.

- Dobrze. Zrobię to - zgodził się w końcu Iwan. Wyglądał na pokonanego. Spojrzał pytająco na kapitana. - Co chcecie wiedzieć?

Briar kazał mężczyźnie cofnąć się do czasu napadu.

- Chcemy wiedzieć, dlaczego pan i pański brat wzięliście udział w tak okrutnym czynie.

Iwan zaczął szczegółowo opisywać, jak Marston Gray zwrócił się do nich z propozycją, kiedy dowiedział się, że zostali zwolnieni przez Kjella.

- Najpierw przyszedł do nas, bo słyszał, że znamy Kjella i mamy mu za złe, że nas wyrzucił. Mówił, że też go nienawidzi i że chce się na nim zemścić. Zapłacił mi i Anatolijo-wi, żebyśmy podpalili tartak. Próbowaliśmy to zrobić, ale strażacy za wcześnie ugasili ogień.

- A co z Aakashookiem i Keegaanem? - zapytał Kjell.

- Nie zabiłem ich. Anatolij to zrobił.

- Łatwo ci tak teraz mówić. Twój brat nie żyje i nie może zaprotestować.

- Ale to prawda. Oni widzieli, jak podkładaliśmy ogień. Anatolij kazał mi skończyć, a sam poszedł zająć się Indianami. Zabrał ich gdzieś i nie widziałem, co im zrobił. Później powiedział, że ich zabił.

- Mówił też, dokąd ich zabrał? - zapytał kapitan. Iwan pokręcił głową.

- Prawie nic nie mówił. Nie był zadowolony, że zrobił coś takiego.



- Nie powinien był tego robić - mruknął Kjell. Kapitan Briar utkwił w nim wzrok, więc głęboko odetchnął i znowu opanował gniew. Takie zachowanie w niczym nie pomagało.

- Nie widzieliśmy pana Graya przez długi czas, ale kiedy znowu nas znalazł, powiedział, że zapłaci dużo pieniędzy, jeśli pomożemy mu odzyskać to, co do niego należy. Chciał, żebyśmy zabrali dziecko i sprowadzili je na drugi kraniec wyspy. Lał deszcz i szalała coraz większa burza - mówił dalej Iwan. - Ledwo zdołaliśmy dobić do brzegu. Anatolij powiedział, że pójdzie przodem. Był większy i uznał, że przestraszy kobiety i nakłoni je do... współpracy.

- Ale nie chciały współpracować, prawda? Iwan zadrzał.

- Nie. Kiedy weszliśmy, ta starsza do nas strzeliła. Anatolij wyrwał jej broń. Nie widziała mnie, bo stałem z tyłu. Kiedy Anatolij wszedł na górę, uderzyłem ją mocno w głowę. Nie chciałem jej zabić: gdybym chciał, mógłbym przecież ją zastrzelić.

- Dlaczego nie chciał pan jej zabić? Czy nie przyszliście właśnie po to? - zapytał Briar.

- Nie zamierzałem nikogo zabijać. Chciałem pomóc Anatolijowi zabrać dziecko, mieliśmy za to dostać dużo pieniędzy. Pan Gray obiecał nam tysiąc dolarów.

- I naprawdę myśleliście, że wam tyle zapłaci? - zapytał Briar z niedowierzaniem.

- Tak. Miał mnóstwo pieniędzy.

- Co stało się później? Iwan zmarszczył brwi.

- Uderzyłem tamtą kobietę i nagle zobaczyłem krew, więc się przestraszyłem. Krzyknąłem do Anatolija, żeby się pospieszył i zabrał szybciej dziecko. Myślałem, że ją zabiłem, i chciałem uciec, zanim ktoś się zorientuje. Na górze

usłyszałem strzały i pomyślałem, że Anatolij pewnie zabił panią Lindquist. Zszedł na dół z workiem z różnymi rzeczami i z dzieckiem owiniętym w jakieś koce. Powiedział, że ta druga kobieta też nie żyje, i wyszliśmy.

Kjell coraz mocniej zaciskał dłonie na poręczach krzesła. Mężczyzna opowiadał o tym, co zrobił, tak jakby relacjonował dzień spędzony na rybach. Jak mógł być równie nieczuły na cierpienie i do tego stopnia nie liczyć się z ludzkim życiem?

- Dokąd potem poszliście? - zapytał kapitan.

- Z powrotem do łodzi. Ale burza robiła się coraz silniejsza. Nie dało się wiosłować, więc Anatolij w końcu zdecydował, że wrócimy na brzeg i ruszymy na piechotę. Wiedzieliśmy, że Kjell niedługo wróci, a musieliśmy dotrzeć do chaty, w której mieliśmy się spotkać z Grayem.

- Znaleźliśmy ten dom. Znaleźliśmy też niedaleko stamtąd ciało pańskiego brata, a także szczątki łodzi. Co się stało?

Iwan zmarszczył brwi.

- Pan Gray zastrzelił Anatolija i zastrzeliłby mnie, gdybym nie uciekł. Próbował mnie znaleźć, ale dobrze się ukryłem.

Briar nachylił się nad mężczyzną.

- A co z dzieckiem?

- Zabrał je Gray. Zamierzał wrócić z nim tam, gdzie mieszkał. Na południu czekała na niego łódź z zapasami. Wiedział, że będzie tędy przepływał statek pocztowy i że będzie mógł wsiąść na pokład i wrócić do domu.

- Jest pan pewien, że dziecko żyło?

- Tak. Gray by go nie skrzywdził. Wydawał się całkiem zadowolony, że je ma.

Briar spojrział na Kjella.

- Wygląda na to, że czas powiadomić władze Kansas City i odnaleźć Marstona Graya.

- Powtarzałem wam to od dawna - oznajmił Kjell, nie próbując nawet ukryć gniewu. - Przecież mówiłem, że Gray stoi za tym wszystkim i że tylko on może mieć dziecko. - Wstał. - Czas, żebym wreszcie odzyskał syna.

Lydia nuciła piosenkę i zastanawiała się, skąd może ją znać. To była naprawdę śliczna melodia - spokojna i słodka, delikatna jak kołysanka. Dręczyło ją pytanie, czy potrafiłaby ją zagrać na skrzypcach.

Zerknęła na instrument, który stał po drugiej stronie pokoju. Od dawna nie próbowała już grać. Podczas kilku ostatnich prób udało jej się wydobyć ze strun tylko dziwne, piskliwe dźwięki.

Usłyszała nadjeżdżający wóz i wiedziała, że Kjell wrócił wreszcie do domu. Sprawdziła, czy wszystko gotowe do kolacji, po czym zdjęła fartuszek i poszła go przywitać. Machnęła do męża, ale ledwo ją zauważył. Wyraźnie się czymś martwił - widziała to na jego zamyślanej twarzy.

Lydia poszła do stajni i przyglądała się, jak Kjell wyprzegał konie. Nadal nie zauważył jej obecności. Pracował szybko, ale cały czas mamrotał coś pod nosem.

- Coś się stało, Kjell? - zapytała.

Przestraszył się i gwałtownie się poruszył. Koń pociągowy, którym się zajmował, wierzgnął i popchnął go na płot. Lydia wydała stłumiony okrzyk strachu i zakryła usta. Jeżeli Kjellowi coś się stało, to była jej wina.

Na szczęście jednak jej mąż zaczął łagodnie przemawiać i koń się uspokoił. Delikatnie odepchnął zwierzę i uśmiechnął się do Lydii.

- Nic mi nie jest. Naprawdę.

Czekała w milczeniu, aż skończy się zajmować końmi. Wprowadził zwierzęta do boksów, dał im jedzenie i wodę,

po czym podszedł do żony. Zapewniał ją, że nie przejął się całą tą sytuacją, ale Lydia wiedziała, że martwił się czymś innym.

- Przepraszam, że cię tak przestraszyłam - powiedziała. Otoczył ją ramionami.

- Nic nie szkodzi. Nie koncentrowałem się na pracy, tak jak powinienem. - Przyciągnął ją do siebie, pocałował i na chwilę oparł głowę na jej ramionach. - Tęskniłem dziś za tobą.

W jego głosie Lydia usłyszała desperację.

- Kjell, co się dzieje? Cofnął się i spojrział na nią.

- Dlaczego pytasz?

- Nie jesteś sobą. Widzę przecież, że coś jest nie tak. Uśmiechnął się, wyciągnął dłoń i pogłaskał Lydię po włosach.

- Miałem po prostu ciężki dzień. Odsunęła się i zmarszczyła brwi.

- Okłamujesz mnie. Prosiłam, żebyś niczego przede mną nie zatajał, a właśnie to robisz.

Zmienił mu się wyraz twarzy.

- Liddie, proszę, posłuchaj mnie. Chcę ci o wszystkim powiedzieć, ale po prostu nie wiem, jak to wpłynie na twoje zdrowie.

- Nic mi nie jest. Jediną rzeczą, jakiej mi brakuje, są moje wspomnienia. Może jeśli ty i Zerelda zaczniecie być ze mną szczerzy, uda mi się odzyskać pamięć.

Przez kilka minut patrzył w ziemię. Lydia zamierzała już wyjść ze stajni, ale coś jej na to nie pozwalało.

- Dlaczego mi po prostu o wszystkim nie powiesz? Odzyskałam już siły - powiedziała. - Cokolwiek to jest, dam sobie z tym radę.

Zapadła cisza. Kjell podniósł głowę dopiero po dłuższej chwili, a Lydia zobaczyła łzy w jego oczach. Natychmiast ogarnęła ją panika. Czym mógł się tak bardzo martwić? Co takiego niepokoiło go do tego stopnia?

Cofnęła się jeszcze o krok. Może woląa jednak nie poznawać prawdy. Może lepiej pozostawić wszystko, tak jak jest.

Wydawało się, że Kjell wyczuł jej strach.

- Lydio, proszę cię, zaufaj mi jeszcze przez jakiś czas. Nie wszystko jest tak złe, jak się dotąd wydawało. Prawdę mówiąc, wkrótce może nadejść coś bardzo dobrego.

Lydia skinęła głową i otoczyła go ramionami. Czuła się bardzo samotna, ale nie miała wyboru: musiała się zgodzić.

- Dobrze, zaufam ci.

## Rozdział 29

Marston Gray wyskoczył z powozu i wbiegł do trzypiętrowego ceglanego budynku, który nazywał domem. Marzył o drinku. Musiał się trochę uspokoić. Przez cały dzień był podenerwowany, a kiedy wreszcie potwierdziły się jego najgorsze obawy, wiedział, że trzeba działać szybko.

Jeden ze współników Marstona powiedział mu, że ktoś węszy wokół niego i próbuje zdobyć na jego temat informacje. Zadawano różne dziwne pytania o to, czy jest żonaty i czy w ostatnim czasie nie urodziło mu się dziecko. Wspólnik wyśmiał te pogłoski, uznając to za kompletny absurd i ewidentne nieporozumienie, ale Marston wiedział swoje.

- Lindquist. - Niemal się zakrztusił, wymawiając to nazwisko. Ignorując służbę, ruszył sztywnym krokiem do gabinetu i zamknął się w nim na klucz.

Przez chwilę rozważał, czy nie napić się brandy, ale ostatecznie zdecydował się na whisky, po czym usiadł za biurkiem. Wypił duży łyk i zaczął się zastanawiać, co powinien teraz zrobić. Jeżeli Kjell Lindquist skontaktował się już z władzami, dlaczego nikt nie przyszedł, żeby go przesłuchać?

Gdyby tylko Lydia została zabita, nie pojawiłyby się te wszystkie trudności. Jako najbliższy krewny dziecka, Marston z łatwością wytłumaczyłby swoją decyzję o zabraniu go do Kansas City. Mógłby nawet wymyślić jakąś historyj-

kę, która wyjaśniałaby, w jaki sposób chłopiec do niego trafił. Ale na to było już za późno.

Rozważał, jakie należy teraz podjąć kroki. Oczywiście zachował się ostrożnie i pilnie strzegł informacji o istnieniu Daltona. Tylko kilka osób wiedziało, że dziecko przebywa w Kansas City. Ale gdyby władze rzeczywiście zaczęły badać tę sprawę, wszystko mogło się wydać.

Uznał, że najlepiej pojechać do Thomasa i Evie i omówić z nimi tę sprawę. Będzie musiał wyznać siostrze prawdę albo wymyślić jakąś nową historyjkę. Ale co jej wmówić, żeby uzyskać jej wsparcie? Mógł tylko liczyć na to, że czas, który spędziła z dzieckiem, sprawił, że między nią a Daltonem powstała silna więź. Jeśli przywiązała się do chłopca w wystarczającym stopniu, może będzie skłonna kłamać, żeby go zatrzymać przy sobie.

Marston dopił whisky i przez kilka minut wpatrywał się w pustą szklanekę. Miał ochotę na kolejnego drinka, ale musiał zachować trzeźwość umysłu. Nic nie szło po jego myśli. Kompletnie nic. Nie udało im się pozbyć Dwighta Robinsona ani wykraść z jego biura całej dokumentacji związanej z Lydią. Przedsiębiorstwo, które kiedyś do nich należało, odnosiło sukcesy bez ich udziału - zamiast Marstona i Mitchella zarządzała nim grupa odgórnie wyznaczonych urzędników, którzy skwapliwie trzymali Grayów z dala od interesu.

Jego własne inwestycje nie szły najlepiej, a Mitchell skarżył się, że to samo dotyczy jego. Potrzebowali przedsiębiorstwa trumniarskiego i pewnych, stałych dochodów, które ono przynosiło. Marston nie miał pewności, czy bez nich zdołają ustabilizować swoją sytuację finansową.

Pukanie do drzwi przerwało te rozmyślenia. Marston głęboko odetchnął i poszedł sprawdzić, kto zdecydował się mu przeszkadzać. Otworzył i ku swojemu zaskoczeniu zobaczył swojego brata bliźniaka.

- Co cię tu sprowadza?

- Szykują się kłopoty - oznajmił Mitchell. - Ktoś węszył w moich interesach.

Ilekoć Evie patrzyła na Daltona, zalewało ją przytłaczające poczucie winy. Odkąd dowiedziała się prawdy o Lydii, nie przestawały jej dręczyć koszmary. Nie mogła uwierzyć, że jej rodzina okazała się do tego stopnia przepojona złem -miała dotąd nadzieję, że ta mroczna strona została raz na zawsze pogrzebana wraz z ich ojcem.

Ukryta w swoim prywatnym saloniku razem z Daltonem i nową nianią, Evie zastanawiała się, jak to wszystko naprawić. Marzyła o tym, żeby oddać chłopca Lydii, ale jak miała to zrobić? Jakie mogła podjąć kroki, które nie zwróciłyby przeciw niej braci i męża? Pomyślała, że napisze do macochy i poprosi, żeby przyjechała do Kansas City. Gdyby Lydia dowiedziała się, gdzie dokładnie przebywa Dalton i jak go odzyskać, z pewnością udałoby się rozwiązać tę straszną sytuację.

Evie zerknęła na drugą stronę pokoju, gdzie młoda opiekunka bawiła się z chłopcem. Była tu nowa, została zatrudniona dosłownie tydzień wcześniej, żeby pomóc starszej niani.

- Ellie, ile masz lat?

Ciemnowłosa dziewczyna odwróciła się.

- Szesnaście, proszę pani. Evie kiwnęła głową.

- A w jaki sposób zostałam zatrudniona? Ellie odwróciła wzrok.

- Moja matka zmarła, kiedy byłam jeszcze mała, i od tego czasu zajmowała się mną siostra. W zeszłym roku



wyjechała z mężem na zachód. Teściową mojej siostry jest pani Shevlin.

- Moja gospodyni?

- Tak. Wiedziała, że potrzebuję pracy.

- A dlaczego twoja rodzina nie zabrała cię z sobą?

- To by zbyt dużo kosztowało. Siostra zorganizowała mi mieszkanie u przyjaciół, ale to nie wyszło. Ten mąż... no cóż... był... - Zamilkła i zarumieniła się.

- Chyba rozumiem - powiedziała łagodnie Evie. - Nie musisz wchodzić w szczegóły.

Ellie ułożyła Daltona na kocyku i podała mu zabawkę.

- Siostra długo płakała, kiedy musiała wyjechać. Nie chcieli mnie tu zostawiać i planowali po mnie potem posłać.

- I gdzie są teraz? - zapytała Evie.

- W Sacramento. Mój szwagier Bill dostał tam pracę na kolei. Siostra sprząta dom jednej z miejscowych bogatych rodzin. Obiecała, że kiedy tylko uzbierają dość pieniędzy, zorganizują wszystko tak, żebym mogła pojechać pociągiem na zachód.

- Więc nie zamierzasz zostać u nas długo? Na twarzy Ellie pojawiło się przerażenie.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Proszę, niech mnie pani nie odprawia.

Evie zorientowała się, do jakiego stopnia jej pytanie zmartwiło dziewczynę, i szybko pokręciła głową.

- Nie zamierzam cię odprawiać. - Nie chciała mówić zbyt wiele, tym bardziej że nie wiedziała jeszcze, co dokładnie zrobi.

Niania Hubble weszła cicho do pokoju. Zerknęła na Evie, a potem na Ellie.

- Przynieś go - nakazała - czas na kąpiel. Dziewczyna wzięła dziecko na ręce i podała je Evie, żeby

ta mogła je pocałować. Co wieczór powtarzały ten rytuał.

- Słodkie maleństwo. A teraz bądź grzeczny. - Pocałowała chłopca w pucołowaty policzek i roześmiała się, kiedy złapał ją za nos.

Kiedy kobiety wyszły, Evie powróciła do rozważań nad tym, co powinna zrobić. Zadzwoił zegar na korninku i wiedziała, że zaraz pojawi się służąca, żeby pomóc jej się przebrać na kolację.

Evie poszła do sypialni, stanęła przed szafą i wybrała piękną suknię z zielonego jedwabiu. Położyła ją ostrożnie na łóżku. Chwilę później służąca zapukała do drzwi.

- Czy chciałaby pani przygotować się do kolacji?

- Tak, wejdz. Wybrałam już, co założę. - Wskazała ręką w stronę łóżka.

Młoda kobieta dygnęła i pomogła Evie zdjąć sukienkę, którą miała na sobie w ciągu dnia, a potem podała jej halkę.

- Ach, pan Gadston kazał przekazać, że podczas kolacji dołączy też pani brat.

- Który? - zapytała Evie.

- Pan Marston.

Serce zamarło jej na chwilę. Po co on przyszedł? Czy pojawiły się już jakieś problemy i ktoś dowiedział się o Daltonie? A może zamierzał zabrać dziecko? Evie zrozumiała, że musi działać szybko. Być może ma bardzo niewiele czasu, zanim do całej sprawy włączą się władze.

- Czy mój brat jest już na dole? - zapytała, kiedy służąca zapinała guziki sukni.

- Tak. Przyjechał kilka minut temu.

Evie czekała niecierpliwie, aż dziewczyna skończy. Potem szybko sprawdziła fryzurę i uznała, że włosy nie są w nieładzie i nie wymagają poprawiania. Spryskała się perfumami i czekała, aż służąca przyniesie jej buty.

Postanowiła rozwiązać sprawę Daltona w najdelikatniejszy sposób, jaki przyszedł jej do głowy. Zamierzała

powiedzieć mężowi i bratu, że chciałyby wyjechać z dzieckiem. Może zasugeruje, że uda się za granicę. Liczyła na to, że gdyby wspomniała o wakacjach w Anglii, nikt by się niczego nie domyślił.

Zeszła na dół. Thomas i Marston pili drinki w dużym salonie. Wstali, a Evie uśmiechnęła się i podeszła do nich.

- Co za niespodzianka - oznajmiła. - Muszę przyznać, że świetnie się składa.

Marston zerknął na nią z zaciekawieniem.

- A to dlaczego?

- No cóż, chciałabym przekonać do czegoś Thomasa i pomyślałam, że mógłbyś mu pomóc, ponieważ w pewnym sensie ta sprawa dotyczy także ciebie.

Mąż spojrzał na Evie podejrzliwie, a ona opadła na rokokowy fotel.

- Proszę, usiądźcie, wszystko wam wytłumaczę.

Zrobili tak, jak sugerowała, choć wyglądali na zaniepokojonych. Gdyby nie powaga sytuacji, roześmiałyby się na widok ich min.

- Chciałabym o coś poprosić. Dotyczy to również Daltona, dlatego cieszę się, że tu jesteś, Marston.

Jej brat zmarszczył brwi. Wydawał się zdenerwowany.

- O co chodzi?

- Chciałabym pojechać do Anglii na lato i zabrać z sobą dziecko.

Thomas zakrztusił się brandy, ale Marston nie odrywał od niej wzroku. Evie poczuła się nieswojo. Nigdy nie umiała dobrze kłamać, ale zaraz przypomniała sobie, że przecież robi to wszystko po to, żeby oddać Lydii syna.

- Do Anglii? - zapytał Marston, patrząc na Thomasa. - Dlaczego akurat tam?

- Mamy tam przyjaciół - wyjaśniła Evie. - W zeszłym roku zaprosili mnie na lato, ale nie miałam okazji poważnie

o tym pomyśleć. Bardzo bym chciała pojechać i przy okazji pochwalić się Daltonem. To byłaby wspaniała odmiana.

Przez chwilę panowała cisza. Wreszcie jej brat skinął głową.

- Uważam, że to świetny pomysł. - Choć zwracał się do Evie, Marston patrzył na Thomasa. - Kiedy chciałabyś wyjechać?

- Im szybciej, tym lepiej - zaryzykowała. - Myślałam, żeby zrobić to w ciągu najbliższych dni. Pakowanie nie stanowiłoby problemu, bo zamierzam zabrać jedynie minimalną ilość rzeczy i kupić sobie nowe ubrania na miejscu. Oczywiście jeśli Thomas się zgodzi.

Thomas się wyprostował.

- Mogłabyś pojechać do Nowego Jorku, a ja wysłałbym wcześniej telegraf, żeby zarezerwować wam bilety na dalszą część podróży.

Marston skinął głową.

- Wydaje mi się, że taka wyprawa dobrze wam zrobi. Anglia o tej porze roku jest naprawdę cudowna.

- Chciałabym zabrać z sobą Ellie. Pracuje u nas od niedawna, ale bardzo ją polubiłam i świetnie zajmuje się dzieckiem. Niania Hubble zrobiła się po prostu za stara i zbyt schorowana, żeby opiekować się Daltonem.

- Kto jeszcze by z tobą pojechał? - zapytał jej mąż.

- Nikt. Podróż do Anglii nie jest skomplikowana, zresztą zawsze mogę skorzystać ze służby na statku. Ellie pełniłaby jednocześnie funkcję mojej służącej i niani Daltona. Wydaje mi się, że byłoby nam razem wygodnie.

- Ostatnim razem, kiedy jechałaś za granicę, zabrałaś z sobą co najmniej pięć osób - przypomniał Thomas.

- Wiem i przez to wszyscy bez przerwy na siebie wpadali. Łatwiej wynająć kogoś na miejscu - zapewniła Evie.

Marston wstał.

- Pamiętasz mojego znajomego z Chicago, George'a Pullmana? Poznaliśmy go, kiedy jeszcze robił trumny. Teraz produkuje prywatne wagony kolejowe. Jestem pewien, że mógłbym wysłać do niego telegraf i poprosić, żeby przygotował taki wagon dla Evie. Proponował mi to przy wielu okazjach. Możemy też zorganizować wszystko tak, że kiedy już dotrą do Nowego Jorku, zostaną odebrani i odwiezieni bezpośrednio na statek.

Uśmiechnęła się.

- To świetny pomysł.

- Podano do stołu - oznajmił Miles. Marston podał jej rękę.

- Chodź. Wszystko dokładnie zaplanujemy.

- Tak się cieszę na tę podróż! Wiedziałam, że nie zaznam spokoju, dopóki czegoś nie ustalimy.

Po kolacji Marston życzył siostrze dobrej nocy i zamknął się z mężem Evie w jego gabinecie.

- Wygląda na to, że sprawa sama się rozwiązała - oznajmił Thomas, zapalając cygaro. Zaproponował też jedno Marstonowi.

- Nie, dziękuję - powiedział Gray, kręcąc głową. - Muszę przyznać, że to wielka ulga. Nie wiem tylko, jak wywieźć dziecko z Kansas City, tak żeby nikt niczego nie zauważył.

- Tak, dyskretna wydaje się absolutnie konieczna: nikt nie może wiedzieć, że Dalton tu był. Ale chyba przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie - odpowiedział Thomas. - Wpadłem na to, kiedy dyskutowaliście o Anglii. Moim zdaniem powinniśmy wmówić Evie, że życie Daltona jest zagrożone i że dopiero się o tym dowiedzieliśmy.

- Ale jakiej użyjemy wymówki?

Thomas podrapał się po podbródku.

- Powiemy jej, że dotarły do nas pogłoski o epidemii szalejącej w biedniejszych dzielnicach miasta. Jeśli uwierzy, że Dalton znalazł się w niebezpieczeństwie, sama zechce go jak najszybciej wywieźć z Kansas City.

- I co potem?

- Zasugerujemy, żeby razem ze służącą pojechały prywatnym wagonem. Powiedzmy, że do Omahy. Stamtąd z łatwością złapią pociąg do Chicago.

- Rozumiem. To rzeczywiście powinno się udać.

- Oczywiście, że się uda. Ten plan pozwoli nam też wywieźć ich stąd jeszcze szybciej, niż przewidywaliśmy. Dziś wieczorem powiem jej o całej sytuacji i wyjaśnię, że powinni wyjechać przed świtem. Dzięki temu nikt niczego nie zauważy.

Marstonowi podobało się rozumowanie szwagra.

- W takim razie zostawiam tę sprawę w twoich rękach. Thomas skinął głową.

- Zadbam o to, żeby niczego im nie brakowało. Evie będzie miała wszystko, czego zapagnie, dam jej na drogę mnóstwo gotówki. Właściwie - zerknął na zegarek - od razu wezmę akredytywę z naszego banku.

- O tej porze? - zdziwił się Marston. Jego szwagier zgasił cygaro.

- Ja też mam swoich przyjaciół.

## Rozdział 319

Ciągłe podskakiwanie powozu uspokajało Evie i przypominało jej o tym, że zmierzają w bezpieczne miejsce, jak najdalej od jej rodziny. Wiedziała jednak, że nadszedł też czas, żeby wyjaśnić wszystko Ellie. Dziewczynę bardzo zaskoczyła informacja o nagłym wyjeździe do Europy. Wybałuszając oczy ze zdziwienia, zgodziła się towarzyszyć jej jako służąca i niania dziecka. Teraz, kiedy Dalton spokojnie spał, Evie postanowiła szczerze z nią o wszystkim porozmawiać.

- Ellie, muszę coś z tobą przedyskutować. Dziewczyna wyprostowała się.

- O co chodzi, proszę pani?

- Muszę wiedzieć, czy mogę ci zaufać. Jeżeli udowodnisz mi, że tak, dopilnuję, żebyś dołączyła do siostry w Sacramento.

- Naprawdę? - Na twarzy Ellie pojawiło się zaskoczenie. Evie skinęła głową.

- Stało się coś bardzo złego i niesprawiedliwego, a ja próbuję to właśnie naprawić. To wymaga jednak twojej pełnej współpracy. Musisz robić wszystko, o co cię poproszę, bez zadawania jakichkolwiek pytań. W przeciwnym wypadku możemy się znaleźć w niebezpieczeństwie, Dalton zresztą też.

Ellie natychmiast spoważniała.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, co pani każe.

- Doskonale. - Evie czuła, że dziewczyna dotrzyma słowa. - Nie jedziemy do Europy. Zamiast tego złapiemy pociąg w Omaha i ruszymy na zachód do San Francisco. Po drodze wyślemy telegraf do twojej siostry. Pociąg będzie przejeżdżał przez Sacramento, więc możecie się tam spotkać. Jeśli nie zechcesz tam zostać, możesz ruszyć ze mną w dalszą drogę.

Ellie spojrzała na śpiącego Daltona.

- Ale co z dzieckiem? Nie potrzebuje pani przy nim pomocy?

- Zostanę sama tylko na krótki czas. niesprawiedliwość, o której ci mówiłam, polega na tym, że mój brat usiłował zabić matkę tego dziecka.

Dziewczyna wydała stłumiony okrzyk i potrząsnęła głową.

- Przecież to morderstwo.

- Tak. Chciał, żeby zginęła. Dzięki temu mógł uprowadzić Daltona i przywieźć go do Kansas City. Ale okazało się, że matka przeżyła napad. Dopiero się o tym dowiedziałam i zamierzam jej oddać dziecko.

- Musi być załamana, że je straciła - zamyśliła się Ellie. - To taki wspaniały chłopiec.

- Nie widziała go już od miesiący - dodała Evie ze smutkiem. - Jestem pewna, że Lydia ma złamane serce. Ale mam nadzieję, że wszystko naprawimy.

- I dlatego wyjechaliśmy tak szybko? Evie wyjrzała przez okno powozu.

- Wydaje mi się, że władze są już na tropie mojego brata. Nic na ten temat nie mówił, ale dostrzegłam jego niepokój. Nie chciałam, żeby Dalton trafił w ręce obcych ludzi, dlatego zaproponowałam tę podróż. Czułam, że jeśli władze rzeczywiście podejrzewają Marstona, z zadowoleniem przyjmie on pomysł wywiezienia dziecka z miasta. A po-



nieważ zasugerowałam wyjazd za granicę, przez jakiś czas nikt nie będzie czekał na wieści ode mnie.

- To bardzo sprytne - powiedziała Ellie z podziwem. - Jest pani bardzo mądra.

- Mam nadzieję, że jestem wystarczająco mądra. Gdyby mój brat wiedział, co planuję zrobić, odszukałby mnie i zabrałby Daltona. Ale ja nie spocznę, dopóki to dziecko nie wróci do matki, nawet jeśli będę musiała przypłacić to własnym życiem.

Dziewczyna spojrzała na nią przerażona.

- Ale dlaczego miałyby się pani coś stać?

- Mój mąż i bracia to wpływowi ludzie. Mogą nawet próbować cię odnaleźć i wydobyć z ciebie odpowiedzi. Musisz robić dokładnie to, co powiem, inaczej Dalton nigdy nie zobaczy matki.

- Zrobię, co pani każe. Przysięgam. Pomogę, jak tylko będę umiała - obiecała dziewczyna.

Dwa dni później, kiedy wsiadały do pociągu na zachód, Ellie miała okazję udowodnić swój entuzjazm i chęć wsparcia swojej pani w realizacji jej planu. Dziewczyna udawała młodą matkę podróżującą z dzieckiem. Evie sprzedała swoje najlepsze suknie i kupiła dwa proste stroje. Kiedy Ellie założyła do nich pelerynę i czepek, wyglądała dokładnie tak jak większość pozostałych pasażerek. Wsiadły do pociągu osobno, a następnie ruszyły do tego samego wagonu. Udawały, że się nie znają, i nie próbowały nawet siadać obok siebie. Evie uprzedziła dziewczynę, że gdzieś po drodze przesiądą się do innego pociągu, w którym nie będą już musiały się ukrywać.

Kiedy dotarły do Omahy, Evie odetchnęła z ulgą. Pierwsza część planu zakończyła się powodzeniem. Czy grze-

chem było modlenie się o to, żeby udało się skutecznie ukryć kłamstwo?

Przez ostatni rok spędzała niemal każdą niedzielę u boku swojego męża w dużym kościele episkopalnym, do którego chodził on od dziecka. Thomas, podobnie jak jej ojciec, traktował pokazywanie się w świątyni jako sposób na umocnienie własnej pozycji społecznej. Evie natomiast próbowała zrozumieć chociaż część stwierdzeń, które padały podczas niedzielnych kazań, ale nikt nie potrafił odpowiedzieć na jej pytania. Nawet ksiądz sugerował, żeby się tym nie martwiła. A jednak chciała *wiedzieć* więcej - szczególnie o tym, jak rozmawiać z Panem. Zastanawiała się nad długimi modlitwami, które ksiądz odmawiał podczas mszy. Czy potrafiłaby robić to samo? A gdyby postanowiła przemawiać do Boga własnymi słowami? Zwyczajnymi, codziennymi słowami - czy Bóg by ją wtedy rozumiał?

Marston cieszył się, że Evie i Dalton są już w drodze do Anglii. Ulga, którą odczuwał, przybrała jeszcze na sile, kiedy kamerdyner oznajmił, że przyszli do niego jacyś ludzie.

Właśnie skończył jeść śniadanie i pił kawę, kiedy służący wprowadził mężczyzn do jadalni. Marston rozpoznał jednego z nich, funkcjonariusza policji. Dwaj pozostali byli ubrani po cywilnemu. Pomyślał, że to muszą być detektywi, którzy o niego ostatnio wypytywali.

- Dzień dobry, panowie. - Powitał człowieka w mundurze. - Davidson, dobrze cię widzieć. Jak się miewa twoja rodzina?

- Wszystko w porządku. - Mężczyzna odwrócił się, żeby przedstawić swoich towarzyszy. - To pan Wilson i pan Kloosterhof.

Marston skinął głową.

- Panowie, napijcie się ze mną kawy?

- Nie, dziękujemy, panie Gray - odpowiedział Wilson. - Przyszliśmy tu w sprawach służbowych. Poproszono mnie o zbadanie sprawy zaginionego dziecka.

- A o jakie dziecko chodzi? - Marston usiłował udawać zdezorientowanego, choć jednocześnie zaciekawionego. - Któreś z sąsiedztwa?

- Nie. Chodzi o niemowlę. O pańskiego brata. Marston roześmiał się.

- Nie mam brata w tak młodym wieku. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale ktoś ewidentnie wprowadził panów w błąd. Mam nadzieję, że przynajmniej dobrze wam płacą za tę kpinę.

Wilson zerknął na Kloosterhofa, po czym znowu zwrócił się do Graya.

- Rozumiem, że nie miał pan pojęcia, że pańska macocha Lydia Gray urodziła dziecko?

- Naprawdę? - Marston przyłożył serwetkę do ust. - To zadziwiająca wiadomość. Mój ojciec zmarł ponad rok temu. Trudno mi sobie wyobrazić, że Lydia mogłaby urodzić jego dziecko.

- Przyszło na świat w grudniu zeszłego roku - wyjaśnił Kloosterhof rzeczowym tonem.

- Rozumiem. No cóż, nic o tym nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, że kiedy Lydia nas opuszczała, była ciężarna. Nie dostawaliśmy od niej żadnych wieści, więc uznaliśmy, że zaczęła nowe życie gdzieś indziej.

- To akurat prawda. Ale podobno ją pan tam odwiedził. Przypuszczamy więc, że pojechał pan do niej, kiedy urodziło się dziecko, a później zabrał je pan i przywiózł do Kansas City.

- A dokąd miałbym rzekomo w tym celu pojechać?

- Do miasteczka o nazwie Sitka na Alasce - odpowiedział Wilson.  
Marston odsunął się od stołu.

- Muszę przyznać, że nigdy w życiu o takim miejscu nie słyszałem.

- Są świadkowie gotowi zeznać, że pan tam przebywał.

- Panowie, nie wiem, jak mógłbym wam pomóc. Na Boga, Davidson, wiesz dobrze, że jestem samotnym człowiekiem. Moja siostra i brat mają dzieci, ale ja na szczęście nie.

- Możemy przeszukać pański dom? - zapytał Wilson.

- To niepotrzebne - oznajmił policjant. - Marston Gray to człowiek honoru i prawdziwy gentleman. Jeżeli twierdzi, że nic o tym nie wie, to tak właśnie jest.

- W porządku, Davidson. - Marston zwrócił się w stronę detektywów i wstał. - Możecie panowie swobodnie rozejrzeć się po moim domu, jeśli widzicie taką potrzebę. Ja jednak mam dziś w planach kilka spotkań, więc muszę teraz wyjść. Powiadomię kamerdynera, że będziecie przeszukiwali dom. - Zamilkł na chwilę. - Czy to wszystko?

- Na razie tak - powiedział Wilson, marszcząc brwi. - Ale pozostaniemy w kontakcie.

- Doskonale. Jeżeli rzeczywiście mam małego brata, którego oderwano od piersi matki, bardzo chciałbym pomóc w jego odnalezieniu.

Po tych słowach Marston wyszedł, a mężczyźni odprowadzili go wzrokiem.

Evie wyglądała przez okno pokoju hotelowego i patrzyła, jak słońce zachodzi nad oceanem. To był wspaniały widok. Zachwyciły ją złote i pomarańczowe promienie odbijające się na wodzie.

Kalifornia ją urzekła, a San Francisco okazało się niezwykłym miastem. Było jeszcze większe niż Kansas City -a w każdym razie wydawało się zdecydowanie gęściej zaludnione. Odwróciła się i zerknęła na śpiące dziecko. W czasie podróży Dalton zachowywał się bardzo spokojnie, co przyniosło jej ogromną ulgę. Szczególnie teraz, kiedy została z nim sama.

Ellie wysiadła w Sacramento kilka dni wcześniej. Jej siostra płakała i robiła wokół dziewczyny takie zamieszanie, że Evie myślała, że nieszczęsna służąca zdecyduje się wsiąść z powrotem do pociągu. Kobieta w kółko jej dziękowała i proponowała, żeby zatrzymała się u nich, zanim ruszy do San Francisco. Evie ujęła jej gościnność, ale odrzuciła tę propozycję. Wiedziała, że im szybciej dotrze na statek na Alaskę, tym lepiej.

Teraz jednak tęskniła za towarzystwem Ellie. Ciągła opieka nad dzieckiem okazała się dla Evie kompletną nowością i chwilami po prostu ją przytłaczała. Samo przewijanie i karmienie Daltona wydawało jej się wystarczająco pracochłonne - a zdarzało się, że niemowlę zaczynało bez powodu płakać.

Poza tym Ellie była doskonałą towarzyszką, z którą świetnie się rozmawiało. Evie musiała też przyznać, że po prostu się bała. Źle sypiała i ciągle jej się wydawało, że Marston może w każdej chwili wyważyć drzwi pokoju i zażądać, żeby natychmiast oddała mu Daltona.

Wszystko szło jednak dobrze. Evie udało się zarezerwować miejsce na statku pocztowym „Constantine”, który miał wypłynąć w ciągu kilku dni. Wydawało się, że Bóg toruje jej drogę - choć nadal nie była pewna, kim On dla niej jest i czy naprawdę się o nią troszczy. Ale na szczęście nie natrafili z Daltonem na żadne przeszkody podczas podróży na zachód. Wszystko szło tak idealnie, że Evie zaczynała wierzyć, że jej modlitwy zostały wysłuchane.

Lydia obudziła się z krzykiem. Koszmar wydawał się tak prawdziwy, że nadal czuła przeszywający ból w szyi. Została postrzelona. Jakiś mężczyzna wpadł do jej sypialni. Nadal miała go przed oczami.

- Liddie, nic ci nie jest? - zapytał Kjell. Zapalił lampkę, która stała przy ich łóżku, i spojrzał na nią z niepokojem.

- To się rzeczywiście stało, prawda? - zapytała, drżąc.

- O czym ty mówisz?

- O tej nocy, kiedy była burza. Opowiedz mi, co się wtedy wydarzyło - poprosiła.

- Nie było mnie tu. Nie wiem, co się dokładnie działo.

- Ktoś mnie postrzelił, prawda? Wcale nie zostałam ranna w wyniku burzy.

- Przypomniałaś sobie tamten dzień? Pokręciła głową.

- Nie do końca. Pamiętam, że stałam tam. - Wskazała kąt pokoju. - Nie wiem, co się stało, ale jakiś mężczyzna wpadł nagle do pokoju i do mnie strzelił. To się rzeczywiście wydarzyło, prawda?

Jego wahanie wystarczyło Lydii za odpowiedź.

- Kjell, kto to był?

- Nazywał się Anatolij Sidorów.

- Nazywał? To znaczy, że nie żyje? Kiwnął głową.

- Tak. Kiedyś dla mnie pracował, ale musiałem zwolnić zarówno jego, jak i jego brata, bo zaczęli okradać moich klientów.

- Dlaczego mi o tym wcześniej nie powiedziałeś? Dlaczego pozwoliłeś mi wierzyć, że zostałam ranna w czasie burzy?

- Istotnie zostałam ranna w czasie burzy. Po prostu nigdy ci nie powiedziałem, jak do tego doszło. Lekarz nie chciał,

żebyśmy obciążali cię zbyt dużą liczbą wspomnień. Twierdził, że to cię przerośnie. Liddie, zrozum. Ukrywaliśmy to przed tobą wyłącznie dla twojego dobra. Przyłożyła rękę do czoła.

- Przestań! Nie wierzę, żeby te tajemnice były w stanie mi pomóc. Może tak naprawdę to było dobre dla ciebie i Zereldy, ale na pewno nie dla mnie. Muszę znać prawdę. Muszę się dowiedzieć, co się tak naprawdę stało.

Wyciągnął dłoń w jej stronę, ale Lydia go odepchnęła.

- Nie rozumiesz, Kjell? Chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć. Nawet jeśli to coś złego. - Spojrzała na niego pytająco. - To coś strasznego, prawda? Dlatego nie chcesz mi powiedzieć.

- Tak - przyznał.

- Na tyle złego, że ty też się boisz? - Widziała strach w jego oczach.

-Tak.

Wiedziała, że musi podjąć decyzję. Mogła usłyszeć prawdę o wydarzeniach, które się rozegrały tamtej nocy. Była przekonana, że Kjell by jej o wszystkim powiedział, gdyby go o to poprosiła. Ale gdyby nie zniosła tej prawdy? Lydia nagle straciła pewność, czy rzeczywiście tego chce. Narastała w niej panika. Wiedziała, że cokolwiek czyha w jej roztrzaskanych wspomnieniach, jest na tyle potworne, że sama ukryła to gdzieś głęboko w swoim wnętrzu.

- Nie mam pojęcia, co robić - powiedziała, a łzy spływały jej po policzkach. - Muszę wiedzieć, ale za bardzo się boję.

Kjell znowu wyciągnął rękę w jej stronę, ale tym razem Lydia pozwoliła mu się przytulić.

- Zrobię, co zechcesz, ale proszę, pamiętaj: ukrywałem to przed tobą wyłącznie po to, żebyś nie cierpiała bardziej, niż już cierpisz.

Co gorszego mogło ją spotkać? Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby cierpieć jeszcze bardziej, ale w głębi serca poczuła, że Kjell mówił prawdę. Gdzieś w jej wspomnieniach czaiło się coś dużo gorszego, niż była w stanie pojąć. Krył się tam jakiś straszliwy potwór. Potwór, który mógł ją w każdej chwili pożreć.



## Rozdział 329

Następnego ranka, siedząc przy stole z Kjellem i Zereldą, Lydia rozmyślała o tym, co wydarzyło się zeszłej nocy. Prowadziła wewnętrzną walkę, rozważając, czy lepiej poznać prawdę i spróbować jakoś poradzić sobie z bólem, który ona przyniesie - czy dalej blokować wspomnienia. W jej przeszłości kryło się coś, co ją przerażało. Wiedziała, że kiedy ta rzecz wyjdzie na jaw, wszystko ulegnie zmianie... ale przecież cokolwiek się wydarzyło, jej życie już i tak zostało całkowicie przekształcone.

Nie mogła już używać dotychczasowej wymówki, że jej nieznajomość prawdy w jakiś sposób chroni Zereldę i Kjella przed bólem. Oni doskonale zdawali sobie sprawę, co się wydarzyło. Często widywała swojego męża pogrążonego w modlitwie, z twarzą zalaną łzami - wiedziała, jak bardzo cierpiał.

Otoczyła dłońmi kubek z kawą i podjęła ostateczną decyzję.

- Chyba jednak muszę zrozumieć, co się stało tamtej nocy i przed czym mnie tak chronicie. Wiem, że to coś strasznego. Wiem, że czeka mnie ból. I zdaję sobie sprawę, że nawet kiedy mi o tym powiecie, nie odzyskam natychmiast pamięci. Ale może pozwoli mi to przestać walczyć z własnymi wspomnieniami.

Zerelda spojrzała na Kjella i kiwnęła głową.

- Myślę, że Lydia ma rację. Uważam, że czas jej wszystko wyjaśnić.

- Od czego zaczniemy? - zapytał.

- Zacznij od tamtej nocy. Mówiłeś, że jakiś mężczyzna wpadł do naszego domu i mnie postrzelił. Dlaczego to zrobił? Chciał nas obrabować?

- W pewnym sensie - odpowiedział Kjell. Głośno westchnął i rozmasował skronie. - Lydio, przyjechałaś do Sitki jako wdowa. Wcześniej mieszkałaś w Kansas City i miałaś męża, który nazywał się Floyd Gray.

Lydia nie potrafiła sobie przypomnieć żadnego szczegółu z dawnego życia. W jej umyśle pojawiały się co prawda ulotne obrazy ludzi, których nie rozpoznawała, ale nie mogła przywołać ani jednego konkretnego wspomnienia.

- W jaki sposób zostałam wdową?

- Twój mąż i ojciec zginęli w wypadku powozu. Byli razem, kiedy to się stało - wyjaśniła Zerelda. - Twój mąż zmarł natychmiast, a ojciec, czyli mój brat Zachary, odszedł dwa dni później.

- Rozumiem. Ale co to ma wspólnego z tym, że postanowiłam przenieść się do Sitki?

- Chciałaś wyjechać z Kansas City, bo pasierbowie byli wobec ciebie okrutni. Odziedziczyłaś pieniądze ich ojca -mówiła dalej Zerelda. - Pamiętasz, kiedy wspomniałaś, że słowo *spadek* wydaje ci się z jakiegoś powodu ważne i opowiedziałam ci o spadku, który zostawił ci Zachary?

Lydia kiwnęła głową. -Tak.

- Wskutek wypadku stałaś się bogata, ale jednocześnie Grayowie utracili część rodzinnej fortuny. Testamenty twojego męża i ojca były z sobą ściśle powiązane. Nie znam wszystkich szczegółów, ale twój prawnik mógłby ci to lepiej wyjaśnić.

- A więc przyjechałam tutaj, żeby zamieszkać z tobą, a oni zniechęcili mnie, bo uważali, że odebrałam im majątek?

- Tak. Mieli nadzieję, że uda im się go odzyskać.

- Ale dlaczego im go nie oddałam? Nie wydaje się, żeby było to warte nienawiści i konfliktów.

- Okazało się, że jesteś w ciąży - wyjaśnił rzeczowo Kjell. - Spodziewałaś się dziecka swojego zmarłego męża i zdecydowałaś, że jemu też należy się część fortuny.

- Dziecka? - Lydia potrząsnęła głową. Wstała gwałtownie od stołu, przewracając krzesło, które z hukiem spadło na ziemię. - Jakiego dziecka? O czym ty mówisz?

Zerelda wstała i wyciągnęła do niej rękę.

- Lydio, spróbuj się uspokoić. Zmartwienie może ci tylko zaszkodzić.

- Ale mówicie mi... - Patrzyła na nich zdezorientowana. - Co to właściwie oznacza? Twierdzicie, że mam dziecko?

- Tak. Syna o imieniu Dalton. Naszego syna.

Lydia poczuła, że pokój zawirował jej przed oczami. Tak często śniło jej się niemowlę. Nawet w tej chwili miała przed sobą obraz dziecka płaczącego w kołysce. Marzyła, żeby je przytulić i uspokoić. Czy właśnie o nim mówił Kjell? Dlaczego nie pamiętała własnego syna?

- Gdzie on jest? Nie żyje? Kjell pokręcił głową.

- Nie sądzę.

W jej głosie zabrzmiała histeria.

- Jak to? Nie masz pewności, czy on żyje, czy nie? Zerelda odwróciła bratanicę w swoją stronę i ścisnęła jej ramiona tak mocno, że ta niemal poczuła ból.

- Musisz się natychmiast uspokoić. To ci może naprawdę zaszkodzić. Proszę, usiądź.

Lydia zastanawiała się przez chwilę nad słowami ciotki. Z trudem oddychała i miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Zerelda podniosła z ziemi krzesło, a Kjell wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę.

- Usiądź. - Na jego twarzy malowała się taka miłość i współczucie, że Lydia nie przestała ścisnąć jego dłoni, nawet po tym, jak usiadła.

Nagle stanęło jej przed oczami wspomnienie. Choć była to tylko seria rozmazanych obrazów, Lydia natychmiast przeniosła się do nocy, w której doszło do napaści. Zobaczyła tamtego mężczyznę - i broń, z której w nią celował. Zerknęła w bok i dostrzegła kołyskę z małym Daltonem. Stłumiła okrzyk, zaczęła łkać i spojrzała na Kjella, potrząsając głową.

- Zabrali go. Zabrali moje dziecko, prawda?

Ku swojemu niezadowoleniu Evie musiała czekać przez całą noc, żeby móc opuścić statek „Constantine”, który przybił do brzegów Sitki. Kiedy wreszcie nadszedł ranek i przygotowano łodzie, które miały przetransportować pocztę i pasażerów na nabrzeże, byli z Daltonem pierwsi w kolejce.

- Pani bagaże zostaną przewiezione następną łodzią - obiecał jakiś marynarz.

Evie nie zwróciła na to uwagi. Chciała tylko odnaleźć Lydię. Patrzyła w stronę portu i miasteczka, zastanawiając się, w jaki sposób zdoła odnaleźć macochę. Sitka okazała się większa, niż się spodziewała. Czy ktoś będzie tu znał Lydię?

Dalton długo popłakiwał i dopiero niedawno zasnął wreszcie w jej ramionach. Wiedziała, że wyczuwał jej napięcie, i starała się uspokoić. Najlepsze, co mogła dla nie-

go zrobić, robiła właśnie teraz. Nie potrafiła mu pomóc w żaden inny sposób. Przez chwilę poczuła strach. Z biegiem tygodni zdążyła się bardzo przywiązać do tego małego chłopca. Kiedy sądziła, że Lydia nie żyje, z radością myślała o tym, że zostanie jego matką. Odkąd się jednak dowiedziała, czego dopuścił się jej brat, coś się w jej wnętrzu odmieniło. Postanowiła, że musi naprawić zło, które wyrządził... ale tak strasznie kochała tę małą istotkę! A jeśli Lydia każe jej się wynosić i nigdy nie wracać? Evie nie wiedziała, jak zniesie rozłąkę z dzieckiem.

- Wspaniała pogoda - powiedział ktoś za jej plecami, ale nie skupiła się na tej rozmowie. - Cóż za piękny dzień!

Siedziała w milczeniu, pogrążona w myślach i zastanawiała się, co przyniesie przyszłość. W czasie podróży na północ długo rozważała, co powie Lydii, kiedy już ją spotka. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak planowała, jej macocha będzie wiedziała, że to nie z winy Evie Dalton został uprowadzony. Może nawet pozwoli jej zostać w Sitce. Evie nie wiedziała jeszcze, co zrobi w przeciwnym wypadku.

Ellie i jej siostra zapewniały ją, że zawsze jest mile widziana w Sacramento, ale wcale nie miała ochoty tam jechać. Marzyła o tym, żeby być blisko Lydii, i modliła się, żeby macocha ją przyjęła.

Evie pokręciła głową, zastanawiając się nad ironią losu. Pragnęła pozostać blisko Daltona, ale jeszcze bardziej zależało jej na bliskości Lydii. Czy mogła w ogóle na to liczyć? Czy macocha ją odeśle ze względu na to, że należała do rodziny Grayów?

Kiedy dotarła wreszcie na brzeg, rozejrzała się po nabrzeżu. Miała nadzieję, że znajdzie tu jakąś dorożkę, ale większość ludzi była pieszo. W powietrzu unosił się drażniący, nieprzyjemny zapach ryb, ale poza tym - jak zauważył mężczyzna na statku - to był piękny dzień.

- Wygląda pani na zagubioną. Czy mógłbym jakoś pomóc?

Evie odwróciła się, a starszy mężczyzna uśmiechnął się do niej.

- Ma pani śliczne dziecko. Odwzajemniła uśmiech.

- Szukam kogoś. Muszę znaleźć Lydię Gray. Mężczyzna roześmiał się.

- Już nie nazywa się Gray. Teraz to Lydia Lindquist. Dobrze znam jej męża. Zresztą jest tu akurat jego brygadzysta. Josh! Josh, chodź tu. - Odwrócił się z powrotem do Evie. - To Joshua Broadstreet.

Młody mężczyzna utkwiał w niej brązowe oczy. Wydawał się zahipnotyzowany i przez chwilę poczuła się nieswojo. Uśmiechnął się do niej.

- O co chodzi, Britney? - zapytał, podchodząc do nich.

- Ta młoda dama chciałaby dotrzeć do domu Lindquistów. Szuka Lydii. Powiedziałem jej, że pracujesz dla Kjella.

- Owszem. - Wydawało się, że Joshua po raz pierwszy zauważył śpiące w jej ramionach dziecko. Przez jego twarz przemknął lekki grymas. - Mogę tam panią zawieźć. Oczywiście jeśli uda mi się od kogoś pożyczyć wóz.

- Bardzo dziękuję. - Evie spojrzała na mężczyznę o imieniu Britney. - I dziękuję panu za pomoc. Obawiam się, że przyjechałam tu trochę nieprzygotowana.

Mężczyzna się roześmiał.

- To żaden kłopot. Tutaj prawie wszyscy się znają. Poczekam z panią, aż Joshua wróci. Co prawda nic tu pani raczej nie grozi, ale i w Sitce mamy kilku podejrzanych typów.

Kiwnęła głową. Przypomniała sobie, jak Marston opowiadał, że wynajął ludzi, którzy mieli zająć się Lydią. Za-

drżała i odepchnęła od siebie tę myśl. Już niedługo naprawi zło, które wyrządził jej brat.

Joshua wrócił z niewielką furmanką, ciągniętą przez potężnie zbudowanego wałacha, który wydawał się w ogóle nimi niezainteresowany.

- No już - Josh pokierował opornego konia i zaciągnął hamulec. Zsiadając, uśmiechnął się do niej szeroko. - Patches ma jakieś sto lat, ale poradzi sobie.

Przez chwilę wpatrywał się w Evie, po czym zaproponował:

- Mogę przytrzymać dziecko, tak żeby mogła pani w tym czasie wsiąść. Ale trudno mi będzie jednocześnie pani pomagać.

- Nie trzeba. Dam sobie radę. - Podała mu Daltona i napomniała go. - Tylko proszę go nie upuścić.

Spojrzał jej w oczy i znowu się uśmiechnął.

- Nie miałem zamiaru.

Evie uniosła lekko spódnicę, nie przejmując się tym, że odsłoni kostki, po czym wsiadła na wóz. Wyciągnęła ręce w stronę Joshuy i wzięła od niego Daltona, po czym zaczekała, aż mężczyzna znalazł się obok niej. Odciągnął hamulec i lekko uderzył konia lejcami.

- Jedziemy, Patches.

Zwierzę ruszyło spokojnie przed siebie, mijając sklepy, które znajdowały się wzdłuż nabrzeża.

- Jak się pani nazywa? - zapytał Josh.

- Evie. Evie Gadston.

- A skąd zna pani Lydie? Zawahała się.

- Przez rodzinę. - Nie miała się teraz ochoty tłumaczyć. - Mieszka daleko stąd?

Chciała, żeby ta sprawa zakończyła się jak najszybciej. Bolesnie powolne tempo konia sprawiało, że miała ochotę zaproponować, żeby resztę drogi pokonali na piechotę.

- Spory kawałek. Więcej, niż miałyby pani ochotę przejść - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - Co sprowadza panią do Sitki? Lydia to pani przyjaciółka?

Evie skinęła głową.

- Mam nadzieję. Od dawna jej nie widziałam... proszę mi powiedzieć, jak ona się miewa?

- No cóż, ma lepsze i gorsze dni. Wie pani o wypadku?

- Wiem, że coś się stało, ale nie znam szczegółów - przyznała.

- Została kilka razy postrzelona. Prawie zginęła. Udało się ją uratować, ale nadal dochodzi do siebie, a poza tym straciła pamięć.

- Straciła pamięć? Całkowicie?

- No cóż, Kjell opowiadał mi, że przypomina sobie stopniowo różne rzeczy. Chociaż nie ma tego wiele. Może pani nawet nie rozpoznać. - Uśmiechnął się do niej. - Ale proszę nie brać tego do siebie. To dobra osoba i na pewno ciepło panią przyjmie.

- Mam nadzieję. Wydaje mi się, że kiedy zrozumie, po co przyjechałam, będzie naprawdę szczęśliwa. - Evie nie spodziewała się, że Josh odpowie. Skąd mógł wiedzieć, co miała na myśli? Oczywiście sytuacja okazała się zupełnie inna, niż się spodziewała. Myślała, że Lydia do tego stopnia ucieszy się z powrotu Daltona, że powita ją z otwartymi ramionami. Ale wyglądało na to, że nawet jej nie pozna. To mogło wszystko skomplikować.

- Jest pani nadal ze mną? - zapytał Josh. Potrząsnęła głową.

- Słucham? Co pan ma na myśli?

- Zadałem pytanie, ale chyba pani nie słyszała.

- Przepraszam. Zamyśliłam się. - Patrzyła na zielone drzewa i na majaczące w oddali góry. Piękno tej wyspy zrobiło na niej wrażenie.



- Nic nie szkodzi. Pytałem tylko, dlaczego pani przyjechała.

- No cóż... trudno to wyjaśnić. Pokręcił głową.

- Ta rodzina wiele przeszła. Trochę się zaniepokoiłem, kiedy zobaczyłem, że ma pani z sobą małe dziecko. Nie wiem, czy Lydia pamięta swojego chłopca, ale proszę się przygotować na to, że może się zmartwić. Robi się smutna, kiedy myśli o rzeczach, których nie potrafi sobie przypomnieć. Zresztą - mówił dalej Josh - oni nadal nie wiedzą, co się stało z ich synem. Kjell próbował go szukać, ale na razie bez powodzenia. Uważa, że chłopca porwał pasierb Lydii albo wynajęci przez niego ludzie.

Evie poczuła nagle intensywność tej chwili, jak żadnej innej w swoim życiu.

- To prawda, porwał go - wyrzuciła z siebie.

Joshua zatrzymał gwałtownie konie i zaczął przyglądać jej się ze zdziwieniem.

Spojrzała w jego ciemne oczy z nadzieją, że nie znienawidzi jej za to, co zamierzała powiedzieć. Po prostu musiała wreszcie wyznać prawdę.

- Panie Broadstreet, to mój brat uprowadził Daltona. - Odsunęła koronkowy kocyk, za pomocą którego chroniła chłopca przed słońcem. - Ale ja przywiozłam go z powrotem.

Lydia siedziała na werandzie w swoim fotelu bujanym. Czowała w piersiach tak silny ucisk, że trudno jej było złapać oddech. Jak mogła nie pamiętać własnego syna? Niezależnie od tego, jaką traumą okazał się napad, nie potrafiła uwierzyć, że byłaby zdolna całkiem o nim zapomnieć.

Kjell wszystko jej opowiedział, ale niewiele z tego rozumiała. Próbowała przywołać w myślach tamtą noc, ale nie powracały żadne wspomnienia. Przyszło jej do głowy, że może z czasem nadejdą, ale czy naprawdę tego chciała?

Kjell mówił, że wynajął detektywa i że władze zaczęły wreszcie sprawdzać udział Marstona Graya w całej tej sprawie. To właśnie on - jej pasierb - uprowadził Daltona. A przynajmniej tak sądził jej mąż. Jakiś inny człowiek, brat mężczyzny, który ją postrzelił, potwierdził tę wersję wydarzeń podczas przesłuchania.

Ukryła twarz w dłoniach i dalej kołysała się w fotelu. Co się stało z jej dzieckiem? Dlaczego nie mogli go odnaleźć?

„Och, Boże - modliła się. - Proszę, pomóż mi. Pomóż nam. Błagam, pozwól nam odnaleźć Daltona. Pozwól mi poznać go na nowo". Nie mogła znieść pustki, którą czuła, ani świadomości, że nie pamięta syna i nie wie nawet, gdzie on w tej chwili jest.

Łzy spływały po jej policzkach, a Lydia nadal się kołysała.

Błagała wcześniej Kjella i Zereldę, żeby zostawili ją samą i pozwolili jej pomyśleć o wszystkim, czego się dowiedziała. Teraz jednak tęskniła za bliskością męża. W jakiś zadziwiający sposób potrafił ją zawsze uspokoić i pocieszyć - nawet w obliczu największej rozpacz.

Zamierzała właśnie wejść do domu i poszukać Kjella, kiedy usłyszała nadjeżdżający wóz. Podniosła głowę. Nie rozpoznała konia, który wynurzył się zza zakrętu, ale rozpoznała woźnicę - był to młody człowiek, który pracował dla jej męża. Obok niego siedziała jakaś kobieta, ale Lydia widziała ją po raz pierwszy. Miała coś w rękach, więc pomyślała, że może Zerelda zamówiła dostawę jakichś produktów.

Otarła oczy fartuchem i głęboko odetchnęła. Wstała i zamierzała właśnie wejść do domu, kiedy z jakiegoś powodu poczuła nagłą potrzebę spojrzenia raz jeszcze na pasażer-

kę siedzącą przy Joshu. Wydawała jej się znajoma. Kiedy wóz się zbliżył, Lydia poczuła, że rozpoznaje tę jasnowłosą kobietę.

Stała jak sparaliżowana przy drzwiach i patrzyła, jak Josh zatrzymał wóz. Wyciągnął ręce, żeby wziąć od kobiety zawiniątko, które tamta ścisnęła. Wtedy Lydia zdała sobie sprawę, że nieznajoma trzyma w ramionach dziecko.

Młoda kobieta zsiadła z wozu, a Josh oddał jej niemowlę. Zobaczyła Lydię i powoli do niej podeszła. Uśmiechnęła się i powiedziała:

- Lydia? To ja, Evie. Evie Gray. Pamiętasz mnie? Lydia pokręciła głową. Serce podeszło jej do gardła

i znowu zaczęła przyglądać się nieznajomej. Znała te oczy. Te zapadające w pamięć niebieskie oczy. Przez jej głowę przemknęło wspomnienie wiszącego na ścianie obrazu. Kobieta, która wyglądała bardzo podobnie do tej, patrzyła na nią z obrazu tymi samymi oczami.

Nie mogła oderwać wzroku od nieznajomej, która przed nią stała. Kobieta twierdziła, że ma na nazwisko Gray. Tak samo jak pasierb, który odebrał jej dziecko.

- Wiem, że to dla ciebie szok... - zaczęła nieznajoma. Dziecko zaczęło płakać, więc przyłożyła je do ramienia.

Kiedy to zrobiła, koczyk spadł na ziemię.

Lydia spojrzała na niemowlę, a potem na nieznajomą.

- Evie - powtórzyła jej imię.

- Tak. A to twój syn. Przywiozłam go do ciebie.

Powietrze wypełnił krzyk. Lydia nie zdawała sobie sprawy, że wydostawał się on z jej własnych ust - zrozumiała to dopiero w chwili, kiedy Kjell wypadł przed dom i do niej podbiegł.

- Co się stało? - zapytał.

Lydia poczuła, że spada w dół. Pociemniało jej przed oczami.

- Dalton - zdążyła szepnąć, a potem zalał ją mrok.

## Rozdział 340

Lydia otworzyła oczy i zorientowała się, że wszyscy jej się przyglądają. Zerelda miała zapłakaną twarz, a Kjell wyraźnie zatroskaną minę. Potrząsnęła głową, jakby usiłowała się *wyzwolić* z zamętu, który panował w jej głowie.

- Pomogę ci usiąść - powiedział jej mąż. - Zereldo, przynieś mokrą ściereczkę.

Lydia zauważyła młodą kobietę i nagle przypomniała sobie, dlaczego zemdląca. Dziecko zaczęło płakać, więc Lydia wyciągnęła ramiona.

- Podajcie mi je... proszę.

Chwilę później matka i syn ponownie się połączyli. Poruszona i zaskoczona Lydia wpatrywała się w chłopca i przyłożyła go do ramienia, żeby się uspokoił.

- No już, już. - Głaskała go po plecach i w końcu przestał płakać.

Głęboko odetchnęła, a zapach Daltona sprawił, że zalała ją fala emocji. Pod wpływem tego zapachu poczuła szczęście i spokój. Zadziwiła ją cudowność tej chwili. Dziecko, o którym zapomniała, wróciło do domu i leżało w jej ramionach.

- Tak mi przykro, że Marston wyrządził ci tyle zła - powiedziała Evie, klękając przy Lydii. - Kiedy tylko poznałam prawdę, zrobiłam wszystko, żeby ci oddać Daltona.

Lydia spojrzała na młodą kobietę, której twarz wydawała się taka znajoma.

- To nie twoja wina - zapewniła, czując w głębi serca, że Evie mówiła prawdę.

- Moja rodzina zawsze źle cię traktowała. Ale zależy mi na tobie i mam nadzieję, że zdołałam dziś tego dowieść.

- Oczywiście, że tak. Żałuję, że nie pamiętam przeszłości, ale po tym, jak zostałam ranna, utraciłam większość wspomnień.

- W pewnym sensie się cieszę, że tak się stało. Byłam zrozpaczona, kiedy wyobrażałam sobie, jak musisz cierpieć w związku ze zniknięciem Daltona - wyznała Evie. - Nie mogłam znieść myśli, że siedzisz gdzieś i płaczesz z tęsknoty za dzieckiem. - Do jej oczu napłynęły łzy.

Lydia wyciągnęła rękę i pogłaskała dłoń Evie. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Kjell wstał i poszedł otworzyć. Lydia usłyszała stłumione szepty i po chwili do pokoju wszedł mężczyzna, którego przedstawiono jej jako kapitana Briara. Spojrzał najpierw na niemowlę, a potem na Kjella.

- Przywiozłem wieści z Kansas City, ale teraz to już chyba nieważne.

- Nonsens - zaoponował Kjell. - Proszę nam powiedzieć, o co chodzi.

- To się wydaje mało istotne w obliczu faktu, że odzyskaliście syna. Władze miasta przysłały list. Przyplłynął dziś na pokładzie statku „Constantine”. Przeszukano dom pana Graya, tak jak sugerowałeś, ale nie znaleziono ani śladu po twoim synu. Wydaje się jasne, że skoro dziecko jest tutaj, nie zostało uprowadzone przez Graya.

- To nieprawda - przerwała mu Evie. Wstała i spojrzała na Lydię, a potem na Kjella i kapitana. - Jestem siostrą Marstona Graya. Przywiózł mi dziecko kilka miesięcy temu, tłumacząc, że Lydia nie żyje. Poprosił, żebym wychowała Daltona i zgodziłam się na to. To on porwał dziecko i próbował zamordować Lydię.

Oczy Briara się zweziły.

- A skąd pani to wszystko wie?

- Słyszałam, jak się do tego przyznawał. - Zerknęła na Lydię. - Podśledzałam rozmowę mojego męża i braci. - Zwróciła się z powrotem do Briara. - Kiedy poznałam prawdę, zabrałam Daltona i natychmiast tu przyjechałam.

Kapitan spojrzał na Kjella.

- To wszystko wydaje się nieco zagmatwane.

- Nie, wszystko jest jasne - oznajmiła Evie. - Mój brat ponosi za wszystko winę i mogę to zeznać pod przysięgą. Opowiem panu, co wiem, tak jak powinnam była to zrobić całe lata temu, kiedy ojciec zabił moją matkę, zrzucając ją z tarasu naszego domu.

Lydia wydała stłumiony okrzyk.

- Floyd ją zabił? - Nagle przypomniała sobie jego imię. Przed oczami stanęła jej pełna wściekłości twarz męża, który stał nad nią z biczem. Właśnie ją pobił, a pierwsze słowa, które po tym wszystkim do niej skierował, były następujące: „Charlotte też nigdy się nie nauczyła okazywać mi posłuszeństwa. Zobacz, do czego ją to doprowadziło”.

Ta scena zniknęła z jej umysłu równie szybko, jak się w nim pojawiła.

Evie podeszła do Lydii.

- Tak, zabił ją. Widziałam to na własne oczy, ale nigdy nikomu nie powiedziałam. Teraz żałuję. Może wszystko potoczyłoby się inaczej. Może nie musiałybyś tak cierpieć.

- To nie twoja wina, Evie - powiedziała Lydia, biorąc ją za rękę. - To nie twoja wina. Byłaś tylko dzieckiem.

Kapitan Briar nerwowo chrząknął.

- Myślę, że teraz, kiedy już mamy świadka bardziej wiarygodnego od Sidorowa, nie możemy dłużej pomijać udziału Graya w tej zbrodni. Gdzie panią znajdzie, pani.

- Gadston. Genevieve Gadston.

- Będzie tutaj - wtrąciła się Lydia. - Zostanie u nas. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko, Evie.

- Prawdę mówiąc, zamierzałam cię właśnie o to poprosić. Nie mogę wrócić do domu. Żadne z nich mnie po czymś takim nie przyjmie.

- A co z twoim mężem? - zapytał Kjell.

- Nigdy nie obchodziłam Thomasa. Pewnie poczuje ulgę, że wreszcie się mnie pozbył. Jeżeli mi się poszczęści, zgodzi się na dyskretne unieważnienie ślubu, a jeśli nie, spędzę po prostu resztę życia z dala od niego.

Kjell skinął głową.

- W takim razie koniecznie zostań z nami.

- A więc sprawa załatwiona - powiedziała Lydia, wpatrując się w zaniepokojone oczy swojego syna. Gdzieś w głębi serca czuła, że go pamięta. - Wszystko postanowione.

Przyglądając się śpiącemu dziecku, Lydia nie mogła się nadziwić, jak bardzo pozostawało spokojne mimo wszystkiego, co się wydarzyło. Spało tak lekko, tak beztrąsko. Poglaskała Daltona po głowie i podświadomie wiedziała, że robiła to już wcześniej tysiące razy.

- Zasnął? - zapytał Kjell.

- Tak. - Lydia się wyprostowała, ale nie chciała ani na chwilę oddalić się od kołyski. - Tuż po tym, jak go nakarmiłam.

Kjell uśmiechnął się i przyciągnął ją do siebie. Pocałował żonę w szyję, a potem w ucho.

- Jedno jest pewne: to prawdziwy cud. Lydia zerknęła na niego.

- Naprawdę tak sądzisz? Czy to Bóg go do nas sprowadził, Kjell?

- Jestem o tym przekonany. Nie wierzę w szczęście ani zbiegi okoliczności. Uważam, że Bóg planuje nasze kroki i nami kieruje. Czasem inni ludzie nieco zmieniają bieg zdarzeń, stając nam na drodze, ale mimo to Bóg zawsze potrafi zrealizować Swój wspaniały plan. - Przyłożył policzek do jej twarzy. - Nie rozumiem, dlaczego to musiało się nam przytrafić ani dlaczego Pan postanowił nas poddać takiej próbie, ale wierzę, czuwa nad nami i nad Daltonem.

Odwróciła się i dotknęła dłonią jego policzka.

- Marzę o wspaniałej przyszłości przy tobie i Daltonie, a także przy innych dzieciach, które będą nam dane.

Pogłaskał ją po włosach.

- Pragnę tego samego. Nie ma dla mnie znaczenia, czy pamiętasz mnie z poprzedniego życia. Liczy się tylko to, że znasz mnie teraz i że będziesz mnie zawsze kochała.

- Och, tego możesz być pewien - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Tak jak ja jestem pewna twojej miłości.

W świetle kominka Lydia uśmiechnęła się i przysunęła swoją twarz do jego twarzy. Szczęście i radość, które poczuła, kiedy go pocałowała, okazały się silniejsze niż wszystko, co sobie dotąd wyobrażała. Kiedy wziął ją na ręce, westchnęła z zadowolenia. Niezależnie od tego, jaka czekała ich przyszłość, niezależnie od wyborów i prób, przed którymi mieli stanąć - ta chwila stała się preludium nowego brzasku życia i miłości, która ich połączyła.